



Historia
pewnej
miłości

JOSHILYN
JACKSON

ZASKAKUJĄCA OPOWIEŚĆ
O ODKRYWANIU TAJEMNIC Z PRZESZŁOŚCI

Spis treści

Karta tytułowa

Część pierwsza. Kule

Część druga. Chemia

Część trzecia. Zmartwychwstanie

Podziękowania

Karta redakcyjna

JOSHILYN JACKSON

Historia pewnej miłości

Przełożyła
Aldona Możdżyńska



Dla Bobby'ego Jacksona,
który poślubił odpowiednią dziewczynę,
i tradycyjnie dla Julie Jackson

„Nadzieja” jest tym upierzonym
Stworzeniem na gałązce
Duszy – co śpiewa melodie
Bez słów i niemilknące[*]

EMILY DICKINSON

* Wiersze Emily Dickinson w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

Część pierwsza

Kule

„Wiara” to świetny wynalazek,
Gdy można zaufać Oku –
Lecz zdarza się Nagła Potrzeba
Użycia Mikroskopu.

EMILY DICKINSON

Zakochałam się w Williamie Ashe'u, kiedy celowano do mnie z broni w markecie Circle K. Było piątkowe popołudnie, koniec lata w Georgii, nieziemsko gorące powietrze parzyło więc jak ukrop. Oboje patrzyliśmy w wylot lufy starego, skrzypiącego rewolweru kalibru trzydzieści dwa, który mógł nas zabić równie skutecznie jak pistolet lśniący nowością.

Wtedy myślałam, że to koszmar, a nie początek historii miłosnej. Historie o miłości zaczynają się od pocałunku albo romantycznego spotkania, nie zaś od tego, że ktoś zostaje postrzelony w minimarkecie na stacji benzynowej. Nie, zaraz. Od tego, że zostają postrzelone dwie osoby, bo pierwsza została ranna policjantka.

No i tak staliśmy. William nieruchomo jak głaz, ja z zieloną butelką coca-coli w ręce, która trzęsła mi się tak bardzo, jakbym dostała ataku drgawek. Oboje skamienieliśmy pod czarnym okiem pistoletu. A jednak siedemnaście sekund później, jeszcze zanim poznałam jego imię, na zabój zakochałam się w Williamie.

Nigdy nie czuwał nade mną żaden Anioł Stróż. Od urodzenia towarzyszył mi rogaty diabeł, który siedział okrakiem na mojej szyi i szeptał to do jednego, to do drugiego ucha. Nie miałam czarodziejkiej matki chrzestnej ani nawet Świerszcza, który pomagał Pinokowi odróżniać dobro od zła. Ktoś jednak powinien był mnie uprzedzić. Tego popołudnia w Circle K zasługiwałam na to, żeby się dowiedzieć, i to od razu, że wyląduję w samym środku historii o miłości. Tym bardziej że była to – i jest nadal – historia nie mojej miłości.

O jedenastej tego samego dnia do głowy by mi nie przyszło, że znajdę się na celowniku i w samym centrum czyjejś historii o miłości. Ciągnęłam po schodach płócienny worek zawierający większość moich rzeczy i starałam się nie płakać albo, co gorsza, nie okazać radości. Moja matka, której mieszane uczucia

zawsze były obce, stała w wejściu do kuchni, oświetlona od tyłu, i wyglądała jak ucieleśnienie przygnębienia.

Chciałam odejść, ale wiedziałam, że jeśli spojrzę jej prosto w oczy, rozbeczę się jak małe dziecko. Ten schludny bungalow z cegieł stojący na zboczu góry był moim domem od siedemnastu lat – odkąd skończyłam cztery lata, a moi rodzice się rozwiedli. Gdybym się teraz rozplakała, ona też wybuchnęłaby płaczem, a wtedy moje słodkie dzieciątko zupełnie by się załamało. Wszyscy szlochalibyśmy w swoich objęciach i Natty i ja nigdy nie ruszylibyśmy w drogę. Zacisnęłam więc usta i spojrzałam ponad jej głowę. Wtedy zauważyłam, że zdjęła obraz przedstawiający dłonie Jezusa złożone do modlitwy, który wisiał nad kanapą, odkąd pamiętam. Zastąpiła go Dobrym Pasterzem, na widok którego stanęłam jak wryta.

Nowy Jezus wyglądał dokładnie jak ona.

Był prześliczny, szczupły i elegancki. Również oświetlony od tyłu, stał przed ławką, a nie przed kuchnią, i trzymał owieczkę zamiast chochli. Moja matka nigdy nie wychodziła na słońce bez kapelusza i nienasmarowana uprzednio kremem z filtrem 50, a ten Jezus miał taką samą jak ona porcelanową cerę. Jej uroda była bardziej żydowska niż Jego. Oboje mieli tak samo bujne brązowe włosy rozświetlone złocistymi pasemkami. Wzniesionymi do góry niebieskimi niczym chabry oczami patrzyli ze smutkiem, jak zmagam się z dwudziestopięciokilogramowym workiem. Żadne z nich nie zaoferowało mi pomocy.

Mimmy absolutnie nie była gotowa na moje odejście, a na myśl o tym, że będę musiała wyrwać się stąd za wszelką cenę, chciało mi się klapnąć na tyłek i umrzeć tam, na schodach.

– Proszę, nie utrudniaj mi tego. To najlepsze wyjście – powiedziałam, ale Mimmy stała tylko, emanując pięknym smutkiem. Uroda mojej matki jest po prostu niezemska. Wręcz nieludzka i działa na wszystkich, czasami nawet na mnie.

– Może dla ciebie – stwierdziła. – Ale dla Natty'ego?

Punkt dla niej. Zamierzałam zamienić słoneczną górę mamy pełną drzew i zwierząt na apartament z trzema sypialniami u taty, elegancki i nowoczesny, w samym centrum miasta. Powiedziałam jednak tylko:

– Och, Mimmy.

Spierałyśmy się o to od tygodnia. Apartamentowiec taty dzieliło dziesięć minut jazdy samochodem od kampusu uniwersytetu stanu Georgia, a mieszkając u Mimmy, musiałam przeznaczyć cztery godziny dziennie na podróż. Zapisalam się na te zajęcia, które nie wypadaly w godzinach szczytu w Atlancie i które odbywały się albo we wtorki i czwartki, albo w poniedziałki, środy i piątki. Przy takim układzie zwykle umówienie się z kimś na kawę wymagało dużych umiejętności logistycznych, a do tego Mimmy nie ułatwiała mi życia towarzyskiego. Od siedemnastu lat bojkotowała każdego osobnika z chromosomem Y. Nawet jej koty były płci żeńskiej. Kiedy się dowiadywała, że umówiłam się na randkę, zmieniała mi godziny pracy w swojej cukierni. Wyprowadziłabym się do taty już wcześniej, gdyby moja macocha, Bethany, pozwoliła, by tata mi to zaproponował.

Ale nie pozwoliła. Aż do zeszłego tygodnia, kiedy przysły wyniki testów Natty'ego. Tata wysłał go na testy, kiedy Natty nauczył się czytać. Okazało się, że iloraz inteligencji mojego dziecka przekracza 140, co plasowało go w kategorii geniuszy. Kurczę, mój trzylatek pewnie mógłby ubiegać się o przyjęcie do Mensy.

Bethany – sama Bethany, a nie mój tata – zadzwoniła z wiadomością, że mogę się wprowadzić do taty. Było to niezwykle wydarzenie. Bethany zachowała się jak bramkarz, mówiąc, że nie zaprasza mnie na święto Paschy, bo przychodzi cała jej rodzina i dla mnie zabraknie miejsca przy stole. Kilka dni później tata zrobił coś bardzo pięknego, wielkiego i wspaniałomyślnego, jakby te dwa wydarzenia nie miały ze sobą żadnego związku. Ale tym razem Bethany tak bardzo chciała ze mną porozmawiać, że kiedy nie mogła dodzwonić się na moją komórkę, wykręciła numer stacjonarnego telefonu Mimmy. Ryzykowne posunięcie. Mimmy i Bethany były jak materia i antimateria. Ich kontakt mógłby spowodować wybuch, w wyniku którego nasza planeta wypadłaby z zawiasów i poszybowała prosto ku słońcu.

Na szczęście to ja podniosłam słuchawkę. Najszybciej jak się dało, chłodnym tonem wymieniliśmy uprzejmości. Zastanawiałam się, jakąż to straszliwą bombę tym razem na mnie spuści. Odchrząknęła i wygłosiła monolog, który najwyraźniej przećwiczyła wiele razy:

– A więc! Zważywszy na ponadprzeciętny intelekt Nathana, David chce znaleźć dla niego przedszkole bardziej nakierowane na naukę. Wiemy, że tam, na wsi, masz bardzo ograniczone możliwości.

Przysięgam, dosłownie słyszałam, jak wąskie nozdrza długiego klasycznego nosa Bethany rozdymają się z odrazy, gdy wypowiadała słowo „wieś”. W zeszłym roku nieomal wpędziłam swojego żydowskiego ojca do grobu, bo wysłałam Natty’ego do przedszkola przy kościele Baptistów Mimmy. Natty i ja już nie chodzimy ani do synagogi, ani do kościoła. O wiele mi z tym lepiej niż w dzieciństwie, kiedy musiałam chodzić i tu, i tam. Tata zaproponował, że zapłaci, jeśli wyślę Natty’go do „lepszego” przedszkola.

– Na pewno w waszej okolicy znajduje się więcej przedszkoli – powiedział.

– Oczywiście – przytaknęłam. – Jeżeli wolisz, Natty może chodzić do przedszkola prowadzonego przez metodystów.

Wracając do Bethany. Dalej ciągnęła swój monolog:

– Oznacza to przeprowadzkę do Atlanty. Wiem, że twoja matka nie uzna tego za życiową szansę. Prowincjusze są krótkowzroczni, zwłaszcza jeśli chodzi o edukację. Ale korzyści... Myślę, że widzi je każdy rozsądny rodzic. – Z pogardą pociągnęła nosem i w końcu przeszła do meritum: – Ty i Natty możecie wprowadzić się do apartamentu Davida. Założymy wam osobną linię telefoniczną. Możecie według własnego gustu urządzić sypialnie na trzecim piętrze. Nie jestem pewna, czy twój ojciec jest gotowy dzielić dyżurkę ze stażystami, więc czasami może zdrzemnąć się w głównej sypialni, ale poza tym możecie czuć się tam jak u siebie w domu. – Nastąpiła chwila ciszy, po której Bethany dodała znaczącym tonem: – Przez rok. – Po czym, na wypadek gdybym nie załapała: – To znaczy do skończenia studiów.

Co za zdumiewająca liczba znanych mi od lat, stuprocentowo skutecznych inwektyw w jednej wypowiedzi. Zrobiła nawet przytyk pod adresem Lumpkin County! Oczywiście mieszkaliśmy na wsi, ale nie na aż tak zabitej dechami jak w filmie *Deliverance*, i Bethany doskonale o tym wiedziała. Jeśli miała nadzieję, że tak mnie zmanipuluje, iż odrzucę ofertę zamieszkania w tym upragnionym przeze mnie miejscu, to grubo się myliła. Przybrałam tak słodki ton, na jaki tylko było mnie stać, odparłam „tak, och, tak, tak, tak, tak”, i czym prędzej odłożyłam słuchawkę.

Rzuciłam ciężki worek przy drzwiach wejściowych obok walizki Natty'ego z logo stacji telewizyjnej Blue's Clues i koszy na pranie pełnych książek, skarpetek i zabawek. Podeszłam do Mimmy, objęłam ją i wtuliłam twarz w jej włosy. Pachniała wanilią.

– Jesteś najlepszą mamusią na całym świecie. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła, kiedy Natty był jeszcze malutki. Na pewno nie dałabym rady i nie poszłabym na studia. Ale mam już dwadzieścia jeden lat. Natty i ja w końcu musimy zacząć żyć samodzielnie. Teraz jest idealna chwila.

Pokręciła głową.

– Przeprowadzka do własnego domu powinna być czymś radosnym. To rytuał przejścia. Powinam ci uszyć zasłony i urządzić parapetówkę. Nie wiem jednak, jak się cieszyć, że przenosisz się do mieszkania tego okropnego człowieka.

Puściłam mimo uszu słowa o okropnym człowieku i powiedziałam tylko:

– Nie wprowadzam się do nich.

Bethany, tata i moi trzej młodszy bracia przyrodni mieszkali w ogromnym dworze z kamienia i sztukaterii w Sandy Springs. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła mieszkać pod jednym dachem z Bethany. W rozmowach z Mimmy nazywałam ją Lodówką, a przy moim przyjacielu Walcocie wyrażałam się o niej jeszcze gorzej. Zasłużyła na wszystkie te przyzwiska, ale muszę przyznać, że i ja zasłużyłam na te, którymi zapewne ona mnie określała w rozmowach z innymi.

Mimmy znowu zaczęła coś mówić, ale w tej chwili usłyszałyśmy, że na dół schodzi Walcott. Jego długie stopy plaskały po schodach. Przyciskał do piersi większość moich ubrań złożonych w wielką stertę.

– Po co ci tyle sukienek? – spytał.

– Bo jestem dziewczyną – odparłam.

Mama spojrzała na moje rzeczy i powiedziała:

– Bardziej zasadne pytanie to: dlaczego się ubierasz jak czterdziestoletnia francuska rozwódka?

– Lubię styl klasyczny – odparłam, podchodząc do Walcotta, żeby go odciążyć. Sterta była ogromna. Większość ubrań znalazłam na wyprzedażach i w sklepach z używaną odzieżą. Przekopywałam się przez stosy wypranych chemicznie dzinsów dla kobiet w ciąży, żeby znaleźć jedną ładną rozkloszowaną spódnicę albo piękną szmizjerkę za dwa dolary.

Walcott zbył mnie machnięciem dłoni, nadal mocno obejmując moje ciuchy, i ruszył do drzwi.

Mimmy powiedziała zbolalym głosem:

– Nie możesz najpierw załadować ubrań z wieszaków. Pogniotą się i będziesz musiała je znowu prasować.

Walcott zatrzymał się posłusznie i ostrożnie położył stertę na moim worku, rzucając mi jedno z tych swoich spojrzeń, cierpkich i pełnych udawanego męczeństwa. Przyszedł wczoraj od swoich mam, żeby mi pomóc się spakować, jak przystało na najlepszego na świecie przyjaciela. Dziś pomógł mi załadować wszystko do samochodu i miał zająć się Nattym podczas podróży do nowego lokum. Mieściło się ono na trzech niewielkich piętrach. Na dole znajdowały się kuchnia i salon, na środkowym poziomie było mieszkanie taty, a Natty i ja dostaliśmy dwa pokoje z łazienką na górze. Walcott, jak to on, zadźwiga najcięższe rzeczy po schodach, a ja i Natty zanieśliśmy poduszki i siatki z butami. Nie musiałam nawet odwozić go do domu, tylko podrzucić do jego dziewczyny, która mieszkała w Inman Park.

Wyciągał mnie z tarapatów, odkąd skończyliśmy pięć lat. Oboje byliśmy outsiderami w podstawówce pełnej uczniów o mlecznej cerze, w hrabstwie białym jak pszenny chleb i tak konserwatywnym jak konserwatywne potrafi być Południe Stanów Zjednoczonych. W promieniu kilku kilometrów byłam jedyną pół-Żydówką, a Walcott był produktem dawcy spermy wychowanym przez parę lesbijek, które wyjechały z Atlanty, żeby uprawiać warzywa ekologiczne i prowadzić na górze pensjonat dla pań o podobnej orientacji seksualnej. Mamy Walcotta angażowały się w cały wachlarz tak podejrzanych zachowań jak medytacje zen i hydroponika. Tam, gdzie mieszkaliśmy, słowa te były równie obce jak Rosz Haszana albo Pesach Seder, dziwne rytuały, dzięki którym zyskiwałam kilka dodatkowych dni wolnych od lekcji. Wyjeżdżałam wtedy do taty, gdzie – jak zapewne wierzono – malowałam drzwi krwią baranków i żywcem paliłam gołębie.

Ja i Walcott zawsze staliśmy za sobą murem i wspólnie przetrwaliliśmy bezwzględne prześladowania na placu zabaw, ale teraz Walcott musiał się zmierzyć z Mimmy, która gromiła go wzrokiem, co zwykle było zarezerwowane dla każdego nieszczęsnego osobnika płci męskiej, który – zwabiony jej

nieskazitelną urodą – próbował zaprosić ją na randkę. Doskonale wiedziała, że pomagając mi przy przeprowadzce, Walcott nie kieruje się pobudkami natury seksualnej, ale co jakiś czas przypominało jej się, że – technicznie rzecz biorąc – należy do tej połowy ludzkości, która posiada penisy. Rzuciła mu pełne podejrzliwości, nienawistne spojrzenie. Zdarzało jej się to, nawet kiedy byliśmy w przedszkolu. Raz, kiedy bawiliśmy się w „prawda czy wyzwanie”, Walcott pokazał mi swój penis. Był niewinny, różowutki, malutki i z całą pewnością niezdolny do żadnych intryg.

– Na górze już nic nie zostało. Zjedzmy coś i zapakujmy rzeczy do samochodu – zaproponował Walcott.

– Ale wyruszamy przed drugą. Nie chcę rozpakowywać się po ciemku.

– Zrobię lunch – powiedziała z rezygnacją moja matka. Wiedziałam, że to zmyłka. Odwracając się w stronę kuchni, spojrzała na mnie z ukosa swoimi sarnimi oczami.

– Uuu, ale masz przerąbane. – Walcott uśmiechnął się szeroko. Osobie postronnej mogłoby się wydawać, że moja matka jest jedynie lekko niezadowolona, tak jak przystało na damę, ale właściwie pogodzona ze światem i z wszystkimi jego mieszkańcami. Walcott i ja dorastaliśmy jednak razem i ciągle do siebie wpadaliśmy, potrafił więc prawie tak dokładnie jak ja odczytać nastrój Niegdysiejszej i Przyszłej Piękności Południa z koloru jej szminki i kąta, pod jakim wpięła we włosy szylkretowe grzebyki.

– Wytoczyła ciężkie działa. Przeciwno mnie – stwierdziłam.

– Nic ci na to nie poradzę. Nikt nie poradzi. – Walcott opadł na klubowy fotel.

– Ale mogę ci powiedzieć wiersz. Ułożyłem go dla ciebie, specjalnie na tę okazję.

– Nie, dziękuję – odparłam sztywno.

– Jest naprawdę dobry. – Walcott odchrząknął i zaczął głosem poety bitnika, dudniącym i szalenie pretensjonalnym:

– Niestety! Żydówka z Lumpkin County wygnana ponownie. Niczym Mojżesz...

– Nie poetyzuj mi tu, Walcott. Już ja dobrze wiem, do czego ci to potrzebne. – Zanim Walcott na poważnie związał się z CeeCee, jego firmowym sposobem na podryw było cytowanie wierszy Johna Donne’a lub Szekspira podpitym studentkom matematyki.

– Ale działa. Miałem niezłe rwanie jak na chudego studenta anglistyki z dużym nosem.

– Twój nos jest szlachetny.

– Aż nazbyt szlachetny. Szlachetny XXL. Na szczęście dla mnie dziewczyny lecą na pentametr jambiczny. Ale ten wiersz? Nie służy do uwodzenia. To biały wiersz, całkiem udatny. Błądzisz w nim przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy po parku Piedmont, za dnia idąc śladem smugi dymu z fajki do palenia cracku, a nocą pracując jako transseksualna dziwka.

– Głupek – powiedziałam. Jak zwykle poprawił mi humor. – Przestań. Muszę spacyfikować Mimmy. Może zakradniemy się z owocami do kuchni? Wrzucimy dziewczicę do jej wulkanu?

– A gdzie my teraz znajdziemy dziewczicę? – zażartował.

Ruszyłam do kuchni i zatrzymałam się pod obrazem. Nowy Jezus ze świeżo zrobionymi pasemkami patrzył na mnie oczami jak u Wujka Sama. Miałam wrażenie, że śledzi mnie wzrokiem.

Walcott podążył za moim spojrzeniem i przekrzywił głowę.

– O kurde! A gdzie Ręce Jezusa złożone do modlitwy?

– No właśnie. – Wzruszyłam ramionami.

– Shandi, to twoja matka z brodą.

– No. Okropnie mnie wkurza. Nie sądzę, by Jezus był aż tak...

– ... seksowny – dokończył Walcott, ale ja patrzyłam w stronę drzwi do kuchni, w których stanęła mama. Wzięłam z najbliższego kosza na pranie jednego z pluszaków i rzuciłam go Walcottowi. Złapał go ze śmiechem. – Ojej, nie rzucaj Żółtym Przyjacielem! – Ostrożnie odłożył do rzeczy Natty'ego jego najważniejszą zabawkę – niebieskiego króliczka uszytego ze szmatek. – Wiem, że to twoja mama, no, ale sama pomyśl.

Musiałam przyznać mu rację. Moja matka miała czterdzieści cztery lata, ale wyglądała dziesięć lat młodziej i nie zamierzała zacząć brzydnąć. Gdybym to ja się urodziła z pełnymi ustami i bosko wystającymi kośćmi policzkowymi, a nie z okrągłą twarzą, którą można by określić jako zwyczajnie ładną, pewnie też bym nie chciała zbrzydnąć na starość.

– Lunch! – zawołała Mimmy. Poszliśmy do kuchni. Natty już siedział w dziecięcym foteliku samochodowym, nosem sięgając blatu wysokiego

drewnianego stołu z twarzą schowaną za *Wielką księgą owadów*, ale wiedziałam, że nagłe poruszenie go zaniepokoiło. Przed talerzem stały w rzędzie jego ulubione policyjne matchboxy i pojazdy ratunkowe. Miał na sobie części strojów swoich trzech ulubionych zawodów: żółtą kurtkę strażaka, biały kombinezon astronauty i czapkę pilotkę.

– Kapitanie Kosmiczny Strażaku, czy widział pan mojego synka?

– Ja nim jestem – odparł Natty.

– Dziwne – powiedział Walcott. – Jak to możliwe, że Pilot Kosmiczny Strażak przemienił się w Natty’ego Bumpo?

Natty, który wszystko rozumiał dosłownie, odłożył wielkie tomisko i poważnym wzrokiem spojrzał na Walcotta.

– Walcott, to tylko kostiumy. Cały czas byłem sobą.

Usiadłam obok niego i powiedziałam:

– Oj, to dobrze, bo jesteś moim ulubieńcem.

Walcott usiadł naprzeciw mnie.

– Mimmy zrobiła placek z jabłkami – poinformował nas Natty swoim poważnym głosem.

Z powagą kiwnęłam głową.

– Świetnie.

– Mimmy mówi, że powinienem jeść groszek – dodał tym samym tonem, ale zorientowałam się, że jego zdaniem to wielka niesprawiedliwość.

– Mimmy ma rację – potwierdziłam.

Nasze talerze z już nałożonym jedzeniem stały na koronkowych serwetkach. Mama zajęła swoje miejsce u szczytu stołu i wszyscy pochyliliśmy głowy.

Podczas gdy matka miło gawędziła sobie z Jezusem, spojrzałam na talerz i zrozumiałam, że źle oceniłam jej nastrój. Nie była smutna ani zdruzgotana. Zrobiła kotlety z kurczaka, tłuczone ziemniaki, groszek i świeże biszkopty i wszystko to polala aksamitnym tłustym sosem.

Gotowała tak dla mnie tylko wtedy, kiedy była wściekła. Uważała, że największą obrazą dla kobiety jest podarowanie jej słodyczy. Żywiła się zieloną sałatą i kurczakiem gotowanym na parze i nadal zmieściłaby się w swoją suknię ślubną, gdyby nie spaliła jej na środku salonu, kiedy byłam w wieku Natty’ego. Potem mnie spakowała i wróciliśmy z powrotem tu, gdzie się wychowała.

Moja wściekła matka odmówiła litanie podziękowań za jedzenie, zdrowie i rodzinę i wtrąciła nawet słówko o Bulldogach przed jesienną turą rozgrywek. Nie zeszła z utartej ścieżki, nie nękała Pana naszego prośbami o to, by jej wyrodna córka lepiej zrozumiała Jego wolę. Kiedyś wola boska tak dokładnie zgadzała się z jej wolą, że moja matka uznawała, iż warto o niej wspominać. Tym razem jednak zaraz po wzmiance o futbolu zakończyła słodkim „amen”, a ja przeniosłam ocenę jej nastroju z poziomu „po prostu wściekła” na „rozjuszona”.

Natty też powiedział „amen”, po czym zaczął w tę i z powrotem jeździć po stole jednym z policyjnych wozów. Walcott zabrał się do jedzenia i po pierwszym kęsie zajęczał z rozkoszą. Mógłby zjeść swoją porcję, a potem moją i w ogóle nie byłoby po nim tego widać. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i był zbudowany jak słony paluszek.

– Synku, jedz – powiedziałam do Natty’ego.

– Dobrze. Muszę tylko rozważyć kwestię groszku – odparł, a ja uśmiechnęłam się szeroko. Wysławiał się jak stary maleńki.

Moja matka również nałożyła sobie porządną porcję. Odkroiła kawał mięsa, zanurzyła go w ziemniakach i wpakowała to wszystko do ust. Wybałuszyłam na nią oczy. Myślę, że skrobię jadła ostatnio przed trzema laty, kiedy tata w pełni opłacił moje czesne na uniwerku.

Zawsze wiedziałam, że to zrobi, ale Mimmy martwiła się, że całkowicie się ode mnie odetnie, kiedy tylko nie będzie już musiał płacić na mnie alimentów. Nie przysługiwało mi żadne stypendium, chociaż liceum skończyłam z wyróżnieniem. Ostatni rok szkoły spędziłam w domu, piekąc ciastka dla Natty’ego i ucząc się do matury. Kiedy przyszedł czek od taty, mama wyjęła z zamrażarki stareńkie pudełko miętowych czekoladek i zjadła dwie, co w jej wypadku oznaczało kaloryczną orgię. Kupiła te czekoladki co najmniej cztery lata wcześniej i do tej pory nawet nie napoczęła drugiego rządka.

Siedziała teraz cicho, żując chyba najlepszy kęs, jaki od dziesięciu lat trafił do jej ust, ale miała taką minę, jakby w ogóle nie czuła smaku. Spróbowała go przełknąć i nagle zrezygnowała. Skrzywiła się, jakby ktoś jej powiedział, że właśnie je mięso swojego najdroższego przyjaciela. Wypluła jedzenie w serwetkę i wstała raptownie, szurając krzesłem po starym parkiecie.

Natty dalej prowadził swój samochodzik po stole, ale zauważyłam, że zerknął na nią, kiedy pośpiesznym krokiem wyszła z kuchni.

– Mimmy nic nie jest – uspokoiłam go.

– Mimmy nic nie jest – powtórzył, przybliżając i oddalając samochodzik, w pełnym smutku rytmie. – To tylko dlatego, że wyjeżdżamy na całą wieczność.

Już chciałam wstać i pójść porozmawiać z mamą, ale po słowach Natty'ego znieruchomiałam.

– Natty! Nie jedziemy daleko i zawsze możemy odwiedzać Mimmy.

– Niedaleko, możemy odwiedzać – powtórzył bez przekonania.

– W Atlancie będzie fajnie. Kiedy zaczną się zajęcia, ciągle będziemy się spotykać z Walcottem, pójdziesz do przedszkola i poznasz miłych kolegów. – Uchwyciłam ponad stołem wzrok Walcotta, który znał wszystkie powody mojej decyzji o przeprowadzce. Tutaj ludzie wiedzieli o genialnym umyśle Natty'ego. Usłyszeli o nim chyba dosłownie parę sekund po mnie. Na nowo odżyły na jakiś czas uśpione spekulacje na temat tożsamości jego ojca. Natty, który rozumiał o wiele więcej niż przeciętny trzylatek, zaczął zadawać pytania. Aż do tego roku jego brak znajomości biologii pozwalał mi na powiedzenie najprostszej prawdy: nie ma ojca.

Ale jak wytłumaczyć przedszkolakowi, nawet tak inteligentnemu jak Natty, że jego matka była dziewicą aż do dnia, kiedy skończył rok? W pewnym sensie dziewicą, bo kiedy po raz pierwszy uprawiałam seks, dowiedziałam się, że dzięki cesarskiemu cięciu moja błona dziewicza pozostała nienaruszona. Jak mogłam powiedzieć swojemu synowi, że jego istnienie to jedyny cud, w który wierzę?

Jeśli wścibscy sąsiedzi lub znajomi pytali, kto jest ojcem Natty'ego, odpowiadałam: „Listonosz” – bohater nieskończonej liczby dowcipów o dzieciach z nieprawego łóża. Natty'emu byłam jednak winna coś więcej. Może wymyślić jakąś niezwykłą historię? Opowieść o szalonej miłości, wojnie i najlepiej śmierci na koniec? Nie wymyśliłam jej do tej pory tylko dlatego, że nie chciałam go okłamywać. Prawda jednak brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie.

Powiedzenie prawdy oznaczało również, że musiałabym mu wytłumaczyć, na czym polega seks, a Natty'emu na razie całkowicie wystarczała wersja: „Tatus daje mamusi spermę, mamusia daje jajeczko i – ta-dam! – powstaje dziecko”. Nie obchodziło go, w jaki sposób sperma i jajeczko się spotykają. A już tym

bardziej, jak to możliwe, że spotkały się w dziewczynie, która w seksie nie przekroczyła nawet drugiej bazy.

Natty zadał jednak zgoła inne pytanie:

– Czy Mimmy umrze?

– Nie! Skąd takie myśli?

– Słyszałem, jak mówiła telefonowi, że umrze, po prostu umrze, po prostu umrze, jeśli wyjedziemy – odparł. Słowa „umrze, po prostu umrze, po prostu umrze” wymówił całkiem jak moja matka.

– Mimmy przeżyje nas wszystkich – powiedziałam, po czym rzuciłam Walcottowi ciche: – O ile wcześniej jej nie zabiję.

Walcott uśmiechnął się do Natty'ego i potwierdził:

– Zgadza się. Mimmy przeżyje każdego z nas i będzie szalowo wyglądać na naszych pogrzebach.

– Będziemy często odwiedzać Mimmy. Naprawdę nie umrze – obiecałam, próbując uciszyć Walcotta spojrzeniem. – Przyprowadzę ją. Niech ci sama to powie.

Zostawiłam Natty'ego z Walcottem, który – choć był dosłownie świętym – spytał Natty'ego, czy chciałby usłyszeć straszny wiersz pod tytułem *Jabberwocky*.

Poszłam do cukierkowej, bursztynowo-różowej sypialni matki. Urządzenie jej było częścią mojego portfolio w studenckim programie projektowania wnętrz. Była ultrakobieca, choć nie przesłodzona. Kremowe ściany o delikatnym odcieniu różu doskonale pasowały do jej palety barw. Mama siedziała w sypialni niczym idealnie oprawiony szlachetny kamień, chociaż teraz jej ponury nastrój nie pasował do delikatnych zasłon.

– Nieładnie, Mimmy – powiedziałam. – Bardzo nieładnie. Ściągnij wodze.

Chciałam powiedzieć więcej, ale kiedy się do mnie odwróciła, skrzywiła się, a z jej oczu popłynęły wielkie łzy. Rzuciła się do przodu i mocno mnie przytuliła.

– Tak cię przepraszam! Tak cię przepraszam!

Całkowicie rozbrojona, poklepałam ją po ramieniu i powiedziałam:

– Mamuńku... – Ten zwrot, który sama wymyśliłam, teraz prawie całkowicie przejął Natty.

– Przy Nattym to było absolutnie nie na miejscu. Absolutnie. – Mówiła rozemocjonowanym szeptem, z oczu nadal tryskały jej łzy. – Jestem okropna.

Obrzydliwa i wstrętna, ale, och, Shandi, nie mogę tego znieść. Natty zapomni o Mimmy i zbliży się do tego człowieka, tego człowieka, tego straszliwego człowieka! I, co gorsza, zapomni, kim jest!

Puściłam mimo uszu uwagę na temat taty i obiecałam:

– Nie zapomni. Nie pozwolę na to.

Usiadłyśmy obie na łóżku, mama nadal ścisnęła moje ramiona. Hardo podniosła głowę.

– Shandi, chciałabym, żebyś wzięła coś do tego mieszkania. – Zamachała ręką, wskazując na coś za moimi plecami. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam jej ulubione zdjęcie zrobione latem zeszłego roku w Myrtle Beach. Mimmy trzymała na nim Natty'ego za rękę, a wody oceanu wirowały wokół ich kostek. Powiększyła je do wielkości dwadzieścia na trzydzieści pięć centymetrów, oprawiła i powiesiła w swoim pokoju. Teraz stało na nocnym stoliku, oparte o ścianę. – Chcę, żeby o mnie pamiętał. Więcej. Chcę, żeby Nathan nigdy, przenigdy, ani na sekundę, nie zapomniał, kim jest.

– Dobrze – powiedziałam, choć nie wiedziałam, co tata sobie pomyśli, kiedy powieszę u niego ogromne zdjęcie jego byłej żony w czerwonym bikini. Wiedziałam natomiast, co pomyśli Bethany. – Pewnie będę mogła to zrobić.

– Nie. Nie „pewnie”. Obiecuj, że to zrobisz.

Westchnęłam. Natty nigdy nie spędził bez Mimmy więcej niż weekend. To zdjęcie może być mu potrzebne. Mogłabym powiesić je w jego pokoju, żeby tata nie musiał na nie patrzeć. A Bethany nigdy nie zapuszczała się poza centrum handlowe dla bogaczy w Buckhead. Gdyby jednak wpadła z jakiegoś niepojętego powodu, mogłabym je schować pod łóżko.

– Dobrze. Powieszę je.

Mimmy gorączkowo pokręciła głową.

– Musisz przysiąc. Przysięgnij na coś, co dla ciebie najświętsze, że choćby nie wiadomo co, powieszysz to zdjęcie w mieszkaniu. – Wbiła palce w moje ramię.

Przez chwilę się zastanawiałam. Wychowałam się na skrzyżowaniu dwóch religii, w samym środku wojny kulturowej, w której obie strony tak długo obrażały nawzajem swoje świętości, aż się na to uodporniłam. Niewiele rzeczy uważałam za święte.

W końcu powiedziałam:

– Przysięgam na grób mojego ukochanego psa Boscoe i wszystkie części ciała Walcotta i – nie przysięgnę na nic, co ważne w Nattym, może tylko na jego rzęsy. To moje największe świętości.

Moja matka się uśmiechnęła, w jednej chwili rozpromieniła, jej oczy zalśniły od łez, nos nie był spuchnięty od płaczu. Nawet płacząc, wyglądała ładnie.

– Dobrze – powiedziała. – Dobrze.

Wstała, otrzepała ręce, przeciągnęła się, minęła mnie i podeszła do nocnego stolika. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, co robi. Nie wzięła zdjęcia z plaży, tylko wyjęła zza niego o wiele większy prostokąt zapakowany w brązowy papier. Stał na podłodze, ale był na tyle duży, że wystawał nad stolikiem.

– Już Go zapakowałam.

Na podstawie wielkości i kształtu oczywiście domyśliłam się, co znajduje się pod papierem. Zdjęcie z plaży w Myrtle Beach służyło jedynie za przykrywkę zasłaniającą to, co naprawdę miałam powiesić w domu taty. I wcale nie była zła. Powinnam była się tego domyślić, kiedy nie połknęła jedzenia, ale przeoczyłam ten znak. Cholera, dobra była. Trzymała Dłonie Jezusa złożone do modlitwy, obraz, który, odkąd pamiętam, wisiał nad kanapą w salonie. O rany, ale mnie wrobiła.

Otarła ostatnie łzy i oznajmiła z uśmiechem:

– Zdjęłam ze ściany też to zdjęcie z Nattym. Spytał, czy może je wziąć.

Powiedziawszy to, wzięła obraz i zdjęcie i wyszła z pokoju, niemalże podskakując z uciechy, by obciążyć mój bagaż Jezusem i sobą.

*

Po lunchu Mimmy musiała pojechać do pracy. Była właścicielką cukierni Olde Timey Fudge Shoppe w sąsiedniej górskiej wiosce otoczonej domkami do wynajęcia i letnimi daczami. W tamtejszym uroczym centrum znajdowała się księgarnia z literaturą niezależną, kilka targów z „antykami”, lokale z salami do degustacji wina i pół tuzina restauracji z kuchnią Południa. Mimmy ze smutkiem poszła do samochodu. W uniformie koloru sorbetu przewiązanym w talii kokardą wyglądała ładniej niż wszystkie licealistki i studentki, które u niej

pracowały. Do ostatniego tygodnia byłam jedną z nich.

Kiedy już ze sto razy uściskała Natty'ego i wymogła na mnie z tysiąc obietnic rychłych odwiedzin, pojechała, by nalewać czekoladę na gorąco, której sama nigdy nie spróbowała. Walcott i ja skończyliśmy pakowanie i wyruszyliśmy.

Do mieszkania w mieście jechało się pełną drogą, po obu jej stronach rozpościerały się łany kudzu. Podróż trwała niespełna dwie godziny, wliczając w to objazd do Stately Manor Bethany, żeby odebrać klucze. Mimo wszystko Lodówka nie zaprosiła nas na koszerne racuszki i serdeczną pogawędkę. Wydawało mi się, że rozpakujemy się i wprowadzimy jeszcze przed zachodem słońca. Jak długo może trwać przeprowadzka, kiedy wszystko, co posiadasz, łącznie z trzyletnim synem i najlepszym przyjacielem, który wystawił boscie stopy przez boczne okno, mieści się w volkswagenie garbusie?

Przez jakiś czas śpiewaliśmy, a potem opowiadałam Natty'emu bajki. Natty uwielbiał legendę o drwalu Paulu Bunyane i jego niebieskim wole Babe. Od Walcotta nauczyłam się faszerować te opowiadania sprośnymi podtekstami. Kiedy już nam się znudziły, Walcott zaczął recytować wiersze, aż doszedł do Emily Dickinson i przeraził Natty'ego na śmierć trupami, które słyszały bzyczenie much, i Śmiercią od dużej Ś, która wsiadła do pojazdu. Zostawiliśmy więc poezję, Walcott podpiął do głośników swojego iPod'a i puścił playlistę Natty'ego pełną utworów grupy They Might Be Giants, a mój samochód pokonywał kolejne kilometry. Właśnie słuchaliśmy fragmentu *Mammal*, kiedy zauważyłam, że milczenie Natty'ego zmieniło swoją jakość.

– Wszystko w porządku, synku? – spytałam, zerkając w lusterko wsteczne. Jego skóra wyglądała jak mleko, które zaczynało się psuć.

– Tak – odparł, ale po chwili dodał: – Trochę mnie łaskocze w gardle.

Rzuciłam Walcottowi spanikowane spojrzenie. Oboje wiedzieliśmy, że „łaskocze mnie w gardle” po Natty'owemu oznacza „za pół minuty się porzygam”. Mieliśmy do pokonania ostatnie kilometry odludzia i pół kudzu. Za dziesięć minut zamienimy jedną starą stację benzynową Shella na świątynię fast foodów. Jeszcze kilka zjazdów i dojedziemy do Starbucksa i oficjalnie znajdziemy się na bogatych przedmieściach północnej Atlanty.

Ale tymczasem nie miałam możliwości znalezienia Natty'emu bezpiecznego miejsca do wymiotowania. Pod jego stopami stały kosze na pranie załadowane

większością zabawek, a na myśl o czyszczeniu z wymiocin wszystkich tych matchboxów i figurek z *Gwiezdnych wojen* sama poczułam mdłości. Na miejscu dla pasażera leżał stos naszych ubrań z szafy. Walcott zaczął gorączkowo szukać jakiejś torebki, a ja opuściłam szyby we wszystkich oknach i przyśpieszyłam. Lepsza matka z pewnością wiedziałaby, że to tylko przestraszy Natty'ego. Kiedy coś go zaniepokoiło, dostawał choroby lokomocyjnej.

Litościwie pojawił się zjazd, ryknęłam: „Trzymaj się, synku!”, i poszusowaliśmy w dół. Zjazd prowadził do dwupasmowej szosy z opuszczonym barem sieci Hardee's z oknami zabitymi deskami po jednej stronie i marketem Circle K po drugiej. Skręciłam na parking przed Hardee's i zatrzymałam się. Walcott wcisnął górną połowę ciała między przednie fotele i uwolnił Natty'ego z pasów bezpieczeństwa, a ja wyskoczyłam i przesunęłam fotel kierowcy do przodu. Natty wychylił się i oddał lunch, na szczęście na asfalt.

– Dobra robota, Natty. – Walcott zapiął z zachwytu i poklepał go po plecach, a ja zaczęłam szukać w torebce chusteczek. – Bingo! Strzał w dziesiątkę!

Kiedy Natty przestał wymiotować, podałam Walcottowi chusteczki i powiedziałam:

– Wszyscy wysiadać!

Walcott wyniósł Natty'ego z samochodu, wytarł mu twarz i zaniósł go pustą drogą na parking Circle K. Przystawiłam samochód na drugą stronę drogi. Walcott postawił Natty'ego i zaczęliśmy spacerować na słońcu. Kilka minut później chwiejny krok Natty'ego zmienił się w marszowy krok szturmowca. Zaczął nucić muzykę towarzyszącą pierwszemu pojawieniu się na ekranie Dartha Vadera, a Walcott i ja oparliśmy się o samochód i mu się przyglądaliśmy.

Zastanawiałam się, czy możemy już zaryzykować i ruszyć dalej, kiedy pod stację benzynową podjechał zielony ford explorer. Facet, który z niego wysiadł, przyciągnął moją uwagę. Trudno było nie zauważyć potężnego mężczyzny o umięśnionych ramionach, z włosami koloru piasku, liczącego około metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, z wypukłą klatką piersiową jak u lwa. Był po trzydziestce i jak na człowieka o tak jasnych włosach był bardzo opalony. Podniszczone stare robocze buty i znoszone niebieskie dżinsy podkreślały jego zgrabną sylwetkę. Nie mogłam oderwać od niego oczu.

Walcott powiedział cicho, tylko do mnie:

– Znowu się oglądasz za starymi dziadami.

Przyłapaną na gorącym uczynku, zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok. Walcott lubił się ze mnie nabijać, bo mój pierwszy prawdziwy chłopak po tym, jak urodziłam Natty'ego, miał trzydzieści pięć lat. Następny zaś, ten, z którym przestałam się spotykać kilka miesięcy temu, aż trzydzieści dziewięć.

Facet z explorera skończył tankować benzynę i wszedł do marketu. Z trudem się powstrzymywałam, żeby się na niego nie gapić. Walcott z rozbawieniem pokręcił głową.

– Zachowujesz się jak podstarzała kobieta podrywająca ładnych chłopaczków. Tylko wiek się nie zgadza.

– Już wychowuję jednego chłopaczka. Drugi mi niepotrzebny – odparłam wyniośle, akurat wtedy, kiedy Natty przechodził obok nas.

– Chciałbym braciszka – powiedział.

Walcott się roześmiał, a ja lekko stuknęłam go pięścią.

– Może później – odpowiadałam Natty'emu. Jego skóra już straciła niezdrowy odcień psującego się mleka, ale nadal nie wyglądał kwitnąco. Wyjęłam kartę do bankomatu i zwróciłam się do Walcotta: – Mógłbyś zatankować? Pójdę z Mr. Bumppo po piwo korzenne.

Walcott machnął ręką.

– Ja zapłacę. Weźmiesz dla mnie Dr Peppera?

Rzuciłam mu kluczyki i poszliśmy z Nattym do marketu. Kiedy otwieraliśmy drzwi, rozległ się dźwięk dzwoneczków. Ktoś ozdobił je sznurem dzwoneczków na Boże Narodzenie i jeszcze ich nie zdjął.

Seksowny facet w średnim wieku stał kompletnie nieruchomo w drugim przejściu, z dłońmi zaciśniętymi przed sobą. Górował nad półkami, odwrócony w naszą stronę. Kiedy zrobiliśmy kilka kroków do przodu, zobaczyłam na półce dziwaczny mieszmasz olejów silnikowych, pieluch i odświeżaczy powietrza. Mężczyzna stał przed jakimś drogim proszkiem do prania, wpatrując się w pudełko takim wzrokiem, jakby znajdowała się na nim tajemnica wszechświata, opisana jednak hieroglifami.

Natty przystanął i potarł oczy. W porównaniu z jasnym światłem na zewnątrz wewnątrz wydawało się przyćmione. Przyłapałam się na tym, że gapię się na tego faceta z taką intensywnością, z jaką on wpatrywał się w pudełko proszku, on

jednak nawet mnie nie zauważył. Kiedy Natty był ze mną, stawałam się niewidzialna dla studentów, ale mężczyźni w wieku tego tutaj nadal się za mną oglądali. Kurczę, pewnie sam miał jedno czy dwoje dzieci. Co prawda nie można mnie było uznać za skończoną piękność, jak moją mamę, ale w czerwono-żółtej letniej krótkiej sukience, której dół wirował przy każdym ruchu, wyglądałam na tyle ładnie, że mógł chociaż na mnie zerknąć.

Tym bardziej że najwyraźniej był singlem. Od niedawna. Wszystko o tym świadczyło: włosy w nieładzie, czytanie napisów na proszkach do prania. Próbował się dowiedzieć, jak już nigdy więcej się nie ożenić. Rozwodnik kontra pranie. Walcott mówił, że zaczynam trochę za dobrze się znać na tym syndromie.

Kiedy go mijaliśmy, spojrzałam na jego palec serdeczny w poszukiwaniu wiele mówiącego paska jaśniejszej skóry. Bingo. Do tego szerokie bary, bruzdy od trosk na czole, szerokie usta, z powagą ściągnięte brwi – mój typ we wszystkich apetycznych szczegółach.

Gdybym była sama, zbliżyłabym się do niego i zrobiła swoją popisową sztuczkę: założyłabym długie włosy za ucho i błysnęłabym w uśmiechu zębami, za których wyprostowanie tata zapłacił kilka tysięcy dolarów. Gdyby się okazało, że ma ładny głos, może poszłabym do niego, wprowadziła w tajniki płynów zmiękczających do tkanin i może pozwoliłabym mu dojść do drugiej bazy w świeżo zmiękczonej pościeli. Kiedy patrzyłam na jego sylwetkę futbolisty, wyobraziłam sobie, jak by to było leżeć pod tym mężczyzną, przygwożdżona do świeżo pachnącego prześcieradła przez wspaniałego boga Thora, i poczułam przyprawiające o zawroty głowy pulsowanie w podbrzuszu.

Zaskoczyło mnie to. Uświadomiłam sobie, że się uśmiecham. Seks jeszcze nie za bardzo mnie pociągał. Kiedy jednak patrzyłam na tego mężczyznę, wiedziałam, że moje ciało go pragnęło. Chyba. Prawdopodobnie. Do tej pory uprawiałam seks dopiero z dwoma mężczyznami. No, może z dwoma i pół, bo rok po urodzeniu Natty'ego straciłam dziewictwo z Walcottem, ale tego nie liczyłam. Po prostu wyświadczył mi przysługę. Nawet się nie całowaliśmy.

Natty pociągnął mnie za rękę. Minęliśmy przystojniaka i ruszyliśmy w stronę działu ze słodyczami. Nie było z nami Walcotta, który by mnie skarcił, więc mijając Thora, przez ułamek sekundy spojrzałam na jego tyłek. Jedenaście

punktów w skali do dziesięciu. Niestety musiałam iść dalej, bo był ze mną Natty, co oznaczało, że żaden mężczyzna na świecie nie mógł liczyć na jedno czy dwa spojrzenia. Nawet nordyckie bóstwo. Takie zasady.

Natty przystanął w dziale ze słodyczami i powiedział poważnym głosem:

– Mają ciastka Sno Balls.

– Interesujące. – Wzdrygnęłam się na myśl o tym, jak Natty wymiotuje nuklearną tęczą na tylne siedzenie mojego samochodu. – A wiesz, co jest jeszcze bardziej interesujące? Mają piwo korzenne. – Słowo „korzenne” wypowiedziałam takim tonem, jakim Mimmy mówiła „Jezus”, cała przejęta, z ekstazą przeciągając samogłoski.

– To nie jest interesujące – zaprzeczył Natty, pozwolił jednak odholować się od ciastek z takim samym pełnym pogody ducha rozczarowaniem, z jakim ja pozwoliłam, by mnie odholował od przystojniaka.

Lodówki w głębi sklepu były pełne dziwnych dietetycznych napojów, gatorade i frappucino, wszystkie ze sobą przemieszane. Dietetyczna cola stała obok energetyzującego mleka, sok pomarańczowy ukrywał się za sprite'em. Kiedy szukałam piwa korzennego, Natty wysunął dłoń z mojej dłoni, wyjął z kieszeni samolocik z formacji Blue Angels i zaczął przesuwac nim w powietrzu.

– Czy jest piwo korzenne? – zawołałam przez cały sklep do chuderlawej postaci z włosami ufarbowanymi henną stojącej za ladą.

– Co pszenne? – odkrzyknęła. Zbliżyliśmy się do Atlanty, ale mówiła z bardzo silnym górskim akcentem z Georgii.

– Piwo korzenne! – Odwróciłam się, żeby mnie usłyszała.

– Tylko dwa litry. I nie z lodówki.

Pokręciłam głową i otworzyłam lodówkę, żeby wziąć dla Natty'ego sprite'a, chociaż nie wierzyłam, że zadziała przeciwwymiotnie. Mimmy wpoila mi przekonanie, że piwo korzenne i krem na noc Mary Kay wyleczą wszystko oprócz raka.

Złapałam też dwa Dr Peppery dla Walcotta i siebie. Natty poszybował ze swoim samolocikiem do cynowej wanny pełnej lodu, a kiedy go mijalam w drodze do kasy, zobaczyłam, że wanna jest pełna zielonych butelek z coca-colą. Na tabliczce widniała cena: dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Kiedyś tylko mieszkańcy prowincji pamiętali, że cola z zielonej butelki smakuje lepiej niż

w innym opakowaniu, ale ostatnio i hipsterzy z wielkich miast zapalali do niej uczuciem. W granicach miasta butelka kosztowała dwa-trzy dolary.

Gdybym wzięła tego przekłętego Dr Peppera, Natty i ja wyszlibyśmy spokojnie, ale mnie się zachciało coli w zielonej butelce. Chwyciłam jedną i powiedziałam:

– Poczekaj sekundkę, Natty Bumpo.

Został przy wannie, tuż nad lodem bawiąc się samolocikiem, a ja poszłam odłożyć jednego Dr Peppera do lodówki. Stał w widocznym miejscu, więc zostawiłam go tam i poszłam zapłacić przy kasie.

Dziewczyna za ladą z rozdziawionymi ustami patrzyła, jak podchodzę. Miała duże cycki, kołyszące się swobodnie pod obcisłym topem z włóczki z tak dużym dekoltem, że zobaczyłam kanarka Tweety wytatuowanego na jej prawej piersi. Jej ostrzyżone na pazia włosy ufarbowane na purpurowo były rozdwojone na końcach, a kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że jej przednie zęby są ułamane i zostały z nich ostro zakończone pieńki.

– To wszystko? – spytała.

– Tak. – Trudno mi było nie patrzeć na jej zęby. Zaczęła podliczać moje zakupy.

W tej chwili zabrzęczały wesole dzwoneczki przy drzwiach. Ten dziwny świąteczny odgłos pod koniec lata był tak nieoczekiwany, że podniosłam wzrok, chociaż wiedziałam, że dzwoneczki tam wiszą.

Spojrzałam na drzwi, przez które wchodził niski, przysadzisty facet z szeroką bladą twarzą i szerokim nosem. Czapkę baseballową głęboko naciągnął na oczy. Nagle mój wzrok znieruchomiał. Cała zastygłam, coś nagle się zmieniło, bo kiedy drzwi zamknęły się za nim z brzęczeniem dzwoneczków, podniósł rękę, a ja zobaczyłam lufę srebrnego rewolweru, bardzo starego i zardzewiałego.

Nagle facet trzymający broń stał się jedynie niewyraźną postacią. Widziałam tylko światło jarzeniówek odbijające się od srebrnej lufy, słyszałam głos mówiący z wiejskim akcentem:

– Na ziemię! Na ziemię, bo was powystrzelam.

Jego głos był niski i ochryply, brzmiał tak, jakby facet specjalnie nadał mu taką barwę, ale wołał głośno i wierzyłam mu. Wierzyłam, że może to zrobić.

– Na ziemię!

Nie mogłam się ruszyć. Moje kończyny nie chciały zgiąć się w stawach i ułożyć ciała na podłodze. Stałam przy kasie, najbliżej rewolwerowca. Za mną był wysoki facet w dziale z proszkami do prania, a jeszcze dalej, malutki i samotny na linii strzału z broni, którą napastnik machał na wszystkie strony, stał Natty. Nadal bawił się samolocikiem zaciśniętym w dłoni.

Poczułam, że kręcę głową. Nie.

Broń, zardzewiała od gniewu i złych intencji, naładowana i spoczywająca w ludzkiej dłoni, znalazła się w tym samym pomieszczeniu, gdzie Natty w czapce pilotce przesunął samolocik Blue Angels nad wanną z lodem i colą. Natty spojrzął na rewolwer oczami tak okrągłymi, że pod firanką gęstych, absurdalnie długich rzęs wyglądały jak polne stokrotki. Rewolwer odwzajemnił jego spojrzenie.

To nie w porządku. Tak nie wolno. Ochrypli głos ponownie kazał nam wszystkim położyć się na ziemi, ale ja nie mogłam tego zrobić. Pod lśniącym spojrzeniem rewolweru nie byłam zdolna się ruszyć ani nawet oddychać w pomieszczeniu, gdzie Natty stał daleko, tak daleko ode mnie, zbyt daleko, bym mogła go dopaść szybciej niż pocisk. Natty pobielającymi palcami jeszcze mocniej ścisnął plastikowy samolocik.

Wtedy facet od proszków do prania ruszył się. Zrobił tylko parę kroków. Właściwie półtora kroku. Jak na tak wysokiego i potężnego mężczyznę było to dosłownie drgnięcie, ale dla mnie zmieniło całe życie pod tysiącem różnych względów.

Nie był to ruch zagrażający. Mężczyzna przesunął się równolegle do rewolweru, z rękoma uniesionymi i nieco wystawionymi do przodu w geście poddania się. Potem przykucnął i usiadł po turecku, którą to pozycję Natty nazywał „łamańcem”. Dłonie położył płasko na ziemi, wyprostował plecy.

Ten płynny półkrok umieścił jego potężne ciało między czarnym, nieruchomym okiem rewolweru a wszystkim, co się dla mnie liczyło na tym świecie.

I już. Wtedy to się wydarzyło. Padłam na ziemię i całą sobą zakochałam się, szybciej niż potrafiłam się poruszać, intensywniej niż zwykle zadurzenie, zakochałam się mocno, głęboko, rozpaczliwie. Leżałam płasko na brudnej, zimnej podłodze marketu Circle K, ale moje serce wciąż spadało, spadało ku

płynnemu jądru ziemi, aż wybuchło płomiennym, absolutnym, idealnym uczuciem do jasnowłosego olbrzyma, który stanął między moim dzieckiem a kulami. Zakochałam się, jeszcze zanim nasze spojrzenia się skrzyżowały, jeszcze zanim poznałam jego imię.

2

William Ashe wpatruje się w proszki do prania. W pracy przez cały ranek ignorował niepokój, który coraz bardziej ogarniał całe jego ciało. Szczęki same mu się zaciskały. Dłonie nie chciały się rozluźnić. Wcześniej wyszedł z laboratorium i skierował się ku górcom, żeby poprzez wspinaczkę rozładować napięcie. Teraz jednak zatrzymał go produkt do czyszczenia. Proszek paraliżuje jego ciało, ale kręgosłup w nim drży i rezonuje. Wewnętrzne, przyprawiające o ból zębów wibracje nerwów nie mają końca. Tymczasem proszek do prania leży sobie w pospolitym kartonowym pudełku, nieświadom tego, że William walczy z pragnieniem, by zmieść wszystko z półki. Ma ochotę rozerwać pudełko i podeptać proszek, aż poczernieje i rozsypie się na wszystkie strony, zniszczony i bezużyteczny.

William głęboko wciąga powietrze. Tylko mu się wydaje, że ten proszek to przewrotny czynnik jakiegoś mrocznego przeznaczenia. To nieprawda. To tylko proszek.

William Ashe nie wierzy w przeznaczenie. Samo to słowo uważa za taki skrót myślowy, jakiego ludzie używają, gdy chcą nadać przypadkowym zdarzeniom mistyczne znaczenie lub uzewnętrznić rezultaty ich świadomych decyzji.

Jego ogromny wysportowany ojciec powtarzał, że przeznaczeniem Williama jest gra w futbol. W istocie chodziło mu o to, że William był dobrze zbudowanym chłopcem z doskonałą koordynacją wzrokowo-manualną. Matka, która znajdowała się na dokładnie przeciwnym biegunie, upierała się, że przeznaczeniem Williama jest rozwiązanie zagadek wszechświata. William odziedziczył zdolności po jej ojcu, który był fizykiem. Dorastał, rozdarty między tymi dwoma przeznaczeniami, co do których oboje rodzice mieli niezachwiane przekonanie. Jeszcze zanim stał się nastolatkiem, od nieustannego marszczenia brwi na jego czole pojawiły się dwie pionowe bruzdy, które matka

nazywała „rogami stresu”.

Aż któregoś dnia zobaczył Bridget i wybrał własne przeznaczenie. Wybrał ją.

Był w pierwszej klasie liceum. Bridget wrywała stare floksy na zielonym terenie, który wszystkie dzieciaki z Morningside nazywały „Śniętym Parkiem”. W Morningside pełno było małych parków i rezerwatów przyrody, ale w tym, nieopodal domu Williama, rosło bardzo niewiele drzew i brakowało tam placu zabaw. Był to zaledwie skrawek brązowej trawy z kilkoma rabatkami i zapadającymi się drewnianymi ławkami.

Bridget, nowa dziewczyna w tej okolicy, klęczała. Jej kucyk i wierzchołki trójkąta prostokątnego jej małych piersi kołysały się miarowo. Chodziło nie tylko o to, jak słońce kładło miedziany połysk na jej włosach, kiedy rwała kwiatki. Chodziło nie tylko o geometrię jej ciała, która wydała się Williamowi idealna: zarys jej wąskiej talii rozszerzał się, przechodząc w biodra stworzone wyłącznie dla niego. Chodziło o coś więcej. Chociaż, prawdę mówiąc, te rzeczy też się liczyły. I to bardzo.

W okresie dojrzewania zaczął zwracać uwagę na przyjemne dziewczęce kształty, wysokie, delikatne głosy, oszałamiające zapachy. W pozbawionym dziewcząt domu rozbudował swój stary zestaw małego chemika. Wszystkie pieniądze, które dostał na urodziny i na Gwiazdkę, wydał na stworzenie laboratorium, w którym duża część substancji była zapewne nielegalna. W internecie znalazł program zajęć laboratoryjnych na wydziale chemii college’u Dartmouth i sam go przerobił. Kiedy własne laboratorium przestało mu wystarczać, dzięki koneksjom ojca zdobył dostęp do laboratoriów na uniwersytecie Emory. Rok wcześniej udało mu się ostatecznie wytepić w domu mrówki faraona, nie trując przy tym psa. Nie obyło się bez strat: William wymiotował potem przez trzy dni z rzędu. Rodzice przestali go zachęcać do rozwoju w tym kierunku, ale kiedy kursy internetowe okazały się już niewystarczające, większość eksperymentów zaczął przeprowadzać według własnych wzorów. Fakt, że dostał własne stoisko na Stanowych Targach Nauki, był z góry przesądzony. Ale w szkole? Cheerleaderka w krótkiej spódniczce mijająca jego stół w laboratorium potrafiła zniweczyć próbę wyprodukowania zwykłego kryształu bizmutu.

W drugiej klasie dostał się do reprezentacji szkoły, co ułatwiło mu dostęp do

dziewcząt. Był zdumiony tym, jak zwykły akt pompowania uspokajał jego rozpalone ciało i na kilka godzin przywracał jasność myślenia. Seks okazał się bardzo przydatny.

Ale nie tylko dziewczęce kształty Bridget, spoconej i w brudnych szortach, zwróciły jego uwagę. Klęczała na piaszczysto-ilastej ziemi i rzucała zwiędłe, stare floksy na stertę za sobą. Nuciała pod nosem, z pogodnym zdecydowaniem pielęgnując rabatkę, co absolutnie nie należało do jej obowiązków ani przywilejów. William zauważył, że nieopodal stoi wiadro pełne bulw tulipanów, płaskie pudło z rudbekiami i kwiatami cykorii, maszt z kutego żelaza z haczykiem i świeżo pomalowany karmnik dla ptaków. Bridget bez niczyjej zgody naprawiała Śnięty Park, całymi garściami wrywała stare floksy. Nuciała i rozsmarowywała brud po twarzy, ocierając pot.

Rozpoznał ją.

Była olśniewającym odzwierciedleniem jego samego, kiedy w laboratorium przeprowadzał niedozwolony eksperyment, krok po kroku, aż osiągnął oczekiwany łańcuch reakcji, nie wysadzając przy tym nikogo w powietrze. Była... Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa, ale w końcu mu się to udało. Kompletna. Była kompletna. Kiedy jej się przyglądał, jego ciało i umysł przeszły prąd, bo nagle uświadomił sobie: To ta. Tam.

Poczuł rozluźnienie we wszystkich komórkach, które zarządzały jego ciałem. Jedynym przeznaczeniem, jakiego potrzebował, było mordowanie starych floksów i noszenie tramppek firmy Converse. Jego brwi natychmiast przestały się schodzić ku sobie i wróciły na normalne miejsce. Było to przyjemne, odprężające uczucie, choć nieco bolesne, jak pieczenie w udach po szybkim biegu.

Wtedy zrozumiał, czym dla jego rodziców było przeznaczenie: pragnęli konkretnej rzeczy i nie ustępowali w wysiłkach, dopóki jej nie zdobyli.

Dzięki tej świadomości poczuł, że znalazł się na właściwej drodze, która jednak była trudna do pokonania. Ta jedna konkretna dziewczyna stanowiła podzbiór wszystkich dziewczyn, a żadna z dziewczyn go nie lubiła. Był dziwny. Wszystkie mu to mówiły. Nawet te, z którymi uprawiał seks, zwykle w tajemnicy przed innymi. Nie były jego dziewczynami. Nawet Paula mu to powiedziała, a przecież była jego przyjaciółką.

Z drugiej strony, od roku z kawałkiem wszystkie dziewczyny lubiły na niego

patrzyć. Miękkie poduszcзки tłuszczu na jego biodrach i brzuchu zniknęły, a ramiona się rozrosły, aż jego sylwetka zaczęła przypominać trójkąt z umięśnionego ciała. Dzięki temu dziewczyny zapomniały, że w gimnazjum nazywały go „mózgowcem”. Teraz zwracały się do niego przeważnie po imieniu.

Zrezygnował z ulgi, jaką mu przynosiło zasłanianie ust bąbelkami śliny. Żadnej dziewczynie się to nie podobało. Zamiast tego zaczął nosić w ustach jednocentową monetę. Lubił słodkawy smak miedzi na języku. W szkole średniej czasami płakał i walił pięściami w ściany lub twarze albo brzuchy kolegów z klasy. Futbol pomógł mu z tym skończyć. Jego terapeuta uszczęśliwił jego ojca, sugerując, że sporty kontaktowe to świetny sposób na rozładowanie stresu, chociaż William nie widział u siebie żadnych powodów do stresu. Miał doskonałe oceny. Nauczył się jednak oszczędzać wewnętrzne pulsowanie i kołysanie dla futbolu i teraz agresja, która w nim narastała, była przyjemna i przyjemne było rozładowywanie jej poprzez taranowanie swoim ciałem ciała innych zawodników. Często wygrywał, a jego symetryczna twarz podobała się wszystkim dziewczętom, więc czasami resztę energii udawało mu się rozładować w seksie.

A potem zobaczył Bridget, podzbiór, który miał znaczenie, jakiego nie miały inne dziewczyny, i zapragnął jej.

Nadal jej pragnie. Unieruchamia swoje pełne gniewu ciało w markecie Circle K, gapi się na proszek do prania, jakiego ona używała, słyszy, jak mówi: „Pachnie zielenią”. Sam teraz używa proszku Arm&Hammer, który pachnie nijaką czystością. Zapach nijakości to kolejny sposób na to, żeby nigdy nie słyszeć w głowie jej głosu. Przeżył pięć bardzo złych miesięcy zewnętrznej ciszy, po których musiał wypychać z głowy głos Bridget, który wciąż słyszał, pozbywać się go całkowicie, wypędzić na zawsze. Nie istniała w jego myślach już od siedmiu miesięcy.

Aż do tej chwili, co miało sens pod względem matematycznym. Nie zauważył tego wcześniej, bo nie jest dobry w śledzeniu upływu czasu. Kiedy pracuje w laboratorium, tak bardzo zagłębia się w naturę helisy, odszyfrowuje tajemny język wirusowego RNA, że nagle uświadamia sobie, iż jego ciało zgłodniało i pilnie potrzebuje skorzystać z toalety. Ale siedem miesięcy plus pięć równa się dwanaście, a dwanaście miesięcy to rok.

Akurat dzisiaj minął rok.

Zeszłego wieczora znowu przyszedł do niego ojciec Lewis, po raz pierwszy od tygodni. William go nie wpuścił.

Spojrzał na niego obojętnie i stwierdził: „Nie mam ochoty na towarzystwo”, chociaż była u niego Paula, siedziała na widoku na kanapie i czytała akta sprawy.

Paula doradziła mu, żeby tak mówił, bo ostatnio William nie toleruje w domu obecności osób, które nie są nią. Ta uprzejma odmowa powinna zniechęcić księdza, ale ojciec Lewis spojrzał na Williama wilgotnymi oczami i powiedział: „Williamie, rocznice są trudne. Otwierają rany, które pozornie się zabiły, znowu je rozorują”.

Teraz William wiąże te słowa z dzisiejszą datą i uświadamia sobie, że nie była to tylko luźno rzucona uwaga, ale coś bardzo osobistego. Z drugiej strony jednak przez ostatni rok ojciec Lewis często pojawiał się na werandzie i mówił rzeczy, z których większość nie miała żadnego znaczenia.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić, jeśli będziesz chciał pogadać – ciągnął ksiądz. – Rozumiem twój gniew na Boga. – Ale William gniewa się na Boga mniej więcej tak samo jak na jednorożce. Żadne z nich nie było obecne przy wypadku.

Policjanci przyszli, żeby go poinformować, co się stało, on jednak nie mógł przetworzyć ich słów. Nie były to słowa, które chciałby usłyszeć. Kiedy w końcu pojął ich znaczenie, przetłumaczył je sobie tak: samochód Bridget już nie ma tylnego siedzenia, a na tylnym siedzeniu, przypięta pasami do fotelika, siedziała Twyla. Dlatego teraz nie ma i Twyli. Czysta fizyka. Nie ma potrzeby wykraczania poza ten prosty fakt, poza sposób stwierdzenia go. Kiedy było tylne siedzenie, była i Twyla. Teraz jej nie ma.

Większość jego życia dzieliła się równo na przedtem i teraz i ta linia podziału nie pozwalała Williamowi otworzyć drzwi na tyle szeroko, żeby wpuścić księdza czy gniew na jakieś bóstwo Bridget. Przedtem religijność była ważna dla jego żony. Teraz ojciec Lewis nie był ważny.

William zamknął drzwi i z powrotem usiadł obok Pauli.

– Potrzebujesz trochę przestrzeni, Bubba? – spytała.

– Co mógłbym w niej robić? – Celowo potraktował jej słowa zbyt dosłownie.

Zaśmiała się i położyła na jego kolanach swoje długie, miedzianobrazowe

nogi.

– No to już nie masz żadnej przestrzeni.

Paula, z którą przyjaźnił się od czasów liceum, to jedna z niewielu rzeczy z okresu przedtem, które przywędrowały z nim do teraz. W okresie przedtem odegrała rolę obojga świadków na jego ślubie z Bridget. W każdy czwartek grali w bilard, a w soboty Paula zawsze przychodziła na brunch, zwykle z facetem, który zabiegał o jej względy. Bridget zapamiętywała imiona tych facetów, ale William do wszystkich mówił „kolego”, bo każdy kolejny miał inną pracę, inny kolor skóry czy inny samochód, ale zawsze był po prostu facetem.

Teraz Paula zastępuje mu rodzinę. Jej obecność nigdy mu nie przeszkadza.

Nie przeszkadza mu też sprzątaczką. Ona – albo one – sprząta w domu, kiedy William jest w pracy. Przy tak ograniczonej liczbie osób dom zawsze pozostaje czysty, a powietrze w środku jest chłodne i rzadko używane, bogate w tlen. William nie gniewa się na wymyślonego Boga Bridget w jego cichym domu.

Gniewam się tylko na Bridget – myśli teraz. Patrzy na pudełko proszku do prania i uświadamia sobie, że rocznica, ta, która według ojca Lewisa może otworzyć stare rany, dopadła go właśnie teraz, w tej chwili. Jest mu ciężko, tak jak go ostrzegano. Czuje jednocześnie rozpaczliwy ból i gniew. Przedtem po prostu o tym nie wiedział, bo nie było Bridget, która mogłaby mu to wyjaśnić.

W dzieciństwie czasami coś w nim narastało, coś ogromnego, nienazwanego. Napierało mocno na jego skórę, aż stawała się cienka. Szlochał wtedy gwałtownie, co brzmiało jak pełne gniewu szczeknięcia. Dzieci mówiły, że szczeka jak foka, i śmiały się z niego. Potem uderzał w różne rzeczy: ściany, drzewa, dzieci, własne uda, robił wszystko, żeby ten puchnący balon pękł albo oklapł. W końcu robił się czerwony na twarzy i spocony i po raz kolejny zawieszano go w prawach ucznia. Teraz wie, że to zawsze jego stara przyjaciółka chemia wyprawiała różne rzeczy z jego mózgiem, każąc mu coś poczuć. Teraz pomaga mu, kiedy William umie nazwać to uczucie. Wtedy staje się jego właścicielem i potrafi szybciej się go pozbyć.

I teraz je nazywa, by móc je opanować, zanim ono zapanuje nad nim. „Gniewam się na Bridget”.

Nie dlatego, że prowadziła samochód. Miała tylko zawieźć ich dziecko do przedszkola przy kościele Świętego Tomasza. Auto Bridget było solidnym

obiektem istniejącym w czasie i przestrzeni. Hamulce półfurgonetki zawiodły, więc jechała dalej, aż znalazła się w tej samej przestrzeni i w tym samym czasie. Coś musiało ustąpić. Nie mógł winić Bridget za to, że jej samochód zachował się zgodnie z prawami fizyki.

Był zły z powodu tego, co Bridget zrobiła potem.

I jest zły z powodu proszku. Ostatnio sypia sam w łóżku, które pachnie nijaką czystością. Jest zły, bo zna to pudełko, pamięta zielony zapach unoszący się z pościeli, w której tak wiele razy leżeli spleceni w uścisku i spełnieni, w której co rano się budzili i w której kiedyś zrobili Twylę. Bridget nie powinna istnieć w jego umyśle jako fizyczna obecność. William nie może zignorować widoku jej ciała, bladego i miękkiego, głębokiego wcięcia w talii tak pasującego do jego dłoni. Konstelacji Oriona odzwierciedlonej na piegach na jej lewym ramieniu. Mięśni jej wysportowanych łydek. Nie chce myśleć o tym ciele, tak osobistym i idealnym dla niego, powykręcany w tak samo zniekształconym samochodzie. Strażacy musieli użyć kleszczy, żeby ją wydostać.

Kiedy ją uwolnili, zobaczyła. Zobaczyła miejsce, gdzie wcześniej znajdowało się tylne siedzenie.

William nie wierzy w życie po śmierci. Ludzie się rozmnażają, przekazują potomstwu swoje cechy genetyczne, a potem umierają. Kiedy wyciągnęli Bridget, zobaczyła brak Twyli. Wierzyła w Chrystusa, zmartwychwstanie, w niebo jako fizyczne miejsce. Nie mogła pozwolić, by Twyla odeszła sama. Całkowicie należała do Boga, jeszcze zanim całą siebie oddała Williamowi, i w tamtej chwili pozwoliła, by Bóg ją zabrał z powrotem.

Tyle William rozumie. Wspomnienia wypychają fale substancji chemicznych do jego czerwonej krwi. Ledwie się powstrzymuje, by nie wyrwać sobie oczu, nie przebić pięściami ścian. Cofa swoje myśli o trzydzieści sekund. Nie ma powodu, by sobie na to pozwalać. Już od miesięcy nie pozwalał sobie przywołać w myślach choćby jej imienia. Musi przestać patrzeć na proszek i wspominać. Musi przestać teraz, przy następnym oddechu, bo William nie może wybaczyć niczego, co wydarzyło się po tym, kiedy serce Bridget przestało bić. Ani jednej minuty, ani jednego okresu życia.

Wtedy słyszy świąteczne dzwoneczki, wesoly dźwięk zakłócający spokój, nieprzyjemnie zgrzytający w uszach. Pomaga on Williamowi oderwać wzrok od

pudełka proszku. Widzi młodego mężczyznę, który wszedł do marketu. Jest podenerwowany i blady, trzyma broń. Macha nią na wszystkie strony, wrzeszcząc, żeby wszyscy położyli się na podłodze. To zadziwiające.

William nie ma w zwyczaju najpierw się oglądać, żeby zobaczyć, co robią inni ludzie. Robi to z powodu Bridget, której imię nie tak łatwo daje się wygnać z jego myśli. Bridget chciała, żeby ludzie bardziej obchodzili Williama, więc w college'u studiował biologię i genetykę, a także chemię. Wie, że ludzie są zwierzętami stadnymi. Lubią chodzić w tym samym kierunku i czują się swobodniej w obecności Williama, kiedy robi to samo, co oni.

W sklepie znajduje się naładowana broń, więc to ważne, żeby ludzie czuli się swobodnie. William widzi, że nikt nie kładzie się na ziemi. Ani kasjerka z rozdziawionymi ustami, ani ciemnowłosa dziewczyna w sukience w kwiatki.

William patrzy w drugą stronę i około metra od siebie, po prawej stronie widzi chłopczyka w żółtej kurtce strażaka i czarnej czapce. Twyla teraz byłaby mniej więcej w jego wieku. Chłopczyk wpatruje się w rewolwer. Szeroko otwartymi oczami. Ma urywany oddech. William, który jest wyższy i szerszy od napastnika, decyduje, że powinien przejąć inicjatywę i podporządkować się, by wyglądać na mniej zagrażającego.

Powoli, podnosząc ręce, robi krok w bok i staje między przerażonym dzieckiem a mężczyzną z rewolwerem, po czym siada na podłodze.

Starannie szuka u siebie oznak strachu, ale ich nie znajduje. To ciekawe, bo w tych okolicznościach strach byłby adekwatny. Może po prostu nastąpił u niego wyrzut odpowiednich substancji chemicznych. Do jego krwiobiegu nie mogło się dostać zbyt dużo adrenaliny. Zużył jej ogromną ilość na bezsensowny, długotrwały gniew na rocznicę, proszek do prania, żonę.

Napastnik ma czerwone obwódki wokół oczu i wilgotne nozdrza. Szarpie pistoletem, trzymając palec na spuście. Przy każdym mrugnięciu mocno zaciska powieki. Jego usta też się poruszają. Całą twarzą szarpia tiki. Strzela oczami dookoła, próbując ogarnąć wzrokiem wszystkich jednocześnie. Wygląda, jakby był pod wpływem jakiegoś środka stymulującego, prawdopodobnie nielegalnego, i znajduje się w stresującej sytuacji. Nie można wierzyć, że podejmie dobrą decyzję.

William słyszy, jak drzwi za nim się otwierają. To drzwi przy lodówce

z napojami, z tabliczką „Tylko dla personelu”. Przechodzi przez nie starszy mężczyzna ze zmarszczonymi brwiami. Za nim podąża starsza pani. Nie są do siebie podobni, ale na pewno są razem. Ona ma na sobie pastelowe bermudy, a jej lawendowe włosy są sztywne od lakieru. On ma na sobie kraciaste spodnie do gry w golfa i czapkę. Mężczyzna patrzy w stronę kasy i mówi:

– Carrie, co to...

Zatrzymuje się tak raptownie, że kobieta wpada na niego. Mężczyzna przenosi wzrok z Williama siedzącego na podłodze na napastnika z bronią. Wyciąga jedną rękę, zagarniając za siebie kobietę, i dzięki temu jednemu prostemu gestowi William domyśla się, że od dawna są małżeństwem.

Wtedy kobieta dostrzega pistolet i podnosi rękę, jak ludzie w filmach. Otwiera usta, które teraz układają się w jaskrawe, nierówne kółko. Pomarańczowa szminka wsiąkała we wszystkie zmarszczki wokół jej warg.

– Na ziemię! – znowu wrzeszczy napastnik.

Ciemnowłosa dziewczyna przykuca na ziemi, dół sukienki we wzór z maków rozkłada się wokół niej jak kłosz. Starsze małżeństwo robi to samo. Wszystkie zwierzęta stadne robią to samo. To redukuje ich stres. Teraz nawet oczy napastnika przestają zaciskać się aż tak mocno.

– Ty nie – mówi do kasjerki, wskazując na nią pistoletem. – Najpierw wyjdź z za lady.

Kasjerka wychodzi z za lady i kładzie się obok ciemnowłosej dziewczyny. Wszystko dzieje się tak szybko. Do tej pory napad przebiega sprawnie, ale William obawia się, że dojdzie do komplikacji. Osoba, która w tym pomieszczeniu podporządkowuje sobie wszystkich, jest pod wpływem narkotyków.

William zastanawia się, co powinien zrobić. Napastnik jest niski i ma wąską pierś, wystający brzuch i chude ręce. Rządka, brązową bródkę skubie wolną ręką. Gdyby Williamowi udało się wystarczająco szybko do niego dobiec, z łatwością rozszarpałby go na strzępy. W pożyteczny sposób wykorzystałby pełne gniewu substancje chemiczne, które w nim buzowały.

Ale czuje obecność dziecka, które się za nim schroniło. Nie chce, żeby chłopiec, który w innym wszechświecie mógłby razem z Twylą chodzić do szkoły, mógłby się z nią zaprzyjaźnić, został zastrzelony, jeśli William nie zadziała dość

szybko. Zostaje więc na miejscu.

– Ty, stary dziadu, otwórz sejf – mówi napastnik, celując pistoletem w mężczyznę.

– Jest ustawiony na konkretną godzinę! – odpowiada mężczyzna.

Napastnik wolną ręką wyciera mokry nos.

– Myślisz, że jestem jakiś głupi? Obserwuję was od paru tygodni. Myślisz, że nie wiem, o której sejf się otwiera? Zastrzelę wszystkich, jeżeli nie włożysz wszystkich pieniędzy do torby. A ty – zwraca się do Williama – albo sam się położysz na brzuchu, albo ci pomogę i dostaniesz kulkę w łeb.

Jeżeli William go posłucha, straci kilka opcji. Za nim stoi dziecko. Jeśli William wstanie i napastnik do niego strzeli, kule polecą w stronę dziecka. Wobec tego kładzie się płasko na brzuchu.

Splata przed sobą ręce i opiera policzek na dłoni. Jest teraz zwrócony twarzą w kierunku ciemnowłosej dziewczyny w makowej sukience. Dziewczyna intensywnie wpatruje się w Williama, wzrokiem sygnalizując krytyczną sytuację, a potem przenosi spojrzenie na dziecko. A więc są razem, tak jak starsza para.

William słyszy za sobą jakieś szuranie, a potem czuje niewielki ciężar przyciśnięty do boku. Dziecko przemyka po podłodze i chwyta koszulę Williama. Dyszy mu pod pachę.

William ogarnia wzrokiem pomieszczenie. Starsza pani patrzy na niego. Kasjerka leżąca na podłodze też zerka w jego stronę. Nawet starszy mężczyzna spogląda na Williama, wchodząc z napastnikiem za ladę, żeby opróżnić sejf. Stado wybrało go na przewodnika, więc William leży nieruchomo i czeka, aż będzie po wszystkim.

Napastnik dostał torbę z pieniędzmi.

– Tylko tyle? – pyta.

– Nie mamy dużo gotówki – odpowiada starszy mężczyzna. – Teraz wszyscy płacą kartami kredytowymi. – Jego głos brzmi defensywnie i jednocześnie przepraszająco.

Napastnik opróżnia też szuflady kasy i każe mężczyźnie położyć się na podłodze. Łapie dwa kartony papierosów, wpycha je do torby z pieniędzmi, a potem znowu zaczyna machać pistoletem i omiata wzrokiem wszystkich

obecnych.

– Niech przez dziesięć minut nikt się nie rusza, inaczej wrócę i was powystrzelam – krzyczy. To naprawdę najgłupsza rzecz, jaką William kiedykolwiek słyszał.

Napastnik zaczyna się odwracać. Za trzydzieści sekund wyjdzie ze sklepu. Zdaje się, że decyzja, by spokojnie się położyć, była słuszna.

I wtedy William znowu słyszy dźwięk świątecznych dzwoneczków.

Do głowy przychodzą mu trzy słowa: Zaraz się zacznie.

To policjantka. Kobieta w mundurze wesoło przechodzi przez drzwi, z przyjaznym dla środowiska turystycznym kubkiem z kawą.

Napastnik i policjantka dostrzegają się nawzajem, ich ciała reagują gwałtownie, jednocześnie szeroko otwierają oczy i usta. Kobieta zatrzymuje się w progu.

Puszczą kubek i sięga po broń wiszącą przy biodrze, ale drzwi zamykają się i uderzają ją w plecy. Policjantka się z nimi szamocze. William jest od niej szybszy. Powinien był coś zrobić, kiedy jeszcze miał szansę. Teraz leży płasko na brzuchu, z małym chłopcem kurczowo wciśniętym w jego koszulę. Nie może wstać i pobiec z dzieckiem wiszącym u jego boku.

Napastnik pociąga za spust i Williamowi wydaje się, że najpierw czuje zapach siarki, a dopiero potem słyszy huk wystrzału. To niemożliwe, ale wbrew nauce tak to odbiera. Ledwie zauważa krew, która zalewa ramię niebieskiego munduru policjantki. Widzi natomiast, jak jej twarz rozciąga się i rozrzedza, jakby wtargnięcie kuli w zamknięty system jej ciała już ją istotnie zmieniało. Dźwięk, który potem się rozlega, wydaje się głośny w małym markecie. Dzwoni Williamowi w uszach. Dziecko wydaje z siebie okrzyk strachu i wciska twarz w ciało Williama. Jest mokra. Pot przesiąka przez koszulę Williama aż do skóry.

Uderzenie kuli przewraca policjantkę na drzwi, które się otwierają, i wyrzuca ją na ziemię na zewnątrz. Kobieta upada na bok, kiedy drzwi z radosnym brzęczeniem dzwoneczków zamykają się za nią.

Kasjerka na podłodze mówi cicho, takim tonem, jakby z kimś rozmawiała:

– O nie. Nie, nie, nie.

U Williama następuje nagły wyrzut adrenaliny. Wpływa do jego krwiobiegu i William czuje, że wszystko w nim pulsuje: ręce, nogi, plecy, nawet oczy. Mimo

to zamyka je, wiedząc, że pistolet w tym pomieszczeniu jest prawdziwy i niebezpieczny. Może w jednej chwili wszystko zmienić i zakończyć. William doskonale to rozumie. Narasta w nim niepojęta tęsknota i to, co w tej chwili czuje do policjantki, jest jednocześnie piękne i przerażające. Nie potrafi tego nazwać.

Słyszy wrzask napastnika:

– Jasna cholera! Jasna cholera!

Otwiera oczy i widzi, że napastnik odwrócił się od zakładników, zamyka drzwi, a potem znowu staje przodem do nich, posłusznie, nieruchomo leżących na podłodze.

– Nie planowałem tego – mówi mężczyzna bezradnie do starszej pary i teraz William dostrzega, jak bardzo jest młody. Z nosa mu kapie, górna warga jest mokra od potu i śluzu. Kasjerka też jest młoda. Dziewczyna w makowej sukience jest młoda. W pomieszczeniu pełno małolatów, a jeden z nich trzyma broń. Kieruje ją w stronę Williama, potem ciemnowłosej dziewczyny i starszej pary. Macha nią na wszystkie strony, jakby udawał, jakby występował w serialu. Ale to nie film. To się dzieje naprawdę.

Napastnik powtarza:

– Kurwa, nie planowałem tego.

Jesteś wściekły – myśli William. Ta myśl pojawia się jako głos młodej Bridget z okresu licealnego. Jesteś wściekły, bo napad się nie udał. Strzał z pistoletu, prawdziwa broń w pomieszczeniu, z powrotem wpuścił jej głos do bolącej głowy Williama. Nie wie, jak teraz w ogóle uda mu się go wypędzić.

– Jak stąd wyjść? – pyta napastnik.

Starszy mężczyzna otwiera i zamyka usta jak ryba wyjęta z wody.

– Mów, do cholery! – wrzeszczy napastnik.

W końcu odpowiada kasjerka:

– Wyjdź przez zaplecze. Drzwi nie są zamknięte od środka, ale z zewnątrz nie można tamtędy wejść.

Sepleni, wymawiając głoski syczące, jej język wysuwa się w puste miejsce, gdzie powinna się znajdować większość jej przednich zębów. William czuje, że jego własny język wykonuje podobną czynność, przesuwając się po nietkniętych przednich zębach.

Na zewnątrz leży postrzelona policjantka. William zastanawia się, czy ktoś jej pomoże, czy jest przytomna i może użyć krótkofalówki. Może wyjęła pistolet i skierowała go na drzwi, czekając, aż napastnik przez nie wyjdzie.

Napastnik pewnie też się nad tym wszystkim zastanawia, tylko wolniej, otumaniony narkotykami, przez które ma tak szkliste oczy i zachowuje się jak oszalały.

– Ona jest tam, przy moim samochodzie – mówi oskarżycielskim tonem do starszego mężczyzny. – Mam przerąbane! Mam przerąbane!

Starszy mężczyzna się nie odzywa. Napastnik tupie i wydaje z siebie straszne, niezrozumiałe, gulgoczące dźwięki. Chłopczyk nadal wciska spoconą twarz w bok Williama, który opuszcza jedną rękę i niezdarnie, najlepiej jak potrafi, uspokajająco go poklepuje.

Napastnik powinien wyjść. Policjantka najprawdopodobniej właśnie się wykrwawia i nie da rady go powstrzymać. Może nawet umiera.

William nie chce, żeby umierała, i to jest właściwa reakcja. Dobra ludzka reakcja. Nikt by jej nie życzył śmierci. Ale głos Bridget, na nowo uwolniony w jego głowie, nie pozwala mu na tym się zatrzymać. Nazywa to. Nazywa tę przerażającą, piękną rzecz:

Jesteś zazdrosny. Zazdrościsz jej, bo ją już ogarnia ciemność i cisza.

Wzrok Williama odnajduje pistolet. To rewolwer kalibru 32, prawdopodobnie sześćostrzałowy. To oznacza, że zostało w nim jeszcze pięć kul.

Nagle, po raz drugi w życiu, William ląduje w samym środku ogromnej, odbijającej się głośnym echem prawdy. Rozpoznaje przeznaczenie, ten stenograficzny znak, który nie oznacza nic prócz siły jego własnej woli. Nie znalazł go od tamtej chwili, w której zobaczył Bridget, całą i zdrową, piękną w różowych trampkach, z zaciśniętymi zębami ratującą Śnięty Park.

Wie tyle: pięć kul, a jedna należy do niego. Co najmniej jedna.

Rozpoznaje uczucie, które wywołuje ta pewność. Potrafi nazwać tę mieszaninę substancji chemicznych, choć już od tak dawna nie znalazła się w jego krwiobiegu. Bridget nazywała ją „upierzonym stworzeniem”. To nadzieja.

Jego chwila nadejdzie. Musi tylko jej wypatrywać. Musi tylko ją przyjąć. Patrzy nowym wzrokiem na naładowaną broń. Czeka.

3

Zastrzelił tę policjantkę. Przy Nattym. Natty przypelznął do ogromnego blondyna i próbował się wcisnąć w jego bok. Miałam nadzieję, że zareagował na huk wystrzału, że nie zobaczył krwi szybko wykwitającej na ramieniu niebieskiej kurtki kobiety.

Potem napastnik się odwrócił i szybko zamknął drzwi na zasuwkę, więżąc Natty'ego, mnie i wszystkich innych ze sobą, pistoletem i wonią miedzi i siarki.

Odciał nas od Walcotta. Ogarnęła mnie czysta, niemal święta zgroza. Nie wiem, czego się spodziewałam po Walcotcie. Czy wpadnie do środka i ocali nas potęgą T.S. Eliota? Nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że Natty i ja utknęliśmy bez Walcotta w pomieszczeniu, gdzie jeszcze rozbrzmiewało echo wystrzału. Czułam, że blednę w środku i na zewnątrz, pochłaniana przez przyćmione światło, niczym potracone zwierzę leżące przy drodze.

Nagle napastnik znieruchomiał, stanął bokiem i odwrócił tabliczkę na drzwiach napisem ZAMKNIĘTE na zewnątrz. Naprawdę myślał, że ktoś przejdzie nad ciałem krwawiącej policjantki, żeby wpaść po paczkę cameli?

Zaczął wrzeszczeć, żebyśmy się ruszyli, odczołgali od przeszklonego wejścia. Uświadomiłam sobie, że kiwam głową. Kazano nam się ruszyć, co było lepsze od bezradności i leżenia bez ruchu. Podjął mądrą decyzję. Było nieco pocieszające, że coś mądrego przyszło mu do głowy. A już całkowicie straciłam wiarę w niego, kiedy odwrócił tę tabliczkę.

Wykonałam rozkaz. Dźwignęłam się na drżące dłonie i kolana i na czworakach podpełzłam do lodówek. Próbowałam znaleźć się między Nattym a miejscem, w którym prawdopodobnie stał napastnik z bronią. Poczułam powiew powietrza na udach, kiedy sukienka zaplątała mi się między kolanami i podwinęła na plecy. Wyciągnęłam rękę i jak najniżej obciągnęłam sukienkę.

Żałowałam, że nie włożyłam jakichś brzydkich majtek, co mi uświadomiło, że

jeszcze chwila, a wpadnę w histerię. Skupiłam się i zaczęłam głęboko i powoli oddychać. Czołgałam się, starając się nie myśleć o czarnym oku lufy pistoletu wpatrującym się w Natty'ego. Przez cały ten czas czułam łaskotanie na nagich udach, które odruchowo zaciskałam, jakby wzrok napastnika był gromadą brudnych robaków pełzających po moich nogach. A przecież na pewno się na mnie nie gapił. Był zajęty ważniejszymi rzeczami. Żałowałam jednak, że nie włożyłam dłuższej sukienki.

Przed nami był ogromny blondyn. Podnosił rękę, żeby otworzyć drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. Miałam ochotę zacząć wznosić do niego modły. Czyste szaleństwo. Może i wyglądał jak nordyckie bóstwo i stanął między moim dzieckiem a źródłem zagrożenia, ale to nie oznaczało, że nagle skądś wytrzaśnie młot, zmiażdży nim pistolet i nas ocali.

To zależało od Walcotta, czekającego tak daleko na parkingu, i od tego, och, błagam, czy zadzwoni na policję.

Natty niczym cień podążył za Thorem. Przyśpieszyłam i nieco się do nich zbliżyłam, żeby Natty poczuł, że jestem za nim.

Napastnik powiedział, znowu z udawanym groźnym pomrukiem:

– Nawet nie próbujcie zamykać za sobą tych drzwi. Otwórzcie je na oścież, aż do ściany.

Szepnęłam do Natty'ego:

– Synku, wszystko będzie dobrze. – Aż się zdziwiłam, jak szczerze to zabrzmiało, jak spokojny był mój głos. Macierzyństwo i wystrzał z pistoletu błyskawicznie uczyniły ze mnie wytrawnego kłamcę. Kiedy próbowałam kogoś oszukać, od razu robiłam się czerwona i za często mrugałam. Natty zatrzymał się i zerknął na mnie przez ramię, ze zmartwienia marszcząc brwi. – Idź dalej! – Uśmiechnęłam się i posłałam mu jasne, promienne spojrzenie, jakbym go zachęcała, żeby skoczył do jakiegoś luksusowego hotelowego basenu niedaleko Disneylandu. – Będzie dobrze! – Mój głos zabrzmiał tak stanowczo i spokojnie, że nieomal sama w to uwierzyłam.

I wtedy napastnik wszystko zepsuł. Przestał się ochryple wydzierać i powiedział:

– A tak w ogóle to jestem Stevie. – Przedstawił się tak przyjaznym tonem, jakby zaraz chciał dodać, że dziś ma zaszczyt wziąć nas jako zakładników. Jakby

miał spytać, jak może nam uprzyjemnić pełznięcie po brudnym linoleum, ze spojrzeniem czarnego oka pistoletu przesuwającym się po moich nagich udach. Uderzyło mnie to jako wysoce nieprofesjonalne.

Poczołgaliśmy się w pojedynczym szeregu przez korytarz, który zaprowadził nas do podłużnego, wąskiego biura rozciągającego się na całą szerokość sklepu. Dwie krótsze ściany były zbudowane z gołych cegieł. Na najdłuższej ścianie, tuż pod sufitem, znajdował się poziomy rząd wąskich okien, przez które wpadało światło.

Stevie kazał nam usiąść w rzędzie pod długą wewnętrzną ścianą, jakby dyrygował grupą przedszkolaków. Thor wsunął się pierwszy, więc znalazł się na samym końcu pokoju, tuż przy dłuższej krawędzi biurka. Natty usiadł obok niego i wcisnął się między nas. Pochyliłam się nad nim, przez co zbliżyłam się do Thora, który zrobił to samo, jakby poczuł, że chce stworzyć namiot nad swoim synem, czyniąc z niego największy, najmniejszy cel.

– Ściskasz mnie – zaprotestował Natty i podniósł obie ręce, żeby przytrzymać czapkę.

– Ćśś – szepnęłam pół uderzenia serca później.

Dosłownie o centymetr odsunęłam biodro, ale nadal pochylałam się nad synem. Thor zrobił to samo. Cieszyłam się, że siedzę blisko niego. Cieszyłam się, że Natty siedzi jeszcze bliżej. Czułam, że to najbezpieczniejsze miejsce w tym pokoju.

Z drugiej strony dobiegło mnie ciche plaśnięcie. Kasjerka obejmowała rękoma kolana i pochylała się nad nimi. Przez jej otwarte usta było widać połamane przednie zęby. Głowę, zwróconą profilem do mnie, położyła na kolanach, a te plaśnięcia były odgłosem łez, które kapały na jej džinsy, zostawiając mokre plamki. Uświadomiłam sobie, że ja nie płaczę, i z jakiegoś dziwnego powodu poczułam dumę. Gdybym się rozplakała, Natty wystraszyłby się jeszcze bardziej, więc tego nie zrobiłam i to wszystko. Na drugim końcu rzędu siedziała starsza para, z przodu kobieta, a dalej mężczyzna w samym kącie. Na krótkiej ścianie obok niego znajdowały się jedyne drzwi.

Stevie – Boże, co za głupie imię dla dorosłego mężczyzny z pistoletem – złapał jedno z identycznych obrotowych biurowych krzeseł i przyciągnął je do okna, obok szafki na dokumenty. Jego baseballowa czapka nawet nie sięgała

okna, ale i tak usiadł. Na brudnym T-shircie widniał napis SHAZAM!, którego litery się odklejały. Krzesło było dla niego za wysokie, więc podłogi dotykał tylko czubkami butów. Obracał się na wszystkie strony, nie zastanawiając się, co robi. Tak samo zachowywałby się Natty.

Wszyscy mrużyliśmy oczy w słońcu wpadającym przez wąskie okna. Stevie obracał się na krześle i patrzył na nas. W końcu powiedział:

– Przepraszam za to. Muszę siedzieć pod tym oknem, bo mogą przysłać snajperów.

Usłyszałam, jak ktoś pogodnym głosem odpowiada:

– Nie ma sprawy! – To byłam ja.

Stevie spojrzał na mnie, jakbym była beznadziejnym zakładnikiem, chociaż to on schrzanił napad. Nic jednak nie mogłam na to poradzić, w dodatku uśmiechnęłam się do niego pocieszająco, idiotycznie, szeroko.

W mojej głowie odezwał się jakiś głosik: Próbujesz się zaprzyjaźnić z tym gówniarzem? Tak, próbowałam. Cała lawina słów próbowała wydostać się z moich ust. Z trudem ją powstrzymałam: Hej, Stevie! Jestem spod znaku Ryb, lubię pikle na słodko i wczesne piosenki Davida Bowie. Wiesz, że mój syn jest uznanym geniuszem i cudownym dzieckiem? Kiedyś pewnie odkryje lekarstwo na raka. Zastrzeliłbyś chłopca, który może pokonać raka?

Ponieważ Stevie nam się przedstawił i po ludzku przeprosił za to, że słońce razi nas w oczy, i ja chciałam po ludzku zachować się wobec niego, żeby tylko nie zrobił krzywdy mojemu synkowi. Pragnęłam tego tak bardzo, że aż cała się trzęsłam.

Wciągnęłam przez nos wielki haust powietrza. W pokoju unosił się zapach maści kamforowej i kanapek z tuńczykiem. Zapach starych ludzi. Wypuściłam powietrze. Dalej się uśmiechałam, próbując zrobić taką minę, jakbym co prawda niezbyt dobrze znała Steviego, ale już go niesamowicie lubiła. Odwrócił wzrok.

Zerknęłam na Thora. Siedział nieruchomo, ale tak jakby w gotowości. Zamierzał coś zrobić? Chciałam tego, ale jeśli coś pójdzie nie tak? Co, jeśli Stevie się rozzłości, zacznie strzelać i Natty... wołałam nie myśleć, co mogłoby stać się później.

Prześlizgnęłam się wzrokiem na biurko stojące obok Thora, szukając czegoś, co mogłoby nam pomóc. Biurko wyglądało jak z akademika, tanie i współczesne.

Ani jednej szuflady. Na blacie stał stary kwadratowy monitor, który ważył chyba z pięćset kilo, a wokół niego wałały się bezużyteczne przedmioty: klucze, koperty, długopisy, ceramiczny pojemnik pełen spinaczy. Komputer sterczał na podłodze pod biurkiem, a na drugim końcu biurka znajdowały się otwarte półki. Na dolnej stała drukarka, na której leżał stos białego papieru przytrzymywany przez duży szklany, kulisty przycisk do papieru. Był w kształcie piłki do softballa, w szkłe była zatopiona ogromna, idealnie równa pomarańczowa gerbera.

Żadnych szuflad. To wydawało mi się ważne. Bardzo chciałam, żeby w tym biurku była chociaż jedna szuflada.

Nagle przestałam się rozglądać, bo Stevie wstał i podszedł do drzwi.

Zamknął je. Przesunął zasuwkę, jakby wszedł tu, żeby skorzystać z toalety. Jakby ta zasuwka mogła powstrzymać policjantów albo kule.

Zerknęłam na Thora, który jednak nie odwzajemnił mojego spojrzenia. On też obserwował Stewiego i lekko, z niedowierzaniem pokręcił głową. Wiedział i ja też wiedziałam. Stevie był nowicjuszem, nie znał się na rzeczy albo po prostu był głupi. Schrzani całą sprawę.

Na tę myśl poczułam się, jakbym dostała cios w brzuch. Z bólu aż zgięłam się w pół, bo wyobraziłam sobie, co schrzanie sprawy przez Stewiego może oznaczać. Mogło oznaczać, że ja zginę, Natty przeżyje traumę i zostanie sierotą.

A to jeszcze nie był najgorszy scenariusz, ale do rzeczy gorszej niż moja śmierć nie mogło dojść. Nie wolno mi było nawet o niej pomyśleć. Otulę synka całym ciałem i przyjmę każdą kulę, byle tylko nie stało się najgorsze. Natty stąd wyjdzie. To nie podlegało dyskusji.

– Co teraz? – spytał Stevie, głośno i wcale nie spokojnie.

Zaczął wolną ręką walić się w czoło, jakby próbował zmusić mózg do myślenia. Miałam ochotę go zabić za to pytanie. Za to, że nie wiedział, co zrobić, za to, że nie wykonuje spokojnie i zdecydowanie tego, po co tu przyszedł, że nie wyszedł z torbą pełną pieniędzy i papierosów i nie zostawił nas w spokoju. Serce mi trzepotało i tłukło o żebra chyba z milion razy na minutę. Nie mogłam tego opanować. Stevie powinien stanąć na wysokości zadania i zachować się jak profesjonalista. Ale on schrzani sprawę.

Stevie miał broń, więc Stevie, który w innej sytuacji byłby równie groźny jak psia kupa, miał nad nami władzę. Jeśli tu zginę, osierocę Natty'ego. Czy zacznie

szukać swojego ojca? Ale jak może go znaleźć, skoro jego ojciec nie istnieje? Natty był idealny i tylko mój. Szepnęłam do jego różowego nowo narodzonego uszka: „Moje ciało cię stworzyło, bo świat jest lepszy, kiedy się na nim znajdujesz”.

Nie powiedziałam tego nikomu, nawet rodzicom. Próbowaliby to kwestionować, namówić mnie, żebym to sprawdziła. Ale ja wiedziałam swoje.

Dlaczego jednak do tej pory nie wymyśliłam ojca – tragicznego bohatera, który zginął w Afganistanie – na wypadek gdybym któregoś dnia wpadła pod autobus? Byłam pewna, że jeszcze mam czas. Zakładałam, że mam całe życie na to, żeby wymyślić dla Natty'go miłego, nieżyjącego ojca, cudownie kochającego i cudownie nieobecnego.

Jeśli Natty zacznie szukać, może usłyszeć inne historie. Może dogrzebać się do tej odległej, ciemnoniebieskiej nocy, mglistej, pełnej luk historii, którą Walcott opowiedział moim rodzicom. Była to bajka w tradycji baśni braci Grimm, której ja sama nigdy nikomu nie przytoczyłam. Nawet samej sobie, bo wiedziałam, że nie ma nic wspólnego z Nattym. Walcott i moi rodzice jednak inaczej to widzieli.

Zupełnie się nie znałam na broni, ale zapragnęłam wziąć do ręki pistolet Steviego. Gdyby znalazł się w mojej, a nie jego dłoni, wszystko by się zmieniło. Wtedy to ja decydowałabym o Steviem. Nie mogłam oderwać oczu od rewolweru. Musiałam się zmusić do tego, żeby się na niego nie gapić. W rezultacie znowu wpatrywałam się w biurko bez szuflad.

Nagle zrozumiałam, dlaczego chciałam, żeby były w nim szuflady. Stało blisko mnie, a w szufladach ludzie chowają różne rzeczy. Na przykład broń. Skąd mogłam wiedzieć, że Stevie ma jedyny pistolet w tym pomieszczeniu?

Wiedziałam, że w markecie Circle K niedaleko domu Mimmy jest pełno broni. Tamten market należał do pani Quincy i był tak samo byle jaki jak ten. Wszystkie słodczyce pokrywał kurz. Przy kasie stał któryś z włochaty, wytatuowanych synów właścicielki. Jej synowie, wszyscy czterej, potrafili rzucić butelkę coli wysoko, wysoko w powietrze i strzelić do niej, aż opadała deszczem odłamków szkła. Walcott nazywał to „wsiową imprezą”. W dzieciństwie często jeździliśmy rowerami do Dairy Queen po lody, a potem szliśmy na łąki za Circle K i oglądaliśmy te popisy. W tym sklepie broń była poupychana we

wszystkich zakamarkach.

Tu prawdopodobnie też była schowana jakaś broń.

Pomyślałam, że właścicielami jest starsza para na końcu rzędu. W tym biurze unosiło się mnóstwo zapachów charakterystycznych dla starych ludzi, a poza tym weszli drzwiami, które prowadziły do tego pomieszczenia. Nie sądzę, by przez cały weekend zabawiali się, strzelając do butelek po coli. Ona miała na sobie wakacyjny strój, a jej torebka pasowała do butów. On włożył cienki, letni sweter. Z drugiej strony byliśmy w Georgii, nie w mieście, lecz w stanie. Od miasta dzieliło nas jeszcze kilka kilometrów. Ci starsi ludzie mieszkali na wsi i wyglądali na republikanów. Musieli gdzieś tu trzymać pistolet. Może i strzelbę.

Stevie podrapał się po głowie. Mamrocząc do siebie, wepchnął palce pod czapkę, żeby dostać się do skóry. Zaryzykowałam, lekko wychyliłam się w stronę kasjerki i spytałam szeptem:

– Broń?

Odwróciła się do mnie, wokół oczu widniały kręgi rozmazanego tuszu do rzęs. Błyskawicznie pokręciła głową, tak lekko, że wyglądało to niemalże jak drżenie. Ale nie oznaczało zaprzeczenia. Przypominała nic nierozumiejące zwierzę.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu i bezgłośnie znowu spytałam:

– Broń?

Zmarszczyła brwi, nadal nie rozumiejąc. W końcu włożyłam rękę pod zgięte kolano i ułożyłam palce na kształt pistoletu.

– Gdzie jest?

Szeroko otworzyła oczy i tym razem zdecydowanie przecząco pokręciła głową. Jednocześnie strzeliła oczami w stronę metalowej szafki z dwiema szufladami przy drzwiach. Ta tchórzliwa dziewczynina kłamała. Byłam pewna, że w szafce jest broń.

Stevie odwrócił się do mnie.

– Rozmawiasz z nią? Co jej powiedziałaś?

Zrobił krok w moją stronę.

Kiedy pistolet zwrócił się w naszym kierunku i Stevie podszedł tak zdecydowanym krokiem, poczułam, że ciało Thora tężeje. Jego mięśnie się

napięły, gotowe na wykonanie błyskawicznego ruchu, ale tak naprawdę nie był Thorem, tylko jakimś dobrze zbudowanym blondynem siedzącym obok Natty'ego. Nie mogłam pozwolić, by pistolet znalazł się tak blisko mojego syna.

Zaczęłam mówić głosem wysokim i drżącym:

– Nic... ja tylko... nic, po prostu...

– Co po prostu? Co po prostu? – spytał Stevie, a pistolet zdawał się rosnąć i puchnąć w jego dłoni, kiedy się do nas zbliżał. Z każdym jego krokiem blondyn napinał się coraz bardziej, a ten ogromny, coraz ogromniejszy pistolet coraz bardziej zbliżał się do mojego dziecka.

Powiedziałam zdesperowana:

– Spytałam, czy dobrze się czuje. Chyba bardzo się boi.

Stevie zatrzymał się, a jego dłoń z pistoletem lekko przesunęła się na bok. Natty już nie był na linii strzału. Teraz broń była wymierzona w Thora. Poczułam, że nieco się rozluźnił. Wtedy pokochałam go jeszcze bardziej – za to, że wołał, żeby broń była wycelowana w niego, zamiast w Natty'ego.

Stevie zamrugał oczami.

– To ładnie z twojej strony. – Po sekundzie dodał: – Nie musi się bać.

Teraz, gdy się do nas zbliżył, zauważyłam, że skóra wokół jego nozdrzy jest zaczerwieniona i lekko drżąca. Miał ogromne źrenice, chociaż w pokoju było bardzo jasno. Boże kochany, Stevie czegoś się naćpał. Zaczął się cofać, strzelając oczami w kierunku drzwi.

– Wszyscy się boimy – powiedziałam. Zatrzymał się, jakby dowiedział się czegoś niespodziewanego, a ja mówiłam dalej, bo chciałam powiedzieć coś jak człowiek, a nie wariatka. – Mój synek, Natty, ma dopiero trzy lata. Bardzo się boi. Nie powinno go tu być.

Stevie spojrział na Natty'ego, a ja poczułam, jak moje dziecko się we mnie wtula.

– Boisz się? – spytał go Stevie.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że Natty kiwa głową.

– No to się nie bój. Lubię małe dzieci. Sam jestem tatusiem. Nie strzelam do dzieci, rozumiesz? – Cofnął się, rozglądając się po całym pomieszczeniu w taki sposób, jakby galki same przewracały mu się w oczodołach. – Jezu, co teraz?

Stevie, który dziś miał zaszczyt wziąć nas jako zakładników, zawahał się.

Pistolet zachwiał się w jego dłoni.

– Muszę się stąd wydostać – powiedział. – Mam uciekać? Może powinienem.

Gapiałam się na niego, tak sparaliżowana nadzieją, że nie odpowiedziałam. Kasjerka obok mnie zatrąbiła nosem, połykając łzy, i Stevie skierował wzrok na nią.

– Tak – potwierdziła. – Uciekać. Powinieneś teraz uciekać. – Jej głos był niski i drżący, ale mówiła z pewnością siebie. Mogłabym ją ucałować.

Stevie zrobił krok w stronę drzwi zamkniętych na zasuwkę, a moje serce zatrzepotało z szaloną nadzieją. Ale Stevie zatrzymał się i przechylił głowę jak pies. Minęły całe trzy sekundy, zanim zrozumiałam, o co chodzi.

Syreny. Usłyszałam je w oddali, z każdą sekundą ich wycie stawało się coraz głośniejsze. Wszyscy zastygliśmy, słuchając zbliżających się wozów policyjnych. Wielu. Na pewno jechał też ambulans po postrzeloną policjantkę. Walcott robił dla nas, co mógł, ale dlaczego policjanci nie mogli przybyć dwie minuty później?

Stevie ruszył się pierwszy. Zatupał nogami w gorączkowym tańcu, a potem zaczął podskakiwać jak wiejski Rumpelstiltskin. Wierzgnął nogą do tyłu jak wściekły muł, a podeszwa jego buta pięć czy sześć razy kopnęła ścianę z cegieł za nim. Rozległy się paskudne plaśnięcia. Stevie wypowiedział długi szereg słów, z których większości Natty nigdy wcześniej nie słyszał.

Schyliłam głowę, starając się skurczyć jak najbardziej, i jeszcze mocniej przycisnęłam Natty'ego do boku. Musiałam zmienić tę sytuację. Potrzebowałam broni. Stevie ją miał, a to oznaczało, że mógł skrzywdzić Natty'ego, mógł zrobić coś gorszego niż tylko go skrzywdzić. Nie mogłam na to pozwolić.

Poczułam się, jakbym utknęła na huśtawce-równoważni na placu zabaw. Siedziałam wysoko, z nogami wiszącymi w powietrzu, mocno przytulając do siebie Natty'ego, a Stevie-Który-Dziś-Miał-Zaszczyt-Wziąć-Nas-Jako-Zakładników akurat dostał ataku hysterii. Wszyscy wisieliśmy bezradnie w powietrzu, a on rzucał się na wszystkie strony, kompletnie nad niczym nie panując. W każdej chwili mógł gwałtownie opuścić nas na ziemię. Nie chciałam tego. Bardzo tego nie chciałam.

Mógł mnie zabić, co byłoby gorsze niż niepozostawienie mojemu synkowi ładnej historyjki. Mogłam tu umrzeć, zanim sama sobie powiedziałam prawdę.

Cztery lata temu, kiedy przez Natty'go zatrzymał mi się okres, nie

zamierzałam się nad tym zastanawiać. Przez niego zwracałam każde śniadanie i zaczęło mnie odrzucać od słodczy, nabrałam zaś ochoty na cebulę i ostrą paprykę. To mamy Walcotta zabrały mnie do lekarza, który powiedział mi to, co już wiedziałam: byłam dziewczcą. I byłam w ciąży.

Stwierdziłam, że oznaczało to, iż Natty jest darem. Przez ponad dziewięć miesięcy on i ja stanowiliśmy jedność. Kiedy go ze mnie wyjęli, zobaczyłam dwie maleńkie, różowopalce wersje stóp mojego ojca. Zobaczyłam moją małą, okrągłą głowę i twarz, kształt mojej szczęki. Zobaczyłam ogromne oczy Mimmy, długie rzęsy pogniecione przez przebywanie w ciasnocie. Zobaczyłam tylko to, co było moje.

Nigdy nie powiązałam Natty'ego z tą ciemną aksamitną nocą, kiedy obudziłam się na zewnątrz, rozwalona na wielkiej pufie, sama. Gwiazdy kołysały się nade mną, jakby wisiały na sznurkach. Usłyszałam gorączkowe wołanie Walcotta: „Hop-hop! Hop-hop!”, i zrozumiałam, że zaginęłam. Bałam się. Zawołałam Walcotta, który w końcu przybiegł i mnie znalazł.

Znajdowałam się ponad pół godziny jazdy samochodem od domu taty, na kampusie uniwersytetu Emory.

Walcott zawiózł mnie do taty moim volkswagenem, żeby do rana auto nie zniknęło. Droga wyglądała jak obwiedziona światłem. Miałam wrażenie nierzeczywistości, jakbym oglądała film, w którym sama występowałam. Przez całą drogę do domu na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność. Nie wiem, jak Walcott wrócił do swojego priusa. Taksówką? Nigdy go o to nie pytałam.

Podjazd przed domem taty skrzył się i kołysał, kiedy Walcott mnie po nim prowadził. Nie pozwoliłam, żeby wszedł do środka. Było ciemno i cicho, moi trzej młodszy bracia przyrodni spokojnie spali na piętrze, a tata i Bethany w swojej sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Poszli spać, przekonani, że wybrałam się na hamburgery, a potem do nocnego kina ze znajomymi z synagogi. Że zaraz po kinie wrócę do domu i po cichutku położę się spać, jak to często robiłam co drugi weekend.

Począłam do swojego pokoju w suterenie. Nie pamiętam, żebym się przebierała, ale kilka godzin później obudziłam się w czystym T-shircie. Świeciło słońce. Ciuchy, które miałam na sobie ostatniej nocy, leżały rozrzucone na

podłodze. W moim topie, usmarowanym zaschniętą czerwoną ziemią, tkwił biustonosz. Wyprostowałam brudną, zmiętą spódnicę. Nie znalazłam bielizny. Ani butów.

Poszłam prosto do łazienki i odkręciłam kurek pod prysznicem. Poczekalam, aż popłynie gorąca woda, weszłam pod prysznic i stałam, aż zwymiotowałam. W końcu umyłam tylko śmierzące zęby.

Pozbierałam ubrania z podłogi. Gdybym je zostawiła, za dwa tygodnie znalazłabym je, wiszące w szafie. Uprane i uprasowane przez Marthę, sprzątaczkę Bethany, która przychodziła trzy razy w tygodniu. Zrozumiałam, że nie chcę już nigdy więcej widzieć tych ciuchów. Nie mogłam jednak wyrzucić ich do śmieci. Nie w tym domu. Bethany by je znalazła. Wzięłaby tę usmarowaną gliną spódnicę z czymś białym zaschniętym z tyłu i spytałaby, dlaczego wyrzucam takie ładne ubrania, które kupił mi tata.

Wepchnęłam je do torby na strój sportowy, a torbę wcisnęłam głęboko do szafy, za stertę pudełek z butami.

Później, kiedy zdarzył się Natty, Walcott powiedział moim rodzicom, jak mnie wtedy znalazł – zupełnie jakby tamta ciemnoniebieska noc i Natty mieli ze sobą jakiś związek. Ja go nie widziałam, bo już bardzo kochałam Natty'ego. Unosił się i podskakiwał we mnie. Tylko we dwójkę tworzyliśmy jego ręce, jego poważne, szerokie czoło, jego sterczące kolana.

W przeciwieństwie do tamtej nocy Natty był prawdziwy. Mimo to Mimmy kazała mi chodzić do psychoterapeuty księdza trzy hrabstwa dalej. Tylko jemu próbowałam powiedzieć, że wydaje mi się, że mój syn to cud. Ksiądz okazał się wiernym sługą bożym. Dwukrotnie prychnął z lekceważeniem. Siedziałam na jego kwiecistej sofie i słuchałam słów, które płynęły z jego ust, aż nasz czas się skończył. Wreszcie stwierdził, że być może nie potrafię zaufać mężczyznom, i dał mi książkę pod tytułem *Pobożna żona*. Tata wysłał mnie do psychiatry, co odniosło mniej więcej taki sam skutek. Doktor Fleiss powiedział, że mam problemy z kontrolą swojego życia seksualnego, i dał mi receptę na pigułki antykoncepcyjne.

Nie chciałam wrócić do żadnego z nich. Wyrzuciłam książkę, ale receptę zrealizowałam. Punkt dla judaizmu.

Teraz, kiedy Natty tak mocno się do mnie przytulał, nie wiedziałam, czyje

dudnienie serca w sobie czuję – swoje czy jego. Przepęłniał mnie potworny żal. Tamta noc, to dziecko miały jednak ze sobą związek. Spojrzałam na swojego pięknego synka i po raz pierwszy musiałam przyznać, że nie wiem, skąd się u niego wzięły te szerokie usta, ten energiczny sposób chodzenia, te kanciaste ramionka. Zawsze uważałam, że to tylko jego cechy, bałam się, że jeśli przestanę w to wierzyć, nie będę mogła dalej go kochać. Och, co za idiotyzm! Co za małostkowość! Kochałam go, tu i teraz, tak bardzo, że chętnie bym umarła, żeby go ocalić. Kochałam każdy kawałeczek jego ciała i nieważne, od kogo pochodził. Prawda zawsze tak wyglądała, ale byłam zbyt tchórzliwa, żeby to sobie uświadomić.

Teraz w pełni zrozumiałam, w jaki sposób dziecko zaczęło we mnie powstawać, jak się urodził cały rok i siedemnaście dni przed tym, jak Walcott wreszcie odebrał mi wianek, a w mojej miłości do niego nic się nie zmieniło.

Nie mogłam jednak tutaj umrzeć. Nie przygotowałam żadnej historii, by ochronić mojego syna przed poznaniem prawdy, którą właśnie do siebie dopuściłam. To nie do pomyslenia, że Natty mógłby dorosnąć beze mnie, nie wiedząc, że niezależnie od wszystkiego, kochałam każdą jego komórkę.

Musiałam dostać się do szafki. Sto razy strzelę do Steviego i zakończę ten koszmar, a potem wyniosę Natty'ego na słońce, gdzie czekał na nas Walcott, i razem pojedziemy do Atlanty. Niemal widziałam siebie jako superbohatera, odważnego i bezlitosnego, rozwiązującego każdy problem. Ale dalej siedziałam na tyłku, przyciskając do siebie Natty'ego, i wcale nie zachowywałam się jak bohater. Pistolety są potężne i nieustraszone – w przeciwieństwie do mnie.

Wycie syren ucichło. Policja dojechała na miejsce. Stevie stał pod ścianą, ciężko dysząc, wyczerpany atakiem hysterii. Miał szalone spojrzenie i ślinę na dolnej wardze, która przez to była lśniąca i wyglądała dziewczęco, pomimo bródki pod spodem.

Siedzieliśmy nieruchomo. Wściekałam się na siebie za własną bezradność. Czekałam na ruch policji. Czekałam na ruch Steviego. Zaczął chodzić w tę i z powrotem, blisko okien, cały rozedrgany i rozgorączkowany.

– Zamknijcie się i dajcie mi pomyśleć! – wrzasnął, chociaż żadne z nas się nie odezwało. W jego głosie brzmiał gniew i strach.

Wtedy zadzwonił telefon.

Bezprzewodowy aparat wisiał na ścianie nad biurkiem. Stevie podskoczył i wycelował w niego broń. Ja też podskoczyłam i Natty podskoczył, a kasjerka głośno wciągnęła powietrze. Telefon znowu zadzwonił.

– Mam odebrać? – spytał Stevie. Wepchnął wolną dłoń pod czapkę i mocno podrapał się po głowie.

Nikt nie zareagował. Stevie znowu zadał to pytanie, tym razem patrząc prosto na kasjerkę. To ona odpowiedziała na jego poprzednie pytanie, ale teraz płakała tylko, wielkie łzy bez końca plaskały na jej dzinsy.

Telefon zadzwonił pięć razy, a potem chyba włączyła się poczta głosowa.

Stevie przestał czekać na odpowiedź kasjerki i zaczął przesuwać po nas przerażonym wzrokiem, niczym spanikowany koń. Minęło niekończące się trzydzieści sekund.

Telefon zadzwonił raz jeszcze.

– Cholera! – zaklął Stevie pomiędzy dwoma dzwonekami.

Wtedy odezwał się Thor, głosem tak niskim i spokojnym, że wydawał się kojący jak ziołowa maseczka.

– Powinieneś odebrać. – W jego głosie zabrzmiała pewność siebie.

Stevie ruszył w stronę aparatu, po czym bezradny się zatrzymał. Ociągał się. Telefon zadzwonił po raz piąty i znowu ucichł.

– Następnym razem – powiedział Thor spokojnie. – Zadzwonią znowu.

Stevie spojrzał na niego i kiwnął głową.

Czekał, ale telefon już się nie odezwał.

Siedzieliśmy, dysząc ciężko, spoglądając na siebie, nie wiedząc, co robić. Minęła dobra minuta.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął Stevie. Znowu wierzgnął do tyłu nogą i kopnął ścianę. – Co za gówno. – Wodził po nas wzrokiem, jakby szukał potwierdzenia. – Gówno, nie?

– Zadzwonią – powtórzył Thor.

Minęła kolejna minuta, może dwie, ale ciągnęły się jak dziesięć minut.

– Neeee – wyjąkał Stevie. – Muszę coś zrobić. Muszę im pokazać, że nie żartuję. Nie? – Teraz mówił do siebie, nie do Thora, jakby zbierał się w sobie. Chciałam mu powiedzieć, że już to udowodnił, strzelając do policjantki. Gliny wiedziały, że nie żartuje. Wszyscy to wiedzieliśmy. Nie chciałam jednak

przyciągać jego uwagi, więc tylko spojrzałam na Thora. Wszyscy na niego patrzyliśmy, nawet Stevie.

– Ktoś musi coś zrobić – powiedział Stevie. Głos mu drżał. Tak samo jako ręce.

Thor kiwnął głową.

– Niedługo. Ale jeszcze nie teraz. Zadzwoń. – Mówił takim tonem, jakby uspokajał dziecko, które boli brzusek. Stevie przygryzał dolną wargę i znowu bardzo często mrugał. Wyraźnie zbierał się w sobie. Zamierzał zrobić coś strasznego, chyba że ktoś inny go wyprzedzi.

Thor chyba też o tym wiedział. Bo zaczął się ruszać. Bardzo powoli. Bardzo, bardzo powoli. Odwrócił się w stronę biurka, jedną długą rękę przesunął wzdłuż ciała, sięgając do półek obok niego. Jego ruch był tak powolny, że aż niemal hipnotyzujący. Stevie przestał zuć dolną wargę i zaczął przyglądać się Thorowi.

Thor delikatnie dwoma palcami ujął kartkę papieru do drukarki. Potem ją pociągnął i wysunął spod ciężkiego przycisku.

Była to jedyna rzecz, jaka w tej chwili działała się w pokoju. Natty wychylił się, żeby lepiej widzieć, rękoma obejmując kolana. Stevie też patrzył, lekko opuszczając rękę z pistoletem, aż wreszcie wycelował go prawie w podłogę.

Thor położył kartkę między nogami. Zaczął ją składać. Miał duże, szerokie dłonie z kwadratowymi paznokciami. Były ogromne, a jednak bardzo zwinne. Precyzyjnie złożyły kartkę. Thor jednym krótkim paznokciem przejechał po zagięciu i oddał pasek papieru, tworząc idealny kwadrat.

Skladał kartkę i rozkładał, gniótł i rozwijał, przemieniając kwadrat w trójwymiarowy kształt. Już teraz widziałam, że jest o wiele bardziej skomplikowany od samolociku.

Natty przyglądał się oczami ogromnymi od zaciekawienia. Zauważyłam u Stewiego taki sam wyraz twarzy. Otworzył usta i zapomniał o wszystkim innym. Wtedy uświadomiłam sobie, że jest ode mnie młodszy. Miał siedemnaście, co najwyżej osiemnaście lat.

W zwinnych dłoniach Thora papier składał się w coraz mniejszy i misterny kształt. Kiedy skończył, trzymał w rękach ptaszka. Położył go na dłoni. Pokazał go Natty'emu, obracając go na wszystkie strony. Stevie też patrzył.

Natty wyciągnął rękę po ptaszka, ale Thor podniósł jeden palec, każąc mu

poczekać. Odwrócił ptaszka w palcach i delikatnie złapał go za ogonek. Pociągnął za niego i ptaszek spuścił główkę, jakby chciał zjeść ziarno z ziemi.

Natty szeroko się uśmiechnął i znowu wyciągnął rękę. Thor podał mu ptaszka. Rzadko zwraca się uwagę na kolor oczu obcych ludzi, ale siedzieliśmy tak blisko siebie, że go zobaczyłam, kiedy Thor patrzył na mojego syna. Jego oczy były jasnoniebieskie jak kwiaty lnu. Stevie z zazdrością wpatrywał się w Natty'ego, który pociągał za ogon ptaszka, a ten dziobał jego dłoń.

Otworzyłam usta, żeby podziękować Thorowi za ptaszka, za ten cień spokoju, który znalazł się w tym pokoju, ale zamiast podziękowań z moich ust popłynęły słowa z wiersza Dickinson – tego, który wcześniej w samochodzie wyrecytował Walcott.

– Upierzone stworzenie.

Wzrok Thora powędrował na moją twarz i to, co się wydarzyło wtedy, dotyczyło jedynie nas. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie dotyczyło Stewiego, który nadal przyglądał się ptaszкови, ani nikogo innego, nawet Natty'ego. Zdarzyło się to w powietrzu nad głową Natty'ego.

Źrenice Thora się rozszerzyły, tworząc nieprzeniknione, czarne otwory, które niepowstrzymanie przyciągały mnie do niego. Patrzył na mnie, jakby zobaczył mnie pierwszy raz. Odetchnął. Przeskoczyła między nami iskra, otworzyliśmy się na siebie i poczułam się tak, jakby zajrzał w głąb mnie, zobaczył, jaka jestem przestraszona i bezbronna na huśtawce. Zobaczył, że zupełnie nie potrafię ocalić siebie i Natty'ego, ale w głębi ducha spodziewałam się, że on to zrobi. Zobaczył, jak bardzo pragnę, żeby okazał się bóstwem, które nas wszystkich uratuje. Lekko pokiwał głową, jakby chciał potwierdzić, że zrobi to, czego chcę. Uratuje nas. I wtedy potężna fala spokoju spłynęła z niego na mnie. Przysięgam.

– Nazywam się William Ashe. – Nie tyle się przedstawił, ile złożył mi obietnicę.

– Shandi – powiedziałam spokojnym głosem.

Bo już wiedziałam. William Ashe nas uratuje. William Ashe był tym bohaterem, śmiałkiem. Był potężnym bogiem Thorem. Miałam ochotę przechylić się nad głową mojego syna, przycisnąć usta do ust Thora, poczuć jego smak i pozwolić, żeby wyssał z moich ust całą niepewność. Chciałam należeć do

niego, a może po prostu być nim.

Usłyszałam głos Steviego:

– Umiesz zrobić coś jeszcze? Co by się ruszało jak ten ptaszek?

Kiedy mówił, wypowiedziałam do Williama Ashe'a, ledwie słyszalnym szeptem, dwa słowa:

– Pistolet. Szafka.

Kiwnął głową, jakby odpowiadał twierdząco na pytanie Steviego, ale wiedziałam, że odpowiadał mnie. Odebrał moją wiadomość. Teraz wiedział, gdzie jest drugi pistolet. Poczułam, jak się rozluźniam. Zupełnie jakby położył swoje ogromne dłonie na huśtawce. Nie mógł zacząć powoli jej opuszczać, dopóki nie dotknęłabym stopami ziemi. Jeszcze nie teraz. Ale mocno mnie przytrzymał i to wystarczało.

– Umiem zrobić skaczącą żabę – odpowiedział Steviemu. – Umiem zrobić bączka.

Kiedy się odwrócił, przerwaliśmy kontakt wzrokowy i prawdopodobnie tylko to mnie powstrzymało przed wychyleniem się i pocałowaniem go, pal licho Steviego. Przestało między nami iskrzyć, ale pewność pozostała. William Ashe naprawi tę sytuację albo zginie.

Zapadła cisza pełna skupienia. Stevie zmarszczył brwi, jakby najważniejszą decyzją było to, jaką papierową zabawkę wybrać.

Klimatyzacja przestała działać. Nie zwracałam na nią uwagi, dopóki działała, ale teraz nagła cisza mnie przestraszyła. Chyba wstrzymałam oddech, a Stevie poderwał głowę jak pies, który wywęszył jakieś zagrożenie.

Znowu zadzwonił telefon.

4

– Upierzone stworzenie – mówi Bridget. Przemienia Śnięty Park w piękne miejsce pełne domków dla ptaków. Przyciąga do siebie ludzi pragnących choć ułamka tej kompletności, która ją do tego nakłoniła. Latem w parku są irysy, karmniki i chińskie dzwonki rozwieszane na drzewach. Bridget przemieniła park w miejsce, które znowu ma właściciela.

Serce Williama nieruchomieje na chwilę, po czym znowu wypycha zatrzymaną krew. Robi to tak gwałtownie, że William odczuwa to jak zwiększenie obrotów silnika w klatce piersiowej. Gapi się na dziewczynę w makowej sukience. Otworzyła usta i wyciągnęła z jego głowy głos jego żony.

Oczywiście to nie Bridget mówi. Tylko brzmi to jak ona. Dokładnie tak samo.

– Nazywam się William Ashe – przedstawia się. Chce, żeby dziewczyna wypowiedziała więcej słów.

Dziewczyna wymawia swoje imię, Shandi, akcentując pierwszą sylabę i prawie polykając „i”, tak samo zrobiłaby to Bridget.

William ma własne wyobrażenie przeznaczenia, niemające nic wspólnego z losem, znakami i cudami. Przez chwilę nie potrafi więc wytłumaczyć, w jaki sposób ta dziewczyna przywołuje do tego pomieszczenia obecność Bridget. Wysoki, czysty głos Bridget tak bardzo się różni od przerażonego, ochryplego szeptu tej dziewczyny. Nie chodzi też o same słowa, chociaż kiedy pierwszy raz się odezwała, powiedziała jeden z ulubionych cytatów Bridget.

Nagle William sobie uświadamia: to ten akcent.

Rzadko się go spotyka. William, który urodził się i wychował w Morningside, jest rdzennym mieszkańcem Atlanty. Mówi jak wszyscy w telewizji.

Bridget spędziła pierwsze szesnaście lat życia w miasteczku za granicą Georgii, w Karolinie Północnej. Lata życia w Atlantcie skróciły jej rozciągnięte samogłoski i przycięły niewyraźne spółgłoski, ale w jej sposobie mówienia

pozostał górski akcent.

„Czysta Atlanta z wsiową nutką” – tak nazywała go Bridget.

Teraz ta dziewczyna powiedziała „upierzone stworzenie” dokładnie tak samo, jak by to zrobiła Bridget: płasko, jak w Atlancie, ale prawie bez „i”.

Stevie pyta o ptaszka z papieru, ale William nie może oderwać oczu od dziewczyny, drżącej w makowej sukience. Jej ciemne oczy zupełnie nie przypominają szeroko rozstawionych jasnozielonych oczu Bridget, ale William i tak wpatruje się w nie jak zahipnotyzowany.

Stevie gada dalej, a Shandi wypowiada więcej słów:

– Pistolet. Szafka.

Na dźwięk prawie nieistniejącego „i” w słowie „pistolet” William odruchowo kiwa głową, co wygląda jak potaknięcie. Wymówiła to słowo idealnie.

– Umiem zrobić żabę. Umiem zrobić bączka – odpowiada, żeby spacyfikować tego popieprzonego bachora z pistoletem. Żeby się w końcu zamknął i pozwolił dziewczynie powiedzieć coś jeszcze. Jeżeli kula i tak jest mu przeznaczona, to co mu szkodzi jeszcze choć trochę pomyśleć o głosie żony?

Dziewczyna jednak się nie odzywa. Przysuwa się tylko nieco bliżej, jakby chciała wyciągnąć szyję nad głowę przerażonego dziecka chowającego się między nimi i go pocałować. Ma ciepły oddech. Pachnie czystością, mydłem Ivory i miętą. William nieruchomieje. On też się wychyla, gotowy położyć usta na tych ustach, które wydają z siebie takie dźwięki jak usta Bridget. Ale nie tego William chce.

Chce czegoś innego. Czuje rozpaczliwe pulsowanie w samym środku ciała, tak umiejscowione, że mogłoby być biciem jego serca. Chce czegoś po raz pierwszy od miesiący, a to coś jest zupełnie niedorzeczne.

Chce słuchać Bridget.

Nie tej dziewczyny. I to nie na Bridget jest zły. Nie chce słuchać żony, która potrafiła wyslizgnąć się z własnego ciała, ciała, które kochał, i w jakiś niewyobrażalny sposób odlecieć ku białemu światłu, którego istnienie wmawiały jej pozbawione tlenu komórki mózgowe. Odeszła szybko, radośnie szybując z ich córką ku swojemu Bogu. Oddała Twylę, bezpieczną i rozchichotaną, w objęcia najmilszego z możliwych Jezusów. Jezusa rodem z publicznej telewizji, nieporanionego i czystego. Bridget kiwnęła głową i uśmiechnęła się,

wyrażając swoją akceptację: „Puśćcie dzieci i nie zabraniajcie im przyjść do Mnie”. Nawet dziecko Williama, które przecież mogłoby wyrosnąć na racjonalistę.

Nie chce nawet słuchać żony, którą ledwie pamięta, tej, którą w jego furii zastąpiła anielica Bridget, radośnie niosąca ich dziecko do nieba. Jego żona pije wyśmienity czysty burbon, ma ognisty, irlandzki temperament, wije się nad nim, pod nim i wokół niego w łóżku. Równie mocno uwielbia poezję i powieści Stephena Kinga. Co roku wiosną uprawia swój patchworkowy ogródek, stokrotki wśród marchewek, szalone oregano próbujące splatać się z kwiatami bidensu. William o tym wie, ale to jak artykuł, który kiedyś przeczytał w poczekalni w „National Geographic”, objaśniający rodzaj, jakim jest Bridget. Wydaje mu się tak odległa, że równie dobrze może istnieć tylko w teorii.

Bridget, której pragnie, to jej wcześniejsza wersja. Bridget z końskim ogonem, w różowych trampkach firmy Converse. Sprzed małżeństwa, Twyli oraz samochodu pozbawionego tylnego siedzenia.

William zamyka oczy tylko po to, żeby nie patrzeć na tę dziewczynę, która nie jest Bridget, chcąc usłyszeć młody głos Bridget, z determinacją, rozpaczliwie, wiedząc, że to niemożliwe. Echo jego starej obsesji, kiedy miał siedemnaście lat, a w jego szkole pojawiła się nowa dziewczyna. Chodził za nią z klasy do stołówki, ze stołówki do klasy, z klasy do autobusu.

Czytała książki – powieści, nic interesującego – idąc po korytarzach, nieświadoma jego obecności. W stołówce znalazła sobie miejsce przy stole zajmowanym przez inteligentne uczennice, nie takie, za którymi uganiali się futboliści, więc nikt nie zwrócił uwagi na jego obsesję. Był dla Bridget niewidzialny, aż dwukrotnie przeszła tak blisko niego, że poczuł zapach jej cytrynowego szamponu do włosów, a ona nawet nie odwzajemniła jego spojrzenia.

Wtedy nikt jeszcze nie udowodnił istnienia ludzkich feromonów, ale William był przekonany, że działają. Nie było żadnego innego wytłumaczenia jego reakcji na jej samotną radość, kiedy niszczyła park, żeby go odbudować, na jej kształt, zapach i głos. W jakiś nieokreślony sposób była dla niego odpowiednia. Czuł to na poziomie komórkowym.

Po tygodniach tej szalonej, niemej tęsknoty Paula powiedziała, że William

zaczyna się robić szurnięty jak Unabomber. Namówiła go na wagary i zabrała na dach. Miała klucz, który w pierwszej klasie ukradła woźnemu, i często wymykała się tam na papierosa.

William położył się na plecach, zmrużonymi oczami spojrzął na słońce. Jeszcze przygrzewało, chociaż powietrze już stawało się rześkie. Paula, dygocząc z zimna, rozebrała się do stanika i majtek, żeby się porozkoszować słonecznym blaskiem. Równie dobrze mogłaby włożyć jeden z obszernych kaftanów jego matki. Jego ciało było dostrojone jedynie do Bridget siedzącej dwa piętra niżej. Była czerwoną kropką lasera w jego mentalnej mapie szkoły. Słońce było niczym. Prawdziwe ciepło czuł z dołu, od Bridget. Całe ciało miał ciepłe i zarumienione, płonące na samą myśl o niej, chociaż dzieliło ich kilka pięter.

Tymczasem na dachu, gdzie był jego mózg, Paula powiedziała:

– Musisz zrobić pierwszy krok, zanim zaczniesz torturować szczeniaczki w piwnicy pełnej nadmuchiwanych lalek zrobionych na Bridget.

– Nie znam żadnych kroków – odparł William. – Podpowiedz mi jakieś kroki.

Ale zamiast tego Paula przez dziesięć minut wymieniała całą listę rzeczy, których William nie powinien robić, żeby tego nie zniszczyć.

– ... i nie wolno ci opowiadać o tym, jak zrobić niezawodny materiał wybuchowy. Albo truciznę. Przestraszy się na śmierć. Nie opowiadaj o żadnej z tych sześciu potwornie nudnych książek, które czytasz, ani o fakcie, że obecnie czytasz jednocześnie sześć książek, i, na Boga, w ogóle nie używaj słowa „jednocześnie”. Nie do wiary, że ja go kiedyś używałam. Nie do wiary, że w ogóle je znam. Pewnie zaraziłam się nim od ciebie, a to najmniej seksowne słowo na świecie.

William słuchał mózgiem, a jego ciało, to całkowicie odrębne zwierzę, próbowało stopić gonty, cegły, drewno i tynk i znaleźć się blisko Bridget.

– Do tej pory wymieniłaś dziewiętnaście rzeczy, których nie wolno mi robić.

– Naprawdę? Liczyłeś? – Paula usiadła i skrzywiła się.

Kiedy William był mały, miał książkę pod tytułem *Co czujesz?* Pełno w niej było warzyw z twarzami. Rzodkiewka jest szczęśliwa. Bakłażan jest smutny. Terapeuta poprosił, żeby William spróbował rozpoznawać podobne wyrazy twarzy u swoich kolegów ze szkoły albo rodziców. Już wyrósł z tej książki, ale nadal powinien wykonywać to ćwiczenie. W tej chwili powinien zadać sobie

pytanie: „Co Paula czuje, unosząc jedną brew, a drugiej nie?”. Ale Paula przeważnie mówiła wprost, o co jej chodzi. To była jedna z cech, które lubił w niej najbardziej. Mógł dosłownie rozumieć jej pytania.

– Tak. Dokładnie dziewiętnaście. Chcesz, żebym je powtórzył?

– O Boże, nie. – Kątem oka zobaczył, że Paula wychyla się do przodu i kudłate, ciemne włosy opadają jej na twarz. – Zrobiłam sobie namiot z włosów, w którym mogę spokojnie pomyśleć.

Nawet przez dach usłyszeli dzwonek na przerwę. Bridget pewnie wstaje z ławki i idzie do szafki. Śledził ją na swojej mentalnej mapie, żałując, że nie znajduje się na jej poziomie. Chciałby patrzeć i patrzeć na twarz Bridget, próbować odgadnąć, co czuje, unosząc tylko jedną brew.

– Powiedz mi trzy rzeczy, które powinienem zrobić. – William zwrócił się do namiotu z włosów.

– Możesz zachowywać się jak tajemniczy wielbiciel. – Paula obiema rękami rozgarnęła włosy i odsłoniła lekko skośne oczy. – Perfumy i anonimowe listy miłosne. Dziewczyny na to lecą.

Na początek nieźle, ale zbyt ogólnie.

– I wracamy do punktu wyjścia, bo w końcu kiedyś będę musiał się do niej odezwać.

– Tak, zawsze jest jakiś minus. – Paula podniosła palec i go zgięła.

William szeroko się uśmiechnął. W zeszłym roku, po tym jak uprawiali seks, poczuł się na tyle komfortowo, żeby spytać Paulę, czy może potrenować z nią rozmowy z rówieśnikami. Nie rozumiał żartów, zwłaszcza ironicznych, opartych całkowicie na modulacji głosu. Teraz zrobił ogromne postępy. Kiedyś, na samym początku, Paula zaproponowała, że żartując, będzie pokazywać zgięty palec. Odparł, że to dobry pomysł, a ona przewróciła oczami i pokazała zgięty palec, bo tylko żartowała.

– Już wiem! – wykrzyknęła. – Niech ona mówi. Spiszę ci listę pytań. Wysłuchasz jej, a potem wymienisz dziewiętnaście rzeczy, o których powiedziała. Dzięki temu będzie wiedziała, że słuchałeś, a do tego pomyśli, że macie ze sobą wiele wspólnego. Przeczytałam o tym w „Cosmo”.

– Ale potem to ona zacznie zadawać mi pytania – zauważył William.

– No to na nie odpowiesz. Może cię polubi. – William podniósł zgięty palec,

ale Paula złapała jego rękę i pociągnęła w dół. – Mówię poważnie. Może cię polubić. Ja cię lubię, Bubba.

– Tak, ale nie chcesz zostać moją dziewczyną.

– No proszę cię. Jestem od ciebie starsza. – Paula z powrotem położyła się na plecach, przyjacielskim gestem opierając się o jego ramię. Ledwie ją czuł. Cała jego fizyczność wściekle pragnęła znaleźć się parę piętér niżej. Siedział w swojej rozgrzanej skórze i próbował się zastanowić, co jednak mu się nie udawało, bo fala hormonów zalewała skądinąd genialny mózg. Czuł, że jego ciało zaczyna się kołysać.

Paula odwróciła się na bok i ugryzła go w ramię. Mocno, ale po przyjacielsku. To była jej wersja jednej ze starych sztuczek jego terapeuty, jak origami albo futbol. Daj ciału-zwierzęciu jakieś zajęcie, żeby umysł mógł zacząć pracować.

Kiedy na nią spojrział, w końcu w pełni obecny na dachu, puściła jego ramię i dodała:

– Zdobądź ją swoją seksualnością. Rzuć ją na kolana, ale niezbyt mocno. Niech się zachwyci twoim ciałem i męskością, zanim się kapnie, jaki jesteś popieprzony.

To by mogło podziałać na Paulę. Radośnie dałaby się wciągnąć w każdy plan, który by jej się spodobał. Pod tym względem Bridget musiałyby być jak Paula, a z tego, co zaobserwował, Bridget była opanowana i myśląca. Robiła plany i wciągała w nie innych. Nie położyłaby się na dachu w samej bieliźnie i nie ugryzła przyjaciela. Przemieniała parki, sadząc buntownicze tulipany. W stołówce siedziała przy stole inteligentnych dziewczyn, bardziej obserwując niż uczestnicząc, pełna rezerwy. Sprawiała wrażenie... nie nietykalnej, wcale nie. Ale na pewno musiałyby się zgodzić, by jej dotknął.

– Ten plan zaprowadzi mnie do więzienia – mruknął, ale wszystko, co Paula mu doradziła, już nabierało kształtu w jego wybitnym umyśle.

– No to pocałuj ją znienacka – zasugerowała Paula. – Nie zdobędziesz dziewczyny, robiąc eksperymenty chemiczne.

– Właśnie że mogę. – Z sekundy na sekundę wariacja na temat planu Pauli stawała się coraz wyraźniejsza i bardziej szczegółowa. – Przed chwilą to powiedziałas.

– No co ty? Nic takiego nie powiedziałam.

– Powiedziałaś. – Paula po prostu nie zdawała sobie z tego sprawy, bo, jak większość ludzi, nie rozumiała, że cały świat to właściwie jeden wielki eksperyment chemiczny, który sam się przeprowadza.

Znowu słyszy dzwonek, więc teraz Bridget jest na angielskim. Ale to nie dzwonek szkolny, to telefon. William mruga oczami i czuje, jak pokój wokół niego ładuje się od nowa. Ach, tak. Jest ofiarą napadu. Jest ofiarą napadu, a jego starannie rozdzielone sfery życia mieszają się, zderzają ze sobą i nie da się ich ujarzmić.

– Kurwa! – wrzeszczy Stevie, przenikliwie jak dziecko. Czar, jaki William na niego rzucił ptaszkiem z papieru, przysł.

Dziewczyna w makowej sukience spogląda na niego. Robi minę, w której William rozpoznaje skrajne przerażenie, a ciało jej synka całe drży, przyciśnięte do boku Williama. Ale on teraz jest tym Williamem, który od nowa chce zacząć się zalecać do swojej nastoletniej przyszłej żony, nadal tak na nią zły, że jedyna Bridget, której może pragnąć, to ta oddalona o dwa piętra i szesnaście lat.

William potrząsa głową, żeby odzyskać jasność myślenia. Ksiądz Bridget grubo się mylił. „Rocznice otwierają stare rany” – powiedział. Co za dupek. William nie przepada za metaforami, często są tak niedokładne. Ksiądz powinien powiedzieć: „Williamie, rocznice są jak wiwisekcja”.

Telefon znowu dzwoni. William czuł się lepiej tydzień temu, patrząc, jak Paula w jego cichym domu wypija całe piwo. Czuł się lepiej nawet dwadzieścia minut temu, kiedy się złościł na proszek do prania. Najlepiej się czuł parę oddechów temu, kiedy spokojnie robił origami, z pełną świadomością, że kula jest mu przeznaczona. Powinien był się tego trzymać.

Ale oczy zrozpaczonej matki z głosem Bridget mówią mu, że musi zmienić priorytety. Młoda Bridget by się z tym zgodziła. Powiedziałyby, że to, czego William chce, nie ma tutaj znaczenia. Ta dziewczyna i jej dziecko kochają się. Tamto starsze małżeństwo też się kocha. Nawet kasjerka z dziwnymi przednimi zębami musi być dla kogoś ważna. Powinien ich stąd wydostać, bezpiecznie. Głos młodej Bridget staje się czymś więcej niż głosem w jego głowie. To obecność. Bridget prześladowuje go swoim irlandzkim temperamentem, każe mu ruszyć dupę i załatwić sprawę.

Dobrze. William rysuje białe linie na tablicy w swojej głowie, sporządza

mapę. Nie może rzucić się wprost na Steviego. Najpierw musi podejść do ściany naprzeciwko. Wówczas, kiedy Stevie do niego strzeli, kule polecą równolegle w stosunku do pozostałych zakładników. Oznacza to też, że Stevie będzie miał czas pociągnąć za spust, może kilka razy, kiedy William odwróci się przy ścianie i ruszy w jego stronę.

Jest prawie pewny, że to rewolwer kalibru trzydzieści dwa, a to idealna broń. Strzel z kalibru dwadzieścia dwa do mężczyzny tak potężnego jak William, a tylko go rozwścieczysz. Z kolei kaliber trzydzieści osiem w połowie kroku odrzuciłby go do tyłu, a strzał z broni o kalibrze czterdzieści pięć zrobiłby w nim wielką dziurę i zabiłby go natychmiast.

Ale kaliber trzydzieści dwa? William gromił zastępy napastników, taranował potężnych blokujących, parł do przodu, by dopaść zawodnika trzymającego piłkę. Tysiące razy świadomie narażał się na ból. Wie, jak odzyskać równowagę, wychylić się do przodu i zaprzeć nogami. Kula uszkodzi jego ciało, ale William jest od niego silniejszy. Praktycznie rzecz biorąc, został stworzony do tego, by stanąć na linii strzału z rewolweru kaliber trzydzieści dwa. Jeżeli Steviemu się nie poszczęści i nie trafi go prosto w serce albo w mózg, potężne ciało Williama zdoła przyjąć kule i rzucić się na napastnika. Obok niego, na najniższej półce biurka, stoi duży, szklany przycisk do papieru. Uderzy nim Steviego w głowę i powali go na ziemię.

Jeżeli robi to wszystko prawidłowo, dziewczyna i jej synek wyjdą stąd, trzymając się za ręce, starsze małżeństwo tak samo. Kasjerka przestanie szlochać, wróci do pracy, odłoży trochę pieniędzy i naprawi sobie zęby. Stevie obudzi się w więzieniu z koszmarnym bólem głowy. Ich życie będzie nieubłaganie toczyło się dalej.

A William będzie mógł przestać myśleć. Przestać wspominać. Położy się spokojnie i wykrwawi. Jeśli szczęście mu dopisze, Stevie strzeli do niego tyle razy, że załatwi go na amen. Wszyscy dostaną to, czego pragną.

Telefon znowu dzwoni. Jest blisko, na biurku obok niego. William przenosi wzrok z aparatu na Steviego, który stoi w słońcu pod oknami. William widzi miliony pyłków kurzu unoszących się w żółtym świetle.

– Odbierzesz? – pyta, kiedy ich spojrzenia się krzyżują. Jak mężczyzna mężczyznę. Rzuca mu wyzwanie. Nauczył się takim samym wzrokiem patrzeć

na zawodników z przeciwnej drużyny stojących na drugim końcu boiska.

Stevie ciężko dyszy i przewraca oczami.

– Myślisz, że jestem głupi, co, olbrzymie? Chcesz, żebym do ciebie podszedł? Żebym się nad tobą pochylił i odebrał telefon, co?

William wzrusza ramionami. Gdyby Stevie się zbliżył, William mógłby w ciągu kilku sekund przejąć kontrolę nad jego bronią i go obezwładnić. Woli jednak swój pierwszy plan, zresztą Stevie nie rusza się w jego stronę. Stevie jest głupi, a jego ograniczone synapsy nie działają prawidłowo z powodu środka pobudzającego, który połknął, wypalił czy wciągnął nosem, ale ma godny karalucha instynkt przetrwania.

– Ja mogę odebrać – proponuje William i wyciąga rękę do słuchawki.

Stevie wpada w panikę, podnosi broń.

– Nie, do cholery! – William słyszy, jak Shandi wstrzymuje oddech, kiedy Stevie zaczyna wymachiwać rewolwerem. William nieruchomieje. Stevie przeczekuje kolejny dzwonek. Ma urywany oddech. – Nikt poza mną nie będzie rozmawiał z glinami. – Spogląda na aparat, a potem na Williama, chcąc jednego i słusznie bojąc się drugiego.

– Mogę ci go przysunąć. – William zaczyna się niecierpliwić.

Kiedy Stevie się nad tym zastanawia, telefon przestaje dzwonić.

– Przysunę ci go na wszelki wypadek – decyduje William. – Na pewno jeszcze zadzwonią.

Telefon rozprasza Stewiego. To mała szansa dla Williama. Dokładnie coś, czego William potrzebuje.

Stevie już nie doszukuje się zasadzki i kiwa głową. William lekko się unosi i odwraca do biurka, klęka, plecami do Stewiego. Prawą ręką sięga po aparat, a lewą wyciąga do półki i obejmuje dłonią szklany przycisk do papieru. Odwracając się, trzyma go za plecami i delikatnie kładzie na podłodze z niemalże niesłyszalnym stuknięciem. Potem przesuwa telefon po podłodze. Telefon ląduje przy stopach Stewiego, który ugina jedną nogę w kolanie i cały czas mając wszystkich na oku, po omacku próbuje podnieść go wolną ręką.

W końcu mu się udaje. Prostuje się. Telefon milczy od dobrych trzydziestu sekund, ale Stevie i tak wciska guzik.

– Halo?

William słyszy ciągły sygnał. Stevie powtarza „halo?”, głośniej i ze złością. Na jego szyi pojawia się czerwona plama, na policzki wstępuje rumieniec.

– Włączyła się poczta głosowa – odzywa się starszy mężczyzna. W jego głosie brzmi gniew i zdenerwowanie, a jednocześnie protekcyjność. Tłumaczy coś oczywistego komuś bardzo głupiemu.

Stevie gapi się na telefon, a potem przenosi wzrok na starszego mężczyznę. Szybko, głośno wypuszcza powietrze przez nos. Mężczyzna nie odwraca wzroku. William czuje zapach ozonu. Hormony – albo coś elektrycznego – pojawia się w powietrzu między nimi. Stevie podskakuje jak rażony prądem. Krótkimi, gwałtownymi ruchami podbiega do mężczyzny, wrzeszcząc:

– Zamknij się! Zamknij się! To twoja wina!

William też wykonuje ruch. Zaciska prawą dłoń na przycisku za plecami, ale w tej chwili kasjerka wydaje z siebie krótki, ostry okrzyk, a Shandi łapie go za ramię. Chłopczyk obiema dłońmi chwytą go za koszulę i zaczyna głośno krzyczeć z przerażenia.

Stevie zatrzymuje się raptownie i kopie mężczyznę w brzuch. Mężczyzna przewraca się na bok i kuli, układając się w pozycji embrionalnej. Stevie kopie go w głowę, ramię, machając rękami.

William mówi przez zęby: „Puśćcie mnie”, i próbuje się uwolnić z uścisku Shandi i jej synka.

Ręce Stewiego zataczają koła w powietrzu jak skrzydła wiatraka. Starsza kobieta krzyczy i przykładą dłonie do policzków, kiedy Stevie po raz trzeci kopie jej męża.

Shandi krzyczy:

– Przestań, przestań!

Puszcza Williama i obejmuje synka, odwracając go twarzą do siebie, żeby tego nie widział. Chłopiec próbuje się odwrócić i jednak spojrzeć w tamtą stronę. Czapka zsuwa mu się z głowy i ląduje na nodze Williama.

Stevie z powrotem wycofuje się pod ścianę z rzędem wysokich, wąskich okien. Mężczyzna dyszy i kaszle, trzymając się za skopane żebra. William kładzie dłoń z przyciskiem obok uda, na podłodze. Ciężko oddycha, jego ciało aż rwie się do działania.

– Twoja wina – głośno sapie Stevie. Wysiłek fizyczny powinien go uspokoić,

ale on sprawia wrażenie pobudzonego. Ciężko dyszy, jego ręce podrygują, głos się łamie.

Żona starszego mężczyzny klęka, wyciąga ręce do męża, który oddycha z trudem.

– Nieprawda – zwraca się do Steviego. Wzrok ma zimny jak lód. Gdyby mogła, zabiłaby Steviego i nigdy nie dręczyłyby jej wyrzuty sumienia. William czuje, że ją polubił.

– Zamknij się, ty stara dziwko – syczy Stevie. Wykrzywia usta w dzikim uśmiechu. – To twoja wina.

William czuje, jak na dźwięk brzydkiego słowa Shandi jeszcze mocniej przytula synka.

Kasjerka znowu spuściła głowę. Płacze, z rękoma bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Szlocha, jej ramiona podskakują, co przyciąga spojrzenie Steviego.

– Chcę do domu – łka. Łzy zalewają jej twarz, nawet nie próbuje ich ocierać.

Na piersi ma wytatuowanego ptaszka z kreskówki. Kolejne upierzone stworzenie, żółte i wesołe, podskakujące na piersi unoszącej się od szlochu.

– Nawet o tym nie myśl – warczy Stevie wściekle. Spogląda na Shandi i jej ogromnookie dziecko, któremu w końcu udało się podnieść głowę. Wygląda spod pachy matki. – To oni, nie ja. Bogate świnię.

Wolną ręką macha w stronę mężczyzny i kobiety, tulących się do siebie. Kasjerka płacze dalej. Stevie odwraca się do małżeństwa i pryska śliną, mówiąc:

– Ile ich macie, tych stacji benzynowych? Z dziesięć? No, ile? – Jego pytanie nie jest retoryczne. Robi w ich stronę gwałtowny ruch, jakby chciał wykopać odpowiedź z mężczyzny. William przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, mocno, lecz spokojnie ściskając w dłoni przycisk do papieru. Jest ciężki i twardy, większy od piłki do softballa, idealnie pasuje do jego dłoni. Pomarańczowa gerbera leży w jej wnętrzu.

– Sześć – odpowiada starsza kobieta, a jej nozdrza rozdymają się gniewnie.

– Aha, sześć – niemal warczy Stevie. – Zarabiacie kupę szmalu, a nawet nie pracujecie. Od tego macie ją, nie? – Wskazuje kciukiem na płaczącą kasjerkę. – Ją i innych roboli. Ile zarabiają, co? Stawkę minimalną? Może na święta dostaną darmowy soczek? Wpadacie tu w cadillacu po swój szmal. Siedzicie w swojej wypasionej chałupie i każecie płacić takim gościom jak ja pięć dolców za paczkę

fajek. Macie wszystko. A co ma taki gość jak ja? No?

– Broń – odpowiada kobieta, nie dając się zastraszyć. – Ale nie ma serca. Ty bezwartościowy śmieciu.

Na te słowa Stevie gwałtownie się prostuje. Machając rękami, robi kolejny gwałtowny krok w ich stronę. Z twarzą wykrzywioną, zębami obnażonymi w pokazie dominacji, która w porównaniu z trzymaną przez niego bronią wydaje się absurdalna.

Odgłos odbezpieczanego rewolweru jest ogłuszający. To dźwięk, który pożera wszystkie inne dźwięki w tym pomieszczeniu. William czuje, że ziemia zaczyna wolniej się obracać, jego percepcja czasu ogranicza się do pojedynczego uderzenia serca. Widzi dłoń, którą odważna kobieta wyciąga do męża. Stevie trzyma broń z tak wyraźnym morderczym zamiarem, że William nie potrzebuje pomocy, żeby odczytać jego intencje. Starszy mężczyzna leży twarzą do dołu na kolanach żony, ale jednocześnie też wyciąga do niej rękę. Zamyka oczy. Ona nie.

William już wykonuje ruch, jego potężne, wysportowane ciało wyprzedza umysł, usta mówią do Shandi „schyl się” i William poddaje się woli ciała.

Doskakuje do ściany, zanim Stevie zdąży się zorientować, co się dzieje. Odwraca się i wychyla do przodu, zapiera się stopami i rzuca się na Stewiego. Jego dłoń z przyciskiem do papieru też się porusza, nabiera rozpędu, wkłada całą energię w zamach.

Jest w niespełna jednej trzeciej drogi, kiedy orientuje się, że źle obliczył. Przycisk z całą siłą jego potężnego ciała porusza się zbyt szybko. Ale jego ciało już nie da się powstrzymać, rzuca się do przodu. William nie może zwolnić jego ruchu ani zrezygnować z działania.

Stevie się odwrócił, ale marnuje cenny czas na uniesienie brwi. Otwiera usta tak przesadnie szeroko, że wygląda jak warzywo ze starej książki Williama. Rządki jest szczęśliwa. Bakłażan jest smutny. Ziemniak jest zdziwiony.

Stevie jest ziemniakiem.

Pistolet celuje teraz w podłogę. Druga dłoń Stewiego rozluźnia uchwyt i telefon na ułamek sekundy nieruchomieje w powietrzu, a po kolejnej nieskończonej długiej sekundzie ulega prawu grawitacji i ląduje na podłodze. Dłoń z pistoletem zaczyna się poruszać, ale nie próbuje w nikogo wycelować. Podnosi się obronnym ruchem, jakby blade, miękkie przedramię Stewiego mogło

powstrzymać Williama, zahamować wściekłą energię jego szarży.

Kiedy przycisk trafia w cel, aparat rozbija się o podłogę, więc tylko William słyszy trzask kości, kiedy przycisk do papieru uderza w bok głowy Stewiego. Stevie nieruchomieje wciąż z tą samą miną i wtedy czas odzyskuje naturalny rytm. Stevie pada na podłogę, twarzą do dołu. Siła zamachu odrzuca Williama na ścianę. Tam William się zatrzymuje. Stevie leży tam, gdzie upadł, nieruchomo, z otwartymi oczami, patrząc w górę niewidzącym wzrokiem.

Wszyscy wstrzymują oddech. Rewolwer leży przy bezwładnej dłoni Stewiego.

William nadal ściska przycisk do papieru. Patrzy na Stewiego, któremu zupełnie nie udało się go zastrzelić. Nawet raz go nie postrzelił.

William kręci głową. Był taki pewny. Takie było jego przeznaczenie według jego definicji, coś, co się wybiera. Coś, do czego się nieustępliwie dąży, pokonując po drodze wszystkie przeszkody. William opiera się o ścianę, dysząc ciężko pod wpływem adrenaliny.

Kasjerka przestała płakać. Ucichła, prawie tak samo jak Stevie.

Shandi klęka, patrzy na Stewiego, ale oczy dziecka w ciemnej oprawie rzęs wpatrzone są w Williama. Chłopczyk z powagą zaciska usta. William przesuwając się wzdłuż ściany, aż dociera do kąta. Próbuje zrozumieć, co się dzieje z jego twarzą.

Pomidor czuje ulgę. Cytryna jest rozczarowana.

Jego umysł zastyga. Przypomina mu się, że w dzieciństwie szalenie go niepokoiło, że wiele z obrazków, które jego terapeuta nazywał „portretami warzyw”, w rzeczywistości przedstawiało owoce.

Przed Circle K rozlega się donośny głos z megafonu:

– Tu policja. Proszę odebrać telefon. Chcemy tylko porozmawiać.

Rozlega się stłumiony dźwięk. Najwyraźniej roztrzaskała się tylko obudowa telefonu. Słuchawka leży gdzieś pod Steviem.

Pierwsza rusza się starsza kobieta. Puszczając męża, który się zwinął w kłębek, chroniąc zębra. Kobieta szybko się podnosi. William myśli, że będzie chciała włożyć rękę pod Stewiego, wyciągnąć słuchawkę i odebrać telefon, powiedzieć policjantom, że już mogą wejść. Ale ona tego nie robi. Truchtem podbiega do Stewiego i kopie go w dłoń, tę, która trzymała pistolet.

William sobie uświadamia, że tak policjanci robią w filmach. Kiedy

podejrzany pada na ziemię, kopią pistolet. Kobieta nie trafia, a William odzywa się, czym zaskakuje samego siebie:

– Czekał. – Drugie kopnięcie jest celne.

Zardzewiały srebrny rewolwer przesuwa się po podłodze. Najwyraźniej kobieta tym razem trafiła, bo kiedy pistolet wiruje, rozlega się potwornie głośny huk.

Interesujące. William czuje jakiś dźwięk wewnątrz, ciche echo wystrzału z pistoletu. Nagle bardzo szybko siada.

Czuje, że jego ciało się trzęsie – ze śmiechu. Ten odgłos brzmi nienaturalnie, chrapliwie, i William uświadamia sobie, że nie śmiał się już od bardzo dawna.

– O Boże – mówi Shandi. Wstaje i podbiega do niego, z synkiem na rękach. Stawia go na podłodze, opada na kolana obok Williama i woła przez ramię do starszego mężczyzny: – Daj mi swój sweter!

William zgina się i osuwa na bok, na podłogę przy ścianie. Może Shandi chce przykryć swetrem twarz Steviego. To wcale nie jest śmieszne, ale William nie może powstrzymać ataku śmiechu.

Śmieje się tak bardzo, że aż go boli, pali w boku.

Shandi pochyla się nad nim i wpatruje w jego twarz, dalej domagając się swetra.

William w jakiś sposób przewraca się na plecy. Może to ona go przewróciła?

– Przeznaczenie – mówi do Shandi.

Może za bardzo się śmieje, więc Shandi go nie rozumie. A może nie. Może po prostu Shandi nie wie, że to żart. Próbował podnieść zgięty palec, ale nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie. Przestaje się śmiać i patrzy w sufit. To zwykły sufit z jarzeniówkami wmontowanymi w płytki. Na Williama pada snop złotego światła. Nie pędzi ognisty rydwan, który zabierze go do nieba.

Jego oczy bardzo pragną się zamknąć. Pozwala im na to.

5

Piętnaście sekund temu William był niezwyciężony. Shandi jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś tak się poruszał. Po co mu mówiłam o tej szafce? Jakby w ogóle potrzebował pistoletu. Zaatakował jak zwierzę na Discovery Channel, wyskakujące z wysokiej trawy. A teraz miał dziurę w boku, z której ciekła krew – jak u zwykłego śmiertelnika. Jak to możliwe, że tak zwyczajnie, po ludzku został postrzelony?

Robił długie, chrapliwe wdechy i szybko z powrotem wypuszczał powietrze. Ja nie potrafiłam tak głęboko zaczerpnąć powietrza. Miałem gardło ściśnięte, więc tylko płytko wciągałam małe dawki tlenu.

Wtedy powiedział mi jedno słowo: „Przeznaczenie”, a ja poczułam, że mój oddech i bicie serca ustają, wszystko we mnie na sekundę znieruchomiło, bo dawał mi znak, że wie. On też poczuł to coś między nami.

Starsza kobieta próbowała podać mi sweter męża. Spojrzałam na nią pustym wzrokiem, po czym uświadomiłam sobie, że sama się go domagałam.

– Idź po pomoc – poprosiłam. Wzięłam sweter i przycisnęłam go mocno do dziury pod żebrami Williama. Wiśniowa czerwień krwi wsiąkała w cytrynową bawełnę.

Moja matka ostrzegawczym tonem mawiała: „Żółty i czerwony, facet szuka żony”, kiedy zakładałam tę głupią sukienkę w maki. Pomyślałam: Teraz ten sweter, który do niego przyciskam, ma takie same kolory. Zupełnie jakbyśmy już byli jedną z tych okropnych par, które podobnie się ubierają.

Na zewnątrz policjant z megafonem mówił mnóstwo różnych rzeczy, ale wszystko to brzmiało jak niezrozumiały bełkot, jak gdyby nauczyciel Charliego Browna usłyszał odgłosy strzelaniny i teraz ciskał się i ryczał, pytając Snoopy'ego, co, do diabła, się dzieje w tej psiarni. Krew Williama, wolno przesiąkająca przez sweter, była tak bardzo czerwona. Nie chciałam, żeby Natty

na to patrzył, ale on sam odwrócił wzrok. Podążyłam za jego spojrzeniem i mój wzrok padł na Steviego.

Stevie przedstawiał bardzo, bardzo nieprzyjemny widok. Leżał zupełnie nieruchomo. Miał wgłębienie w głowie i otwarte oczy. Nie oddychał.

I dobrze – pomyślałam mściwie. Żałowałam tylko, że to nie ja go zabiłam, jak wściekłego psa, zamiast wisieć wysoko na wymyślonej huśtawce i beczynnym patrzeć na te wszystkie okropieństwa.

– Natty – powiedziałam. – Natty! – Potrząsnął głową, jakby się budził, spojrzał na mnie i zamrugął oczami. Zmusiłam się do uśmiechu. – Wszystko w porządku, synku. Już jesteśmy bezpieczni.

Ktoś powinien wyprowadzić go na prawdziwy świat, do trwałych rzeczy, które należały do nas – jego koszyka z matchboxami, mojego żółtego jak słońce volkswagena, naszego Walcotta. Ktoś powinien wezwać pomoc do Williama. Miałam nadzieję, że ktoś to zrobił. Ja musiałam mocno uciskać dziurę, czując, jak przy oddechu klatka piersiowa Williama się unosi, jakby w odpowiedzi. Jego oczy się zamykały.

– William, spójrz na mnie! – Nie posłuchał mnie. Czułam, że nie powinnam pozwolić, żeby odpłynął w sen albo jakiś rodzaj ciemności. Zbliżyłam twarz do jego twarzy i poprosiłam: – Powiedz coś. Jaki mamy dzień? – Głupie pytanie, sama nie pamiętałam daty. Nigdy nie pamiętałam. Czasami nawet źle podawałam rok na czekach.

On jednak odpowiedział chrapliwie:

– Piątek.

Otworzył oczy i skupił wzrok na mojej twarzy. Nadal był ze mną.

Na zewnątrz policjant z megafonem umilkł. Znowu rozległ się dźwięk telefonu, stłumiony przez ciało Steviego. Nie zamierzałam go wyciągać.

– Mów dalej – powiedziałam. – Gdzie mieszkasz?

– W Morningside. – Na wydechu szybko dodał coś, co zabrzmiało jak „koło Śniętego Parku”, ale pewnie się przesłyszałam.

– Gdzie pracujesz? Czym się zajmujesz?

– Researchem.

Zamrugłam oczami.

– W bibliotece?

– W laboratorium. Terapia genowa.

Naukowiec? Wyglądał raczej jak drwał albo leśniczy.

– Gdzie pracujesz?

– Geneti-Tech. – Kojarzyłam tę nazwę. To ogromna firma w Atlancie. Ich niepokojące logo było widać wszędzie. Słowa „Jedzenie-Medycyna-Życie” otaczały pomidora ze skrzydłami – wizualny dowód na to, do jakiego stopnia są skłonni nagiąć naturę. Trudno mi było wyobrazić sobie Williama, tak opalonego i ze spłowiałymi od słońca włosami, w jakimś sterylnym pomieszczeniu, w fartuchu laboranta, klonującego owcę.

– Umierasz? – spytał Williama Natty. Nadal trzymał ptaszka z papieru, ale patrzył na zakrwawiony sweter. Żółty i czerwony, facet załatwiony – pomyślałam, ale to była inna rymowanka, która miała przypominać Natty’emu, które węże są niebezpieczne.

William znowu przeciągle, chrapliwie wciągnął powietrze.

– Jestem tylko lekko ranny – powiedział na wydechu.

Sprawa wrażeń tak spokojnego. Może był w szoku? Czy kula trafiła w jakiś ważny organ? Nie widziałam, jakie narządy znajdują się w miejscu, w które został postrzelony. Za nisko na płuca. Za wysoko na jelita. Dlaczego w liceum prosiłam Walcotta, żeby robił za mnie sekcję żaby? Typowe.

Uświadomiłam sobie, że jeszcze pięć sekund, a zupełnie mi odbije. Panika narastała we mnie jak fala powodziowa. Byłoby cudownie, gdyby mi odbiło, wręcz luksusowo. Chciałam w histerii rzucić się na ziemię, zacząć płakać i pozwolić, żeby ktoś inny mocno wciskał ręce w ten żółty sweter, ratował Williama, brudził sobie dłonie jego ciepłą, czerwoną, żywą ludzką krwią. Ale Natty miał ściągniętą, bladą twarz. Patrzył na mnie. Już i tak przez cały napad siedziałam beczynnym, nie zrobiłam nic, żeby go uratować. Musiałam bardziej się postarać. William powiedział mi „przeznaczenie” i przyjął na siebie kulę. Musiałam stać się lepszą osobą, godną Williama, taką, która potrafi ochronić swojego syna, i to już, w tej chwili.

Kątem oka dostrzegłam kasjerkę Carrie. Poruszała głową. Najpierw spojrzała na Steviego, potem na Williama, i znowu na Steviego, jakby między nimi przeskakiwała niewidzialna piłeczka tenisowa.

Klatka piersiowa Steviego drgnęła. Wciągnął powietrze. Rozległ się

bulgoczący, lepki dźwięk. Pomyślałam, że do końca życia będzie mnie prześladował w każdym koszmarnym śnie.

Przycisk do papieru leżał obok, gerberą do góry, niestosownie wesoło. Stevie miał otwarte oczy, ale wzrok pusty, a nawet nieżywy, chociaż przed chwilą odetchnął. Wyglądał, jakby ktoś mu wprawił szklane oczy. Zrobił wdech, ale było oczywiste, że Stevie-Który-Dziś-Miał-Zaszczyt-Wziąć-Nas-Jako-Zakładników nie wstanie i nie wróci do wykonywania swoich obowiązków.

Ale może to było oczywiste tylko dla mnie. Kiedy Stevie złapał kolejny bulgoczący oddech i jego klatka piersiowa znowu się poruszyła, Carrie otworzyła usta i wydała z siebie upiorny wrzask. Popędziła do drzwi i zaczęła się mozolić z tą absurdalną zasuwką, którą zamknął Stevie, zanim przycisk do papieru zrobił mu wgniecenie w głowie. Carrie szeroko otworzyła drzwi i wybiegła, a jej zwierzęce wycie przemieniło się w ludzkie słowa: „Na pomoc, na pomoc, na pomoc!”.

Dudnienie jej kroków ucichło i rozległ się brzęk dzwoneczków, kiedy szarpnęła drzwi wejściowe. Przestraszyłam się, że policja niechcący ją zabije, ale nie usłyszałam strzału. Może podniosła ręce do góry, a może policjanci byli dobrzy i mądrzy.

Natty spytał Williama:

– Czy rana postrzałowa boli?

Ze zmartwienia aż mi ciarki przeszły po plecach. Mój trzyletni Natty często wysławiał się jak czterdziestoletni księgowy. Zdarzało mu się powiedzieć: „Muszę się trochę pozbierać” albo „Wspinaczka na to wzgórze jest wyczerpująca”. Od ponad roku poprawnie odmieniał wszystkie słowa.

– Trochę – odparł William.

Na jego czole i górnej wardze pojawiły się krople potu, chociaż ja sama drżałam z zimna. Nie wiedziałam, które z nas ma rację: czy jest zimno, czy gorąco. W jego gorącej ranie czułam bicie serca. Było równe i silne. Wydawało się niepowstrzymane. A zaledwie przed chwileczką rzucił się przez pokój niczym jakiś ogromny drapieżnik. Wydawało mi się, że nie da się go zastrzelić, a patrzcie, co się stało.

Dzwoneczki przy drzwiach rozdzwoniły się jak szalone i usłyszałam tupot mnóstwa stóp zmierzających w naszą stronę. Cały tłum ludzi śpieszących nam

z pomocą.

– Już prawie są na miejscu. Trzymaj się – powiedziałam Williamowi.

– Nie, dziękuję – odparł.

Wpadli do środka, ogromna, chaotyczna fala ludzkich głosów i kolorów. Najpierw policjanci, szybko i ostrożnie, potem ratownicy medyczni i jacyś ludzie w mundurach, których nie rozpoznawałam, a jeszcze inni w cywilnych ubraniach.

Ratownicy zaroili się wokół Williama. Odsunął mnie z drogi jakiś facet w obszernej kurtce, w której wyglądał jak strażak. Był wysoki i bardzo spokojny. Przykrył nas kocami i spytał, czy jesteśmy ranni.

– Nic nam nie jest – odparłam. – Pomóżcie tylko Williamowi.

– Proszę się nie martwić – powiedział do mnie i Natty'ego. – Zaopiekujemy się twoim tatą, dobrze, kolego?

Zamrugłam oczami. Strażak myślał, że jesteśmy razem – ja, Natty i William. We trójkę wyglądaliśmy jak jedno. Jak rodzina.

Myślałam, że Natty wyprowadzi go z błędu, ale on tylko odwrócił się i pytająco spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami.

Odwzajemniłam jego spojrzenie i pomyślałam: przeznaczenie. Dlaczego William nie mógłby być nasz?

Czy taki mężczyzna mógłby należeć do mnie? Dzisiaj siedziałam na tyłku, przytulając swoje dziecko, i czekałam, aż zostanę zastrzelona jak mały, grzeczny króliczek. Co innego mogłabym zrobić? Miałam praktykę w byciu słabą. Pielęgnowałam w sobie tę cechę już około czterech lat, od chwili kiedy postanowiłam przyjąć Natty'ego jako dar niepowiązany z tamtą straszną nocą. Nie, nawet dłużej – odkąd zmusiłam Walcotta, żeby zawiózł mnie do domu, przemycił do środka i pilnował, żebym się nie wygadała.

Natty miał ojca człowieka. Kiedy teraz próbowałam go sobie wyobrazić, widziałam golema z ciastowatą twarzą z czerwonej georgiańskiej gliny, powstającego z ziemi wokół pufy i zostawiającego ślady swojego ciała na moim ubraniu. Wolałam, żeby pozostał bez twarzy, anonimowy i pozbawiony odpowiedzialności. To nie było w porządku. Nigdy nie powinnam do tego dopuścić. Powinnam ścigać go, odnaleźć, zdemaskować. Ja jednak udawałam, że nic się nie stało – dopóki Natty mi tego nie skomplikował.

I nawet wtedy siedziałam cicho. Nie zadzwoniłam na policję, nie próbowałam go powstrzymać przed ponownym zrobieniem tego, jeśli pragnął tego w swoim glinianym sercu. Nie przepracowałam w sobie tej traumy. Niczego się nie nauczyłam. Nie sprawiłam, że zapłacił za to, co zrobił. Cholera, nawet nikomu nie powiedziałam, że jestem w ciąży.

Walcott zrobił to za mnie. Przyszedł ze swoimi mamami, które patrzyły na mnie z troską, otuchą i miłością, kiedy Walcott zaczął mówić. Traktowały mnie jak swoją ulubioną siostrzenicę, odkąd skończyłam pięć lat i odkąd razem z Walcottelem dziewięć razy w ciągu jednego popołudnia biegaliśmy między ich pensjonatem a moim domem. Walcott usiadł między mną a nimi na naszej obitej lnem kanapie i opowiedział Mimmy o tym, jak znalazł mnie naćpaną i na wpół nagą za akademikiem na kampusie Emory. Zacinał się, a jego twarz przybrała barwę najczerwieńszej z czerwonych kredek.

Wcale go nie słuchałam. Nie mogłam znieść pełnych dobroci spojrzeń jego matek i nie mogłam spojrzeć na twarz mojej matki. Próbowałam przeniknąć wzrokiem zasłony. Wyobraziłam sobie łąkę za oknami, pełną postaci z bajek: gadających wiewiórek, małych faunów i nimf drzewnych. Wyobrażałam sobie, że rozsuwam zasłony, przechodzę między nimi na słońce, prosto w chmurę motyli, podczas gdy Walcott kończył moją brudną robotę. Mogłam się położyć na czarodziejskiej trawie i zawołać jednorożce. Dlaczego nie? Byłam w dziesiątym tygodniu ciąży, ale wciąż miałam w sobie to coś, czego potrzebowałam, by przyszyły.

Mimmy siedziała naprzeciwko nas, na krześle od kompletu, zupełnie sama. Wysłuchiwała Walcotta. Czułam się tak bezpiecznie na swojej łące, że ledwie ją usłyszałam, kiedy zaczęła krzyczeć.

– Co za gówno, co za gówno, co za paskudne gówno! – Nawet w gniewie słowa Mimmy brzmiały wykwintnie. – Zrobiłeś to. Zrobiłeś to!

Wyższa mama Walcotta, Aimee, wyciągnęła ręce, jakby się poddawała, i powiedziała jak najłagodniej:

– Charlotte, wiem, że jesteś bardzo zdenerwowana, ale Walcott mówi prawdę. Zawiozłyśmy Shandi do ginekolożki. Potwierdziła, że twoja córka jest w ciąży, ale jej błona dziewicza pozostała nienaruszona. Dr Kaye uważa, że chłopak, który podał narkotyki twojej córce, miał przedwczesny wytrysk w... ojej.

Przed, ale tak blisko, że...

Moja matka gapiała się na nią z szeroko otwartymi ustami. Z dziewięć razy zamknęła je i otworzyła, zanim odzyskała nad nimi kontrolę i mogła sformułować parę słów.

– Zabrałyście moją córkę do lekarza? Wy?

– Tak, zawiozłyśmy ją. Sama nas o to poprosiła.

Nadal leżałam na słońcu, wyobrażając sobie łąkę pełną czarodziejskich grzybów, gdzie nic, o czym mówiono, w żaden sposób nie wiązało się ze mną. Dzieci pewnie brały się z unoszących się w powietrzu magicznych żółtych pyłków z kwiatów wiśni. W pewnym sensie współczułam Mimmy. Żyła z klapkami na oczach w swoim przytulnym, koronkowym salonie, całym w odcieniach różu, kremu i złota. Podawała wszystkim herbatę z cukrem, jak zwykle nienagannie uprzejma, a oni śmieli jej powiedzieć coś takiego? Od lat, wbrew rozsądkowi, pozwalała Walcottowi przychodzić do swojego domu, a on teraz jej mówił, że jej córka zaliczyła wpadkę na imprezie, tak jak inne dziewczyny łapią przeziębienie.

Mimmy obnażyła zęby i ułożyła usta w kształt bynajmniej nie przypominający uśmiechu.

– Głupie jesteście czy co? Czy wiecie, że wasz syn pięćdziesiąt razy w tygodniu wymyka się z domu? Wiecie, ile razy go przyłapałam w pokoju mojej córki, i to po północy?

To mnie przywróciło do rzeczywistości. Ożyłam i powiedziałam, naprawdę wściekła:

– Mamo, ale zawsze miał na sobie spodnie.

Mimmy odwróciła się do mnie, mrużąc swoje cudowne oczy.

– Po co one tu w ogóle przyszły? Mogłaś przynajmniej sama mi wszystko powiedzieć.

Słuszna uwaga, ja jednak odwróciłam głowę i spojrzałam ponad jej ramieniem z powrotem na zasłony. Tym razem czułam, że za nimi znajduje się tylko nasz mały trawnik.

Niższa matka Walcotta, Darla, powiedziała:

– Zdaniem naszej lekarki nikt nie współżyje z twoją córką. Z pewnością nie nasz syn. Walcott jeszcze nie jest aktywny seksualnie.

Aimee dodała:

– Darla, myślę, że nie powinniśmy opowiadać o życiu seksualnym Walcotta.

– Oczywiście. Mówię tylko, że jeszcze go nie ma. – Darla wygładziła na nogach spódnice w indiański wzór.

Walcott odwrócił się do mnie i powiedział cicho lekkim tonem:

– Mam ochotę umrzeć. A ty?

– Dziesięć minut temu – odparłam. Wszystkie trzy matki rozmawiały dalej.

Aimee znowu zwróciła się do Darli:

– Kiedy przyjdzie czas, sądzę, że Walcott będzie chciał z nami o tym porozmawiać. Ale musimy szanować jego prywatność. – Potem zwróciła się do mojej matki: – Powiem jedno: zawsze dawałyśmy mu prezerwatywy. Całymi garściami.

– Poza tym to było w Atlancie – wtrąciła Darla. – Walcott był w innym stanie.

Mamę dosłownie wbiło w fotel. Znieruchomiała, zamrugała oczami, jej święte oburzenie nieco przygasło. Ta informacja wcale jej nie zachwyciła, nic podobnego. Ale zauważyłam cień schadenfreude, kiedy uświadomiła sobie, że działo się to, kiedy byłam pod okiem taty.

– Czy jej ojciec o tym wie? – spytała i wyprostowała się nieco, kiedy Aimee pokręciła głową. – Kiedy dokładnie to się stało? – spytała mnie, ale ja odwróciłam wzrok, jakby to wszystko nie mnie dotyczyło. Mama zwróciła się z powrotem do Aimee: – Wiecie? Kiedy? W którym miesiącu ona... Czy chce...?

Nie potrafiła nawet tego sformułować, ale niepotrzebnie się martwiła. Gdybym zdecydowała się na aborcję, nie dopuściłabym do tego, żeby Walcott jej powiedział, że jestem w ciąży. Przerwanie życia tej malutkiej kijanki, która tak pracowicie przemieniała się w Natty'ego – to wydawało mi się nie fair. Nie znałam tego człowieka, który zapuścił we mnie korzenie, ale jego obecność była psikusem, który zrobiono nam obojgu, wspólnie.

– Shandi nie bierze tego pod uwagę – odparła Aimee.

– Chociaż może powinna – dodała cicho Darla.

Mówiłaby dalej, gdyby moja matka jej nie przerwała:

– Powiedziała „nie”. Do niczego jej nie zmuszaj.

Darla podniosła rękę.

– Nie zmuszam, chciałam tylko, żeby znała wszystkie opcje.

Mimmy odparła lodowatym tonem:

– Zna swoją chrześcijańską opcję.

Aimee wtrąciła pojednawczym tonem:

– Nie chcemy naruszać żadnych granic. Shandi już podjęła decyzję, którą powinniśmy uszanować i zastanowić się, co dalej. – Próbowała pomóc wszystkim w szybkim przejściu po niepewnym gruncie i powrocie do dobrych manier. Wychyliłam się w stronę Walcotta i szepnęłam z desperacją:

– Zadzwoń do mojego taty i mu powiedz. Szybko.

Walcott drgnął i odwrócił się do mnie.

– Kurde, poważnie? – syknął.

Kiwnęłam głową. Jeżeli pozwolę, żeby mama go poinformowała, zyska kolejną broń w niekończącej się wojnie. Zasugeruje, że nigdy nie zaszłabym w ciążę tutaj, gdzie czujna Trójca obserwowała mnie trzema parami oczu. W Atlancie pojedynczy judaistyczny Bóg na chwilę przymknął oko. Nie mogłaby się temu oprzeć.

Gwoli sprawiedliwości w odwrotnej sytuacji tata znalazłby podobną niewielką otuchę, zrzucając całą winę na Jezusa. Oboje pochodzili z bardzo religijnych rodzin, ale kiedy poznali się w college'u, te tradycje nie wydawały się im ważne. Cała czwórka rodziców wywierała na nich ogromną presję, której oparli się z równie wielką mocą. Uciekli z domu, mając zaledwie po dwadzieścia lat. Byli sami przeciwko całemu światu, dopóki ja się nie pojawiłam. Wiem, że wszystkie dzieci obwiniają siebie, kiedy ich rodzice się rozwodzą, ale w moim wypadku to rzeczywiście była prawda. Poróżniła ich kwestia, w jakiej wierze mnie wychować. Ich rodziny poszerzały pęknięcie, jakie spowodowałam w fundamentach ich małżeństwa, aż w końcu się rozpadło.

Nie odwracając wzroku, szepnęłam z naciskiem:

– Nie chcę, żeby pierwsza mu powiedziała, nie dam jej tej satysfakcji. Już nigdy więcej nie mogłabym na nią spojrzeć. Musiałabym uciec do Nowego Jorku, zostałabym prostytutką, zjadłabym pół kilo heroiny i umarła.

Walcott z niewyraźną miną przełknął ślinę, ale zrozumiał, o co mi chodzi. Jak zawsze.

– Nie możemy do tego dopuścić.

Podalam mu swoją komórkę.

Wstał, powiedział „toaleta” trzem parom oczu matek i wyszedł z pokoju.

Wszystkim się zajął. Znowu. Nie musiałam nawet próbować nie słuchać, a już tym bardziej się tłumaczyć. Nigdy. Ani razu. Po prostu czekałam, tak jak dzisiaj, aż dostanę kulkę.

Spojrzałam na ręce umazane krwią Williama i zrozumiałam, że już nigdy nie będę siedzieć cicho i bezradnie. Nie mogę dłużej być taką osobą. Natty zasługuje na więcej. Ja też.

– Gotowi? – spytał strażak. – Wynosimy go.

Wzięłam Natty’ego na ręce i poszłam za strażakiem do Williama, który już leżał na noszach. Po jednej stronie stał ratownik medyczny z torbą płynów, które spływały do ręki Williama. Z drugiej strony było miejsce dla mnie. Przeznaczili je dla mnie, dla żony Williama, jakbyśmy występowali w telewizyjnym serialu o szpitalu.

Kiedy ruszyliśmy, spojrzał na mnie. Wiedziałałam, że też poczuł, jak we trójkę do siebie pasujemy. Jakie to właściwe. Nawet w tym tłumie zabieganych obcych ludzi strażak i ratownicy medyczni od razu zrozumieli, że jesteśmy razem. Położyłam dłoń na jego cieplej, nagiej piersi, po niepostrzelonej stronie, tak jak by to zrobiła żona. Dlaczego nie? Takie było nasze przeznaczenie. On tak powiedział, a ja uznałam, że na to zasługuję. Dziewczyna, która wychodziła z Circle K z Williamem Ashe’em, nie była tą, która obudziła się z rozłożonymi nogami na pufie, bezbronna i bezradna.

*

Opuściłam dach garbusa, a za kierownicą usiadł Walcott, głównie dlatego, że policjant, zatrważająco podobny do Samuela L. Jacksona, powiedział, że nie powinnam prowadzić. Ja jednak wcale nie byłam roztrzęsiona. Mogłabym pofrunąć do domu jak na skrzydłach.

Walcott jechał szybko. Kiedy tylko znaleźliśmy się na autostradzie, wyrzuciłam ręce w powietrze, łącząc palce. Wiatr napierał na moje dłonie, a ja stawiałam mu opór.

– Spieprzaj, wietrze! – wrzasnęłam. – Jestem silniejsza od ciebie.

– Wyluzuj, cukiereczku – powiedział Walcott z szerokim uśmiechem. Pytając uniosłam brwi, a on wyjaśnił: – Zachowujesz się jak dziecko, które zjadło za dużo słodyczy. – Wskazał kciukiem na tylne siedzenie, gdzie leżał Natty. Powieki mu opadały ze zmęczenia. – Odpływa. Przycisz się trochę, to zaraz zaśnie.

– Racja – zgodziłam się, ścisząc głos. – Natty był tak wykończony, że miał różowe kręgi wokół oczu. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że dzisiaj uratowałeś komuś życie?

Walcott pobiegł do samochodu po jeden z moich ręczników plażowych i przycisnął go do krwawiącego ramienia policjantki. Dziwny zbieg okoliczności, bo niedługo potem zrobiłam właściwie to samo Williamowi. Tego dnia oboje musieliśmy udzielić pierwszej pomocy, której to niby się uczyliśmy w szkole, cały czas przekazując sobie liściki.

Może Ranna Policjantka była młoda, urocza i piękna. Naprawdę nie pamiętam, jak wyglądała, poza tym że na jej jasnoniebieskim mundurze wykwitł czerwony mak. Może Walcott już ją potajemnie kochał, rzucił CeeCee, wytropił Ranną Policjantkę i poezją przekonał ją, by odwzajemniła jego miłość. Moglibyśmy mieć podwójny ślub. Mój zdradziecki mózg dodał: Jeżeli William przeżyje – na którą to myśl moje serce zapikało histerycznie.

Zajęty ratowaniem policjantki, Walcott zadzwonił tylko na policję. Nie do Mimmy, nie do mojego taty, nawet nie do własnych matek. Nie pomyślał o tym nawet wtedy, kiedy kawaleria policjantów już przybyła z pomocą.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytałam, kiedy pędziliśmy autostradą do taty i Bethany, straszliwie spóźnieni. Samo bycie zakładnikami nie zajęło nam aż tak wiele czasu. To robota papierkowa wpłynęła na nasz rozkład dnia. Musieliśmy poczekać, aż starszy policjant, ten niepokojąco podobny do Samuela L. Jacksona, będzie gotowy spisać moje zeznania.

– Byłem zajęty – odparł tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

– Czym?

– Modlitwą. – To mi zamknęło usta.

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Walcott, syn dwóch lesbijek z obsesją na punkcie jogi, niby buddysta, mógłby się modlić. Już bardziej pasowała do niego medytacja. Zachichotałam, kiedy wyobraziłam sobie, jak siedzi po turecku

z dłońmi złączonymi na sercu, próbując wymantrować moje bezpieczeństwo.

Natty zasnął – głęboko, szybko – trzy minuty później. Jechaliśmy dalej, milcząc, żeby go nie obudzić, ale w mojej głowie aż się kotłowało od planów. William z tego wyjdzie. Uzdrowię go swoją wiarą w to, że musi żyć. Gdyby miał teraz umrzeć, to po co przeznaczenie połączyło nas w Circle K? William się wyliże z ran, pójdę do niego i mi pomoże. Nie byłam pewna, czym się zajmuje doradca genetyczny, ale geny były jedynym tropem, który mógł mnie doprowadzić do ojca Natty'ego. Ostatecznie William zakocha się we mnie nad swoim mikroskopem elektronowym, pomagając mi odnaleźć sprawiedliwość.

Natty nawet się nie obudził, kiedy dojechaliśmy do domu taty. Wyjęłam go, śpiącego, z samochodu. Leżał w moich objęciach, z głową na moim ramieniu, zupełnie bezwładny i śliniący się we śnie, jak to robią tylko koty i malutkie dzieci.

Bethany otworzyła drzwi z pretensjonalnymi chińskimi dzwoneczkami i stanęła w progu, obrzucając mnie lodowatym wzrokiem, ze szklaneczką ginu z dietetycznym tonikiem w perfekcyjnie wymanikiurowanych szponach.

– Patrzcie, kto nas wreszcie zaszczyił swoją obecnością – powiedziała.

Było po kolacji, chłopcy już spali na piętrze, a Bethany nadal prezentowała idealny makijaż, idealną fryzurę i idealnie dyskretną, obrzydliwie drogą biżuterię. Przypominała swój dom – drogi i elegancki, ale w ogóle nieprzytulny. Właściwie nie była piękna, ale nikt tego nie dostrzegał, bo zawsze robiła się na błysk, a do tego miała kościstą figurę pozbawioną krągłości, dosłownie stworzoną do noszenia ubrań. Przy niej zawsze czułam się dupiasta i piersiasta i w ubraniu poplamionym jedzeniem.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj ona wyglądała jak kość wybielona przez słońce z kłębem czarnych włosów na końcu, a ja byłam pełna życia.

– Przepraszam... – zaczęłam.

Ale ona już się odwracała. Jej obcasy zastukały na nieskazitelnej podłodze z terakoty, kiedy się przesunęła, żeby nas wpuścić.

– Shandi, nie musisz przeproszać – rzuciła przez ramię. – Wolałabym, żebyś była uprzejma i rozważna. Chciałabym, żebyś rozumiała, że inni ludzie, choć może wydawać ci się to niedogodne, mają swoje życie i swoje plany, które niekoniecznie kręcą się wokół ciebie. To by było o wiele bardziej pożyteczne niż

zwykle przeprosiny. – Mówiła lodowatym, pouczającym tonem, ale mnie nie oszukała. Pod tym chłodem kryła się pełna świętego oburzenia wściekłość. – Na przykład ja dziś po południu planowałam zajęcia pilates. Tylko wtedy mam czas dla siebie. Mogę się zająć sobą, odstresować, ale zamiast tego w nieskończoność czekałam tu na ciebie.

Tata chyba nas usłyszał. Wszedł do holu w swobodnym stroju: dżinsach i miękkiej, bawełnianej koszuli.

Cmoknął śpiącego Natty'ego w głowę, pociągnął mnie za włosy i powiedział łagodnie:

– Mała, martwiliśmy się. – Nie był na dyżurze. W jego oddechu wyczułam zapach szkockiej i dobrego cygara, a z salonu przed nami dochodziły odgłosy wiadomości telewizyjnych. Ciepłe tatowe zapachy i dźwięki. – Położyć Natty'ego na kanapie? Śpi jak kamień.

– Tak, proszę – powiedziałam. – Natty waży chyba ze dwieście pięćdziesiąt kilo. Może od razu położyć go do łóżka? Tato, myślę, że dziś nie damy rady dokończyć przeprowadzki. Natty jest wykończony.

– Jasne. To żaden problem, jeżeli zostaną na noc, prawda, B.? – rzucił tata, posyłając pogodny uśmiech również Walcottowi. Wziął ode mnie Natty'ego, który poruszył się i włożył do buzi palec wskazujący, jak wtedy, kiedy był jeszcze malutki. Tata skierował się do sutereny.

– Zobaczmy – powiedziała Bethany, a jej już i tak wąskie wargi zacisnęły się, tworząc ledwie widoczną kreskę.

Wiedziałam, że gdybym nie miała w kieszeni asa pod postacią tego, że nieomal zginęłam podczas napadu, za pół godziny z powrotem ruszylibyśmy w drogę, kiedy tylko zakończyłaby kazanie. A następnego dnia tata w ramach przeprosin przysłałby mi kucyka.

Bethany ciągnęła:

– Ojciec nie dał ci tego drogiego iPhone'a po to, żebyś grała w te zdenerwowane ptaki i wysyłała esemesy swojemu koledze. Dał ci go, żebyś mogła zadzwonić, gdybyś z jakiegoś niewyobrażalnego powodu spóźniła się prawie cztery godziny.

Bethany była w swoim żywiole, a im dłużej mówiła, tym szczęśliwsza się czułam, pławiąc się w strumieniu lodowatych inwektyw.

Walcott spojrział na mnie z uniesionymi brwiami. Wiedział, że w każdej chwili mogę przerwać ten wykład najlepszym usprawiedliwieniem na świecie: „Przepraszam, B., ale taki jeden facet z bronią nie pozwolił mi skorzystać z telefonu!” – ja jednak jeszcze tego nie zrobiłam.

Była mi winna za wszystkie te podłe kazania po tym, jak zaszłam w ciążę: „Shandi, rozpoczęcie życia seksualnego wymaga znajomości różnych rodzajów antykoncepcji, a także dojrzałości, by otwarcie porozmawiać o nich ze swoim partnerem...” – ja zaś nie mogłam się obronić i powiedzieć: „Myślisz, że nigdy nie ćwiczyłam zakładania prezerwatywy na banana na lekcjach biologii? Myślisz, że ja, córka lekarza, wierzyłam, że nie zajdę w ciążę, jeżeli po stosunku zrobię dwadzieścia podskoków?”. Nigdy się nie broniłam, bo Bethany nie wiedziała, w jaki sposób przytrafił mi się Natty.

Ta informacja pozostała w ścisłym kręgu: Walcott, Mimmy. Tata, który miał dość oleju w głowie, żeby nie dopuszczać do niej swojej drugiej żony. Aimee i Darla, które kochały mnie, odkąd byłam małą dziewczynką, i które, dla zasady, postanowiły pokochać również Natty’ego. Do tej pory nie pozwalałam nawet samej sobie o tym myśleć. Byłam po prostu kolejną licealistką, która zaliczyła wpadkę, z pewnością nie pierwszą w Lumpkin County czy Atlancie.

A teraz stałam w sklepionym, lodowato niebieskim holu Bethany, z sekundy na sekundę coraz bardziej pogrążając się w głupawce będącej postacią zespołu stresu pourazowego, zasługując na pocieszenie i szklaneczkę leczniczej whisky albo na relanium, którego Bethany miała niewyczerpane zapasy. Zamiast tego jednak byłam poddawana torturom.

Nie mogłam sobie odpuścić tej uczty. Posłałam Walcottowi spojrzenie telepatycznie mówiące: „Mój ukochany przyjacielu, idź pounosić brwi gdzie indziej, bo z nawiązką zasłużyłam na to, co wydarzy się za chwilę”.

Uśmiechnął się szeroko, milczeniem potwierdzając swój udział w moim planie, a Bethany ciskała się, pogrążając się coraz bardziej, aż wreszcie, wreszcie zadała mi pytanie za milion dolarów:

– Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Czekałam na nie jak gracz baseballa czeka na pewną piłkę.

– Napadnięto na mnie – odparłam z kamienną twarzą.

Walcott parsknął i lekko zgiął się w nagłym ataku kaszlu.

– To wszystko? Całe usprawiedliwienie. Napadnięto na ciebie?

Kiedy powtórzyła moje słowa, Walcottowi zupełnie odbiło. Już nie mógł dłużej udawać, że kaszle. Normalnie zawył ze śmiechu, a wtedy i ja dostałam głupawki. Zgięliśmy się w pól, rżąc ze śmiechu i trzęsąc się ja galareta, i nawzajem się podtrzymując, żeby się nie przewrócić. Wymodelowane brwi Bethany wędrowały coraz wyżej i wyżej w świętym oburzeniu. Na jej policzkach pojawiły się naturalne rumieńce, kiedy zorientowała się, że stała się ofiarą mojego okrutnego żartu.

– Napadnięto na ciebie. – Podniosła głos prawie do krzyku, bardziej niż kiedykolwiek, a Walcott zaczął śmiać się tak bardzo, że aż łzy trysnęły mu z oczu.

– Tak – potwierdził tata, który właśnie wrócił do holu. Miał bladą, ściągniętą twarz. Natychmiast przestaliśmy się śmiać. Wyprostowałam się, ale nadal przytrzymywałam się Walcotta. – Została napadnięta. Mówią o tym w telewizji. Shandi jest w telewizji.

– Co takiego? Co zrobiła? – dopytywała się Bethany, z każdym wyszczekiwany pytaniem głosem coraz wyższym i coraz bardziej przenikliwym. – Co takiego zrobiła?

Przepchnęłam się obok niej, ciągnąc za sobą Walcotta. Wszyscy poszliśmy za tatą do salonu. Rzeczywiście byłam w telewizji. Dziwnie się czułam, oglądając siebie na dużym, płaskim ekranie telewizora taty. Nie zauważyłam, że ktoś nas filmował. Kiedy wyszliśmy, kamera musiała się znajdować dosyć daleko, pewnie na parkingu przed Hardee's. Nie widziałam wozu transmisyjnego, zwłaszcza że wokół kręciło się mnóstwo policjantów. Przyjechała nawet jednostka antyterrorystów. Stali wokół swojej czarnej furgonetki, paląc papierosy.

Dało się rozpoznać mnie z Nattym, którego oparłam sobie na biodrze, pochyloną nad Williamem Ashe'em leżącym na noszach. Zobaczyłam swoją dłoń na jego piersi, blisko ramienia po niepostrzelonej stronie. Rozciąli mu koszulę. Tors miał porośnięty brązowymi włosami, spłowiałymi na słońcu, o jeden ton jaśniejszymi od opalenizny. Zacisnęłam dłoń w pięść, zamykając w niej wspomnienie dotyku jego skóry. Czułam się tak, jakbym dotykała mebla. Jego ciało nie stawiało żadnego oporu.

Reporter mówił:

– ... zakończony po dwudziestu minutach, kiedy jeden z zakładników zaatakował napastnika...

Jakie to dziwne oglądać siebie, jak dotykam Williama, i słuchać, jak reporter podaje nieprecyzyjną wersję tego, co przeżyłam. Znałam każdy szczegół tego, co się wydarzyło.

„Dobra robota” – powiedziałam Williamowi, chyba z dziewięćset razy. Jakby William Ashe był zawodowym obezwładniaczem napastników, a nie naukowcem.

Walcott prychnął.

– Wyglądasz, jakbyś chciała ucałować jego umierające usta, a potem złożyć go na stosie całopalnym i urządzić na parkingu pogrzeb w stylu wikingów.

Dopóki Walcott mnie nie rozśmieszył, nie zdawałam sobie sprawy, że wszystkie mięśnie mojego ciała są napięte jak postronki. Lekko stuknęłam go w ramię i powiedziałam:

– Weź się zamknij. – Ale on nie żartował.

Na ekranie Natty też się schylił, żeby dotknąć Williama. Poklepał go po ramieniu. Wiedziałam, co chciał przez to powiedzieć. Mówił Williamowi: „Zrobiłeś to, co Batman zrobiłby na twoim miejscu”.

Potem reportera zastąpiło drżące ujęcie nas przy ambulansie. Wiedziałam, co się wydarzyło potem. Wnieśli go do karetki, zamknęli drzwi i odjechali, bo nie byłam jego żoną. W każdym razie jeszcze nie.

– Shandi? – odezwał się dziwnym głosem Walcott. Wymówił moje imię tak spiętym tonem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszałam.

Głowę reportera znowu zastąpił inny obraz, prywatne zdjęcie zrobione w jakimś parku. Był na nim William, ale nie sam. Trzymał malutkie dziecko i siedział obok jakiejś kobiety.

Nagle bardzo się zainteresowałam, co powie reporter, więc oczywiście akurat w tej chwili Bethany postanowiła zacząć krzyczeć po całych latach wypowiedziania pogardliwych uwag uprzejmym, odpowiednio wymodulowanym głosem.

– Czy ty sobie, do cholery, żartujesz?! – Prawie wrzeszczała. – Napadnięto na ciebie, byłaś zakładnikiem i stałaś tam, stałaś w holu i pozwalałaś, żebyś mówiła i mówiła?! Żarty sobie stroisz, ty...

– Zamknij się! – ryknęłam. Na ekranie głupia blondynka opowiadała szalenie

ważne rzeczy o Williamie, ale Bethany ją zagłuszała. Potem mój tata się dołączył:

– Bethany! Przestań! Shandi jest w szoku. Przynies jej wody! Przynies jej wina!

– Cicho – poprosiłam, coraz bardziej zdesperowana. – Walcott, pogłośnij telewizor.

– Się robi! – Odwrócił się i zaczął szukać pilota wśród jedwabnych poduszek Bethany, którymi zawałona była kanapa.

– Nie, nie będę cicho! – Teraz Bethany zagłuszała tatę, mnie i telewizor. – Myślicie, że jestem jakimś potworem? Nigdy bym tego nie powiedziała, gdybym wiedziała, co się stało! Ale ty tylko słuchałaś!

Na ekranie William Ashe siedział na trawie. Był schludnie ostrzyżony i uśmiechał się poważnie, z rezerwą. Bosa dziewczynka, może półtoraroczna, spała słodko na jego kolanach. Jasnorude włosy zebrano jej w zwariowany kucyk na czubku głowy. O jego szerokie ramię, z nogami podwiniętymi pod siebie, opierała się uśmiechnięta ruda kobieta. Dziennikarz coś mówił. Usłyszałam „William Ashe”, „bohater” i „tragiczny wypadek”. Miał na myśli strzelaninę? Czy z Williamem wszystko było w porządku? Nie słyszałam, bo Bethany się darła. Normalnie się darła.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że napadnięto na ciebie?! Ukryłaś to! Celowo! Żeby zrobić ze mnie potwora! Co za perfidia! – Nie myliła się. To było prostackie i teraz dostawałam mocnego klapsa od karmy.

Ruda kobieta była panią Ashe. Bez wątplenia. Widziałam to po tym, jak pochylała głowę w jego stronę i wtulała w niego ramię. Nienawidziłam jej, troszeczkę, za to, że istniała.

– Walcott! – wrzasnęłam, próbując przekrzyczeć Bethany. – Pilot?

– ...cały dzień tu siedzę i czekam, a ona przychodzi, wiedząc...

– Shandi, kochanie, usiądź – powiedział tata. – Bethany, zamknij się.

– Wszyscy się zamknijcie! – zaskrzeczałam.

Podeszłam do telewizora i jeszcze przez kilka sekund wpatrywałam się w żonę Williama, zanim obraz się zmienił. Miała piegowatą, podłużną, kościstą irlandzką twarz, ale bardzo ładny uśmiech. Jej gęste, faliste włosy były przecudowne, ale nawet się nie umywała do Mimmy. Była jak ja: wystarczająco

ładna w prawdziwym życiu, niewystarczająco ładna w telewizji. Wyglądała jednak na szczęśliwą. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych. A jednak z jakiegoś powodu uważałam, że William Ashe nie jest już jej mężem. W Circle K wykazywał wszelkie oznaki tego, że niedawno, chociaż nie aż tak bardzo niedawno, się rozwiódł.

Zdjęcie zastąpiła blondynka ze smutną miną, ale nie za bardzo, żeby zmarszczki jej się nie porobiły.

– Jeżeli myślisz, że przeproszę...! – Bethany dalej się ciskała, tata próbował ją przekrzyknąć: – Cóż, Shandi na pewno nie musi cię przeproszać. Nikt tu nikogo nie musi przeproszać. – Ja mówiłam: – Przestańcie choć na chwilę się wydzierać. – A Walcott dalej grzebał wśród poduszek.

– Jest – powiedział w końcu i na ekranie z lewej do prawej wyrósł pasek głośności, który wypełnił się do samego końca.

Kiedy dźwięk został pogłośniony, dziennikarz ryknął:

– ... śmierć w tragicznym wypadku samochodowym dokładnie rok temu.

Zabrzmiało to tak potwornie głośno, że wszyscy w końcu się zamknęli, a ja odsunęłam się od telewizora, mrugając oczami, jakby te słowa dosłownie uderzyły mnie w twarz.

Kątem oka zauważyłam, że Walcott staje obok mnie, ale nie patrzył na ekran, patrzył na moją twarz.

– Walcott, proszę – odezwał się mój ojciec, bardzo głośno, przebijając się przez ryk telewizora, i Walcott ściszył dźwięk.

Kamera się cofnęła i pokazała blondynkę za prowadzącym program. Z udawanym współczuciem ściągała brwi.

– Co za ironia losu – powiedziała. – Stać się bohaterem, uratować innych ludzi w tak smutną rocznicę.

W tej chwili zrozumiałam, że jego żona nie żyje. Kiedy to do mnie dotarło, uświadomiłam sobie, że źle zinterpretowałam nieostrzyżone włosy i jaśniejszy pasek skóry na serdecznym palcu Williama. Nie był rozwiedziony, a ja tu stałam, przygryzałam dolną wargę i porównywałam swoją urodę z urodą nieżyjącej kobiety. Egoistycznie życzyłam sobie, żeby zniknęła, i nagle się okazało, że moje życzenie już dawno się spełniło. Zniknęła nie tylko ze zdjęcia, zniknęła na dobre. Poczułam się podle. Zerknęłam na Walcotta oczami, które

wypełniały łzy. Zobaczyłam, jak przetyka ślinę, a jabłko Adama przesuwa się w górę i w dół po długiej, wąskiej szyi. Jego spojrzenie, chyba po raz pierwszy w życiu, było dla mnie nieodgadnione.

Bethany gapiała się na mnie z furią wypisaną na twarzy, ale zamknęła jadaczkę, a mój tata wyglądał na wstrząśniętego.

Dziennikarz mówił dalej, tym razem o Steviem, pokazywał jego stare zdjęcie z kartoteki policyjnej. Powiedział, że Stevie miał przeszłość kryminalną, więc nic dziwnego.

Tak, byłam podłą zmiłą, ale przecież nie sprawiłam siłą woli, że jego żona zmarła. Powiedzieli, że wypadek zdarzył się rok wcześniej, nim go zobaczyłam. Musiał bardzo cierpieć, a tego nigdy bym nie chciała. Rozpaczliwie pragnęłam tylko jego.

Mógł być mój. To, że czułam się jak świnia, nie sprawiło, że przestałam go pragnąć dla siebie i Natty'ego. Nie sprawiło, że przestałam o nim rozmyślać. Może był samotnym rodzicem, jak ja. Może w ogóle był samotny, jak ja. Poczułam w brzuchu niestosowne łaskotanie. Może był świetny w łóżku. Nie tak jak ja, chociaż, do jasnej ciasnej, bardzo chciałam się tego nauczyć.

Ta dziwna pewność, że spotkałam miłość swojego życia, jeszcze bardziej się wzmocniła. William był smutną, tragiczną postacią i może potrzebował właśnie pomoc dziewczynie szukającej sprawiedliwości.

Wtedy przyszło mi do głowy, że to dziecko, córeczka, też mogła zginąć w wypadku. Zareagowałam na tę myśl, tak jak chyba większość rodziców by zareagowała. Posłałam ku niebu szybką modlitwę: „Błagam, nigdy, tylko nie moje dziecko”, połączoną z gorącym współczuciem, które cię ogarnia, kiedy się dowiadujesz, że komuś spełniły się twoje największe lęki i że dla niego to rzeczywistość, która się nie kończy.

Odezwał się we mnie instynkt macierzyński. Ta malutka dziewczynka z głupiutkim kucykiem na główce? Zginęła razem z matką. To dlatego William zareagował tak szybko, stając między pistoletem a Nattym. Bez namysłu razem ze mną stworzył nad Nattym namiot ze swojego ciała. Stracił własne dziecko, wiedział, jak szybko sprawy potrafią wymknąć się spod kontroli. Wiedział, że w ułamku sekundy można stracić wszystko. William rozumiał. Łzy trysnęły mi z oczu, szybko je otarłam.

– Córeczko. – Tata podszedł i mnie przytulił. – Co za dzień. Oczywiście zostanieie tutaj. Bethany, przynieś pościel na kanapę dla Walcotta.

Poczułam, że lodowaty wzrok Bethany staje się jeszcze zimniejszy, ale odwróciła się i poszła po pościel. Na ekranie pojawił się prezenter wiadomości sportowych, a mnie do głowy przyszła nowa okropna myśl.

– Muszę zadzwonić do Mimmy. Nie pomyślałam, że powiedzą o tym w wiadomościach. Byliśmy tam zaledwie... ile?... pół godziny?

– Bardzo długie pół godziny – powiedział Walcott ponurym głosem.

– Wyobrażam sobie. – Tata przytulił mnie jeszcze mocniej.

– O Boże, Mimmy nie może zobaczyć tego w telewizji, dopóki z nią nie porozmawiam – powiedziałam. – Chyba oszalałaby ze strachu.

Bethany wróciła z pościelą. Minęła nas w drodze do sutereny, ale zatrzymała się, kiedy usłyszała „Mimmy”.

– Nie zadzwoniłaś do niej z samochodu? – spytał tata. Pokręciłam głową. Poglądził mnie po plecach i bezwiednie lekko się uśmiechnął. – Nie przejmuj się. Gdyby to zobaczyła, twoja komórka już by się rozdzwoniła.

Wtedy zrozumiałam, że nigdy nie będzie miał mi za złe tego, że stałam w holu i pozwalałam, żeby Bethany na mnie krzyczała – bo nie zadzwoniłam do Mimmy. On dowiedział się pierwszy. Właściwie to Mimmy mogła mieć mi za złe, że przyjechałam do niego, zamiast poprosić Walcotta, żeby odwiózł mnie do niej.

Bethany powiedziała:

– Koniecznie powinnaś zadzwonić – z taką miną, jakby żywa mysz próbowała wyskoczyć jej z gardła. Próbowala z powrotem ją połknąć. Teraz, gdy już zapanowała nad nerwami, wiedziała, że zarobiłam dobre dziesięć punktów w niekończącej się grze w „kto jest świnią?”, którą zaczęłyśmy, kiedy tylko wyszła za mojego ojca. On był gospodarzem programu i sędzią, a także naszym jedynym widzem. – Natychmiast do niej zadzwoń.

Ale tata mi nie pozwolił.

No cóż, miałam za sobą fatalny dzień. Celowano do mnie z broni, bardzo bałam się o swoje dziecko, zakochałam się w rannym nieznanym z tragiczną przeszłością i postanowiłam zaryzykować wszystko, nawet spokojne, pozbawione ojca dzieciństwo Natty'ego, żeby tylko przestać zachowywać się jak

tchórz. Czasami, w takie dni, człowiekowi potrzebne jest zwycięstwo. Chociaż małe. Nawet jeśli jest podszyte fałszem, złośliwością i małostkowością.

No i tak. Jeszcze parę sekund kazałam Mimmy poczekać i uśmiechnęłam się błogo do Bethany z objęć mojego ojca.

Czasami karma odpląca się dopiero po latach, ale tego dnia zadziałała błyskawicznie. Wyluzowałam się i w tej chwili Natty zaczął krzyczeć.

*

Przez całą noc Natty na przemian zasypiał i budził się, wypędzany ze snu przez pająka, ninja, srebrny pistolet z rękami i nogami.

W końcu wzięłam go do swojego łóżka, żeby nie musiała latać co chwila, budzić go z koszmarne snu i odgarniać z czoła spocone włosy. Kiedy był niemowlęciem, zasypiał tak mocno, że intensywnie się pocił. Ta strona jego główki, która była przyciśnięta do materaca, pachniała trochę jak stopa. Walcott nazywał go wtedy Główkostópką. Kiedy mi się to przypomniało, serce aż mi podskoczyło i załomotało o żebra. Mogłam go dziś stracić. Przytuliłam go mocno i zagruchałam:

– Cśś, syneczku, cśś.

Jego ogromne oczy zalśniły w ciemności. Walcott znowu stanął w drzwiach. Ostatnie trzy razy przyszedł w bokserkach i T-shircie, ale teraz był już ubrany. Włożył nawet buty, chociaż zegarek przy moim łóżku wskazywał dopiero trzecią w nocy.

– Miałem zły sen – powiedział Natty zdenerwowany, jakby kogoś o coś oskarżał. – Ten pistolet wrócił. Gonił mnie na nogach.

– To straszne – powiedziałam. – Co za okropny pistolet. Nie cierpię go. Ale teraz jesteś już bezpieczny ze mną i Walcottem.

– Pogłaskać cię jeszcze po stopach? – zaproponował Walcott.

– Tak, poproszę.

Walcott przysiadł na brzegu łóżka i swoimi długimi palcami zaczął głaskać podeszwy stóp Natty'ego. Natty był chyba jedynym dzieckiem na tej planecie, które prawie wcale nie miało łaskotek.

– Mam złą myśl – powiedział Natty.

– Jaką złą myśl? – spytałam.

– Myślę, że Stevie zastrzelił Williama na śmierć – szepnął cichutko, a ja się zmartwiłam, że znowu źle odmienia wyrazy.

– To nieprawda – zaprzeczyłam. – William jest bardzo silny, jak wielki, mądry lew.

– Poważnie? – wymamrotał Walcott, a jego palce znieruchomiały. Spojrzałam na niego pytająco, ale unikał mojego wzroku.

– Natty, chcesz odwiedzić ze mną Williama w szpitalu? Przekonasz się, że nic złego mu się nie stało.

– Tak – powiedział Natty, po czym dodał: – Walcott, przestałeś mnie głaskać. Walcott wrócił do głaskania.

– Zaniesiemy mu balony?

– Tak, proszę.

Walcott głaskał stopy Natty'ego, a ja szeptem wymieniałam długą listę prezentów z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, które mogliśmy zanieść Williamowi Ashe'owi do szpitala: kwiaty i szczeniaczka, nowy samochód i czekoladowe ciasteczka, żyrafę w czepku pielęgniarki, która by mu poprawiała poduszkę, doniczkę ze śpiewającymi kwiatami albo syrenkę w wiadrze, która by mu śpiewała kołysanki, i tak dalej, i tak dalej, wszystko, żeby tylko zastąpić ten okropny pistolet na nogach, który go gonił w jego głowie, aż w końcu oczy Natty'ego się zamknęły, a ciało lekko się rozluźniło.

Kiedy Natty zasnął na dobre, Walcott cicho wstał z łóżka i ruszył do drzwi. Poszłam za nim do pokoju rekreacyjnego. Na jednym końcu kanapy leżała schludnie złożona pościel. Usiadłam, ale Walcott stał. Oboje wpatrywaliśmy się w ogromny płaskoekranowy telewizor, który dominował w pokoju. Były tam też konsola do gier, sto tysięcy klocków lego w kubelkach i regał pełen gier planszowych. W piwnicy pachniało popcornem i dużą grupą małych chłopców, chociaż pokój był przeznaczony tylko dla mnie.

Kiedyś miałam pokój na górze, ale za każdym razem, kiedy Bethany rodziła dziecko, przenoszono mnie do coraz gorszych sypialni. Kiedy urodził się mój trzeci przyrodni brat, upchnięto mnie w suterenie, w której kiedyś znajdował się gabinet, a Bethany powiedziała: „Nastolatki potrzebują przestrzeni!”.

„Ta suterena i łazienka będą należały tylko do ciebie. Raj dla nastolatków, prawda, Shandi?” – spytał tata.

Prawda zaś wyglądała tak, że wolałabym zostać w pobliżu Daviego, Simona i roześmianego Oscara z okrągłym brzuszkiem, który był zaledwie rok starszy od Natty'ego. Zawsze lubiłam małe dzieci, a ta trójka miała takie same ciemne, okrągłe oczy jak ja i długie, eleganckie stopy po moim ojcu. Już nie wspominając o tym, że w domu znajdował się jeszcze wielki, elegancki pokój gościnny z sufitem kasetonowym i królewskim łóżem. Z własną łazienką i balią ogrodową. Zupełnie pusty sąsiadował z pokojami chłopców, a Bethany chwaliła się nim, kiedy odwiedzali ją rodzice albo siostra.

Ale tata musiał z nią mieszkać, więc powiedział: tak, to niezły pomysł. Odczuwał jednak wyrzuty sumienia. Nakłonił Bethany, by dała mi wolną rękę w urzędzeniu sutereny – moja pierwsza praca jako dekoratora wnętrz – i zapewnił mi niezłą sumkę, za którą obilałam ściany sztucznym zamsem, zamówiłam zasłony na wymiar i kupiłam w sklepie Anthropologie łóżko z kutego żelaza. Ale „moja” suterena szybko przemieniła się w bawialnię, a taboret przed toaletką zawsze był spryskany chłopięcymi siuškami.

Walcott też nigdy nie zasłużył na pokój gościnny. Kilka razy, kiedy się tu zatrzymał, nocował na tej kanapie, zupełnie nie jak gość. W każdym razie nie gość Bethany.

– Dokąd się wybierasz? – spytałam. To oczywiste, że zamierzał się ulotnić, chociaż był środek nocy.

– Do CeeCee – odparł. – Mogę pożyczyć twój samochód?

Zajęło mi to sekundę, ale zrozumiałam. CeeCee mogła mu zaoferować to, czego nie dostałby tutaj.

– Ale wróć rano i zawieź mnie i Natty'ego do szpitala do Williama.

– Poważnie? – Przewrócił oczami. – Jak chcesz. Wrócę o dziesiątej.

Zachowywał się jakoś dziwnie. Bardzo dziwnie.

– O co chodzi? – spytałam.

Nie odpowiedział, że o nic, poprosił tylko:

– Możemy później o tym pogadać? Idę już, bo jeszcze Bethany obudzi się w swojej krypcie.

Tak już lepiej. Uśmiechnęłam się szeroko i wstałam, żeby go objąć, ale się

cofnął. Normalnie zrobił krok do tyłu.

– Walcott! – wykrzyknęłam, teraz już naprawdę zaniepokojona.

Pokręcił głową, ze spuszczonej oczami i nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym przeczesał dłońmi włosy, aż stanęły jak u szalonego Beethovena.

– Zadzwoń – powiedział i cicho ruszył po schodach.

Coś było nie tak. Walcott zachowywał się inaczej niż zwykle. Może przeżywał załamanie po napadzie, ale dlaczego mnie odtrącał? Ja też byłam ofiarą tego napadu. Ruszyłam za nim, żeby go nakłonić do rozmowy, ale w tej chwili Natty znowu zawył jak syrena przeciwlotnicza.

Biegiem wróciłam do swojego łóżka, wzięłam Natty'ego na ręce i zaczęłam powtarzać jego imię, aż całkiem się obudził. W jego śnie znowu pojawił się ninja. Miał oczy czerwone jak lawa i gonił mnie i Mimmy. Przedtem pokonał Batmana.

Machnęłam ręką na Walcotta, położyłam się do łóżka i utuliłam Natty'ego. Usłyszałam, jak mój volkswagen rusza, zabierając Walcotta ode mnie do CeeCee.

Może nie chciał, żebym go dotknęła, bo rozpaczliwie potrzebował seksu. Syndrom trzęsienia ziemi. Czytałam o tym. Dziewięć miesięcy po klęsce żywiołowej zawsze rodzi się więcej dzieci. Otarcie się o śmierć sprawia, że ludzie łakną kontaktu z innymi, chcą spłodzić jeszcze więcej ludzi, garną się do siebie, świętując przeżycie.

Dziś wydało mi się to bardziej przekonujące niż w poczekalni u dentysty, gdzie przeczytałam o tym artykuł. W głębi ducha też pragnęłam, żeby ktoś mnie przygarnął, chciałam wezwać taksówkę i pojechać do Williama Ashe'a. Tej nocy, kiedy przydarzył mi się Natty, zachowałam dziewictwo, ale straciłam o wiele więcej niż sandały i majtki. Czy tak właśnie odczuwa się pragnienie uprawiania seksu? Czy zaczyna się w podbrzuszu jako coś w rodzaju głodu?

Legnę na prześcieradle pachnącym cytryną, przygnieciona ciężarem potężnego boga Thora – pomyślałam i poczułam drzenie w dolnej połowie ciała, jakbym siedziała na głośniku, z którego na maksa leciała moja ulubiona piosenka, ja jednak jej nie słyszałam. Czułam tylko pulsowanie u podstawy bioder.

Czy właśnie takie uczucie kazało Walcottowi przejechać przez całe miasto

pożyczonym samochodem z moim całym dobytkiem? Czy ten szalony rytm w jego kościach popychał go do dziewczyny? Nie potrafiłam sobie wyobrazić długiego, kościstego ciała Walcotta wpasowującego się w CeeCee. Miała zaokrąglone kształty, jak jasnowłosa wersja mnie samej.

Szeptalam słodkie słówka Natty'emu, opowiedziałam mu historię Grzecznego Prosiulka, jego ulubioną. Znowu zaczął odpływać w sen, ale w mojej głowie pojawiały się obrazy zupełnie niepodobne do pastelowych, mówiących zwierzątek Beatrix Potter. Widziałam siebie i Williama Ashe'a, jego potężne, szybkie dłonie i tors jak wyrzeźbiony w drewnie. Graliśmy główne role w *Kaliguli*. W cudownym technicolorze. I z dźwiękiem surround.

No, dalej.

6

Pod koniec dnia pracy William ma rozpaloną głowę i piasek pod powiekami. Mózg jak z wosku i obolały od prób pokrzyżowania planów bytowi, który właściwie nie jest istotą żyjącą. Wirusy może i nie spełniają definicji życia, ale William wie, że anonimowe sznury DNA i RNA mają ogromną wolę. Dokonują inwazji, zmieniają swojego gospodarza, replikują się, przeżywają. Sztuczka polega na tym, żeby umiejscowić je właściwie, tak by atakowały wadliwe łańcuchy DNA odpowiednio wyposażonymi sekwencjami. Atakują, zmieniają gospodarzy i mają wolę absolutną, są więc doskonałym narzędziem do korygowania marnie zbudowanego kodu genetycznego człowieka.

To interesująca praca, ale po godzinach wpatrywania się w ekrany komputerów i mikroskopy, kiedy aż po same uszy zagłębia się w czystej, białej nauce, jego ciało zaczyna przypominać niespokojne zwierzę, drżące i spięte od braku ruchu. William biega kilka kilometrów po swoim osiedlu, potem podnosi ciężary w piwnicy i w końcu robi kolację. Lubi prostą chemię gotowania. Przygotowuje potrawy idealnie zgodne z przepisem, a jego dania zawsze wyglądają jak te na zdjęciu.

Ale przedtem Bridget też lubiła gotować. Nigdy nie korzystała z książki kucharskiej. Szperała w szufladzie na dole lodówki i w spiżarni i kładła na blacie zupełnie niepasujące do siebie produkty. Kozi ser, lekko gnijący rzymski pomidor, resztką grillowanego kurczaka, trochę świeżych ziół z ogródka, może jajko. W końcu wszystkie te składniki zgodnie tworzyły kolację. Jej posiłki nie powinny być lepsze niż jego, ale często były.

W te wieczory, kiedy ona gotowała, on zajmował się Twylą. Było to proste i przyjemne zajęcie, chociaż Twyla nie mogła usiedzieć w miejscu. Kładł się na dywanie przed kominkiem, a ona dreptała tam i z powrotem, obkładała go sprzętami ze swojej zabawkowej kuchni albo biegała w kółko, bzyząc jak

pszczoła, albo stuknęła jednym klockiem o drugi niczym ogromnymi kastanietami. Często przerywała zabawę, żeby pokazać mu któreś ze swoich plastikowych zwierzątek, albo wdrapywała się na niego lub po prostu siadała na nim. Podchodziła tyłem i opuszczała pupę z ostrożnością istot dwunożnych jeszcze niepewnych swojego środka ciężkości. Przysiadała na jego boku równie wygodnie jak na swoim malutkim, solidnym krzeselku, uważając jego obecność pod sobą za coś oczywistego.

Ma zamknięte oczy, ale nie musi widzieć, żeby wiedzieć, że właśnie przycupnęła na jego boku. Czuje ją. Twyla milczy, jak nigdy. Waży chyba z tysiąc ton.

William stara się nie ruszać. Niech go zmiażdży, byle tylko została. Chce wyciągnąć do niej rękę, przesunąć palcami po znajomych rysach jej twarzy, poczuć miękkość włosów, które Bridget ściągnęła na czubku jej głowy, ale ręce są ciężkie i bezwładne. Mimo wszystko próbuje podnieść choć jedną.

– Patrzcie, kto się obudził – mówi jakaś kobieta. Nie zna jej głosu. – Jak się pan czuje, panie Ashe?

Pielęgniarka pochyła się nad nim. Kilka metrów dalej na łóżku jęczy jakaś kobieta. Ktoś coś do niej mruczy. William uświadamia sobie: jest w szpitalu, na sali pooperacyjnej z przepisowo zielonymi ścianami i rzędem łóżek. Światło jest ostre i żółte, razi go. Wydaje mu się, że bardzo, bardzo długo nie otwierał oczu. Przypomina sobie, że wieziono go na operację, a teraz jest tutaj, technicznie rzecz biorąc, bardziej żywy niż wirus.

– Dobrze – odpowiada. Ma tak skrzeczący i słaby głos, że go nie poznaje.

Wciąż czuje ten bolesny ucisk na bocznej części brzucha. To nie Twyla. Przez cały czas to nie była ona. To dziura w jego boku.

Zasypia i budzi się, kiedy przewożą go do innej sali. Jest pomalowana na ten sam nudny jasny odcień zieleni, a w kącie na metalowym wysięgniku wisi pudło telewizora. Pod oknem stoi jeszcze jedno łóżko, ale jest puste. Nowa pielęgniarka tłumaczy mu, jak działa pompa morfinowa. Musi nacisnąć guzik, a pompa poda mu odmierzoną dawkę. Może przycisnąć guzik ponownie, kiedy licznik pokaże zero. Teraz właśnie je wskazuje.

William nie jest tym zainteresowany. Od narkotyków zamglony pokój wypełni jeszcze większa mgła. Od narkotyków zgrzyta zębami.

Potem przychodzi lekarz z szerokimi, miękkimi węsami nad wilgotnymi ustami i mówi, jakie William miał szczęście. Kula nie naruszyła żadnego ważnego organu. Dodaje, że William musiał być poddany poważnej operacji. Zostanie w szpitalu na obserwacji co najmniej dzień albo dwa. Potem powinien się oszczędzać. Do pracy może wrócić za sześć tygodni.

– Odrobi pan zaległości w oglądaniu seriali – mówi lekarz jowialnie. Jest bardzo zadowolony z siebie, z udanej operacji. W głowie Williama na chwilę pojawia się przyjemny obraz: jego ręka podnosi się błyskawicznie i pięść trafia w gładkie, wilgotne usta lekarza.

Powstrzymuje się przed tym, kiedy lekarz wymienia rzeczy, których William nie powinien robić: biegać i podnosić przedmiotów cięższych niż pięć kilogramów. Opowiada dalej – o pielęgnacji rany i lekarstwach – ale William już przestał go słuchać. Przyciska guzik na pompie morfinowej.

Ucisk w jego boku maleje, kiedy lekarz kończy i wychodzi. Światło jest przyćmione. William unosi się w górę i na boki. Dryfuje w półśnie. Morfina to tylko taka sztuczka. Nie potrafi usunąć bólu, jedynie przesuwając go o kilka kroków i umieszcza w miejscu, skąd może go obserwować jako coś odrębnego i niezbyt ważnego. Raz za razem przyciska kciukiem guzik na pompie. Unosi się na narkotykowej chmurze w tej niekończącej się nocy. Zęby ma tak zaciśnięte, jakby mu zadrutowano szczękę.

Za oknem pojawia się lekka szarość świadcząca o tym, że już prawie zbliża się świt. Wtedy czuje jakiś zapach. Woń kwiatów pomarańczy i świeżo zerwanego rozmarynu przenika przez odór środków odkażających. William powinien wiedzieć, że tak się stanie, kiedy się obudzi w sali pooperacyjnej. Poczł ciężar córki, tak ogromny, że William powinien przeniknąć przez łóżko i piętra pod nim, przez trawę i korzenie drzew, aż znalazłby się dobre piętnaście metrów pod czerwoną ziemią. Oczywiście to Bridget idzie.

Jej zapach płynie z otworów wentylacyjnych prosto do niego. Powietrze jest nią wypełnione. Jedyna siła w jego ciele została zadrutowana w szczękę. Nawet kości są miękkie. Kolory tulipanów rozkwitają na suficie. Zamyka oczy, ale to jej nie powstrzymuje. Nadal widzi jej kolory, przenikające przez siebie pod jego powiekami.

– Idzie. – Paula syczy ponad jego głową. Paula ma drabinę tak wysoką, że stoi

u samych bram nieba. Stamtąd widzi wszystko. Woła: – Bridget już prawie jest na miejscu!

William próbuje usiąść, wyęcza się tak bardzo, że w końcu wstaje. Ma siedemnaście lat. Paula się nie myliła. Bridget idzie drogą. Nie może jej zatrzymać, bo i po co? Tak bardzo się starał, żeby ją tu ściągnąć.

Jest na podwórku za domem Bena Castera. Ben, najlepszy skrzydłowy w jego drużynie, wyjechał z rodziną na ślub na Florydzie. Dom Casterów stoi dokładnie naprzeciwko miejsca znanego kiedyś jako Śnięty Park. Teraz Paula nazywa go Świętym Parkiem, bo, Boże świąty, niesamowicie się zmienił w ciągu tego roku szkolnego. Starsi ludzie przychodzą tam i siadają na ławkach, i przyglądają się małym upierzonym stworzeniom, które wprowadziły się do domków dla ptaków. Ptaki jedzą z karmników i pluskają się w kamiennych wanienkach. Ktoś posadził japońską wiśnię. Bulwy, które Bridget zasadziła jesienią, wypuściły łodygi i kwiaty: żółte, ciemnoróżowe, pomarańczowe.

Paula leży na dachu, na brzuchu, i obserwuje osiągnięcia Bridget. Już czas. William ma mocno zaciśnięte szczęki. Serce ma ściśnięte: jego klatka piersiowa jest na nie o jeden numer za mała.

– Dlaczego tak lubisz leżeć na dachach? – pyta Paulę, która teraz schodzi po drabinie.

– Lubię być tam, skąd widzę ludzi, ale oni nie widzą mnie. W tajemnicy ci powiem, że urodziłam się jako pantera. – Paula jest bardzo ożywiona, oczy jej błyszczą podniecone przestępstwem, które popełniają. Spogląda na rakiety ustawione w równiutkich rzędach, ich trajektorie starannie zaplanowane, i pyta: – Jak bardzo to jest nielegalne?

– W Georgii? Bardzo, bardzo nielegalne – odpowiada William, a Paula uśmiecha się szeroko i podskakuje lekko na palcach.

William nie podskakuje. Oczy mu nie błyszczą. Dziś przebiegł ponad dwanaście kilometrów, więc całe ciało jest spokojne. Większość ciała. Poza szczęką. Poza sercem. I czuje jakieś nowe, dziwne ciarki w dłoniach, jakby po dłuższym czasie zaczęła krążyć w nich krew. Ręce go mrowią, kiedy pomyśli, że może dotknąć Bridget.

Sprawdza, czy zapalniczka działa.

– Wiesz, co robić? – pyta przez zaciśnięte zęby.

– Tak. Zostań tu, Bubba. Sama to zrobię. Podpalę opary. Nic trudnego. – Zerka na rakiety. – Oderwą mi oba kciuki i spalą dom Casterów?

– Prawdopodobnie nie – odpowiada William z roztargnieniem. Sprawdza, czy zapasowa zapalniczka też działa.

– Do twojej wiadomości: moim zdaniem to najfajniejsza rzecz, jaką nauka potrafi zrobić – mówi Paula. – Gdyby chemia była człowiekiem, pewnie byłaby często onanizującym się pryszczatym małym chłopcem z wiecznie zatkanym nosem. Ale ten tu pryszczaty mały chłopiec kupił porsche i przeleciał supermodelkę.

William się uśmiecha mimo zadrutowanej szczęki. Paula rzadko miło wyraża się o chemii. To dziwne, co imponuje dziewczynom. Gdyby William dysponował niezbędnym sprzętem, potrafiłby wyprodukować kwas, który przeżarłby samochód Casterów i osmalił beton pod spodem. Ale to nie spodobałoby się żadnej dziewczynie.

Przygotowania zajęły mu kilka miesięcy, ale chciał samodzielnie skonstruować wszystkie części, nie tylko fajerwerki. Zrobił nawet papier, korzystając z zawiesiny włókien celulozy w wodzie z włóknami trawy dla zyskania koloru i ozdobiony maleńkimi, wyschniętymi płatkami jakichś podwórkowych chwastów zatopionych w kleju.

Zgromadził już trzydzieści różnych niewidzialnych atramentów i katalizatorów w swoim notesie – odkąd skończył dziewięć lat i miał obsesję na ich punkcie.

Kiedy skończył, wziął własnoręcznie zrobiony papier, gruby i miękki jak materiał, i napisał na nim atramentem własnej produkcji: „Idź do rabatki z tulipanami w parku i stań przy maszynie, na którym powiesiłaś pierwszy domek dla ptaków. W sobotę. Tuż po zachodzie słońca. Przydarzy ci się coś dobrego”. Odczekał, aż słowa znikną, i włożył kartkę do zwykłej, białej koperty z drogerii. Na kopercie napisał widzialnym długopisem: „To nie jest list miłosny. List miłosny byłby skropiony perfumami. W liście miłosnym byłyby słowa”.

William chciał napisać więcej na kopercie, żeby Bridget nie wyrzuciła papieru domowej roboty albo nie zrobiła na nim notatek z wiedzy o społeczeństwie, ale Paula powiedziała, że to niepotrzebne. Żadna szanująca się dziewczyna nie sporządziłaby listy zakupów na takiej pięknej kartce z nierównymi brzegami, która najwyraźniej zawierała jakąś tajemnicę. William uznał jej mądrość, Paula

włamała się do szkolnej szafki Bridget i podrzuciła tam kopertę.

– Mogłaś ją wrzucić przez otwór – zauważył później William.

– Nie. Musiałabym ją złożyć. Poza tym chciałam tam zajrzeć, sprawdzić, czy Bridget bierze pigułki antykoncepcyjne. Albo czy pod podręcznikiem do matematyki schowała pisemka porno albo ciasteczka. – William już chciał jej zadać pytanie, ale Paula spojrzała na niego z rozbawieniem i powiedziała: – Nie, nie bierze, nie schowała, a ty, Bubba, zakochałeś się na amen.

W piątek znowu włamała się do szafki Bridget i włożyła szklaną buteleczkę na perfumy w kolorze żurawiny. Tej William nie potrafił sam zrobić. Wydał na nią sześćdziesiąt dolarów w sklepie z antykami. Kawalkiem wstążeczki doczepił karteczkę, na której napisał: „To nie perfumy. Gdyby to były perfumy, zostałyby rozpylone na liście miłosnym”.

Ale buteleczka pachniała perfumami. Kwiatem pomarańczy i wonią ziół przełamującą słodycz. To mu zajęło najwięcej czasu, bo musiał w znacznym stopniu zmienić swój ulubiony wzór. Kiedy miał dziewięć lat, nie obchodziło go, czy któryś z jego katalizatorów wydzieliał mocny, chemiczny zapach i czy gdyby nim kogoś spryskano, mógłby wypalić oczy albo zwęglić skórę.

Był sobotni wieczór. Paula się nie myliła. Bridget domyśliła się, że kartkę należy spryskać perfumami. Przeczytała liścik. I przyszła do parku o wyznaczonej porze, w odpowiednim stanie na, jak to nazywała Paula, „napaść seksualną w stylu disneyowskim”.

William daje Bridget jeszcze trzy minuty na dojście do rabatki z tulipanami.

– Już czas – mówi.

Opuszcza podwórko Casterów. Święty Park już nie jest najbrzydszym parkiem w Morningside, a lampy na wysokich słupach ustawionych wzdłuż ścieżek działają. Paula chciała rzucać w nie kamieniami, potłuc żarówki, ale William jej na to nie pozwolił, nie chciał, żeby wskrzeszony przez Bridget park wypełnił się potłuczonym szkłem. Paula wymyśliła więc alternatywny akt wandalizmu. Włamali się do szopy dozorczy i William wykręcił korki. Teraz żadna latarnia się nie świeciła. William ostrożnie idzie przez ciemny park, bardziej czując niż widząc przed sobą Bridget przy rabatce.

Niebo się rozświecła.

Fajerwerki Williama startują ze świstem i wybuchają, tworząc idealnie równe

niebieskie, zielone i złote kwiaty. Opadają deszczem kolorowych gwiazd. W błyskach światła William widzi, jak Bridget podnosi głowę i rozchyła usta. Widowisko trwa prawie trzy minuty, kanonada dźwięków i kolorów. William pominął tradycyjny pokaz i przeszedł do wielkiego, hucznego finału. Przy każdym rozbłysku światła widzi, jak ogromne są oczy Bridget. Podnosi głowę, linia jej szyi jest taka piękna. Unosi ręce i śmieje się, kiedy niebo znowu się rozświetla. Tańczy, otwierając się na światło i dźwięk, które William dla niej przygotował.

Wezwał Bridget nad rabatę. Tę Bridget, która wierzy, że bulwy tulipanów, kilka rudbekii i domek dla ptaków z wyprzedazy garażowej mogą zmienić park. Dziewczyne, która wierzy tak bardzo, że staje się to prawdą.

William wie, że nauka i magia są tym samym. Magia to po prostu nauka, której jeszcze nie wyjaśniono. Dziś dla Bridget przemienił chemię w magię. Widzi to w każdym szczególe jej ciała. Serce mocno mu bije, łomocze o żebra, dłonie go mrowią.

Wybucha ostatni fajerwerk, trzy małe iskry, które otwierają się w zielone kwiaty, a potem następują wtórne eksplozje, potężne, rozsiewające jarmarczne złoto na czarnym niebie.

Gasną ostatnie iskry. W ciemności zapada cisza bez tchu. Powietrze jest gorące i miękkie. Gdzieś w oddali szczeka pies.

William robi krok w jej stronę. Bridget odwraca się, czując czyjaś obecność. Paula powiedziała, że w takiej chwili powinien ją chwycić drżącymi dłońmi i pocałować, ale on tego nie robi. To nie dziewczyna, którą można ot tak złapać. William nie znajduje słów, by opisać jej kompletność. Nie może w tej chwili tak po prostu jej dotknąć i to sprawia, że pragnie tego jeszcze bardziej.

Jej oczy szukają w ciemności jego oczu. William nie ma pojęcia, co się stanie, i od tej niewiedzy aż mu się kręci w głowie. Czuje, że mrowienie w dłoniach roznosi się wyżej na ręce, krew w nim pulsuje, kiedy podchodzi na tyle blisko, że czuje jej zapach: wiśniowy sztyft do ust. Miętowa guma do żucia.

Bridget spogląda na niego, wychyla się w jego stronę i nieruchomieje. Cofa się gwałtownie.

– Ty to zrobiłeś? Ty? – Krzyżuje ręce na piersi. Jej ramiona tulą się ku sobie, a plecy lekko garbią. Teraz jest tylko dziewczyną ze zmarszczonymi brwiami

i opuszczonymi kącikami ust.

William myśli: Kabaczek jest rozczarowany.

Bridget kręci głową i mówi prawie bez urazy:

– Ty palancie.

Odwraca się i rusza przed siebie, prosto przez własną rabatkę, jej różowe trampki Converse zapadają się w piach.

– Zaczekaj – woła William. Bridget nie czeka, więc idzie za nią. Teraz mrowienie dotarło do jego gardła, a oczy go pieką. Wszystko spieprzył. Spieprzył przez sam fakt bycia sobą. Bridget ogląda się przez ramię, widzi, że William za nią idzie.

– Daj sobie spokój. Myślisz, że jestem jakaś głupia? – mówi. – Co, myślisz, że nie umiem czytać?

– Ciągłe czytasz – odpowiada William. Nie potrafi przerwać tego pościgu. – Czytasz, nawet kiedy chodzisz po korytarzu.

– Obserwujesz mnie, jak chodzę... uch. – Bridget przyspiesza kroku, mknie przez ciemność tak pewnie, jakby kierowała się wskazaniem radaru. – Przeczytałam, co jest napisane na ścianie w ostatniej kabynie toalety dla dziewcząt na drugim piętrze, i wiesz, co sobie myślałam? No bo tak, jesteś przystojny, jasna sprawa. I ten futbol. Ale i tak się zastanawiałam, dlaczego masz takie powodzenie. Teraz wiem. To na pewno świetnie działa, co? – Jej głos się rozgrzewa. Żywa, elektryczna energia, którą Bridget emituje, wraca do jej ciała.

– Co mówi łazienka? – pyta William, nadal za nią podążając.

Bridget ignoruje jego pytanie. Mówi dalej, coraz szybciej i szybciej wyrzuca z siebie słowa, aż zaczynają się o siebie potykać.

– To takie romantyczne, pewnie aż im majtki spadają. Myślisz, że jestem taka głupia. Nie jestem jakąś durną laską, podwójne punkty, jeżeli mnie zaliczysz. Jestem człowiekiem. Jestem człowiekiem. Myślisz, że inni nie próbowali takich sztuczek? No dobra, może nie takich, nie magicznych perfum i fajerwerków, więc przyznaję ci punkty za wysiłek, ale ja jestem żywym, oddychającym człowiekiem.

– Wiem, że jesteś człowiekiem – mówi William. – Oczywiście, że jesteś człowiekiem.

– A ty nie. Jesteś palantem, który chce tylko mnie zaliczyć. – Bridget w końcu przestaje przeć do przodu, są już na skraju parku. Zatrzymuje się i odwraca do niego. Stoją tam, gdzie latarnie się palą. Oczy bardzo jej błyszczą. – Chcę tylko wiedzieć, kto ci powiedział, że chcę zostać zakonnica?

– Ooo! – woła Paula, wyłaniając się z ciemności. Bridget patrzy na nią, przestraszona, z otwartymi ustami. Paula szybko wyszła z podwórka Casterów, tak jak ją poinstruował William, na wypadek gdyby przyjechała policja. Pewnie już jest w drodze, żeby sprawdzić, jak przebiega napaść seksualna. Na razie to jedna wielka porażka. – Chcesz zostać zakonnica?

Bridget nie odpowiada. Robi jeden energiczny krok w stronę Williama, jej kucyk kołysze się na boki, słowa są przeznaczone wyłącznie dla niego.

– W poprzedniej szkole już przerobiłam te zaczepki w stylu „dobierz się do majtek zakonnicy”. Skąd o tym wiesz?

Jest wściekła, ma napięte ramiona, wyciągniętą szyję. Ten gniew, tak kompletny, jest również pełen rezerwy i piękny jak jej radość. William przełyka ślinę i wpatruje się w nią bez słowa.

W końcu Bridget kręci głową i odwraca się. Odmaszerowuje, a William i Paula w milczeniu patrzą, jak odchodzi.

– Dobrze poszło – stwierdza Paula, kiedy Bridget już nie może ich usłyszeć.

– O co jej chodziło z tą ścianą w damskiej toalecie na drugim piętrze? – pyta William.

Paula odwraca się do niego zdziwiona.

– Jak na nową szybko się kapnęła, nie? W zeszłym roku, kiedy się spiknęliśmy, napisałam tam coś markerem. Takie głupstwo.

William czeka.

– Nic takiego – mruczy Paula, ale on nadal czeka bez ruchu. – No dobra. Napisałam: „Napisz, kiedy przejechałaś się po Kosmicznej Górze”.

Mija kilka sekund, zanim William załapuje, o co chodzi, po czym pyta:

– Ja jestem Kosmiczną Górą?

Ma wrażenie, że jego płuca są bardzo małe, jego ciało chce zacząć się kołysać. Ostatnie przewisko dali mu w gimnazjum. Nazywali go mózgowcem. Nienawidził tego.

– Oj, Bubba, to komplement – mówi Paula. – To znaczy, że ten... – William

nie patrzy na nią. Czuje, że jego skóra jest gorąca. – Kosmiczna Góra to najfajniejsza zjeżdżalnia.

William wciąga wewnętrzną część policzka i zaciska na nim zęby tak mocno, że aż boli. Na podwórku Casterów wypluł monetę, bo myślał, że może będzie się całował, ale nic z tego nie wyszło.

Sięga do kieszeni, ale jedyna moneta, jaką ma, pochodzi z 1970 roku. Do niczego. Monety wybite przed 1982 rokiem mają inny smak.

Paula szybko wypuszcza powietrze i szura stopą.

– Nie nadymaj się jak wściekła ropucha. Powiem ci teraz coś miłego i prawdziwego. Więc nie strzelaj mi tu fochów, dobra? Nazywam cię Kosmiczną Górą, bo kiedy to zrobiliśmy, byłeś dla mnie miły. Przez cały czas byłeś miły, chociaż mnie nie kochałeś. Następnego dnia zachowałeś się jak przyjaciel. Przy ludziach. Faceci nigdy tak nie robią. Oczywiście przedtem tak. Kiedy czegoś od ciebie chcą. Ale ty i potem zachowywałeś się jak przyjaciel.

William może teraz na nią spojrzeć. Paula jest czerwona jak burak i nie odwzajemnia jego spojrzenia.

– Zaczęłam cię nazywać Kosmiczną Górą. Dziewczyny się zainteresowały. To dlatego Denise, Amy i Michelle spiknęły się z tobą. Dla nich pewnie też byłeś miły, no i poza tym jesteś dobry w te klocki. Stawałeś się legendą. Aż któregoś dnia w szkole – chyba nie byłam tak całkiem trzeźwa – napisałam na ścianie ten idiotyzm. Przyjęło się. Dziewczyny zaczęły wpisywać datę, kiedy cię zaliczyły. Teraz jest tam ze trzydzieści podpisów.

William unosi brwi.

– Nie gniewasz się? – pyta Paula i podnosi ramiona aż po same uszy.

William kręci głową, ale nie po to, żeby zaprzeczyć. Kręci głową, bo rachunek się nie zgadza.

– Powinno być tylko osiem.

Paula się uśmiecha, jej ciało się rozluźnia.

– Dziewczyny kłamią na temat seksu tak samo jak chłopcy. Bridget zobaczyła te wszystkie daty i myśli, że jesteś dziwkarzem, który chce zaliczyć przyszłą zakonnicę. – Paula już dała sobie spokój ze skomplikowanymi kobiecymi uczuciami i wróciła do głównego tematu. William właśnie to w niej najbardziej lubi – tę umiejętność mówienia na temat. Paula ma naprawdę niezły mózg. –

Myślisz, że naprawdę chce zostać zakonnica?

– Tak – odpowiada William. Właściwie to by wiele tłumaczyło.

– W takim razie przepraszam, że rozpowiedziałam wszystkim, jaki jesteś świetny w łóżku. – William milczy, Paula unosi więc zgięty palec i macha nim tuż przed jego twarzą. William patrzy na ulicę, którą poszła Bridget, a Paula wzdycha z rezygnacją. – Naprawdę bardzo cię przepraszam, Bubba. Mogę to naprawić. Pogadam z nią.

– Nie – mówi William. – Ja z nią porozmawiam. – Rusza ulicą.

– Teraz? – Paula idzie za nim.

W odpowiedzi William zaczyna biec, pędzi ulicą za Bridget, która jest teraz maleńką figurką w świetle latarni cztery przecznice dalej, skręca w prawo i znika. Paula biegnie za nim, ledwie nadążając.

– O tak, to naprawdę świetny pomysł. – Paula sapie, ale mówi z takim przekąsem, że William wyczuwa ironię w jej głosie. Przyśpiesza jeszcze bardziej.

Kiedy skręca, widzi Bridget, która zatrzymała się przed jakimś blokiem. Siedzi na jednym ze słupków z cegieł, które stoją po obu stronach podjazdu. Trze oczy. Kiedy się zbliżają, podnosi głowę. Paula ciężko dyszy. Biegnie kilka kroków za Williamem.

– Śledziliście mnie? Naprawdę? – dziwi się Bridget. Nos ma spuchnięty i bardzo różowy.

William wzrusza ramionami i przysiadła na drugim słupku. Paula staje i chwyta się pod boki, próbując złapać oddech.

– To nie dlatego, że chcesz zostać zakonnica – wyjaśnia William. – Nie wiedziałem o tym.

Bridget wyciera ostatnie łzy, strzepuje je z policzków płaskimi dłońmi.

– No to teraz wiesz.

– Nie chciałem tylko cię zaliczyć – mówi, a Bridget parska szczekliwym śmiechem, w którym brzmi zaskoczenie. – Chciałem zrobić dla ciebie coś miłego.

– Po co to wszystko? – pyta Bridget. Teraz naprawdę z nim rozmawia. Bez złości, i przestała płakać. To rozmowa, William rozmawia z Bridget. Jego żyły szybko wypełnia czerwona krew. Cieszy się, że obok stoi Paula, jak sędzia albo

trener, gotowa wkroczyć, jeśli zacznie wszystko chrzanić.

– Zobaczyłem, jak w parku wyrywałaś floksy – odpowiada. Bezradnie rozkłada ręce.

To zła odpowiedź, niekompletna, ale Bridget tego nie mówi. Mówi natomiast:

– W zeszłym roku w mojej poprzedniej szkole grupa chłopców założyła się o to, który, no wiesz, wybije mi to z głowy. To bycie zakonnicy. Ale bez rozmowy. Rozumiesz, o co mi chodzi? – William nie rozumie i chyba to widać po jego minie, bo Bridget dodaje: – Założyli się, któremu uda się mnie zerznąć.

Paula wstrzymuje oddech. Prostuje się i staje z jednym biodrem wypchniętym do przodu. Wzrokiem szacuje Bridget.

– Ho-ho! Ta mała ma ostry języczek.

– Cytuję tylko to, co mówili tamci chłopcy. – Bridget ma zaróżowione policzki.

– Całkiem odważny cytat jak na zakonnicy – stwierdza Paula.

– Jestem tylko człowiekiem – odpowiada Bridget, wyraźnie zirytowana. – Każda zakonnica jest tylko człowiekiem. Ale chyba nikt tego nie rozumie. Tutaj nikomu więc o tym nie powiedziałam i teraz nie mam przyjaciół nie dlatego, że jestem dziwaczką, która chce zostać zakonnicy, ale dlatego, że nie mam z kim porozmawiać na poważne tematy.

– William zostanie twoim przyjacielem – wtrąca szybko Paula. Uśmiecha się szeroko i dodaje: – Pewnie nawet nie będziesz musiała go zaliczyć.

Bridget mruga oczami i przenosi wzrok to na jedno, to na drugie.

– Dalej nic z tego nie rozumiem. Dlaczego zrobiłeś to wszystko, fajerwerki, perfumy, liściki. Po co to robić, jeśli... – Urywa.

William siedzi nieruchomo z rozłożonymi rękami, nadal bezradny. Brakuje mu słów, by opisać, co poczuł, kiedy zobaczył ją w parku. Całym ciałem pragnie być blisko niej, całym umysłem chce ją zrozumieć.

– Nikt nie powiedział, że możesz wyrwać te kwiatki. Zobaczyłem, jak to robisz, i spodobałaś mi się – odpowiada w końcu.

– To trochę dziwne – stwierdza Bridget, chociaż właściwie tak nie uważa. Chciałaby móc zrozumieć.

– Trochę? – powtarza Paula i śmieje się cicho. – Sostro, obudź się! „Dziwny” to jego ustawienie domyślne. To kompletny świr z aspergerem. Ma mózg jak komputer. Poproś, żeby policzył coś w pamięci. Normalnie padniesz. Jeśli się

z nim zaprzyjaźnisz, będziesz miała same piątki z matematyki, bo Williamowi brakuje kręgosłupa moralnego. Chociaż może przyszłe zakonnice nie ściągają... nie wiem. Ale na pewno przeklinają i ponoszą je nerwy... – Jej słowa są bezczelne, ale ton głosu brzmi miło. Gała Paula, skrzydłowy Williama. – Powiem ci coś jeszcze. Nigdy w życiu nie miałam lepszego przyjaciela. To jedyny facet, który nigdy mnie nie oszukał i który potrafi dotrzymać tajemnicy. Może dlatego, że prawie się nie odzywa. Jeśli chcesz, to się wściekaj, Siostró Niewyparzony Język, ale nie bądź głupia. Myślisz, że Kosmiczna Góra musi się aż tak napracować, żeby zaliczyć dziewczynę? Proszę. Spójrz na niego. Dziewczyny same do niego przychodzą. Podobasz mu się, głuptasie. Po prostu mu się podobasz. – Łapie Williama za rękę i zaczyna go ciągnąć za sobą.

William jej na to pozwala, bo większość z tego, co powiedziała, to prawda. Tylko większość, bo oczywiście chciałby uprawiać seks z Bridget. I to bardzo. Ale myśli, że teraz nie powinien tego tłumaczyć. Paula w skrócie powiedziała wszystko. Chodziło mu nie tylko o to, żeby ją zerznąć. Chce ją rznąć i kochać ją, i ożenić się z nią – w takiej kolejności, jaką ona wybierze.

W poniedziałek podczas przerwy na lunch William i Paula siedzą przy małym, czteroosobowym stoliku tuż przy długim stole, przy którym tłoczą się futboliści. Paula nazywa ten stolik aneksem. Nie siadają razem z drużyną, bo Paula uprawiała seks z wieloma zawodnikami. Ale siedzą blisko, bo drużynie nie wolno jej ignorować ani obrażać. Zawodnicy mają się z nią przywitać i pomachać do niej, jeśli ona pomacha. Takie zasady ustalił William.

W tym roku Paula wprowadziła nową zasadę: zawodnicy z drużyny Williama nie mogą jej podrywać. Teraz umawia się tylko z chłopakami z college'u.

Paula opowiada mu jakąś długą, skomplikowaną historię o imprezie na kampusie Emory, kiedy William widzi, że w ich stronę idzie Bridget. Gorące powietrze zaczyna wibrować wokół niego. Bridget niesie tacę. Idzie bez wahania. Podchodzi zdecydowanym krokiem. Podjęła decyzję. Mija stół inteligentnych dziewczyn i kieruje się prosto do nich.

Patrząc na jej jasny kucyk, który kołysze się razem z krągłymi biodrami, William nie wie, jak się przyjaźnić z Bridget, która chce zostać zakonnica. Nie może się obok niej położyć i pozwolić, żeby ugryzła go w ramię, jak to robi Paula. Jego ciało nieuchronnie przetoczyłoby się do niej, a usta wgryzłyby się w jej usta.

Niemal nagie ciało Pauli nie robi na nim żadnego wrażenia, już nie jest pożądane, jakby, mimo różnych kolorów skóry, była jego siostrą. Nie czułby się ani trochę spokojny, gdyby Bridget w samych majtkach leżała obok niego na dachu. Kiedy Bridget mówi, że chce zostać zakonnica, to znaczy, że nie będzie należała do niego, a on nie będzie należał do niej.

Bridget mówi „cześć” i siada obok Pauli, naprzeciwko niego.

William czuje jej zapach. Kwiat pomarańczy złamany wonią ziół. Skropiła się jego katalizatorem.

Paula odpowiada: „Cześć, Matko Przełożona”, i od tej pory cała ich trójka, William, Paula i Bridget, stają się nierozłączni, choć się nie dotykają, każde w swojej skórze.

Ale on czeka. Może czekać, bo niech Bridget sobie mówi, że chce zostać zakonnica, nigdy nie pokocha mężczyzny, nigdy się w nim nie zakocha, ale chemia jest silniejsza od słów. Skropiła skórę tym, co spreparował. Oznaczyła się jego zapachem.

Nigdy nie przestał go dla niej robić, a ona nigdy nie przestała się nim skrapiać. Jego stęsknione ciało stało się obojętne, nie chciał być najlepszą zjeżdżalnią w parku. Czekał na kontakt, wiedział, że to nastąpi. Kwiaty pomarańczy i zielone zioła: to był zapach Bridget, zawsze, wtedy i teraz. Właśnie teraz.

Nie ma siedemnastu lat i Paula nie siedzi obok niego. Jest w szpitalu, powoli wyłania się z morfinowej mgły. Ból jest bliżej, bardziej znaczący, ale tylko trochę. Ból i zapach Bridget, oba słabe, przyszły do tego pokoju. Zapach sprawia, że powietrze jest cięższe niż wtedy, gdy tysiackilogramowa Twyla wciskała się w jego bok.

Otwiera oczy. Przyszedł świt. I jego żona. Unosi się i faluje w powietrzu. Promienie słońca wlewają się przez okno za nią, przemieniając jej włosy w aureolę stopionej jasnej miedzi wokół jej twarzy. Jest w długiej, jasnej sukience, którą światło też przenika, uwidaczniając zarysy ciała.

To Bridget, która nadal wierzy w cuda. Wierzy, że jeśli William wyciągnie rękę, będzie mógł zmienić bieg czasu, sięgnąć w przeszłość, poza pustkę i ciszę zeszłego roku, w to, co było przedtem, zanim wniesiono ją do ambulansu, zanim zrobiła coś niewybaczalnego. Gdyby tylko i on w to wierzył, przyciągnąłby

ją teraz do siebie, dotknął ustami jej ust i znowu byłaby jego i niech diabli wezmą rany po kulach, ciężarówce, grawitację, Boga, czas i przestrzeń. Wyraz jej twarzy – William go zna, choć teraz jest zmieniony przez smutek. To przyzwolenie.

Wciąga powietrze pełne jej zapachu. Ten zapach go dusi.

– Przyszłaś, żeby się za mnie modlić? – pyta. – Nie módl się za mnie. – Gardło ma wyschnięte i mówi chrapliwym, pełnym gniewu szeptem. Bełkocze. Krew ma gęstą od narkotyków. Ciało Bridget wygina się i faluje we wschodzącym słońcu, a jej włosy są zrobione ze światła. – Teraz zamknę oczy. Kiedy znowu je otworzę, już cię tu nie będzie.

Mruga oczami, jedno długie, czarne mrugnięcie, które może trwać dwadzieścia minut albo godzinę. Morfina pozbawiła go poczucia czasu. W jej mroku zapach Bridget zaczyna się ulatniać. William przekręca się na zdrowy bok, twarzą do ściany, ciągnąc za sobą pudełko z guzikiem, który naciska raz za razem. Napęnia krew narkotykiem, żeby wszystko pozostało w oddali. Jest gotowy zaakceptować dreszcze przechodzące po kręgosłupie, przyprawiającą o zawroty głowy nierealność pokoju i zaciśniętą szczękę, jeśli tylko razem z nimi przyjdzie nieświadomość. Lepsza ciemność niż widzenie Bridget, w każdym wieku. Ciężko pracował, już od miesięcy, by wygonić z pamięci wszelkie wspomnienia z nią związane. Wypchnąć je, nawet im się nie przyglądając. Nie może wspominać, jak jego szesnastoletnia żona niszczyła ogród, musi zapomnieć, jak w wieku siedemnastu lat skrapiała się jego zapachem. Nie może wpuścić do szpitalnej sali jej dorosłej wersji, tak świętej, tak wybaczącej. On jej nie przebaczył, nigdy tego nie zrobi, nie może.

Budzi się z twarzą zwróconą do zielonej ściany, nadal na zdrowym boku. Głęboko, rozedrgany, wciąga nosem powietrze. Jest nieruchome, ciche i pachnie tylko tanim środkiem czyszczącym.

– Bubba, nie śpisz? – pyta Paula cicho, na wypadek gdyby jeszcze spał.

William ostrożnie przewraca się na plecy.

Pokój jest pełen ludzi, w milczeniu patrzących na niego. Boli go szczęka. Kręci mu się w głowie, ma mdłości, a wszyscy ci ludzie w pokoju falują w swoich skórach. Rozpoznaje tylko Paulę, która siedzi na sąsiednim łóżku, w czarnej spódnicy i białej bluzce. Kosztowna kurtka leży, rzucona byle jak, obok niej.

Uśmiecha się, kiedy widzi jego oczy, i pyta:

– Co ci mówiłam o wystawianiu się na kule? Co ci mówiłam?

– Nic – odpowiada William. – Chociaż... chyba mówiłaś, żebym tego nie robił?

– Jego głos jest ochryply i zbyt donośny.

– Widzę, że kula oszczędziła twoją inteligencję. – Jej głowa chwieje się na szyi, więc i on kołysze głową, żeby dostosować się do jej ruchu. – Bubba? Postrzelili cię w mózg? Czy dali ci dużo dobrych narkotyków? – William podnosi pudełko z guzikiem i Paula się uśmiecha. – Mniam-mniam. No dobra, ale nie daj się znowu postrzelić. Nigdy.

– Zgoda.

Wysoki chudy chłopak po jego lewej stronie niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. William go nie zna. Jest w studenckim wieku, ubrany w długie szorty i klapki. Ma taki wyraz twarzy, jakby zjadł coś kwaśnego.

Bliżej jego łóżka, na jedynym krześle dla odwiedzających, siedzi znajoma ciemnowłosa dziewczyna z chłopczykiem na kolanach. Chłopczyk trzyma wymiętego, brudnego ptaszka z papieru.

– Cześć, Natty – mówi William. Bierze pilota do łóżka i wciska guzik podnoszący górną część do pozycji siedzącej.

– Cześć, William – odpowiada chłopczyk. – Mamusia powiedziała, że cię nie zabili.

– Jak się czujesz? – pyta dziewczyna nieśmiało, a kiedy William słyszy ten znajomy akcent, przypomina mu się jej imię. Shandi.

– No właśnie, William, jak się czujesz? – pyta Paula, unosząc brwi. Porusza nimi znacząco. – Widzę, że masz nowych przyjaciół. Ładnych. Z... – Za plecami Shandi Paula podnosi ręce na wysokość swoich małych piersi i pokazuje nimi większy biust.

– Natty bardzo się martwił – mówi Shandi.

– Jasne – odpowiada William, teraz patrząc na Natty'ego. Zamaszyście macha jedną ręką, co wywołuje falę bólu promieniującego z boku, ale dzięki morfinie William prawie nie zwraca na niego uwagi. – Kula ledwie mnie drasnęła.

To kłamstwo, ale często trzeba okłamywać dzieci. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy życia Twyli musiał co wieczór wypędzać „ludzia”, który mieszkał w jej

szafie. Początkowo niechętnie do tego podchodził. Tłumaczył Twyli, jak działa świat, że potwory nie istnieją, a już na pewno nie ludzi. Twyla słuchała i kiwała głową, a na koniec pytał ją: „Więc potwory nie istnieją, prawda?”. Odpowiadała bardzo poważnie: „Nie, tatusiu. Tylko ludzi”, i wskazywała na szafę.

– Na moim ptaszku jest krew – oznajmia chłopczyk z żalem. – Nie wolno mi go zatrzymać.

Wyciąga rękę, pokazuje Williamowi rdzawą smużkę na ogonie.

– Zrobię ci innego – obiecuje William.

Paula mówi z właściwą sobie szczerością:

– A tak w ogóle to się cieszę, że nie umarłeś.

– Ja też – potwierdza William. Czasami trzeba okłamywać również dorosłych.

– Dlaczego nie jesteś w sądzie?

– Powinam być. Musiałam postarać się o odroczenie sprawy, a teraz moja klientka stwierdziła, że chce renegotjować warunki i zawalczyć o drugą wilłą. Wszystko dlatego, że nie mogłeś dać się postrzelić jutro.

Shandi mówi do Natty'ego:

– Walcott zaprowadzi cię do bufetu na lody, dobrze?

Natty kiwa głową, a Paula ciągnie:

– Jesteś bardzo popularny. Pani Grant, właścicielka Circle K, wpadła, żeby poszlochać i wylewnie cię przeprosić. Bardzo, ale to bardzo jej przykro, że postrzeliła cię stopą. Prosiła, żeby ci przekazać, że jej mąż ma parę złamanych żeber, ale powinien się z tego wylizać. Leży w sali na drugim końcu korytarza. Chce ci podziękować. Przyszła też ta kasjerka...

– Carrie – podpowiada Shandi. Podaje chłopczyka większemu chłopcu, temu rozdrażnionemu, w klapkach. Od całego tego ruchu Williama ogarniają jeszcze większe mdłości.

Paula ciągnie:

– ... w tej samej sprawie, zdaje się. Nikt jednak nie został, oprócz tej dziewczyny. Patrzyła, jak śpisz. Co wcale nie jest upiorne. – Mówi to tonem, który oznacza, że w rzeczywistości uważa to za upiorne.

– I ty – dodaje William.

Czuje, że jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu. Zbyt szerokim. Czuje, jakby górna połowa jego głowy miała się otworzyć i opaść na poduszkę, aż

patrzyłby do góry nogami na ścianę za sobą.

– Tak, ale ja cię kocham, ty palancie – mówi Paula.

Zatrwożona Shandi szybko, gwałtownie wciąga powietrze.

Rozdrażniony chłopak rozdyma nozdrza.

– Będziemy w bufecie, kiedy już skończysz z tymi wygłupami.

Wynosi Natty'ego.

Natty patrzy przez ramię na Williama, który do niego macha. A więc tak wygląda trzyletnie dziecko: ma ogromne oczy, jest ciche i wrażliwe. William nie spędził zbyt wiele czasu z małymi dziećmi – tylko z własną córką, która dożyła zaledwie drugiego roku. Była hałaśliwa i chaotyczna, nosiła błyszczące, różowe ubrania, uparta kuleczka na krótkich, grubych nóżkach. William dostrzega różnice w fizjologii. Trzylatek jest wyższy i prostszy, jego plecy już nie są pochyle, a brzuch traci okrągłość.

– Poszedł. Bubba, możesz już przestać machać – odzywa się Paula.

Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że cały czas machał ręką. Przestaje machać i przestaje też się uśmiechać, próbuje z powrotem ściągnąć usta, skrócić je. Nie udaje mu się, więc odkłada pudełko z morfiną.

Shandi zwraca się do Pauli:

– Czy mogłaby pani dać nam minutkę? Na osobności?

Paula chichocze.

– Mowy nie ma. Twój kolega powiedział, że przyszedł tu dla wygłupu, a ten mężczyzna jest kompletnie bezradny. A co, jeśli go zjesz?

– William. – W głosie Shandi brzmi prośba. Jej oczy są ogromne i pełne desperacji, jak wtedy w Circle K. Wbija w niego wzrok, jakby błagała, żeby walnął Paulę w łeb. To mu o czymś przypomina.

– Zabiłem go? Tym przyciskiem do papieru? – pyta. Nie chciałby nikogo zabić. Nawet Steviego.

– Nie – odpowiada Shandi. – Lekarze powiedzieli, że przeszedł operację i teraz leży na intensywnej terapii. Pod drzwiami stoi policjant, ale nie wiem po co. Stevie jest w śpiączce.

Urywa i spuszcza wzrok na dłonie. Kilka razy zerka na Paulę. William bierze wymiętego ptaszka i ciągnie go za ogon, żeby ptaszek zaczął dziobać. Ptaszek jest tak zniszczony, że wykonuje tylko spazmatyczny, żałosny ruch. Shandi

nadal zerka na Paulę.

– Nie wyjdę, wariatuńciu – upiera się Paula.

– Nie jestem wariatką. – Shandi odwraca się do Williama i dodaje: – A może i jestem. W Circle K, kiedy zostałeś postrzelony, spojrzaleś na mnie i powiedziałeś pewne słowo.

William kręci głową. Nie pamięta.

– Powiedziałeś „przeznaczenie” – przypomina mu Shandi.

Paula się prostuje i zaczyna intensywnie wpatrywać się w Williama. Zna definicję tego słowa według Williama. Mruży oczy.

– Williamie – mówi Shandi, a on wraca do tamtej chwili, kiedy ich oczy spotkały się nad głową jej przerażonego dziecka. Wtedy myślał, że ta dziewczyna go pocałuje. Teraz znowu się do niego przysuwa i pyta niemalże szeptem: – Wierzysz w cuda?

Paula unosi brwi tak wysoko, że aż znikają pod jej grzywką.

– Zdefiniuj to słowo – prosi William.

– Jak wtedy, kiedy Morze Czerwone się rozstąpiło albo kiedy Łazarz ożył – odpowiada Shandi. Przetyka ślinę i odwraca wzrok.

– Nie.

Shandi wzrusza ramionami.

– Kiedy urodziłam Natty’ego, byłam dziewicą. Długo wierzyłam, że to cud.

„Cud” to inne określenie magii, a magia to nauka, tyle że jeszcze niewytłumaczona. Najprostsze wyjaśnienie stwierdzenia Shandi to takie, że potrzebne jej są leki przeciwpsychotyczne. Za jej plecami Paula kreśli palcem kółko na skroni, potwierdzając jego przypuszczenie. William, nawet w oparach morfiny, nie chce w to wierzyć. Był z nią w Circle K. Zachowywała się spokojnie, starała się ocalić swoje dziecko. Zrobiła te wszystkie obrzydliwe rzeczy, które ktoś musiał zrobić, kiedy William został postrzelony. Nawet teraz nie sprawia na nim wrażenia niezrównoważonej. Chociaż oczywiście teraz William nie ma jasnego oglądu sytuacji. W tej chwili wydaje mu się, jakby Shandi miała dwa albo trzy oblicza.

– Takie rzeczy nie istnieją – mówi.

Shandi ze smutkiem kręci głową.

– Wiem. Nawet nie jestem pewna, czy wierzę w Boga. Ale i tak udawałam, że

to cud. Jeżeli nie możesz z czymś żyć, musisz się tego pozbyć. Robisz wszystko, co możesz, żeby to od siebie odsunąć. – To oczywiście ma dla Williama sens. – Ale zawsze może wrócić. Nigdy nie wiadomo, co przywoła to z powrotem.

– Proszek do prania – mówi William, a Shandi marszczy brwi. – Dobra, koniec – wtrąca się Paula. – William nie może teraz rozmawiać o twoich rozterkach.

Shandi ją ignoruje i przebiega do przodu, wypowiada słowa szybciej, a jej głos jest intensywny, rozgorączkowany.

– Nie było żadnego cudu. Zabiłam go w Circle K. Zabiłam go na śmierć i teraz chcę tylko poznać prawdę. Wypowiedziałeś to słowo, „przeznaczenie”. Powiedziałeś, że jesteś naukowcem. Myślę, że mógłbyś mi pomóc odnaleźć prawdę.

– Mówię poważnie. – Paula staje nad nią. – Proszę wyjść.

Shandi cofa się pod gniewnym spojrzeniem Pauli, opada na krzesło. Chwyta za jego brzegi tak mocno, że kostki jej palców bieleją. Niełatwo będzie się jej pozbyć, ale Paula zamierza ją chwycić za ramiona i wyprowadzić z sali, po dobroci albo pod przymusem. Komuś może stać się krzywda. Prawdopodobnie Shandi.

– Zaczekaj – prosi William Paulę, która przystaje i patrzy na niego z niedowierzaniem.

Jego umysł, choć przesiąknięty narkotykami, zaczyna się ożywiać. W Circle K też coś poczuł do tej dziewczyny. Mówi, że zabiła cud, i chociaż William wie, że to przenośnia, to ta koncepcja mu się podoba. Teraz Shandi chce, żeby upór i nauka jej pomogły.

– Jestem tym zainteresowany – stwierdza.

Paula jest tak przerażona, że nie reaguje od razu. Shandi kiwa głową. Wygląda tak, jakby jej ulżyło, ale nie jest zaskoczona. Tak, jakby się spodziewała, że William się zgodzi, i to też jest interesujące. Nawet by nie przypuszczała, dopóki nie wypowiedział tych słów.

– Żartujesz czy co? – podnosi głos Paula. Znowu przygląda się Shandi. Jeszcze niedawno nabijała się z Williama, mówiąc, że młoda kobieta patrzyła, jak śpi, ale teraz zaczyna poważnie traktować Shandi. Jej wzrok spoczywa na dziewczynie, oceniający, podejrzliwy, a potem gniewnie przenosi się na

Williama. – William, słyszysz sam siebie? Brakuje ci piątej klepki?

William rzuca jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Wiesz, że przed poranną kawą nie lubię metafor.

Mimo zdezorientowania Paula parska śmiechem.

– Ani po – dodaje.

– Ani w trakcie – przyznaje William. Oczywiście wie, co Paula ma na myśli, ale dlaczego niby on musiałby to rozumieć? Po co pytać, czy odpadła od niego jakaś klepka, zamiast spytać, dlaczego tak dziwnie się zachowuje?

– Uff, widzę, że ci lepiej – ocenia Paula. – Już dawno powinnam była cię zastrzelić. Normalnie mnie zażyłeś. Ta dziewczyna plecie jakieś kosmiczne bzdury, a ty w to wchodzisz? Tak po prostu?

William wzrusza ramionami i ocenia z oddali, że jego rana źle na to reaguje. Teraz też zauważa, że siadanie w łóżku nie było najlepszym pomysłem. Dwie kobiety falują w rozmazanym pokoju, każda chce czego innego. Jest lojalny wobec Pauli, ale ma za sobą długą, czarną noc. Rankiem nie może kierować się samą lojalnością.

Być może Shandi uratowała mu życie dzięki pożyczonemu swetrowi i szybkiej decyzji. Zdrowy rozsądek podpowiada mu, że jest jej dłużnikiem, chociaż nie czuje wdzięczności. Nie takiego wyniku oczekiwał. Ale teraz Shandi powiedziała rzeczy, które wzbudziły w nim ciekawość. Jest prawie zainteresowany, jego umysł po raz pierwszy od roku angażuje się w coś daleko wykraczającego poza niego samego.

Zresztą dlaczego nie? Niecodziennie spotyka dziewczynę, która zabiła cud.

– Pewnie – odpowiada Pauli, odpowiada im obu. – Tak po prostu.

Część druga

Chemia

Mózg ma dokładnie ciężar Boga –
Bo zważ ich – co do grama –
A Waga z Wagą – jak Litera
Z Głoską – będzie tożsama

EMILY DICKINSON

Wiedziałam tyle: William może odnaleźć biologicznego ojca Natty'ego. Przegna golema z czerwonej gliny, który powstawał w mojej wyobraźni, zniekształcony i anonimowy, z ziemi wokół pufy. Nada mu ludzką twarz, ludzkie ciało, ludzką uległość wobec sprawiedliwości. W końcu stałam się prawdziwym wyznawcą.

– To nie Sherlock Holmes – powiedział Walcott przez telefon. Ładowałam furę prania do pralki w mieszkaniu i szykowałam się do powrotu do Williama. Nie widziałam się z Walcottem od wspólnych odwiedzin w szpitalu. Wmawiałam sobie, że to tylko dlatego, że latem Walcott mieszka w Lumpkin County, gdzie pracuje dla swoich mam. Ale nie odpowiadał na moje esemesy, co było dotąd niespotykane. Zadzwoiłam do pensjonatu i poprosiłam Aimee, żeby zawołała go do telefonu. Teraz rozpoczęliśmy tę głupią kłótnię. Walcott nie wierzył, że William może to zrobić, i zirytowało go to, że spytałam go o zdanie. – Wierzysz w to tak samo jak Natty wierzy, że uratuje Dzwoneczek, klaszcząc za każdym razem, kiedy czytam mu *Piotrusia Pana*.

– Tak? Kiedy ostatnio sprawdzałam, Dzwoneczek jeszcze żyła – odparłam, też zirytowana.

– Nie wracaj tam.

Ale jak tylko odłożyłam słuchawkę, pojechałam do Williama.

Opiekowałam się nim już od ponad tygodnia, gotowałam w jego kuchni zdrowe posiłki i kazałam mu jak najdłużej leżeć płasko, żeby brzuch się wykurował. Jego przyjaciółka Paula wzięła nocną zmianę i to dosłownie. Obiema rękami. Pojawiała się co wieczór oprócz czwartku tuż przed tym, jak kładłam Natty'ego spać, więc nasze ścieżki prawie nigdy się nie krzyżowały. Mogłabym pozwolić Natty'emu kłaść się trochę później, gdyby nie to, że Paula całą sobą wypełniała dom, spychała mnie na bok, aż czułam się jak robak pełzający pod ścianami.

Przynosiła sześciopaki piwa, otwierała dwa i podawała jedno Williamowi. Siadała w fotelu i dopiero wtedy pytała: „O, może ty też miałabyś ochotę?”. Wyłączała mnie z rozmowy, wciągając Williama w dziwne gierki słowne albo mówiąc rzeczy tak przesycone historią i odnośnikami, że były dla mnie równie zrozumiałe jak pismo stenograficzne.

Byłabym zazdrosna, gdyby nie to, że William nie okazywał jej ani krzty romantyzmu. Zupełnie jakbym obserwowała alternatywną wersję siebie i Walcotta, w której Walcott był wyciszony, a ja byłam niezłą żoną. Zastanawiałam się, czy nie łączą ich jakieś więzy rodzinne. Paula stanowiła tak nieodgadnioną mieszanekę ras, że teoretycznie mogła być spokrewniona dosłownie ze wszystkimi.

Tego wieczora przyszła wcześniej niż zwykle.

Skończyliśmy kolację, ale jeszcze siedzieliśmy przy stole, gawędząc: William u szczytu stołu, ja i Natty po obu jego bokach. Był to trzeci dzień, kiedy czuł się na tyle dobrze, żeby usiąść przy stole, zamiast jeść obiad w łóżku. Był bosy, miał na sobie T-shirt z napisem E.COLI SIĘ ZDARZA i stare levisy, które wyglądały na tak miękkie, że chciałam paść na kolana i potrząść policzkiem o jego udo.

Usłyszałam, jak otwiera drzwi w chwili, kiedy Natty zaczął nalegać, żebyśmy poszli obejrzeć małe brązowe nietoperze, zanim zrobi się za ciemno. Wkroczyła do kuchni i postawiła sześciopak na blacie.

Powiedziałam Natty'emu: „Za chwileczkę, kochanie”, głównie dlatego, że nie chciałam, żeby mnie wypędziła w środku godziny, która jeszcze należała do mnie.

Chłodno skinęła głową w moją stronę, po czym spytała Williama:

– Hej, Bubba, jak się czujesz?

– Dwadzieścia sześć procent mniej martwy – odparł.

Powiedziałam zbyt głośno:

– Jest jeszcze łośoś, jeśli masz ochotę. – Pokręciła głową. Kiedy dodałam: – Mogę ci przynajmniej zrobić kawy? – roześmiała się głośno.

– Sama sobie wezmę coś do picia, pani gosposiu. Luzik.

Zdjęła kapsel z piwa, przechyliła się nad blatem i zaczęła pić, spoglądając na mnie przez butelkę.

Natty wstał z krzesła, okrążył stół i zaczął mnie ciągnąć za rękaw.

– Mamusiu, chodź popatrzeć na nietoperze.

Ale ja nie byłam gotowa ustąpić pola, oddać Williama Pauli.

– Muszę pozmywać.

– William, może ty go zaprowadzisz, skoro jesteś w spodniach?

– Jasne. – William wstał, lekko przyciskając dłoń do miejsca, w które go postrzelono, jakby kula nadal tam tkwiła, a on próbował zatrzymać ją w środku.

Ruszyłam za nimi, ale Paula powstrzymała mnie:

– Chyba sobie poradzą, prawda? Dokończ zbierać naczynia ze stołu. Ja je opłuczę. – Przyszło mi do głowy, że Paula wykazuje domowe instynkty kota ze stodoły. To intryga, żeby dorwać mnie sam na sam.

Ale wtedy posłała mi szeroki, szczery uśmiech i puściła wodę do zlewu. Nie snuła żadnej intrygi. Nie próbowała mnie w nic wplątać. Była to jasna prośba o tête-à-tête, bez mężczyzn w kuchni. Zebrałam kilka brudnych talerzy i zniosłam je do zlewu, na tyle zaciekawiona, by pozwolić jej działać dalej. Nigdy jeszcze nie zostałyśmy same w pokoju, a kiedy William był obecny, nie okazywała najmniejszej ochoty na rozmowę ze mną.

Paula wzięła ode mnie naczynia i zaczęła je opłukiwać, ale kiedy tylko drzwi wejściowe się zamknęły, zakręciła wodę. Odwróciła się do mnie, obrzuciła mnie ostrym, przebiegłym wzrokiem i wytarła ręce ściereczką, żeby nie zachlapać wodą eleganckiej, czarnej garsonki.

– Nie protestowałam, kiedy zachowywałaś się jak jakaś urocza przybłęda, która podkochuje się w Williamie. Ale teraz próbujesz się tu zadomowić – powiedziała bez żadnego wstępu. – William czuje się o wiele lepiej, więc myślę, że już nie jesteś tu potrzebna.

W jednej chwili poczułam się tak niezręcznie, że nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Zacisnęłam dłonie przed sobą, jak Natty przyłapany na zwęczeniu cukierka, a potem opuściłam ręce wzdłuż boków.

– Ooo! Ale się ciebie boję – zakpiłam. – Chyba jednak nie ty o tym decydujesz.

– Pozwolimy Williamowi zdecydować? – Zachichotała, lecz nie zabrzmiało to przyjaźnie.

– Chyba tak. – Wcale nie byłam pewna, do czego to doprowadzi.

– Myślisz, że wybierze ciebie? – spytała Paula.

Przez moment zastanawiałam się, jaki ma inny wybór. Nagle uświadomiłam

sobie, że chociaż William nigdy nie okazał Pauli ani cienia romantyzmu, to jej uczucia było o wiele trudniej odczytać. Naciskała, odparłam więc jej atak.

– Nadal potrzebuje pomocy. Ty raczej nie dasz rady.

Nie podobał mi się ten defensywny ton, ale w moich słowach było dość prawdy, by Paula skinęła głową i powiedziała:

– Touché.

Kiedy Natty i ja pierwszy raz przyjechaliśmy do jego odnowionego domu w stylu Tudorów w samym sercu Morningside, był naćpany lekami przeciwbólowymi, chwiał się na nogach i jadł makaron prosto z opakowania. Nie był w stanie kontynuować rozmowy, którą zaczęłam w szpitalu. Paula zawiozła go do domu i zostawiła samego, z mlekiem, sokiem pomarańczowym i chińskim daniem na wynos do podgrzania. Położyłam go do łóżka i zostaliśmy. Następnego dnia wróciliśmy z prawdziwymi zakupami i zostaliśmy na dłużej.

Myślałam, że w końcu ktoś – może rodzina albo przyjaciele – pojawi się i się mnie pozbędą, mówiąc: „Och, dzięki, Shandi, ale jesteś obcym człowiekiem, teraz my się nim zajmujemy”. Paula przeważnie przychodziła dopiero około siódmej. Sąsiadka przyniosła ciasto kawowe, a firma Geneti-Tech przysłała wielką skrzynię gruszek, każda owinięta osobno, jakby były cennymi klejnotami. Nabijałam się z tego, dopóki nie ugryzłam jednej i nie poczułam idealnej, świeżej słodyczy, która wypełniła mi usta. Zanim Natty i ja przyjechaliśmy, dom Williama przypominał piękną próżnię: gładkie powierzchnie, szkło, cegła i cisza.

Paula przechyliła głowę. Miała zimne oczy. Zrobiła krok w moją stronę. Była naprawdę przerażająca. Zrozumiałam, jak musi się czuć jakiś bezbronny, zmordowany ojciec, który lada chwila zostanie zmiażdżony przez Paulę.

– Doceniam twoje zapiekanki, ale nie dostaniesz mojego autystycznego doktora Ashe’a. Nie obchodzi mnie, co powiedział i jak to wygląda. Powtarzam, nie dostaniesz go.

Schyliłam głowę i podniosłam brwi. Paula zawłaszczyła go sobie jak terytorium, ale moją uwagę przyciągnęło co innego.

– Twojego kogo? – spytałam, po czym kiedy jej słowa do mnie dotarły, zaprotestowałam, zszokowana: – William nie jest autystyczny. – Ale coś w moim umyśle mówiło: Och, to lekkie rozkojarzenie. To, jak patrzy w bok, kiedy się do

niego zwracam. To nie tylko leki przeciwbólowe.

– Jest w szerokim spektrum. Nieważne. William jest dorosły. Nauczył się z tym żyć. Mniej więcej – wyjaśniła, po czym dodała słodkim tonem, jakby recytowała wyliczankę: – Asperger, autystyczny, niemądry, ale śliczny. – Wydeła usta, a ton jej głosu zmienił się z dziecięcego w ostry jak brzytwa: – Postaraj się nie odbiegać od tematu. Nie przychodź tu, do tego w tych swoich sukienkach jak z castingu na żonę idealną. W tej wyglądasz, jakbyś wykopała June Cleaver z grobu i zdarła z niej ubranie. Nikt się tak nie ubiera, żeby otrzymać pomoc przy szkolnym projekcie naukowym, czy o czym tam pieprzyłaś w szpitalu.

W jednej chwili zrobiło mi się wstyd, że włożyłam ten głupi, staroświecki fartuszek, co było bardzo niesprawiedliwe. Przyszłam, żeby przypomnieć Williamowi o jego obietnicy, a znalazłam go cierpiącego i samotnego. Nie było przy nim nikogo, a przecież został postrzelony, żeby uratować mi życie. Uratować życie mojego dziecka. Więc tak, do tej pory trochę zachowywałam się jak Mimmy, otulałam mu stopy kocem, a kiedy się budził, witałam go zapachem spreju do czyszczenia mebli i wielkim kawałem ciasta. Teraz dokonałam wręcz Mimmy-inwazji. Ale życie Mimmy było próbą generalną przed premierą, do której nigdy nie doszło. Nie byłam nią i nie chciałam być, gotować i się uśmiechać, a w środku być martwą.

To jednak prawda, że pragnęłam więcej niż jego pomocy jako naukowca. Chciałam wina i całowania się pod mostami. Chciałam, żeby zanurzył palce swoich ogromnych dłoni w moje włosy, chciałam pojechać z nim do Paryża. Cholera, chciałam być pod nim w Paryżu. Nie miałam tylko pojęcia, jak do tego doprowadzić. Nigdy nikogo nie uwodziłam. Nigdy nawet nie próbowałam. Poczułam, jak fala gorąca zalewa moje policzki, a wtedy Paula kiwnęła głową, jakby ten rumieniec był potwierdzeniem.

– I co z tego? Podoba mi się – powiedziałam, znowu zła na siebie, że Paula zmusza mnie do obrony. – Czy to takie złe?

– Tak. To złe – odparła takim tonem, jakby tłumaczyła coś oczywistego. – Przesunęła się, żeby zmierzyć mnie wzrokiem, ocenić jak kiepskiej jakości krowę. Ja też już byłam zła. W jej spojrzeniu było coś tak intymnego, że poczułam się urażona. – Chcesz wskoczyć na miejsce Bridget? – spytała. Nie słyszałam wcześniej tego imienia, ale oczywiście domyśliłam się, kim była

Bridget. Błyskawicznie. – No proszę cię. Nie jesteś nawet namiastką Bridget, ty zarodku. Nie jesteś nawet jej wersją light. Jak śmiesz próbować zajmować jej miejsce?

– Ona go już nie zajmuje – warknęłam bez zastanowienia i od razu poczułam na policzkach czerwone plamy wstydu.

– Wow. Przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

– Chyba tak. – Wstydziłam się tego, co wyrwało mi się w gniewie, ale nie zamierzałam się wycofywać.

Rozgryzłam Paulę. Co za ironia losu, że kiedy w wiadomościach zobaczyłam zdjęcie, pomyślałam o Bridget jako o swojej rywalce. Trochę mi ulżyło, kiedy się okazało, że William nie przekształcił domu w jej świątynię, jakby była pierwszą panią De Winter z powieści Daphne du Maurier. Wręcz przeciwnie. Żadnych ubrań, szminek czy perfum. Brakowało nawet zdjęć, zostało tylko kilka kwadratowych cieni na ścianie w miejscach, gdzie wisiało coś w ramkach.

Jedyną pozostałość po niej znalazłam wczoraj, kiedy szukałam ręcznika do rąk. W pustej szufladzie łazienkowej szafki znalazłam pęknięty różaniec. Pomyślałam: Czyżby William był katolikiem? Nie wyglądał na to. Nie wyglądał na nic. Zastanawiałam się leniwie, jak dziewczyna wymyślająca nazwisko swojego przyszłego męża, czy musiałabym się przechrścić. Mogłoby to zdenerwować rodziców, ale przynajmniej oboje po równo. Tata czułby, że wybrałam jakąś formę chrześcijaństwa, a mama byłaby pewna, że nie.

Kiedy wyjęłam różaniec i zobaczyłam jasne, koralowe paciorki i delikatny srebrny krzyżyk, zrozumiałam, że jest zbyt kobiecy jak na Williama. Z powrotem włożyłam go do szuflady, szybko, jakby mnie parzył w dłoń.

Teraz zaczęłam się zastanawiać, kto tak dokładnie pozbył się rzeczy Bridget. Czy zrobiła to Paula, żeby przygotować miejsce dla siebie? Byłam skłonna się o to założyć. Wiedziała, gdzie William trzyma klucz od ogrodu, i co wieczór sama wchodziła do domu, jakby już należał do niej. Myślałam, że jest Walcottesem Williama, ale nie była warta nawet jego jednego palca u nogi.

Drzwi wejściowe znowu się otworzyły, co odwróciło uwagę Pauli. Poczułam się tak, jakby haczyk wyslizgnał się spod mojej skóry. Usłyszałam głos Natty'ego dochodzący z zewnątrz, głośny i podekscytowany:

– ... ten rodzaj żuka. Nie wolno go straszyć! Bo zacznie śmierdzieć jak bąk! –

W odpowiedzi William się roześmiał.

Paula zrobiła krok w ich stronę, ale na ten dźwięk zastygła. William śmiał się dziwnie głośno, jakby zepsuła mu się regulacja poziomu dźwięku. Nie słyszałam tego od dnia w Circle K. Roześmiał się tak, kiedy został postrzelony.

Dziwne. Odkąd, praktycznie rzecz biorąc, zamieszkałam tu, nigdy nie słyszałam jego śmiechu. Przez chwilę myślałam, że może jest trochę autystyczny. Może nie śmiał się, bo nic nie czuł. Niejasno kojarzyło mi się to z zespołem Aspergera. Ale zdjęcie z Bridget, z dziewczynką na kolanach... Może nie śmiał się, bo było mu cholernie smutno, jak byłoby każdemu na jego miejscu.

Na dźwięk tego śmiechu wyraz twarzy Pauli całkowicie się zmienił. Przełknęła ślinę, a jej oczy się zaróżowiły. Przestałam się zastanawiać. Niewiele wiedziałam o zespole Aspergera, ale wiele wiedziałam o Williamie. Zajrzałam w głąb niego, wtedy w Circle K. Teraz poznałam go jeszcze lepiej. Widziałam, jaki jest miły i cierpliwy dla mojego dziecka. Wetknęłam nos w każdy zakamarek tego pustego jak muszla domu, nawet do najmniejszego pokoju, pustego, ze ścianami koloru pomarańczowego sorbetu. Pod sufitem, na ręcznie namalowanej linii, fruwały wesołe, grubiućkie ptaszki. Pokój dziecięcy, teraz bez zabawek, bez zasłon, tylko smutne kłęby kurzu przesuwające się po nagiej podłodze, bez łóżka czy komody, pod którymi mogłyby się schować.

William nie był niezdolny do uczuć. Miał złamane serce. Nawet taka twardzielka jak Paula była na granicy płaczu, bo jego głośny śmiech był dobrym dźwiękiem, znajomym dźwiękiem. Takim, którego brakowało.

Natty przystanął w drzwiach i wskazał na światło na ganku, cały podekscytowany.

– William! To rzekotka! Zwykle nie schodzi z drzew.

William schylił się i wziął Natty'ego na rękę, oszczędzając ranny bok. Podniósł Natty'ego wysoko, żeby lepiej zobaczył żabę, która przyszła, żeby zjeść owady fruujące wokół lampy na werandzie. Mówił coś o jej ubarwieniu ud, karmił informacjami głodny wiedzy mózg Natty'ego. Obaj mrużyli oczy w blasku światła.

Kiedy Paula zobaczyła, jak William trzyma na rękach Natty'ego i przytula głowę do jego głowy, białka jej oczu zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

William postawił Natty'ego, a Paula odwróciła się i zaczęła opłukiwać te same talerze, które już wcześniej opłukała. Natty wbiegł do kuchni, błagając o pojemnik, do którego chciał złapać oślizgłe stworzenie, które znaleźli na werandzie. William szedł za nim wolniejszym krokiem.

– Nie, kochanie, musimy zostawić go na wolności. Jest pora godowa. Przyszedł tu, żeby znaleźć sobie dziewczynę. – Nadal byłam cała roztrzęsiona. Plecy Pauli zeszywniały jeszcze bardziej, kiedy na nowo myła już czyste naczynia.

William wszedł do kuchni, w której powietrze było tak gęste od kłótni dwóch kobiet, że dosłownie smakowało estrogenem. Nic jednak nie zauważył, powiedział:

– Natty mówi, że w nocy tęskni za „wrzeszczącymi żabami”.

Na wzgórzu Mimmy, na wierzchołkach drzew, mieszkało chyba z milion tych spuchniętych żab. Przez całe lato darły się, głodne miłości.

– Może znajdziemy je na CD – powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał normalnie.

Natty potarł oczy pięściami i odparł:

– Żywe żaby są lepsze. – Było już całkiem ciemno, a ostatnio, im bardziej był senny, tym dziecinniej się wysławiał.

– Możemy zrobić terrarium – zaproponował William. – Żaby będą ci kumkać w pokoju.

– Nie, nie możemy – powiedziałam.

– Nie lubisz żab? – William się zdziwił, jakby wszyscy lubili żaby, tak jak czekoladę albo piosenki.

– Lubię, ale na zewnątrz. Nie w domu, gdzie Natty zostawiałby terrarium otwarte i żaby by wyskakiwały i dotykały mojej śpiącej twarzy swoimi obrzydliwymi, śliskimi nóżkami.

Była to najdłuższa rozmowa, jaką odbyliśmy w obecności Pauli. Zwykle ona przejmowała pałeczkę, nie pozwalając mi się odezwać. Teraz w końcu się pozbierała. Odwróciła się i sięgnęła po piwo.

William dostrzegł jej czerwone oczy.

– Co przegapiłem?

Paula lekceważąco machnęła ręką.

– Shandi i ja rozmawiałyśmy o historii. Ona uważa, że Kolumb to superbohater, który wylądował na „nieodkrytym” kontynencie. Zdenerwowało mnie to. Mieszkał tam już cały naród, który miał wszelkie prawa do tego lądu.

William spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

– To smutne, ale taka jest historia – powiedziałam. – Urodziliśmy się w kraju, który powstał później. Jestem wielką fanką nowości.

Zapadła cisza pełna napięcia. William przenosił wzrok ze mnie na Paulę i z powrotem, jakby usłyszał parę akordów piosenki, którą znał, ale której nie mógł dokładnie sobie przypomnieć.

– Ale mogliśmy ją złapać chociaż na chwilę – powiedział Natty, znowu zwracając na siebie uwagę Williama.

– Innym razem. Dość często widuję tu australorzekotki szmaragdowe.

Paula zniżyła głos tak, że tylko ja mogłam ją usłyszeć:

– No, kotku, bitwa się zaczęła. Zatopię twój okręt wojenny. – Wyminęła mnie, wzięła Williama pod rękę i fizycznie mi go zabrała. – Kai ciągle do mnie nie oddzwania. Tank mówi, że wstąpiła do jakiejś spółdzielni rolniczej. Sekta czy jak?

William prychnął.

– Już to widzę, jak twoja matka sprzedaje kwiaty na lotnisku.

Natty zaczął ziewać. Podszedł, oparł się o moją nogę i powiedział:

– Mamusiu, ale ja chcę to terrarium na żaby.

Natty potrafił bez zająknięcia wypowiedzieć takie słowa jak „anafylaktyczny” i „niedorzeczny” i wymienić łacińskie nazwy pięćdziesięciu rodzajów owadów, więc wiedziałam, że powinien już położyć się spać.

Darowałam Williama Pauli, ale tylko chwilowo. Jutro zamierzałam zacząć od nowa.

*

Zabrałam swoje dziecko do domu. Położyłam Natty’ego do łóżka z jego mieczem świetlnym, wielką maską Dartha Vadera i hełmem. W post-Stevie’owym świecie mojego synka zdekapitowany mroczny rycerz stanowił lepsze pocieszenie niż

biedny, stary Żółty Przyjaciel. W jego pokoju czuwały nad nim też nocna lampka w kształcie gwiazdy od taty, Ręce Jezusa złożone do modlitwy i zdjęcie Mimmy w czerwonym bikini. Na nocnym stoliku straż pełniło rosnące stadko papierowych ptaszków od Williama, ale żadna z tych rzeczy nie potrafiła powstrzymać czarnych bomb i pistoletów na nogach. Przed północą Natty wgramolił się do mojego łóżka.

Nie potrzebowałam psychiatry, za którego płacił tata, żeby wiedzieć, że te nocne koszmary symbolizują Steviego. Pani psychiatra specjalizowała się w zespole stresu pourazowego u dzieci, ale do tej pory miałam wrażenie, że tata płacił dwieście dolców miłej starszej pani, która patrzyła, jak Natty walczy plastikowymi dobrymi ludzikami z plastikowymi złymi ludzikami. Codziennie robiłam z nim to samo za darmo.

Z całą pewnością nie pomagało mu to zasnąć. Resztę nocy spędził, wczepiając palce w moje włosy, machając rękami, waląc mnie w gardło, zwijał się i rozwijał jak sprężyna, a potem wciskał swoje malutkie paluszki u stóp w moje nozdrza.

Na przemian drzemałam i budziłam się. Kochałam go nad życie, ale nie był tym mężczyzną, z którym chciałam leżeć w łóżku. Tamten mężczyzna był w Morningside i spał twardym snem niedawno postrzelonego. Miałam nadzieję, że sam.

Nic nie wiedziałam o uwodzeniu, ale dałabym głowę, że Paula znała tę sztukę na wylot. Była seksowna i tak egzotyczna z tymi jasnymi, skośnymi jak u kota oczami. Wszystkie jej spódnice od garsonek były pięć centymetrów krótsze, niż nakazywałby profesjonalizm.

W wiadomościach powiedzieli, że tamten wypadek zdarzył się równo rok przed napadem. Pojawiłam się na horyzoncie dokładnie w dzień, kiedy zgodnie z normami społecznymi mogła zacząć się do niego przystawiać. Nic dziwnego, że mnie nienawdziła.

A ja, jak ta głupia, myślałam, że to żeńska, zادیorna wersja Walcotta, i nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mam konkurencję. Byłam zbyt zajęta udawaniem Mimmy, a Mimmy po rozwodzie żyła życiem, które baptyści nazywają bez winy. Była zawsze gotowa i czekała na nic, nieskalana. Sprzedawała cukierki i zanosila smażonego kurczaka rodzinom, w których

pojawiło się dziecko. Żaden mężczyzna nie dostał zaszczytu jedzenia przy jej stole i podziwiania domu wysprzątanego na błysk. Mimmy wyglądała seksownie, ale tak naprawdę mniej seksowny od niej był tylko puchaty kiciuś jedzący budyń. Waniliowy.

Tak długo czułam się uszkodzona, że kiedy moje ciało po raz pierwszy zareagowało na mężczyznę, włożyłam ubranie z mniej więcej 1957 roku i zaczęłam odkurzać, przystrojona w perły. To chyba miało sens. Zakochałam się w Williamie tego samego dnia, kiedy doszłam do wniosku, że już nie mogę dłużej uważać poczęcia mojego syna za cud, nieskalany i czysty. Pomogło mi to, że z powodu świeżej rany Williama czułam się z nim wyjątkowo bezpiecznie sam na sam. Bawiłam się w pielęgniarce i nie musiałam z niczym się śpieszyć. Ani ze znalezieniem golema z czerwonej gliny, ani z seksem.

Paula, która chodziła w szpilkach jak bogini seksu i potrząsała czarnymi jak węgiel włosami, gęstymi i szorstkimi jak końska grzywa, naznaczała go niczym terytorium. Nie mogłam już dłużej zwlekać. Na żadnym z frontów.

Następnego dnia wstałam wcześniej i bardzo starannie się ubrałam. Rozkloszowana spódnica i biała bluzka średniej długości. Zdecydowałam się nawet na kołnierzyk w stylu Piotrusia Pana. Włosy wysoko ściągnięte w koński ogon. Idealna czerwona szminka, jak znak stopu przed pocałunkiem. Dziś chciałam całkowicie wykluczyć możliwość uprawiania seksu, zachować ją na później.

Najpierw razem z Nattym załatwiliśmy kilka spraw. Po południu, kiedy jechałam do domu Williama, wiozłam dwie torby w samochodzie. Jedna pełna składników do maminej pysznej ostrej zupy z kukurydzy. Druga była torbą na sprzęt sportowy. Wygrzebałam ją z szafy u taty, kiedy Bethany poszła na pilates.

Postawiłam je na blacie, pod ścianą wyłożoną płytkami. William był w swoim pokoju. Włożyłam naczynia do zmywarki, po czym ułożyłam Natty'ego do snu na leżance w gabinecie. Poprosił, żeby przypiąć mu odznakę szeryfa.

– Potrzebuję jej, żeby być odważnym – wyjaśnił, a mnie aż serce zabolowało. Zostałam, głaszcząc go po stópkach, aż zasnął.

Kiedy wyszłam, zobaczyłam Williama pijącego kawę przy barku śniadaniowym, nadal w spodniach od dresu i starym białym T-shircie.

– Tobie chyba też przydałaby się drzemka – zauważył.

– Dzięki! Uwielbiam, kiedy mężczyźni mi to mówią – powiedziałam z uśmiechem, ale jeżeli wyglądałam choć w połowie tak źle, jak się czułam, to nie mogłam go winić.

Nigdy nikomu nie powiedziałam. Moją przeszłością zajmował się Walcott. Bałam się nawet spróbować, ale byłam zdecydowana. W Circle K zrozumiałam, że już dawno powinnam opowiedzieć swoją historię. Chciałam, żeby William Ashe usłyszał ją pierwszy.

Weszłam do kuchni i stanęłam za barkiem, by stworzyć pewną przestrzeń między nami. Wzięłam pierwszą torbę i zaczęłam wykladać na granitowy blat składniki do zupy, bardzo starannie, jakby los całych narodów zależał od tego, czy cebule leżały w równym szeregu. Ugotowanie tej zupy było moim ostatnim aktem gry w Mimmy. Chciałam, żeby miało to znaczenie.

– W szpitalu poprosiłam cię o pewną przysługę, ale byłeś wtedy półprzytomny. Pamiętasz? – spytałam.

Kątem oka zobaczyłam, że William przechyla głowę tym swoim dziwnym, nieludzkim ruchem. Przypominał mi velociraptora z *Parku jurajskiego*.

– Powiedziałaś, że zabiłaś cud. Mówiłaś o nauce i przeznaczeniu. Na serio powiedziałem, że ci pomogę. Od tamtej pory dość często o tym myślę. Ale nigdy potem nie wróciłaś do tematu, a ja wtedy wybudzałem się z narkozy i brałem opiaty. Zacząłem się zastanawiać, czy dobrze to zapamiętałem.

– Bardzo dobrze – potwierdziłam cicho. Poczułam się lepiej, kiedy przyznał, że potraktował tę sprawę poważnie. Zaczęłam więc mówić, zabrałam go ze sobą do czasów tuż przed skończeniem liceum.

Ten weekend spędzałam u taty. Wybierałam się ze znajomymi z synagogi na późny seans filmowy. Niejasno pamiętam, że tuż po północy zadzwoniłam do Walcotta. Usłyszał Pink zawodzącą do ciężkiej muzyki dance, usłyszał, jak się drę, czy mógłby przyjechać po mnie na imprezę. Śmiałam się piskliwie, a kiedy spytał, gdzie do diabła jestem, odparłam: „Chyba w siedzibie Kappa? Kappa Nappa Coś Tam?”.

Usłyszałam głos jakiegoś chłopaka, blisko telefonu, czyli blisko mojej twarzy. Wtedy się rozłączyłam.

Walcott oddzwonił, raz i jeszcze raz, i jeszcze, ale włączała się tylko moja poczta głosowa. Mówiłam bardzo dziwnie. Po dziewiątej próbie przestraszył się

na tyle, że zszedł na dół i zwędził kartę Visa jednej mamy i priusa drugiej. Popędził przez wzgórza w białym samochodzie hybrydowym, zużywając prawie cztery litry benzyny na siedemdziesiąt kilometrów, żeby mnie uratować.

Wybrał Emory, bo ten kampus leżał najbliżej domu mojego taty i znajdowały się tam siedziby bractw studenckich. Zanim znalazł siedzibę Kappa Nu, była trzecia w nocy, ale w wielkim, białym domu impreza trwała dalej. Rozejrzał się po parterze, po czym pognął na górę, pokonując po dwa stopnie. Otwierał po kolei wszystkie drzwi, natknął się na nastolatków uprawiających seks w różnych konfiguracjach, na nagą parę tak zajęta wrzeszczeniem na siebie, że jego obecność przeszła niezauważona, na trzech chłopców z bractwa studenckiego, przekazujących sobie fajkę wodną, i wreszcie na łazienkę pełną naprutyh dziewczyn poprawiających makijaż. Wpadł do środka, ale żadna nie była mną. Wrócił na dół i zaczął krążyć po naprędce zaimprovizowanym parkiecie do tańca i zaglądać w twarz każdej niskiej dziewczyny z ciemnymi włosami.

W końcu wyszedł. Ruszył ulicą, wołając mnie. Już miał wrócić do samochodu, myśląc, że wybrał niewłaściwy kampus, kiedy zobaczył żółtego volkswagena zaparkowanego przy następnej przecznicy. Znał tę tablicę rejestracyjną, która tak wkurzała Mimmy, z napisem CÓRCIA TATY. Tata przysłał mi ten samochód w samym środku przyjęcia z okazji moich szesnastych urodzin w Lumpkin County. Więc Walcott wrócił. Stanął na podwórzu przed domem i zaczął chodzić w tę i z powrotem, wykrzykując moje imię, próbując się przebić przez stłumione dźwięki muzyki uwięzionej w środku.

Usłyszałam go.

Wypowiedziałam jego imię, chociaż mój język był tak opuchnięty i suchy, jakbym miała w ustach kłęb waty.

Otworzyłam oczy i przez gałęzie dębów spojrzałam na gwiazdy. Słyszałam odgłosy imprezy i głos Walcotta wydzierającego się:

– Hop-hop?!

– Tutaj! – odkrzyknęłam przez kłęb waty w ustach.

Leżałam na rozplaszczonej pufie, smętnej i zniszczonej przez pogodę. Podniosłam głowę i zobaczyłam go: długą, cienką linię pionowego Walcotta, który wyłonił się zza drzew na podwórzu za domem. Pozwoliłam głowie opaść. Nade mną, między liśćmi, gwiazdy wirowały na sznurkach, jak zabawki, które

tylko dla mnie porozwieszał jakiś szalony bóg.

Pod stopami czułam rzadką trawę wyrastającą z czerwonej, gliniastej ziemi. Moje srebrne sandały gdzieś zniknęły. Leżałam tak, próbując sobie przypomnieć, dlaczego nie spotkałam się ze znajomymi z Atlanty, tylko poszłam na imprezę z dwiema starszymi dziewczynami, które poznałam w Starbucksie. A, tak. Byłam wkurzona po jakiejś głupiej kłótni z Bethany.

– Hop-hop?! – zawołał znowu Walcott.

Podniosłam głowę, żeby odpowiedzieć „tutaj”, i cały świat zawirował, ale zobaczyłam, że Walcott mnie dostrzegł. Głowa znowu mi opadła. Mrugnąłam tak powoli, że kiedy otworzyłam oczy, Walcott stał nade mną, zupełnie jakby się teleportował.

Usłyszałam, jak mówi:

– Shandi, Shandi. O kurde, Shandi.

Poczułam jego dłonie, najpierw łapiące mnie w talii, a potem ocierające się o moje nagie uda. Próbował obciągnąć moją zadartą spódnicę. Wtedy poczułam zimno, tam, na dole, i zrozumiałam, że nie mam majtek.

– Cześć, Walcott – powiedziałam.

– Shandi, jesteś pijana? – spytał.

Nie należeliśmy do nastolatków, którzy co weekend się upijali. Jasne, czasami wykradliśmy jedną czy dwie butelki organicznego pinota jego mamom, ale zawsze tylko we dwójkę. Nigdy w tym niebezpiecznym świecie, gdzie mogłam skończyć na pufie z zadartą spódnicą, pokazując Walcottowi i zwariowanemu, kołyszącym się gwiazdom intymne części swojego ciała w pełnej okazałości.

– Piłam tylko colę – odparłam. Było mi niedobrze i gorąco i miałam zaciśniętą szczękę. Czułam się bardzo, bardzo pijana, nie na rauszu jak czasami.

Walcott pomógł mi usiąść i cały świat zawirował wokół mnie. Przechyliłam się w drugą stronę i zwymiotowałam na ziemię cienkim strumieniem żółci. Walcott usiadł w kucki. Przesunęłam rękami po ciele. Miałam na sobie T-shirt, ale biustonosz wisiał mi wokół talii, jak dziwny, wywatowany pasek. Drżącymi rękami z przerażeniem dalej badałam swoje ciało. Wsunęłam je pod spódnicę, którą Walcott obciągnął. Tak, byłam bez majtek, a na udzie wyczułam coś wcześniej lepkiego, co spływało, a teraz wyschło.

Zaciśnięta szczęka mnie bolała i drżała, ale poza tym nie czułam innego bólu. Dalej badałam się między nogami. Nie mogłam się powstrzymać. Walcott siedział, nie odwracając wzroku, kiedy ze strachem macałam się i sprawdzałam. Cała byłam brudna, śmierdząca, spocona i lepka, tylna część moich nagich nóg przykleiła się do starego, spękanego winylu, ale tam, na dole, wszystko było w porządku.

– Czy ktoś... – Walcott zaczął, ale nie mógł skończyć. Nie potrafił wymówić tego słowa.

– Chyba nie. Boby mnie bolało, prawda? – spytałam. – Tyle razy oglądaliśmy *Prawo i porządek*. – Siedzieliśmy, gapiąc się na siebie, myśląc o seksownych aktorach udających policjantów i wypowiadających takie słowa jak „rozdarcie”, „wybroczyny na pochwie” i „brutalny”. Dalej dotykałam siebie między nogami i wydawało mi się, że wszystko jest w porządku.

– Nie masz majtek – powiedział Walcott tak poważnym tonem, że aż mnie to rozśmieszyło. Zaczęłam chichotać, a Walcott stwierdził: – Shandi, zupełnie ci odbiło.

– Nie pamiętam, żebym piła. Nic nie pamiętam.

– Ktoś ci dał narkotyki. – Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Walcott był aż tak wściekły. – Kto, do kurwy nędzy? Pójdziemy tam i mi pokażesz. Zabiję go.

Ale ja nie wiedziałam, nic a nic. Wzruszyłam ramionami. Walcott oklapł równie szybko, jak się wkurzył, i zaczął poruszać ustami jak wtedy, kiedy miał dziewięć lat i doszedł do wniosku, że chłopcy nie powinni płakać, chociaż jego mamy twierdziły inaczej. Przysunął się do mnie bliżej i wyjął mi coś z włosów. Żdźbło trawy.

Dalej macałam się, nie wiedząc, że mogę wpychać w siebie więcej tego lepkiego śluzu. Za bardzo mnie mdliło i kręciło mi się w głowie. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że ktoś z taką łatwością całkowicie przejął kontrolę nad moim ciałem.

– Wszystko mi wiruje przed oczami – skarżyłam się. – Masz rację. Ktoś musiał dać mi narkotyki, ale chyba nie... – Urwałam, nie potrafiłam wydusić z siebie tego słowa.

Powinnam była mówić dalej. Jeżeli nie potrafiłam powiedzieć o tym Walcottowi, to na pewno nie powiedziałabym nikomu innemu. I rzeczywiście

tego nie zrobiłam. Ani wtedy, ani później, aż do teraz.

Opowiedziałam Williamowi wszystko, co powinnam była opowiedzieć policjantom, a przynajmniej rodzicom, cztery lata temu. Długo trwało, zanim doszłam do siebie. Teraz musiałam zrobić sobie przerwę i energicznie posiekać czerwoną paprykę albo poczekać, aż łyżki przestaną mi płynąć i solić masło.

William ułatwił mi sprawę.

Nia albo CeeCee – moje przyjaciółki z uniwerku – zalałyby się łzami i zaczęłyby mnie przytulać, aż zaniósłabym się szlochem i zamilkła na dobre. Oschły, surowy policjant może by mnie zbeształ za to, że nie pilnowałam swojej coli.

Ale nie William. Nawet na mnie nie spojrział. Ze stosiku na barku wziął kartkę papieru rysunkowego Natty'ego i zaczął ją składać. Nasze spojrzenia się nie skrzyżowały. Ani razu. Opowiadałam wszystko czosnkowi, kukurydzy i pięknej, białej śmietance, a William siedział po drugiej stronie barku, tak zajęty robieniem origami, jakbyśmy znajdowali się w osobnych pomieszczeniach przedzielonych ścianą.

Ale słuchał. Zdążyłam się przekonać, że im bardziej przy czymś majstrował, składał papier albo nierytmicznie stukał palcami w blat, tym bardziej skupiał uwagę na tym, czego słuchał.

Powiedziałam mu, jak się pogubiłam. Straciłam też poczucie czasu i pamięć. Straciłam buty i majtki z różowej koronki. Jeżeli straciłam coś jeszcze, to nie z własnej winy.

Golem przejął nade mną kontrolę. Mógł skrzyknąć kolegów. Mógł przytrzymać moją głowę pod wodą w wannie w siedzibie bractwa, aż bym utonęła, umarła i zniknęła. Porzucił mnie, bezradną i na wpół nagą pod gwiazdami. Mogli mnie znaleźć obcy ludzie i też zrobić ze mną, co chcieli. Miałam wyjątkowe szczęście, że wcześniej zadzwoniłam do Walcotta, że Walcott wybrał właściwy kampus, zauważył mój samochód i mnie znalazł. Nic ode mnie nie zależało.

Rano wszelkie wspomnienia z tamtej nocy zasłoniły się mgłą i pokryły kraterami zagadek, a wszystko przez to, co mi podano. Początkowo łatwiej mi było o tym myśleć jako o ciemnoniebieskim śnie. Kiedy zdarzył mi się Natty, myślałam, że tak trzeba. Był tylko mój. Bałam się, że nie mogłabym go kochać,

gdybym przestała wierzyć, że moja nietknięta błona dziewicza to cud. Bałam się w ogóle dopuścić do siebie taką myśl, aż do tego dnia w Circle K. Tam, gotowa stanąć między Nattym a kulami, przekonałam się, że kłamałam bez powodu. Tam wreszcie przestałam.

Kiedy skończyłam opowiadać, zupa już bulgotała na gazie, a przed Williamem stała cała armia papierowych zwierząt. Zauważyłam, że to różnej wielkości skaczące żaby. Dla Natty'ego. William robił żaby, za którymi tęsknił Natty, i przez to prawie się załamalam. Schyliłam głowę i zaczęłam głęboko wciągać powietrze, z twarzą ściągniętą jak zaciśnięta pięść.

William został po drugiej stronie barku, mądra decyzja. Chybabym dźgnęła każdego, kto w tamtej chwili próbowałby mnie dotknąć. Pod ręką miałam nóż do siekania cebuli.

Kiedy się wyprostowałam, szepnął po prostu:

– Przykro mi.

Nie przeproszał, tylko wyrażał współczucie, ale ja znowu prawie się załamalam. Przełknęłam łzy i machnęłam ręką na znak, żeby nie rozwijał tematu.

– Tamtego dnia w Circle K przestałam udawać – powiedziałam. – Nie ma to jak pistolet wymierzony prosto w twarz, kiedy dziewczyna próbuje na nowo ocenić swoje życiowe decyzje. Gdybym dalej uważała swoją ciążę za cud, wtedy facet, który to zrobił, nadal miałby nade mną władzę. To skomplikowane, bo za nic nie zrezygnowałabym z Natty'ego, ale ten mężczyzna coś mi zabrał. Dostałam Natty'ego i pod względem technicznym nadal byłam dziewicą, ale tamtej nocy straciłam inne rzeczy. Chcę je odzyskać. Jest mi to winien.

William powiedział powoli, z namysłem:

– Chcesz, żebym ci pomógł go znaleźć.

– Tak. Nie znam innej osoby, która potrafiłaby mi pomóc. Nie pamiętam, jak wyglądał, jaki miał głos, zupełnie nic. Wiem tylko, że Natty ma w sobie, w swoich komórkach, jego cząstkę, i pomyślałam, że z powodu zawodu, jaki wykonujesz, możesz wiedzieć, jak go odnaleźć.

Po pełnej zastanowienia chwili milczenia William się odezwał:

– Powiem ci, co mnie interesuje. Torba sportowa z ubraniami, które nosiłaś tamtej nocy. Była z plastiku?

– Nie, z materiału.

– Doskonale. Masz ją jeszcze?

– Możesz ją wziąć. – Ruchem głowy wskazałam na torbę, którą upchnęłam na końcu blatu. – Dziś rano ją wygrzebałam z szafy. Niczego nie dotykałam. Nawet nie byłam pewna, czy nadal tam jest. Leżała pod chyba pięćdziesięcioma parami butów. – Głęboko wciągnęłam dobre, czyste powietrze, a potem je wypuściłam, próbując sobie wyobrazić, że razem z nim wypycham z siebie wszystkie złe rzeczy.

– Dobrze. Powiem ci, co mogę zrobić. – Zaczął odliczać na palcach kolejne punkty. – Szczegółowa analiza włókien, które zostały. Jeżeli zostawił włosy z cebulkami albo nasieniem – skrzywiłam się na dźwięk tego słowa – które nie uległo rozkładowi, mogę zdobyć jego profil DNA. Od ciebie też powinienem pobrać próbki, żeby odróżnić twoje komórki od jego. I próbki od Natty'ego. – Złączył palce i przycisnął dłonie do czoła. – Rozumiesz, co stracisz, jeśli wezmę tę torbę? Nie znam procedur policyjnych, ale pewnie jej zawartość zostanie unieważniona jako dowód.

Kiwnęłam głową. Wyszłam z Circle K, myśląc, że golema należy odnaleźć i wtrącić do więzienia, ale rano uświadomiłam sobie, że nie ma takiej opcji.

– Nie mogę tego zrobić Natty'emu – powiedziałam.

Aż do tej pory tylko wybrana grupa osób wiedziała, skąd się wziął Natty, i wszystkie te osoby szaleńczo go kochały. Nigdy by mu tego nie zdradziły. Odnalezienie, a nawet skazanie jego ojca nie zmieniłoby moich uczuć do Natty'ego. Teraz wiedziałam, że nic nie może ich zmienić, ale to jego uczucia mogłyby się zmienić. Moje dziecko nie może dorastać, myśląc o sobie jako o owocu gwałtu, rezultacie czegoś strasznego, co się przydarzyło jego matce. Nie dopuściłabym do całego szeregu aresztowań i zeznań sądowych. Natty nigdy nie może się dowiedzieć, że jakiś człowiek siedzi w więzieniu za to, że go stworzył. To nie podlegało dyskusji.

– Po co to wszystko? – spytał William. – Zabierzesz wyniki moich badań do prywatnego detektywa?

– Pewnie tak – odparłam. – Chcę wiedzieć, kto to zrobił.

Gdybym poprosiła, tata bez wątpienia by za wszystko zapłacił. Nosiałam jednak w sobie dziwne, niezłomne przekonanie, że nie będę musiała iść do

detektywa – William sam odnajdzie ojca Natty'ego. Długo trzymałam się z dala od wiary, bo w mojej rodzinie oznaczała ona dokonanie okropnego wyboru. Nie istniało trzecie wyjście. Albo synagoga, albo kościół, albo Biblia, albo Tora, albo antrykot, albo bekon. Zamówienie burgera z serem albo bez oznaczało opowiedzenie się po jednej ze stron, więc już w przedszkolu wybierałam zestaw Happy Meal z nuggetami z kurczaka. Nawet niewielkie skłonienie się ku którejś ze stron było dowodem na to, że jeden z rodziców miał największą rację i że kochałam go bardziej, a ja nie chciałam orzekać, kto w tej wojnie jest zwycięzcą, a kto przegranym.

Rzęsy Natty'ego nadal były dla mnie największą świętością, ale przekonałam się, że prawdziwą wiarę mogę odnaleźć w moim Thorze ze stacji benzynowej. Oba rodzaje wiary. Pewność, jaką daje 'Aman, której uczyłam się w szkole hebrajskiej, i istotę nadziei.

– Powiedzmy, że detektyw go odnajdzie. Zrobisz mu jakąś krzywdę? Zabijesz go?

Nieomal się uśmiechnęłam, aż nagle uświadomiłam sobie, że William nie żartuje.

– Nie. Nie mogę pójść do więzienia. Muszę wychować swoje dziecko. Ale chcę się dowiedzieć, kim jest, a on nie może się dowiedzieć o moim istnieniu. Nie mogę pozwolić, żeby... – Tego właśnie nie mogłam ubrać w słowa. Walcott zadał mi to samo pytanie. Skoro nie mogłam go skrzywdzić ani wsadzić do więzienia, to po co prosiłam Williama o pomoc?

Ale William ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Jeżeli się dowiesz, kim jest, zyskasz nad nim przewagę. W tej chwili to on ma władzę nad tobą.

– Tak! – wykrzyknęłam, gapiąc się na niego. Boże, był taki piękny i do tego mądry. Paula mogła go nazywać autystykiem, swoim doktorem Ashe'em – jakże nie cierpiałam tego zawłaszczającego zaimka – ale trafił w samo sedno i ujął sprawę w dwóch zdaniach. Wkurzyłam się, że Walcott, niby taki poeta, który powinien umieć wejrzeć w serce drugiego człowieka, tego nie potrafił. Uważał, że ponieważ nie mogłam doprowadzić do skazania tego człowieka, powinnam sobie odpuścić. Pouczał mnie jak jakiś Yoda. Tak rób, tak nie rób. Nie rozumiał, że dysponuję tylko tym, co znajduje się pomiędzy.

– Dobrze. – William położył dłonie płasko na blacie i wstał, prawie nie zwracając uwagi na ranny bok.

Wyszedł z za barku i zbliżył się do mnie, a ja aż wstrzymałam oddech. Odwróciłam się w jego stronę, czekając, a w moim podbrzuszu coś zaczynało się dziać. Zrozumiałam, że tak, teraz jestem gotowa, by mnie dotknął. Nie ze współczuciem. Nie ze łzami w oczach. Chciałam, żeby położył na mnie ręce i przyciągnął mnie do siebie. Chciałam, żeby wymazał wszystko, co mi zrobiono, siłą swojego ciała i moim całkowitym przyzwoleniem.

Podszedł blisko. Tak blisko, że poczułam woń jego ciała jeszcze pachnącego snem. Wyciągnął rękę, sięgnął za moje plecy, wziął torbę i cofnął się.

– Skoczę pod prysznic. Jutro pójdę do laboratorium, zobaczę, co się da zrobić.
– I skierował się do swojego pokoju.

Poczułam się tak, jakby spuszczone ze mnie całe powietrze. Oparłam się o blat, patrząc, jak mężczyzna, którego pragnęłam, odchodzi. Cholera, nawet teraz wyglądał super.

Patrzyłam za Williamem, aż zniknął za rogiem. W dużej mierze odzyskał tę zwierzęcą grację, którą dostrzegłam w jego ciele w Circle K. Oderwałam od rolki kawałek papierowego ręcznika i wytarłam usta, pozbywając się grubej warstwy karminowej szminki powstrzymującej przed pocałunkiem. Zdjęłam gumkę z włosów i potrząsnęłam głową.

W pewnym sensie Walcott się nie mylił. Klaskałam, żeby ocalić Dzwoneczek, udawałam na całego. Miałam wprawę. Ale garnek pełen aksamitnej zupy za mną był moim ostatnim. Koniec z udawaniem pensjonarki, a Paula lepiej niech, do cholery, uważa na siebie.

To działa się naprawdę. Tu i teraz. Powiedziałam prawdę i dałam Williamowi torbę, wprawiając w ruch całą maszynę. Koniec z kłamstwami i cudami. Moje ciało już nie będzie dłużej martwe pod krynoliną. Moje ciało zostało uszkodzone inaczej niż ciało Williama, ale od tamtego dnia w Circle K oboje je leczymy.

Moje było gotowe.

Czy i jego wkrótce stanie się gotowe? Zamierzałam to sprawdzić.

8

Środa wieczór. William wraca z laboratorium do domu. W tym tygodniu pojechał tam dwa razy, ale nie do pracy. Nadal jest na urlopie. Studiuje szczątki niecudu Shandi. Tylko na tym potrafi się skupić, czekając na telefon od detektywa Bialysa, który ma mu przekazać najnowsze informacje o stanie zdrowia Stewiego.

Bardzo niewiele osób na tej planecie szuka informacji. Według Bialysa tylko państwo Grant i kasjerka z Circle K zadzwonili do szpitala, żeby spytać o Stewiego. Jedyne osoby, które obchodzi, czy Stevie jeszcze żyje, to te same, które mogły zginąć z jego ręki.

Lekarze nie udostępniają takich informacji. Rozmawiają jednak z policją, a Bialys przekazuje wiadomości Williamowi. Robi to wyjątkowo, bo jeżeli Stevie umrze, to będzie znaczyło, że William go zabił. Bialys zachowuje się tak, jakby uważał, że to daje Williamowi takie same prawa do informacji, jakby był krewnym Stewiego albo policjantem.

William przez cały ranek analizował włókna zebrane ze spódnicy i T-shirtu Shandi, ale dzisiaj Bialys powinien wiedzieć, czy aparatura podtrzymująca życie Stewiego zostanie wyłączona. Prosta molekularna struktura starego poliestru nie zdołała wystarczająco przykuć uwagi Williama. Zrobił, co było konieczne, ale w porze lunchu wrócił do próbek komórek przeznaczonych do analizy i dowiedział się więcej, niż Shandi chciała wiedzieć.

Natty interesuje go na tyle, żeby skupić jego uwagę. Budują ogromny statek kosmiczny z klocków lego. To dziecko rozumie zależności przestrzenne, chociaż ten zestaw przeznaczony jest dla nastolatków i dorosłych. Podczas pracy nad statkiem Natty wdrapuje się na Williama, jakby ten był drabinką na placu zabaw, i bezceremonialnie siada mu na kolanach. William, którego mózg również jest wyjątkowy, w dzieciństwie nie lubił się przytulać. Natty już czyta

i potrafi z kontekstu odgadnąć znaczenie nieznanymi, skomplikowanymi słów. Patrzy też prosto w oczy Williama i pierwszy zaczyna rozmowę. William zaczął mówić, dopiero kiedy miał prawie dwa lata. Od tamtej pory posługiwał się w pełni sformułowanymi, precyzyjnymi zdaniami, ale głównie po to, żeby przekazać informacje. Nie angażował się w wymianę zdań, dopóki nie osiągnął zaawansowanego wieku przedszkolnego.

William miał tylko porównać DNA Natty'ego z innymi próbkami, by ustalić ojcostwo. Ale badał dalej. Ludzki genom został już w pełni zmapowany, ale nie w pełni zinterpretowany. W przeciwnym razie William mógłby spojrzeć na profil DNA i zobaczyć wszystko, czym Natty był, jest i będzie. Natty jest obdarzony wybitnym intelektem, ale nie zapłacił za to ceny genetycznej. Jego inteligencja przypomina wysportowanie Williama. To dar. Szybkość i doskonała koordynacja oko-ręka nie są typowe dla osoby z jego genomem.

Zaciekawiony, pobrał materiał genetyczny osoby X, wzmocnił go i poszukał łańcuchów kodu powiązanych ze spektrum autyzmu. U Williama te anomalie znajdują się w każdej komórce, delecje i duplikacje chromosomu 16.

U Shandi ich brakuje. U Natty'ego też.

U ojca Natty'ego są.

Interesujące.

We wczesnej fazie małżeństwa myśl o posiadaniu dzieci przypominała mu o nieobecnościach i zduplikowanych parach zasad, które istniały w jego DNA. Prokreacja niosłaby ze sobą ryzyko bardzo konkretnej wady u dziecka. Ale u głęboko wierzącej Bridget stosowanie antykoncepcji budziło ogromne poczucie winy.

Pozostało mu zachować nadzwyczajną ostrożność. To zawsze on przerywał, otwierał szufladę nocnego stolika i zakładał jedną z prezerwatyw, które tam trzymał. Nie wierzył w grzech, ale ze względu na Bridget uznawał, że odpowiedzialność spoczywa na nim. Bridget nie protestowała, ale co tydzień się z tego spowiadała.

Kilka lat po ślubie powstrzymała go, kiedy sięgnął do szuflady, wsparła się na łokciu i pocałowała go w ramię i szyję.

– Will, myślę, że już dowiodłeś swojej racji.

Pochylał się nad nią, wsparty na przedramionach.

– Nie próbuję niczego dowodzić – powiedział. – To podstawowe zrozumienie biologii człowieka.

Znowu pocałowała go w szyję i przesunęła dłońmi po jego ciele.

– Ja też ją rozumiem i chcę mieć dzieci.

Zaskoczyła go ta liczba mnoga.

– Ile?

– Och, co najmniej pięćdziesiąt – odparła. Czuł jej oddech w zagłębieniu szyi.

– Ale możemy zacząć od jednego.

Pochylając się nad jej ciałem, zbliżając się do niej komórka po komórce, usłyszał własny głos mówiący prawdę. Brzmiał ostro i głośno, niemal gniewnie.

– Może się urodzić takie jak ja.

Bridget opadła na plecy i szeroko się do niego uśmiechnęła, tak jak tylko ona potrafiła, mrużąc oczy, aż prawie znikły. Przyciągnęła go do siebie i szepnęła mu do ucha:

– Chcę mieć twoje dzieci, głuptasku. Właśnie twoje.

Potem, kiedy leżeli twarzami do siebie, ze splecionymi nogami, jego materiał genetyczny już wędrował do tego konkretnego jajeczka, z którego mogła powstać Twyla.

Odgarnął jej włosy z oczu i powiedział bardzo poważnym tonem:

– Bridget. Bóg ma rację. Lepiej jest bez prezerwatywy.

Roześmiała się i zaczęła udawać, że wpatruje się w sufit, czekając na błyskawicę.

– Czy mógłbyś trochę mniej bluźnić? Wiesz, że troszkę mnie to drażni. – Często wypowiadała te słowa, ale nigdy wtedy, gdy naprawdę uważała, że zachował się niestosownie. To był taki ich prywatny żart. Nie dotyczył Boga.

Twyla nie była genialnym dzieckiem. Jej rozwój mieścił się w granicach normy opisanej w książce, którą Bridget trzymała na nocnym stoliku. Twyla w odpowiednim czasie pokonywała kolejne etapy rozwoju, przewracała się na plecy, siadała i gaworzyła w odpowiedniej kolejności, w odpowiednim czasie.

W pomieszczeniu pełnym tysiąca dzieci obiektywny skład sędziowski nie wybrałby Twyli jako wybitnej jednostki. Ale dla Williama jej genom był taki piękny. Znajdował w nim siebie, dosłownie, a to, co nie pochodziło od niego, było od Bridget. Ten genom mówił mu, że Twyla pochodziła tylko od nich

dwojga, a jednak, w sposób tak niewytłumaczalny, że zahaczał o magię, była kimś więcej niż tylko sumą ich dwojga. Była swoim własnym empirycznym „ja”. Twyla była najlepsza i William z zamkniętymi oczami odnalazłby ją w tym pomieszczeniu pełnym tysiąca dzieci.

Teraz zbliża się do skrzyżowania w kierunku Morningside, ale jedzie prosto. Shandi tam pewnie pomaga Natty'emu dosypać ziarna do karmników, a na kuchence coś perkoce w garnku. William nie chce, żeby Shandi była obecna, kiedy Bialys zadzwoni z informacją o losie Steviego. Była obecna, kiedy wprowadzał światło i powietrze do zamkniętej czaszki Steviego i bardzo jej zależało na tym, żeby Stevie zginął. Teraz poczuje ulgę. Może nawet będzie zadowolona, ale William nie jest pewien, co jego twarz zrobi.

Droga prowadzi go do Decatur. Na miejscu rusza znajomą ścieżką. To zły pomysł. Wie o tym, kiedy zatrzymuje się przed pomalowanym domem z cegieł, do którego przeprowadzili się rodzice Bridget, kiedy ich najmłodsze dziecko poszło na studia.

W środku palą się światła, na podjeździe stoi wiele samochodów. Stare volvo rodziców Bridget jest zablokowane przez półciężarówkę jej brata, Michaela, i kilka toyot, których William nie poznaje. Honda civic z wgnieceniem na masce stojąca na ulicy należy do jej najmłodszej siostry. Maggie. Część klanu Sullivanów spotkała się na kolacji.

William jest świetny w kategoryzowaniu, ale przyjazd tutaj był błędem. To nie jest dla niego dobre. Od miesięcy nie myślał nawet o poszczególnych sylabach jej imienia, aż do tamtego dnia w Circle K. Teraz z dnia na dzień wspomnienia o niej stają się coraz bardziej intensywne. Nie będzie o niej myślał. Pomyśli o Baxterze. Baxter jest w środku, pewnie kręci się po zatłoczonej kuchni, licząc na to, że jakaś niezdara upuści kawałek sera albo kurczaka. William czuje, jak coś zaciska mu się na piersi. Powinien dodać gazu. Uciec stąd. Pojechać do domu.

Nie jest tu mile widziany. To niedopuszczalne zachowanie. Skręca jednak na krawężnik, jedzie na jałowym biegu. Oddycha szybciej, jakby biegł tu całą drogę. Jakby nadal biegł.

Chce wysiąść z samochodu, pójść ścieżką i załomotać pięścią w te ich głupie fioletowe drzwi. Kiedy ojciec Bridget otworzy, William może powiedzieć: „Do

cholery, chcę mojego psa”.

Nie wyobraża sobie, co mogłoby się wtedy wydarzyć. Na pewno nic przyjemnego. Większość Sullivanów to rudzielce z ognistym temperamentem. Nie myśli o żonie, o tym, co nazywała „raptusami”. Nie będzie o tym myślał. Myśli natomiast o jej młodszej siostrze Maggie, która ma taki sam temperament, ale kiepsko panuje nad impulsami. Któregoś dnia w zeszłym roku przyjechała do jego domu, zadzwoniła do drzwi, a kiedy otworzył, uderzyła go. Mocno walnęła go otwartą dłonią w bok głowy, z wściekłą miną, tak podobną do wścieklej miny Bridget, że w reakcji tylko kiwnął głową. Natychmiast spojrzała na niego przepaszająco, takim samym wzrokiem jak Bridget, a on w tej chwili przestał chcieć na nią patrzeć. Kiedy w końcu otworzył oczy, weranda była pusta.

Nie przychodzi mu do głowy nic konkretnego poza zażądaniem Baxtera. Cokolwiek się stanie, na pewno nie będzie to ani czyste, ani miłe, ani proste. Po wypadku przestał się grzecznie zachowywać.

Krzywi się, bo siedzi w samochodzie przed ich domem, jak jakiś prześladowca. Nadal nie zachowuje się grzecznie.

Ale nie odjeżdża. Próbuje wciągnąć powietrze do zaciśniętych płuc. Telefon od Bialysa to nie jedyny powód, dla którego nie chce wracać do domu, do Shandi.

Wczoraj, drzemiąc w swoim ulubionym miejscu na dywanie i chłonąc zapach świeżych kwiatów i pieczonego mięsa, usłyszał nucenie kobiety i plaskanie małych, bosych stópek na parkiecie. Ogarnął go dziwny spokój. Zapomniał o czasie, w którym jest. Na dziewięć sekund wrócił do przeszłości.

Obudził się gwałtownie z żołądkiem podchodzącym do gardła i zawrotami głowy.

Dziecko biegające po holu było tylko Nattym, ale on nie zagrażał miejscu Twyli. Rodziny nie są zbudowane w ten sposób. Uświadomił sobie, że w rodzinach dzieci są dodawane, a nie zastępowane. Dodanie dziecka nie jest zdradą poprzedniego czy obecnego.

Żony skonstruowane są inaczej.

Jego ciało kołysze się do przodu i do tyłu, dłonie zaciskają się na kierownicy na godzinach dziesiątej i drugiej. Nie zniesie obecności Shandi w swojej kuchni. Nie może wrócić do domu, ryzykując, że będzie czerpał przyjemność z jej

bliskości. Celowo przyjechał do tego domu, chociaż wie, że nie powinien...

Słuchawka telefonu w jego uchu brzęczy i całe jego ciało podskakuje i drży, przestając się kołysać. Luzuje uścisk na kierownicy, którą próbował udusić. Nie może siedzieć i wzruszać się przed tym domem, myśląc o prokreacji i o tym, że żonę da się zastąpić.

Na ekranie wyświetla się nazwisko Bialysa.

William uruchamia silnik, zjeżdża z krawężnika i kieruje się w stronę Morningside. Odbiera telefon i mówi: „Halo?”. Ma wyćwiczony głos „telefoniczny”, przyjemny i dobrze wymodulowany, ale tym razem ten głos go zawodzi. Jest drżący i cichy.

– Doktor Ashe? Czy to pan? – To Bialys. William się skupia, myśli tylko o detektywie. Bialys jest potężnym mężczyzną w wiecznie pogniecionym ubraniu, który wkrótce przejdzie na emeryturę. Kiedy ostatnio się widzieli, krawat miał ubrudzony jedzeniem.

– Tak – potwierdza William.

– Steven Parch zostanie odłączony od respiratora. Dziś rano jego wuj podjął tę decyzję. Przykro mi. Dopiero teraz o tym się dowiedziałem.

W tym momencie Bialys bez żadnego wysiłku skupia na sobie całą uwagę Williama. Zapada cisza, bardzo długa, ale Bialys najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Wuj jest najbliższym żyjącym krewnym Steviego, tylko do niego należy decyzja, czy Stevie będzie oddychał dalej, czy nie. U Steviego nie stwierdzono śmierci mózgowej, ale jest w „stanie wegetatywnym”. Kiedy Bialys wypowiedział to sformułowanie, Williamowi natychmiast przyszło do głowy: Marchewka nic nie czuje. Im dłużej Stevie będzie się utrzymywał w tym stanie, tym mniejsza jest szansa na poprawę.

– Powiedział, że ma dziecko – mówi William. Doskonale to pamięta. Stevie powiedział: „Sam jestem tatusiem. Nie strzelam do dzieci...”.

– Nie możemy go odnaleźć. A nawet jeśli, to jego dziecko i tak jest niepełnoletnie, a Parch nie ma ślubu z jego matką. – Bialys odpowiada tak uprzejmie, jak dalece mu pozwala opryskliwy, szczekliwy głos.

– Kiedy to się stanie? – pyta William.

– Niedługo. Jutro, może pojutrze? Decyzja zapadłaby natychmiast, ale jego wuj odsiaduje dziesięć lat w Alabamie. Więzienie komplikuje robotę

papierkową. No i nie pomaga to, że przebywa w innym stanie.

William skręca w kierunku Morningside. Po jednej stronie jego samochodu znajduje się soczyście zielony, porządnie podlany trawnik jego sąsiada. Po drugiej stronie rozciąga się Święty Park. Astry kwitną na rabatach, a za nimi rosną wysokie, miedziane dzielzany jesienne, nad którymi fruwać motyle. Trzepoczą skrzydełkami, nieruchomieją i przysiadają na kwiatkach. Na maszcie z kutego żelaza wisi czerwono-żółty karmnik dla kolibrów, na północ stąd maszyna oddycha za Stewiego. Maszyna utrzymuje go przy życiu.

Jutro, może pojutrze William zabije człowieka.

Detektyw przerywa tę drugą długą ciszę:

– Williamie, wiesz chyba, że nie będziesz miał żadnych problemów z prawem?

– Wiem. – William jest teraz na swojej ulicy. Przed jego domem stoi bmw Pauli. Nie widać żółtego garbusa Shandi. A więc to tak. Wjeżdża na podjazd i zatrzymuje się. – To jedyne możliwe rozwiązanie?

– Trzeba jeszcze załatwić kilka formalności. – Znowu zapada długie milczenie, po czym Bialys mówi cicho, szybko: – Dobrze się złożyło. Masz czas, żeby poukładać sobie wszystko w głowie. Tak to teraz działa, w większości wypadków. Miał broń, prawda? Celował do grupy obywateli. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Postąpiłeś słusznie. – William jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Bialys wypowiedział naraz aż tyle słów.

– Rozumiem – odpowiada. – Proszę do mnie zadzwonić. Po wszystkim.

– Zadzwonię – obiecuje Bialys. Rozłączają się.

Może nie ma żadnego dziecka.

Ale po co by tak mówił? Dziwne kłamstwo jak na dziewiętnastoletniego uzbrojonego napastnika. William nigdy nie rozumiał niuansów, ale kiedy Stevie powiedział Natty'emu, że sam jest tatusiem, nie zabrzmiało to jak pocieszenie. Nie powiedział mu: „Obiecuję, że cię nie zastrzelę”. Chwalił się: „Dokonałem czegoś. Jestem ojcem”.

Przy zgaszonym silniku samochód Williama szybko przemienia się w piekarnik. William powinien teraz wejść do domu, ale tylko przyciska guzik i opuszcza szybę w oknie po stronie kierowcy. Lipcowe powietrze nie za bardzo mu pomaga.

A więc gdzieś na świecie jakieś dziecko dorosnie nie z ojcem narkomanem i kryminalistą, ale całkiem bez ojca. Na jedno wychodzi, jak mawiał jego ojciec, odnosząc się do takiego samego rezultatu. Ale po poniedziałku nie zdarzy się, że Stevie otworzy oczy, wstanie i powie: „Już mi lepiej. Nie uderzyłeś mnie aż tak mocno”.

William tego chce, chociaż to nieracjonalne. Nie obchodzi go, co potem stanie się ze Steviem. Ze szpitala może trafić prosto do więzienia. Wtedy William bardzo szybko by mu wybaczył. Jako nieżywy, będzie nieobecnością na świecie, jaką stworzył William.

A może Stevie kłamał i nie ma żadnego dziecka. Może kiedy umrze, nikt się tym nie przejmie. Paula mówi, że to żałośnie patetyczne, ale William tak woli. Martwy człowiek, całkowicie niepowiązany z innymi ludzkimi istotami, to tylko mięso.

Paula stoi w otwartych drzwiach wejściowych i macha, wołając go do środka.

William wysiada z samochodu, a kiedy się do niej zbliża, Paula mówi:

– W końcu udało mi się na dzisiaj pozbyć Shandi. Nie ma za co. Białys oddzwonił do ciebie?

– Chcą odłączyć Steviego od respiratora. – William szeroko rozkłada ręce. Nic więcej nie da się powiedzieć.

– Tak też myślałam – mówi Paula. – Możemy się porządnie urżnąć? – William kręci głową. – To może na pocieszenie zjemy tonę chińskiego żarcia?

– W połowie składa się z glutaminianu sodu. – William idzie z Paulą do kuchni. – Równie dobrze moglibyśmy zjeść karmę dla kotów.

– Mnie smakuje.

– Jeżeli komuś smakuje gówno, to nie znaczy, że ładnie pachnie – stwierdza William i wtedy oboje stają jak wryci i spoglądają na siebie.

To powiedzonko Bridget, którego nauczyła się od swojej babci Twyli Grace z Karoliny Północnej. Często je przytaczała, oceniając najnowszego chłopaka Pauli.

– O rany – mówi Paula.

– Nie wiem. – William odpowiada na pytanie, którego nie zadała.

Paula podciąga się i siada na blacie.

– Powinieneś się chociaż trochę upić. Może po piwku?

William wyjmując z lodówki dwa piwa i próbuje podać jej jedno, ale Paula zamiast piwa chwyta go za nadgarstek. Przyciąga go do siebie, aż William opiera się o jej kolana. Paula obejmuje go jedną nogą, przyciska do siebie, a potem się wyciąga i przysuwa twarz do jego twarzy bardziej, niż powinna. Bardzo poważna mina, opuszczone brwi i kąciki ust dowodzą, jak bardzo jest zdeterminowana.

– Lepiej nie liczyć na to, że uda ci się zabić w jakiś inny sposób. Nawet jeśli Parch umrze. Nie pozwolę na to.

William jest od niej o wiele silniejszy, mógłby się wyswobodzić z jej uścisku. Ale Paula zna jego definicję przeznaczenia. Wie, że powiedział Shandi to słowo w Circle K tuż po tym, jak przyjął na siebie kulę. Shandi jej o tym powiedziała w szpitalu. Paula stwierdza teraz, całkiem zwyczajnie, że odgadła przeznaczenie, jakie tam wybrał. Jest na niego o to zła.

– Bardzo dobrze znasz się na ludziach – stwierdza William. – Dzięki temu jesteś świetna w pracy, ale dla mnie to trochę niedogodne.

Paula nie zamierza dać się zbyć żartem. Jej twarz pozostaje poważna. Nie puszcza go.

– Jestem cholernie dobrym prawnikiem, ale planowałam zostać barmanką na pół etatu, alkoholiczką z kliniczną depresją. Jak moja mama. Nie zostałam nią dzięki tobie. Oczekiwałeś ode mnie czegoś więcej. Więc nie zachowuj się jak gówniarz, kiedy teraz to ja ratuję ci tyłek.

Gdyby podczas ataku Williama Stevie zareagował szybciej, nieobecność, której stałby się autorem, boleśnie dotknęłaby Paulę. William jest jej to winien.

– Nie zrobię tego więcej – obiecuje. Nie rusza się i pozwala, by dalej zbliżała twarz nieprzyjemnie blisko do jego twarzy.

– Nie wierzę ci – odpowiada Paula twardym, niskim głosem. – Dlaczego nie miałbyś się zabić? Widziałam, jak przeżywasz żalobę. Beznadziejnie. Dla wszystkich. Nie chciałeś pomocy. Nikomu nie wolno było ci pomagać. I co teraz? Wszyscy powinniśmy razem z tobą dać się zastrzelić? Spróbuj czegoś innego, bo gnijesz od wewnątrz. Przestań gnąć.

– Nie gniję.

Paula go puszcza i odchylając się, bierze od niego piwo.

– Gnijesz jak jasna cholera, Bubba. – Paula zdejmując kapsel i upija łyk piwa. –

Poza tym nie udawaj, że zacząłeś nowe życie. Ta śliczna dziewczuszka sublimuje seks w trzysta litrów zupy, a ty zachowujesz się, jakbyś zapomniał, gdzie masz fiuta. – Znowu mówi jak stara, dobra Paula. – Nie żebym uważała, że wsadzenie go Shandi to właściwa odpowiedź. Boże, błagam, oszczędź nam takiego uroczego scenariusza. Ale musisz coś zrobić z resztą swojego głupiego życia. Co z nią zrobisz?

– Będę pracował – odpowiada William. Jego praca jest cenna. Za dziesięć lat, może mniej, jego zespół położy kres chorobie Parkinsona. Może w poniedziałek wróci na pełny etat, zrezygnuje z sześciotygodniowego urlopu. Po śmierci Steviego nie może całymi dniami siedzieć w domu.

– Już pracowałeś – mówi Paula. – To nie wystarczy.

– Muszę znowu zacząć podnosić ciężary. Ciało mi sflaczało. Muszę wrócić do biegania.

– Doskonale. To brzmi jak najkrótsza droga do pęknięcia szwów i wylania się flaków na chodnik. Laski lecą na blizny, głupku, a nie na otwarte rany. Chcesz, żeby Shandi poleciała na twoje blizny?

William chichocze wbrew sobie. Paula ma dar nadawania zdaniom dwóch znaczeń, z których jedno często jest nieprzyzwoite.

– Przestań. Shandi to nie... – Tu musi urwać, bo jedyne słowo, jakim tak naprawdę mógłby zakończyć to zdanie, to „Bridget”. Shandi to nie Bridget. Siedem miesięcy temu kazał Pauli, żeby usunęła to imię ze swojego słownictwa. Oboje to zrobili. Całkowicie przestał myśleć o żonie. W Circle K wróciła do jego głowy, a teraz grozi, że stanie się dźwiękiem w tym pomieszczeniu, prawdziwą obecnością. Paula obiecała, że nie będzie mówić o Bridget, tylko dopóki on nie zacznie o niej mówić. William nie może teraz wypowiedzieć tego imienia. – Shandi to nie jest odpowiednia osoba – stwierdza w końcu.

Paula upija kolejny łyk piwa, odstawia butelkę i uśmiecha się.

– Ale ci się podoba. Wiem, że lubisz jej dzieciaka. Chociaż on też nie jest odpowiednią osobą. – Paula robi palcami znak cudzysłowu, dając Williamowi znać, że wie, jakie imię nieomal wypowiedział. Imię, którego nie wolno jej wypowiadać. – A może naprawdę wierzysz, że tylko się przyjaźnicie?

Ostatnie trzy słowa też wypowiada w cudzysłowie, dając znać, że nie mają dosłownego znaczenia, ale on i tak bacznie im się przygląda. Nawiazywanie

przyjaźni nie należy do jego mocnych stron. Bridget nawiązywała przyjaźnie z innymi małżeństwami, które zwykle były związane z parafią albo jej pracą w schronisku dla kobiet. Te małżeństwa już do niego nie przychodzą. William lubi wiele osób, z którymi pracuje, ale lubi je jako grupę, tak jak lubi drużyny futbolowe.

Wie o Shandi jako o pojedynczej osobie. Lubi słodczyce i jest skłócona ze swoją macochą. Czuje awersję do nawet najbardziej interesujących robaków i lubi kolory podstawowe. Woli jeść palcami, również sałatę. Bierze listek sałaty, owija go wokół oliwki albo grzyba i macza w sosie. Możliwe, że się z nią zaprzyjaźnił.

Ale to, co sugeruje Paula, stanowi pustą przestrzeń w jego głowie, jakby próbował zobaczyć kolor, którego nie ma w spektrum. Kiedy wyobraża sobie Shandi, jest na drugim końcu pokoju i trzyma łyżkę.

Czy chce, by tu została? Nie jest tego pewien. W dzieciństwie nie lubił, kiedy dotykali go ludzie, którzy nie byli jego rodzicami. W tłumie przepychających się dzieci rzucał się na ziemię, wierzgał nogami i krzyczał. Później, w okresie dorastania, polubił uczucie zderzania się z ciałami innych zawodników podczas uprawiania sportu i w sposób aktywny zainteresował się seksem. Ale poza tym jego ciało wołało, by się do niego nie zbliżano w bezpiecznym promieniu.

Wiedział, że nie jest to zachowanie społecznie akceptowane. Rozmawiał o zachowaniach zwierząt stadnych ze swoim terapeutą, który poprosił, żeby William przyglądał się tym zachowaniom wśród ludzi i zwierząt w swoim otoczeniu. Kiedy zaczął je obserwować, uświadomił sobie, że dotyk społeczny jest na porządku dziennym, między jego rodzicami, kolegami, nawet między jego myszosczkami.

Myszosczki były siostrami i stworzeniami nie na tyle skomplikowanymi, żeby nadawać im imiona. Nazywał je Paniami Myszkami. Lubił kojący, powtarzający się odgłos kołowrotka, a one lubiły siebie nawzajem. Panie Myszkki spały, zwinięte w jeden kłębek, jadły, bok przy boku, i na przemian czyściły sobie uszka.

Po dwóch latach, czyli po przeciętnym czasie życia myszosczka, dwie z nich zdechły. William nie lubił patrzeć, jak pozostała przy życiu Pani Myszka tuli się sama do siebie w kąciaku. Rozważał wpuszczenie do terrarium eteru i rozwiązanie problemu, ale zanim zdążył do zrobić, sama zdechła.

Potem ożenił się z Bridget i odnalazł przyjemność w jej niezmiennej bliskości. W zapachu ziół i kwiatów pomarańczy. W ich splecionych nogach i jej włosach co rano rozsypanych na jego ramieniu. Później pojawiła się Twyla, leżała na plecach na jego kolanach, wierzgała nóżkami i uśmiechała się słodko, bezzębnie. William siedział nieruchomo, trzymając dłoń na klatce piersiowej córki, czując, jak szybkie, lekkie uderzenia jej serca tatuują jej wnętrze. Drugą ręką obejmował Bridget, która lubiła czytać, oparta o jego bok. Myślał wtedy: Jesteśmy Paniami Myszkami. Mimo swoich funkcji wyższych ostatecznie jestem tylko Panią Myszką.

Teraz myśli: Powinienem był nadać im imiona, i natychmiast czuje odrazę do samego siebie. Czekanie na śmierć Steviego wzbudza w nim niechęć do samego siebie. Cytuje najmniej wykształconą babcię Bridget. Użala się nad martwymi zwierzątkami. Najeżdża dom Sullivanów w Decatur. Powinien się upić.

– Chodzi mi tylko o to, żebyś nie zrobił czegoś nieodwracalnego – mówi Paula. – Ani z kulami, ani z Shandi.

– Dziś skończyłem jej badania laboratoryjne.

To doskonały sposób na zmianę tematu. Jego nowy temat jest związany z bieżącym i obchodzi Paulę. Idealnie mieści się w kręgu jej zainteresowań. Paula nienawidzi gwałcicieli znacznie bardziej, niż nie cierpi Shandi.

– Świetnie. Dowiedziałeś się czegoś przydatnego? Obiecałam, że się tego dowiem, jeżeli się wyniesie na wieczór.

– Chyba tak. Było jedenaście osobnych niebieskich albo złotych włókien poliestru, prawdopodobnie pochodzących od tego faceta. To barwy Emory, więc można przypuszczać, że napastnik był związany z tą szkołą. – Dobrze. Dobry, absorbujący temat. William nie lubi nadużywać alkoholu, ale nie chce myśleć o Steviem Parchu. – Poza tym prawdopodobnie był starszy. Szukałbym wśród absolwentów albo nawet wykładowców.

Paula kiwa głową i częstuje się drugim piwem.

– To bardzo przydatne, bo jeżeli jakiś stary przyk przyszedłby na imprezę, ludzie by go zapamiętali, wiesz?

William nie wie. Kiedy pojechał do Notre Dame, przestał chodzić do terapeuty z Atlanty, który kazał mu utrzymywać kontakty z rówieśnikami. Rodzice chcieli, żeby mieszkał w domu i studiował na Emory, ale William przyjął

stypendium futbolowe w pierwszej uczelni Bridget. Jego ojciec bardzo się cieszył z tego stypendium, ale oboje rodzice wiedzieli, że William nie da rady mieszkać w akademiku. Martwili się, że mimo wybitnego intelektu jego doświadczenie ze studiami nie będzie udane. W końcu się zgodzili, ale wynajęli mu dom i znaleźli nowego behawiorystę w Indianie.

Nowy terapeuta zwolnił go z obowiązku chodzenia na imprezy i zdecydował, że Williamowi wystarczą spotkania z Bridget i Paulą. Doktor Bennett nie wiedział, że w wolnym czasie cała trójka jeździła SUV-em Williama na odludzie, gdzie na leżącym odłogiem polu kukurydzy wysadzali w powietrze meble kupione w sklepach z używanym sprzętem. William, jako dziewiętnastolatek już nieco sprytniejszy, umiejętnie wykorzystywał to, że udało mu się stworzyć dwa udane związki międzyludzkie, i ani słowem nie wspomniał o materiałach wybuchowych domowej roboty.

– Ale dlaczego nie mógł to być student? – pyta Paula.

– Kurtka, w którą był ubrany, miała prawdopodobnie ponad dziesięć lat. To dlatego tkanina tak bardzo się rozłaziła.

Nagle Paula się prostuje i odstawia piwo.

– Facet w niebiesko-złotej kurtce? Dziwnie starej?

William kiwa głową.

– Starej jak na studenta, nie jak na dorosłego. Ja mam takie stare koszule.

Paula wczepia palce obu dłoni we włosy i mówi głośno, piskliwie:

– Weź przestań. To było bractwo Kappa Nu?

– Tak.

– Jasna cholera, William! Shandi szuka faceta z drużyny futbolowej Emory! – Paula odwraca się i błyskawicznie wychodzi z kuchni.

– W Emory nie ma drużyny futbolowej – mówi William, idąc za nią. Coś o tym wie.

– Ale jest w Kappa Nu – rzuca Paula przez ramię. Dosłownie biegnie do jego gabinetu. – Przez lata mieli własną drużynę futbolową. To taki stary żart albo rytuał. W Emory nie ma drużyny futbolowej, a w Kappa Nu nie ma prawiczków. Że niby prawiczki i drużyny futbolowe to tylko mit. Przed inicjacją kandydaci muszą udowodnić, że nie są prawiczkami. – Siada na krześle przy biurku i porusza myszką komputerową, żeby wyprowadzić ekran ze stanu uśpienia.

– Jak udowodnić? – pyta William. Paula dysponuje rozległą wiedzą o seksie i również dlatego jest takim dobrym prawnikiem zajmującym się rozwodami.

Paula otwiera Google.

– Nie do końca udowodnić. To tylko dla jaj, dla picu. Nabijają się z prawiczków i umieszczają ich w drużynie futbolowej Emory. Na strychu trzymają oryginalne kurtki, wszystkie owiane legendą. Każda kurtka ma swoją historię. Na niektórych są szczęśliwe liczby, inne to zwykłe szmaty. – Mówiąc, Paula wpisuje w oknie wyszukiwarki słowa kluczowe. – Prawiczki muszą zakładać wyznaczone im kurtki na każde spotkanie towarzyskie, nawet na imprezy, dopóki, wiesz, nie będą mogli odejść z drużyny. Odchodzi się, jeśli się zaliczy dziewczynę, na przykład na imprezie Kappa Nu. Na przykład na tej imprezie, na której była Shandi, kapujesz?

Światło odbija się od ekranu, William gasi więc wszystkie lampy i pochyla się nad Paulą, żeby lepiej widzieć. Wpisała: Kappa Nu, rekrutacja, drużyna futbolowa Emory.

– Mają własną stronę?

Jeżeli Paula się nie myli, to mogą razem definitywnie rozwiązać zagadkę Shandi, chociaż William obiecał przekazać jej tylko wyniki badań laboratoryjnych i różne opcje. Nie jest przygotowany na ujawnienie jej konkretnego mężczyzny. Istnieje niezręczny dysonans w słowach: „Dziękuję za zupę i za opiekę po operacji. W ramach podziękowania odnalazłem mężczyznę, który na ciebie napadł”.

Paula uśmiecha się szeroko, niebieskie światło monitora odbija się od jej zębów.

– Oj, tak. Co roku robią zdjęcie drużyny. Chyba od dziesięciu lat wstawiają zdjęcia cyfrowe. Przedtem robili zdjęcia polaroidami i wieszali je na tablicy informacyjnej.

– Skąd to wszystko wiesz? – pyta William.

– No proszę cię. – Paula rzuca mu przez ramię spojrzenie mówiące, że jest skończonym idiotą.

Rzeczywiście jest idiotą. Paula wie, bo dziesięć lat temu bez wątplenia wyzwoliła z kurtek paru chłopców chcących się dostać do Kappa Nu.

„Paula, Paula, nie baw się z nami, przecież ty bawisz się z prawiczkami” – tak

zaczynała się rymowanka w liceum. Składała się z wielu wersów.

Poznali się w podobnych okolicznościach, na imprezie. Był w drugiej klasie liceum i właśnie dostał się do reprezentacji szkoły. Jego drużyna wygrała. Po meczu koledzy z drużyny klepali go po plecach i nazywali Williamem Niszczycielem.

Był w pokoju rekreacyjnym w piwnicy, gdzie Chuck K., Davis i Chuck M. grali w bilard. Pili piwo i wymieniali się partnerkami seksualnymi, jak w jakimś konkursie. William nie pił, bo był jeszcze niepełnoletni, i nie grał w bilard, bo wygrał już dwa razy. Chuck K. kazał mu usiąść.

Wzruszył ramionami, kiedy spytali o jego partnerki seksualne, częściowo dlatego, że nie miał ani jednej, a częściowo dlatego, że wziął ze sobą bardzo dobrą książkę o teorii orbitali molekularnych. Za każdym razem, kiedy któryś z nich się do niego zwracał, William musiał zaznaczać palcem miejsce, w którym przerwał lekturę, i aż do końca rozmowy utrzymywać kontakt wzrokowy. Terapeuta zabronił mu czytać podczas rozmów z rówieśnikami.

– Nigdy? – spytał Davis.

Chuck K. złapał się za serce i udał, że umiera ze zdziwienia. Tego Chucka wszyscy uważali za przezabawnego. Chuck K. zostawił Davisa i mniej zabawnego Chucka przy stole bilardowym i poszedł na górę, gdzie miała miejsce właściwa impreza, hałaśliwa i nieznośna.

Wrócił parę minut później. Z Paulą.

William wiedział, kim jest Paula. Była znana w szkole. Słynęła ze swojego życia seksualnego. Jeszcze kilka dziewczyn cieszyło się taką sławą, ale one dzieliły się na dwa plemiona: czarne i białe. Ze swoją czerwonawobrazową skórą, kręconymi włosami i jasnymi, skośnymi oczami Paula była zbyt nieokreślona rasowo, żeby pasować do któregośkolwiek ze stolików w stołówce. Jadała sama, sama chodziła na przerwach i – jeśli wierzyć jego kolegom z drużyny – uprawiała seks z połową szkoły. William wierzył niektórym z nich.

Przeszła przez pokój w jego stronę. Ubrana w krótką, wirującą spódniczkę, kołysała biodrami, czubkami palców muskała gładką skórę na udach barwy miedzi.

Stanęła między jego nogami. William poczuł zapach świeżego piwa w jej oddechu. Nie miał nic przeciwko temu, że podeszła tak blisko. Nic a nic.

Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Jest za śliczny, żeby zrobić to z nim w celach charytatywnych. – Osoba trzecia świadczyła o tym, że mówiła do Chucka K., ale potem zwróciła się do Williama: – Chodź, jeśli chcesz.

Ruszyła w stronę wyjścia, a William wstał ze stołka i poszedł za nią, na wypadek gdyby chodziło jej o seks. W pierwszej klasie grał w reprezentacji młodzików i wiedział, że dziewczyny uganiają się za chłopcami z prawdziwej reprezentacji.

Kiedy się z nią zrównał, złapała go za rękę i pociągnęła przez korytarz. Jej dłoń była malutka w jego ogromnym łapsku, a jej dotyk był niezwykle interesujący. Przesunął palce na środek jej dłoni. Była sucha i chłodna. Paula zaprowadziła go do małego pokoju gościnnego w piwnicy. Słyszał za sobą pohukiwanie Chucka K., Davisa i Chucka M.

Posadziła go na łóżku i rzuciła dzinsową torebkę obok niego. Stała między jego nogami i zaczęła lekko się kołysać. Patrzyła na niego, twarz miała okoloną burzą czarnych włosów.

Pociągnęła go za koszulę, a on posłusznie podniósł ręce, żeby mogła ją zdjąć. Przesunęła dłońmi po jego wyrzeźbionym torsie i brzuchu.

– Boże, jak ja kocham sportowców – powiedziała.

Pochyliła się i przycisnęła do jego warg swoje usta, wilgotne i już rozchylone. Ledwie zdążył schować swoją szczęśliwą monetę między policzkiem a zębami trzonowymi.

Pocałunek był śliski, ale Williamowi podobał się obcy dotyk jej języka, dziwnego, pachnącego piwem mięśnia, który penetrował wewnątrz jego ust, jakby szukał monety. Jego ciało zareagowało gorąco, w do tej pory nieznaną dla niego sposób. Nad głową słyszał dudnienie muzyki, a z drugiego końca korytarza ciche stukanie wpadających na siebie kul bilardowych i wrzaskliwe głosy kolegów, zbyt odległe, by mógł je zrozumieć.

Zdjęła bluzkę. Nie słyszał już żadnych dźwięków, bo używał całego mózgu do patrzenia. Jej piersi były pełne na dole, ale płaskie na górze, więc sutki sterczały do góry.

Położyła na nich jego ręce. Brązowa skóra była tu jaśniejsza niż na innych częściach jej ciała, a sutki miały barwę syropu klonowego. Chciał wziąć jeden do

ust, ale nie wiedział, czy mu wolno.

Klęknęła między jego kolanami. Mózg Williama zalały obrazy. Próbował skatalogować na później jej nagie ciało. Plecy schylone tak, że kręgosłup się wygiął, a włosy opadły do przodu. Nagi kark, jaśniejszy niż piersi. Czarne włosy opadające na jego kolana, przykrywające jej dłonie, kiedy majstrowała przy jego rozporku.

Ściągnęła z niego dzinsy, buty i skarpetki. Jego wzrok padł na pasek nagich bioder nad nisko opuszczoną spódnicą.

Objęła go ustami. Połknął monetę. Stracił wszystkie siły. Opadł na łóżko. Przez chwilę zastanawiał się, jak to możliwe, że pod rytmicznym naporem usta mogą pozostać tak miękkie, gorące i mokre. Potem jego umysł przestał działać, a ciało przemieniło się w zwierzę, niemyślące i żywe. Mózg w ogóle o niczym nie myślał. William wyciekł z siebie i zniknął w niej.

Zaskoczony, spojrział na sufit i zamrugął oczami.

Głowa i ramiona wychynęły znad krawędzi łóżka. Szeroko się uśmiechała.

– O rany, naprawdę?

Nie wiedział, o co jej chodziło. Położyła się obok niego, wciąż bez bluzki. Jej sutki otarły się o jego bok i poczuł rytm, w jakim zaczęła poruszać biodrami. Jej zapach, skóra, jej oddzielność, wszystko to sprawiło, że orgazm był czymś więcej niż doskonałym lekiem nasennym. Odwrócił się do niej, znowu z wyprężonym penisem, napierającym na jej spódniczkę. Roześmiała się i znowu powiedziała: „O rany, naprawdę?”, ale zupełnie innym tonem. Tym razem zrozumiał.

– Tak, proszę – odpowiedział i nawet w jego uszach zabrzmiało to oschle i oficjalnie. Jakby przyjmował krakersa od starej sąsiadki.

– Skoro jesteś taki uprzejmy...

Opadła na plecy, a jej piersi zakołysały się w bardzo interesujący sposób. Nie włożyła go znowu do ust. Spojrział na jej twarz, rozpoznał tę minę. Taki wyraz twarzy miewał zawodnik z przeciwnej drużyny, za linią. Zawodnik, który niesłusznie uznał, że może obronić przed Williamem swojego rozgrywającego.

Jak by to ujął Chuck K., Paula rzucała mu wyzwanie: „No, dawaj!”. Określenie było dla niego na tyle znajome, że rozumiał je, nawet wyrwane z kontekstu, ale tylko w teorii wiedział, co znaczy w tej sytuacji.

Usiadł i zmierzył wzrokiem Paulę, naga od pasa w górę. Z nóg spadły jej trepy

ze zdartymi podeszwami, była boso. Buty wyglądały na takie malutkie wśród rozrzuconych części jego ubrania. Paznokcie u stóp miała pomalowane jasnoniebieskim lakierem. Położyła się, tak jak on wcześniej.

Kiwnął głową, ześlizgnął się na dywan i podciągnął jej bawełnianą spódnicę do talii. Przez bardzo skąpe majtki, jasnoniebieskie jak lakier do paznokci, przezroczyste, widział ciemną plamę jej włosów łonowych. Przysunął się bliżej, szerokimi ramionami rozsunął jej nogi i przyciągnął do siebie jej biodra, tak że musiała ugiąć nogi w kolanach, bo inaczej musiałyby je spuścić na podłogę. Odsunął na bok majtki i w świetle lampy zaczął się przyglądać skomplikowanej budowie jej ciała. Po paru sekundach cicho się zaśmiała.

– Co ty, gapisz się na moją cipkę? – spytała.

Uznał, że to pytanie retoryczne.

Po kolejnych paru sekundach spytała:

– Ty świrze, dlaczego się gapisz na moją cipkę?

To nie wymagało odpowiedzi. Nie znał jej, więc tylko dotknął jej ustami i zaczął operować językiem tak jak ona, kiedy go całowała, jakby teraz to on szukał ukrytej monety. Paula gwałtownie wciągnęła powietrze i wygięła plecy w łuk. Dzięki tej prostej, fizycznej, odruchowej reakcji zrozumiał ją. Rozluźnił się. Była tylko zwierzęciem, tak samo jak on. Była tylko malutkim zwierzątkiem.

– Chłopcy rzadko to robią – powiedziała zduszonym, dziwnym głosem. Ale nie był to zakaz. Jej szczupłe uda napięły się i zacisnęły wokół jego głowy, a stopy zaczęły lekko uderzać o jego plecy. Nadal poznawał jej interesujące zapachy i struktury, aż stała się tylko ciałem, tak jak on przedtem. Wczepiła palce w jego włosy, oddychała urywanie.

Potem się rozplakała. Przestraszony wszedł na łóżko, żeby sprawdzić, czy jej nie gwałci. Uczestniczył w seminarium, na którym mówiono, że „nie” oznacza „nie” i że płacz też oznacza „nie”, ale kiedy spojrział na jej twarz, przekonał się, że to nie był zły płacz. Uśmiechała się do niego.

Nadal miał erekcję, przyciskał się do jej nagiego biodra. Kiedy go poczuła, zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu prezerwatywy. Pchnęła go na plecy i przerzuciła nad nim jedną nogę, jakby dosiadała konia.

W dzieciństwie miał konia do hipoterapii o imieniu Buck, i to, co wydarzyło się teraz, było podobne, chociaż całkowicie inne. Częściowo dlatego, że tym

razem to on był ujeżdżany, ale przede wszystkim dlatego, że przyjemność z tej jazdy gwałtownie przemieniała się w szaleństwo. Nie dało się jej powstrzymać, tworzyła dziwną więź, była rodzajem komunikacji z sygnałami, które potrafił odczytać, pozbawioną konieczności prowadzenia męczącej rozmowy.

Ale ona trochę mówiła. „Chciałam ci tylko zrobić loda, ale co tam” i „Nie mów nikomu, ale jeszcze nigdy przedtem nie przeżyłam orgazmu z chłopakiem”. Nie musiał na to odpowiadać.

Po wszystkim wydawało mu się, że wspólnie ukończyli jakieś pełne wigoru ćwiczenia fizyczne. Miał wobec niej ciepłe uczucia, jak wobec utalentowanego gracza ze swojej drużyny. I, podobnie jak w futbolu, drużyna, którą stworzył z Paulą, wygrała.

Wiedział, że kilku zawodników z jego drużyny było z nią w ten sposób, i nie podobało mu się, kiedy następnego dnia nie została potraktowana jak członek drużyny. Koledzy śmiali się i trącali Williama łokciami, ale żaden się z nią nie przywitał. Nie było w tym żadnej sprawiedliwości.

Wziął tacę i i usiadł przy jej stoliku. Zrobiła zaskoczoną minę, ale nie kazała mu się przesiąść. Jedli w milczeniu. William czytał, a Paula bazgrała w zeszycie.

W końcu spytała:

– Myślisz, że jestem teraz twoją dziewczyną, Bubba?

– Nie – odparł, a potem spytał z zainteresowaniem. – A jesteś?

– No proszę cię – jęknęła, ale później na korytarzu powiedziała mu „cześć” z takim samym jak wcześniej wyzwaniem i w reakcji na jego odwzajemnione powitanie ze zdziwieniem uniosła brwi. Usiadł przy jej stoliku następnego dnia i jeszcze następnego. Po miesiącu żadne z nich nie miało pojęcia, jak wcześniej mogli żyć bez siebie.

Już nigdy potem nie uprawiali seksu. Znajdowała sobie kolejnych chłopców i mężczyzn, do których zwracał się „kolego”, kiedy przychodzili na brunch Bridget. Wszyscy ci gówniarze nie pachnieli ładnie, chociaż jej się podobali. „Koledzy” Pauli byli wdzięczni. Łatwo się było ich pozbyć. W końcu to Bridget mu wytłumaczyła, że Paula nigdy więcej się z nim nie przespalała, bo stwierdziła, że nie jest jednym z nich.

Paula, teraz po trzydziestce, nadal ma „kolegów”, których tak łatwo zadowolić, że ledwie zauważa ich obecność. Jako nastolatka i tuż po dwudziestce

zaliczyła całą drużynę futbolową Emory.

Zakładka Kappa Nu wreszcie się otworzyła. Paula się nie myliła. Co roku robią zdjęcie drużyny. W tym roku drużyna jeszcze nie została skompletowana, więc na stronie widnieje zdjęcie z zeszłego roku. Czterech chłopców stoi w kurtkach futbolowych. Trzymają małe flagi amerykańskie i wyglądają na skrępowanych.

– To duża drużyna. Ci chłopcy to kandydaci, którzy muszą przejść rytuał, rozumiesz? – William nie rozumie, ale potakuje, żeby Paula nie musiała tłumaczyć. – Natty ma ile, trzy lata? – pyta, szybko licząc w pamięci. – Musimy więc znaleźć drużynę sprzed czterech lat.

Przesuwa myszkę w dół menu i zdjęcie zaczyna się ładować. Chłopców jest tylko dwóch. Klęczą na jednym kolanie jak gracze futbolu w pierwszym rzędzie na zdjęciu drużyny. Pod zdjęciem widnieje podpis: „Rozgrywający Marvin James i rozgrywający Clayton Lilli”. Obaj ubrani w tradycyjne niebiesko-złote kurtki. Chłopak po prawej, z numerem 66, jest czarnoskóry, ma łagodny wyraz twarzy i ogromne jabłko Adama. To oczywiście, że nie jest ojcem Natty’ego.

Ale chłopak z numerem 13? Pasowałby pod względem rasy, jest wysoki i tyczkowaty, z szerokimi kośćmi policzkowymi i delikatnym podbródkiem, prostymi, brązowymi włosami i wąskim nosem z rozdętymi nozdrzami. Jego oczy ukrywają się za grubymi szklami okularów.

– To może być on – zauważa William.

Nadal wzdraga się przed przekazaniem tego Shandi w postaci nieudowodnionej możliwości z twarzą i nazwiskiem. To zbyt osobiste i na pewno ją zdenerwuje. Kiedy go poprosiła o pomoc, już wtedy była roztrzęsiona. Gotowała, mówiąc; widział, że wsypała do zupy co najmniej jedną czwartą filiżanki soli. Wylał niejadalną zupę do zlewu, żeby jeszcze bardziej jej nie denerwować. Wiedza Pauli skomplikowała sprawy.

Paula wstaje gwałtownie i szybko podchodzi do okna. William zajmuje jej miejsce na krześle, uważnie, zmrużonymi oczami przygląda się Claytonowi Lilli, zwłaszcza jego uszom. Shandi ma lekko odstające uszy, a uszy Natty’ego przylegają do głowy. Jeżeli Clayton Lilli ma odstające uszy, można go wykluczyć pod kątem genetycznym, tak samo jak czarnoskórego chłopca. Ale to ujęcie całego ciała, nie zbliżenie, poza tym wiotkie włosy Clayтона wiszą, zasłaniając

większą część uszu. William potrzebuje zbliżenia głowy. Otwiera przeglądarkę w drugim oknie i przechodzi do grafiki Google.

– O Boże – woła Paula zduszonym głosem, wyglądając przez okno.

William jest zajęty wpisywaniem „Clayton Lilli”. To rzadkie nazwisko, ale czy wystarczająco rzadkie? Może potrzeba będzie więcej słów kluczowych.

– William! William! – Paula krzyczy alarmująco.

– Co? – William odrywa wzrok od ekranu.

Paula nie odwraca się. Odsunęła zasłonę na bok i przycisnęła dłonie płasko do szyby. W pokoju jest ciemno, na zewnątrz, na jego podwórzu, widać słabe pomarańczowe światło.

– Twój samochód się pali – woła.

William natychmiast się podrywa, podchodzi do okna i staje obok niej.

Rzeczywiście.

Przez chwilę znowu czuje zawroty głowy. Serce mu mocno wali, kiedy widzi pomarańczową łunę w samochodzie. Oddech opuszcza jego ciało i przybiera postać jej imienia. Na czas trwania tego oddechu ogień wygląda jak odwrotność listu miłosnego, ostre „nie”, bomba podłożona w odpowiedzi na jego niegdysiejsze fajerwerki.

Już kiedy William wciąga powietrze, wie, że to niedorzeczne. A jednak to uczucie w nim pozostaje, gdy William biegnie po gaśnicę.

Kiedy zaczęłam, nic nie wiedziałam o uwodzeniu. Teraz przynajmniej wiedziałam, że jestem w tym fatalna. Wiedziałam też, że potrzebuję więcej niż zmiany garderoby, choć tak nakazywały teledyski i tysiące komedii romantycznych. Przede wszystkim zrozumiałam, że bez opiekunki do dziecka nie mogę się do tego zabrać na poważnie.

Nie miałam opiekunki. Walcott nie odpowiedział na moje ostatnie trzy telefony. Jeszcze kilka dni dąsów, a wsiądę do samochodu i pojadę do Lumpkin County, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie umarł i zapomniał mi o tym powiedzieć.

Nie mogłam zaprosić Mimmy do mieszkania taty, chociaż całkiem się stamtąd zmył. (Wpadł dwa razy z prezentami, ale używał dzwonka jak gość. Powiedział, że chce, żebym czuła się jak u siebie w domu). Pozostawało mi tylko powierzyć Natty'ego niańce, która opiekowała się moimi braćmi przyrodniemi. Chłopcy się lubili, a poza tym wkurzało to Bethany, ale niestety Oscar dochodził do siebie po grypie żołądkowej. To wykluczało tę opcję przynajmniej do weekendu.

William nie miał nic przeciwko moim wizytom z Nattym, ale nie próbował się na mnie rzucić tylko dlatego, że włożyłam czerwoną sukienkę w stylu Marilyn albo najkrótszą ze swoich miniówek w stylu lat siedemdziesiątych. Próbowałam mówić z seksowną chrypką, ale tylko spytał: „Chcesz coś na gardło?”, jakbym była jego astmatycznym dziadkiem. Próbowałam nawet udawać Reese Witherspoon: upuściłam długopis, kiedy William stał za mną, i zaczęłam powoli się schylać, żeby go podnieść. Okrążył mnie i go podniósł, a ja pozostałam zgięta, czując się jak skończona idiotka. Nie pomagała mi świadomość, że Paula dokładnie wiedziałaby, jak go uwieść. O ile już go nie uwodziła – albo wręcz nie uwiodła.

Kończył mi się czas. William mniej sypiał i chodził na długie spacery. Godzinami siedział w laboratorium, porównując wymazy z policzka z próbkami z torby sportowej. Mówił tak, jakby lada dzień miał mi przedstawić teczkę z faktami, z którą mogłabym pójść do prywatnego detektywa, i na tym nasza relacja by się skończyła.

W głębi ducha jednak w to nie wierzyłam. Wyobrażałam sobie, że wielki bóg Thor znajdzie konkretnego człowieka – razem z nazwiskiem, adresem mailowym i twarzą. Jego tożsamość będzie najgorszym na świecie prezentem przewiazanym wstążką w kolorze krwi, bo będę musiała dokonać wyboru. Kiedy golem zyska twarz, będę musiała postanowić, co zrobić z nim albo jemu. A jeżeli byłam pierwszym ogniwem w długim łańcuchu odurzonych dziewczyn? Czy mogłam go powstrzymać i jednocześnie uchronić Natty'ego przed tą wiedzą? Miałam nadzieję, że mieszka tak daleko, że będę musiała sobie odpuścić. Na przykład na Alasce. Albo że nie żyje. Albo że zmarł na Alasce.

Boże, mimo wszystko tak bardzo chciałam wiedzieć, kim jest. Więcej. Byłam pewna, że się tego dowiem. Wierzyłam w to całym sercem, wierzyłam w Williama, mimo każdej racjonalnej myśli, jaką podsuwał mi rozsądek.

W środę poszłam do Williama, kiedy jeszcze był w laboratorium. Otworzyłam sobie drzwi ukrytym kluczem, a potem nauczyłam Natty'ego grać w oczko, używając żelek zamiast żetonów. Ogołocił mnie ze wszystkich czerwonych i pomarańczowych i właśnie siedział, machając nogami i ukradkiem zjadając swoją wygraną, kiedy usłyszałam odgłos otwieranych drzwi.

Zerwałam się na równe nogi i wygładziłam ołówkową spódnice. Założyłam do niej top z dużym dekoltem i biustonosz typu push-up, który doskonale pełnił swoją funkcję.

To była jednak Paula. Przyszła kilka godzin za wcześnie, z nieodłącznym sześciopakiem. Stała w progu, spojrzała na mój dekolt i mruknęła:

– O ja cię! Tylko nimi nie machaj, bo jeszcze komuś wybijesz oko.

Natty odwrócił się na stołku i patrzył, jak Paula przechodzi przez pokój, a ja ze skrepowaniem obciągnęłam bluzkę. Paula przesunęła przybory rysunkowe Natty'ego i walnęła sześciopakiem o ławę, jakby zamierzała od razu się z nim rozprawić i nie było sensu zanosić go do lodówki. Klapnęła na kanapę, zrzuciła czarne szpilki i oparła bosc stopy na ławie obok piwa, zaznaczając swój teren.

– Hejka, Natty.

– Hejka, Paula. – Jego szczery, czerwony uśmiech powiedział mi dwie rzeczy: Natty zjadł tyle żelków, że zepsuł sobie apetyt przed obiadem, i lubił Paulę. Byłam pewna, że lubili ją wszyscy mężczyźni w każdym wieku. Jej gołe nogi miały barwę cynamonu i chyba ze cztery kilometry długości.

– Pakuj się – zwróciła się do niego Paula. – Dziś bawią się dorośli. Ty z mamą wracacie do domu.

Natty posłusznie zaczął zbierać pozostałe żelki na kupkę.

– Nie, nie wracamy. Pracuj dalej nad swoim plakatem – zaprotestowałam.

Natty przestał zbierać żelki i zaczął spoglądać to na mnie, to na Paulę. Słowo Matki wygrało. Podszedł do ławy i zaczął kolorować swój okropny schemat wszystkich części ciała żuka.

Paula założyła ręce za głowę, zgięła je w łokciach i wyciągnęła się w górę, jak kot preżąc kręgosłup. Przez chwilę jedynym odgłosem w pomieszczeniu było szorowanie kredek Natty'ego po tablicy z plakatem. Potem Paula zaczęła mówić, chyba do sufitu, bo na pewno nie patrzyła na mnie.

– Wiesz, że kiedyś Bridget złożyła śluby zakonne? – poinformowała sufit. Kiedy tylko wypowiedziała to imię, przyciągnęła całą moją uwagę i dobrze o tym wiedziała. – Pierwsze śluby są tymczasowe. Trwają trzy lata, na wypadek gdybyś nie znalazła swojego miejsca wśród zakonnicy. Ale to prawdziwe śluby. Ubóstwo. Posłuszeństwo. Czystość. Ten ostatni mnie przeraża. To czystość na całe życie. Wyobrażasz sobie?

Prawdę mówiąc, wyobrażałam sobie. Doskonale to sobie wyobrażałam. Za każdym razem, kiedy zrywałam z chłopakiem, czułam się trwale uszkodzona. Ale spytałam tylko:

– O co ci chodzi?

Paula zachichotała i odchyliła głowę, jakby skończyła mówić, ale nie bez powodu wspomniała o Bridget. O zakonnicy. Kto żeni się z zakonnicy? Najwyraźniej William. Może chodziło jej o to, że nie wzięłyby następczyni, której tak jak mnie było daleko do czystości? Może ta seksowna garderoba działała na moją niekorzyść i lepiej by mi poszło, gdybym zakładała burkę? Ale w takim razie Paula ze swoimi króciutkimi spódniczkami, zawsze emanująca feromonami, miała równie mało szczęścia jak ja.

Zaczęła mówić znowu, nadal zwracając się do sufitu.

– Pracowała jako wolontariuszka w slumsach. William był bardzo zajęty pisaniem pracy magisterskiej, a potem doktorskiej w Emory, ale nigdy jej tam nie puścił samej. Wyobrażasz go sobie, z tymi łapami jak młoty pneumatyczne i prawie bez mimiki, jak dźwiga ze sobą laptop i dwadzieścia kilo podręczników, a Bridget pochyła się nad elementarzem i uczy jakąś niepełnoletnią prostytutkę na odwyku, nielegalną imigrantkę z Meksyku, jak powiedzieć po angielsku „Ten ołówek jest żółty”?

– Ściany mają uszy – zauważyłam.

Paula zerknęła na Natty’ego, który ze schyloną głową rysował niebieską kredką. Przerysował przekrój żuka z jednej z książek Williama, w wielkich rozmiarach. Powiedział, że powiesi go na ścianie w swoim pokoju. Spokojnie mogłabym żyć bez świadomości, z czego składa się żuk, ale Natty był tym całkowicie pochłonięty.

– On? Nie słucha – stwierdziła Paula.

– On zawsze słucha – odparłam, po czym dodałam, nie zmieniając tonu: – Słuchasz?

– Tak – odpowiedział Natty.

Paula zachichotała i powiedziała:

– Dobra. Przedstawię ci wersję Disneya. Potem przed ostatnimi ślubami poszła na dwanaście miesięcy do klasztoru, żeby tam się modlić i medytować. Kompletnie żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. William nadal studiował w Emory, ale jego badania były takie super, że Geneti-Tech już go do siebie zwerbowało. Pracował osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo, sypiał po cztery godziny dziennie. Zgadnij, dokąd jeździł co sobota? Do tego cholernego klasztoru. Prawie sto kilometrów w jedną stronę. Bridget nie chciała wyjść, ale co weekend siadał na zboczu wzgórza, pracował na laptopie, a kiedy bateria się wyczerpała, robił pompki albo te zwariowane obliczenia w pamięci. Jeździł tam całą jesień i zimą. W lutym codziennie padało, ale William w ulewnym deszczu biegał wokół klasztoru. – Spojrzała na Natty’ego. – Bardzo ładnie, Natty. Co to takiego?

– Tułów – odparł Natty.

– Czy ta historia ma jakiś morał? – spytałam zniecierpliwiona.

Ale chyba już go znałam. Pokazywała mi miejsce, jakie zostawiła po sobie zakonnica Bridget i o którym z takim jadem powiedziałam, że już go nie zajmuje. Pokazywała mi, że nigdy nie uda mi się go wypełnić.

Ona jednak mnie zaskoczyła. Spojrzała mi prosto w oczy i oświadczyła, powoli i z namysłem:

– Tak to wygląda: zakochany William. Widziałaś go w takim stanie?

Był to cios poniżej pasa, bardzo celnie wymierzony. Nigdy nie widziałam Williama takiego, jakim go opisała, ale, och, potrafiłam go sobie wyobrazić. Jak by to było, gdyby oblegał dom, w którym mieszkałam, krążył wokół niego niczym potężny wilk i wył, wołając mnie na zewnątrz? Rozpaczliwie chciałam natychmiast się o tym przekonać. Z bliska i na własnej skórze.

– A ty? – odparowałam.

– Tak. Oczywiście, że tak. – Uśmiechnęła się szeroko, pokazując wszystkie zęby. Miała wyjątkowo spiczaste zęby, jak u psa. – Ale wiesz co? Zostań. Zrób mu pyszną kolacyjkę. William jest rozpaczliwie samotny. Jeżeli usunę się w cień, bardzo możliwe, że zadowolony się tobą.

Powiedziała to z fałszywą zachętą, jakby próbowała dodać mi otuchy. Siedziała, rozparta na kanapie, z taką swobodą, jakby to już był i jej dom. Na pewnym poziomie jej się to podobało, ale nie mnie. William mógł spędzić w laboratorium jeszcze kilka godzin, a ja nie chciałam zostać tutaj i się z nią zmagać. Tym bardziej że przegrywałam. Wstałam.

– Chodź, Natty, spakuj swój... tułów.

Natty odparł, oburzony:

– To żuk. Tułów jest tylko jedną z jego części.

Wzięłam jego plakat, a on spakował kredki.

Paula odprowadziła nas jak hostessa, z tak udawaną uprzejmością, że aż mnie korciło, żeby ją walnąć. Kiedy doszliśmy do drzwi, Natty w podskokach, jak kangur, pobiegł do samochodu.

Przystanąłam i zwróciłam się do Pauli, cicho, ale ostro:

– Czy mogłabyś przynajmniej poprosić Williama, żeby do mnie zadzwonił, kiedy wróci z wynikami?

– Na pewno zadzwoni, jeżeli będzie coś miał dla ciebie. – Cierpki uśmiech Pauli nadawał jej słowom inne znaczenie.

– Och, idź do diabła – rzuciłam i odwróciłam się do wyjścia.
Usłyszałam, jak wzdycha z rezygnacją, po czym zawołała za mną:
– Dopilnuję, żebyś dostała te wyniki!
– Pewnie. – Szłam dalej.
– Hej. Hej! – Coś w jej głosie sprawiło, że się zatrzymałam i spojrzałam na nią. – Wiesz, jak zarabiam na życie?
Byłam tak zaskoczona, że mimo woli odpowiedziałam:
– Jesteś prawnikiem specjalizującym się w rozwodach.
– Tak, świetnym prawnikiem. Pracuję tylko dla kobiet. Nie pozwalam, żeby mężczyźni wykorzystywali swoje żony. Kiedy tylko mogę na to wpływać. Nawet jeżeli uważam, że moja klientka to bezduszna, chciwa mała kurewka. Nie bierz tego do siebie. Taka jest ogromna część mojej klienteli. Kiedy będą wyniki, przekażę ci informację. Koniec kropka.

Zamknęła drzwi, ale uwierzyłam jej. Było mi z tym źle, ale jej uwierzyłam, a wręcz zaniepokoiłam się, że weźmie sprawy w swoje ręce i osobiście przyniesie mi wyniki badań. Chciałam, żeby to William do mnie przyszedł, podążył za mną, tak jak kiedyś podążał za Bridget do klasztoru. Chciałam, żeby przyniósł mi coś więcej niż tylko wyniki badań. To jednak nie mogło się stać, dopóki Paula była w jego domu, więc pojechałam do siebie.

O dziewiątej Natty już spał, a William jeszcze nie dzwonił. Może nie skończył badań. Może był w laboratorium i właśnie w tej chwili odnajdywał golema. Albo częstował się piwem z sześciopaku, a Paula sączyła mu do ucha złe słowa na mój temat, wodząc bosą stopą po jego nodze.

Doszłam do wniosku, że równie dobrze i ja mogę pójść spać, skoro z powodu całego tego czekania nie mogę pozbyć się napięcia, które zawiązywało mi żołądek na supeł. Potrzebowałam co najmniej godziny albo dwóch snu, zanim zaczną się koszmary Natty'ego.

Ruszyłam po schodach, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Pobiełam, a wszystkie organy próbowały podejść mi do gardła. W głębi ducha wierzyłam, że za drzwiami zobaczę Williama w opadających, spłowiałych dżinsach, Williama, który przyszedł po mnie tak jak kiedyś po Bridget, i przyniósł mi odpowiedzi.

Kiedy jednak spojrzałam przez wizjer, zobaczyłam Walcotta. Na jego widok

poczułam zbyt wielką ulgę, żeby się rozczarować. Z rozmachem otworzyłam drzwi.

– Dzięki Bogu! Wejź! Wszystko między nami w porządku? Nie odpowiadasz na moje maile, a ja jestem zrozpaczona. Kiedy przyjechałeś?

– Przed chwilą. – Wyminął mnie i wszedł do zainfekowanego skórą i chromem mieszkania. Salon był okropny, pełen ostrych szklanych kantów, jakby Bethany poprosiła dekoratora wnętrz, by urządził go tak, żeby bohater *American Psyche* czuł się tu jak u siebie w domu. Teraz jej chłodna estetyka została złagodzona bałaganem. Tata sypiał w pokoju lekarskim, a ja przebywałam głównie u Williama, mieszkanie przemieniło się więc w prawdziwą norę. Na eleganckich powierzchniach leżały brudne naczynia, kowbojskie akcesoria Natty'ego i rzeczy do prania.

Poszłam za Walcottem, czując się dziwnie onieśmielona. Prawie nigdy się nie kłóciliśmy. Nie wiedziałam, jak się zachować w tej sytuacji. Chcąc czymś wypełnić ciszę – nigdy przedtem nie zapadało między nami niezręczne milczenie! – powiedziałam:

– Tata kupił Natty'emu Gwiazdę Śmierci z klocków lego. – Była to zabawka za czterysta dolarów, jeden z pokutnych prezentów, którymi tata nas zasypywał dzięki temu, że tuż po napadzie Bethany zachowała się jak suka.

– O, fajnie! Mogę zobaczyć?

Pudło. Rumieniąc się, odparłam:

– Jest u Williama. – Wyczułam, że Walcott cały się jeży. – Napijesz się czegoś? Mam piwo, colę i pewnie coś tam jeszcze.

– Jasne.

Przeszliśmy do kuchni pełnej stali nierdzewnej i blatów z szarego granitu, ale i tak mniej przygniatającej niż salon. Gdybym to ja urządziła tacie mieszkanie, wybrałabym soczyste kremowe barwy, ciepłe brązy, miękką, wygodną kanapę i skórzany fotel klubowy.

– Co u Natty'ego? – spytał Walcott. – Już śpi?

– Tak. U niego tak sobie. – Wyjęłam z lodówki piwo i wcisnęłam mu je do ręki. – Mimmy zaproponowała, że spędzi z nami weekend, co bardzo pomogłoby Natty'emu, ale, Boże drogi, nawet sobie nie wyobrażam negocjacji z Bethany. Nie dysponuję niczym na tyle wartościowym, żeby pozwoliła Mimmy tu

przyjechać i sikać na jej terytorium. Chyba że Bethany potrzebuje nerki. Mam jedną na zbyciu.

– Bethany to raczej Blaszyński Drwal – powiedział Walcott. Nie otworzył swojego piwa. Dodał z dziwnym żalem: – Jaka szkoda, że masz tylko jedno serce.

Tego typu cierpko-ckliwe żarty mówił, kiedy upijał się z innymi poetami, ale teraz nawet nie tknął piwa. Ja też wzięłam sobie jedno i usiadłam na blacie. Upiłam łyk. Było dobre, zimne i bardzo gorzkie. Pochodziło z jednego z małych, lokalnych browarów taty, który był wart fortunę.

– Walcott, cieszę się, że w końcu przyszedłeś. Nie cierpię się z tobą kłócić. Wszystko wtedy wydaje mi się bez sensu. Możesz zostać na noc? Może poczuwałbyś przy Nattym? Dam ci za to cztery wiśniowe delicje. Trzy godziny nieprzerwanego snu poważnie by zmieniło jakość mojego życia.

– Hmm. Chyba raczej nie – odparł powoli, niemal z żalem.

– Cholerka. Jeszcze się na mnie wściekasz? – Pokręcił głową. – No to dlaczego? Z powodu CeeCee? – spytałam, przewracając oczami.

To ja przedstawiłam CeeCee Walcottowi. Wiedziała, że od dziewiątego roku życia nocami wymykaliśmy się przez okna i nocowaliśmy na przemian jedno u drugiego. Odkąd jednak zwiążali się na poważnie, wbijała mi szpileczki, próbując mnie przepędzić z terytoriów, które chciała tylko dla siebie, zachowywała się, jakbym była jej rywalką.

– Zapomnij o CeeCee. Zerwałem z nią tamtej nocy po napadzie.

Wtedy spojrzałam na niego, uważnie przyjrzałam się jego twarzy w jasnym świetle. Burza niesfornych brązowych włosów sterczała do góry jak wtedy, kiedy się stresował albo źle mu szło pisanie. Gęste brwi unosiły się nad wielkimi, głęboko osadzonymi oczami. Nos był niemiłosiernie duży, ale o bardzo szlachetnej linii, choć Walcott twierdził inaczej. Usta miał szerokie i pełne. Jego twarz była mi tak znajoma, że właściwie nigdy tak naprawdę na niego nie patrzyłam, nie zauważyłam, że jego skóra jest mocno napięta na kanciastej czaszce. Pod oczami widniały czerwone kręgi, które mogłyby konkurować z moimi.

– Nic nie mówiłeś. Dobrze się czujesz? Ale ze mnie idiotka! Ty też cierpisz na zespół stresu pourazowego?

– Nie śpiam zbyt dobrze. – Walcott odstawił nieotwarte piwo. – Słuchaj, nie mogę tego wypić. Nie mogę tu przemocować, nic z tego, bo zaraz się na mnie wkurzysz i będziesz chciała mnie wyrzucić.

Zaskoczona zamrugałam oczami, po czym się roześmiałam.

– Nigdy bym cię znikąd nie wyrzuciła.

– Tym razem to zrobisz. Przyszedłem, żeby cię poprosić, żebyś dała sobie spokój z tym całym Williamem Ashe'em.

Tak jak przewidział Walcott, od razu ogarnął mnie gniew, co mnie wkurzyło jeszcze bardziej.

– Za późno.

Walcott pokręcił głową.

– Nie mam na myśli badań laboratoryjnych. – Odwrócił wzrok, zdesperowany i nieszczęśliwy. – Przestań ciągle tam chodzić. Nie pozwól mu budować z Nattym Gwiazdy Śmierci. Ja to powinienem robić.

Wypuściłam powietrze z cichym „pss”.

– William nie zastąpi Natty'emu ciebie ani mnie. W naszym życiu istnieje stałe miejsce w twoim kształcie.

– Nie udawaj idiotki. Próbuję... z chyba najmniejszym wdziękiem w historii świata... próbuję wyznać, że cię kocham.

Powiedział to tak łagodnie, spokojnie i po prostu, że przez sekundę czy dwie jego słowa do mnie nie docierały. W końcu zaprotestowałam:

– Nie, nieprawda.

– Prawda. – Wyciągnął do mnie rękę, jakby oferował przeprosiny. – Myślę, że kocham cię od lat.

– Nieprawda – powtórzyłam, czując, jak mnie całą ogarnia gniew, bo jego wyznanie zabrzmiało jak zdrada. – Co ty opowiadasz? Że przez cały ten czas sekretnie się we mnie podkochiwałeś? To jakiś podstęp? – To było takie nieuczciwe. Nie mogłam znieść myśli, że zła opinia, jaką miałam na temat Pauli, mogła dotyczyć i Walcotta. Pomyśleć, że Walcott – mój Walcott – ukrywał przede mną tak ogromną tajemnicę. Jeżeli żywił do mnie jakieś nefajne, seksualne, romantyczne uczucia, to negowało całą naszą przyjaźń. On jednak energicznie kręcił głową.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy – powiedział. – Albo może i zdawałem,

ale tylko w głębi ducha. Może czekałem? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, tak samo jak się nie zastanawiam nad tym, że oddycham. Dla mnie było faktem, że kiedyś w końcu będziemy razem. Kiedy staniemy się na tyle dorośli, żeby tego nie spieprzyć. Jestem całkiem pewien, że i ty o tym wiedziałaś, przed tym koszmarem, który się zdarzył w Kappa Nu. – Przecząco kręciłam głową, ale on ciągnął: – A potem, kiedy wzięto cię na zakładniczkę w Circle K, pomyślałem, że możesz zginąć. Tyle czasu czekałem, aż oboje dorośniemy na tyle, by stworzyć własne prawdziwe życie, a tu nagle musiałem spojrzeć na dzień jutrzejszy. Świat nadal by się kręcił, ale ciebie by na nim nie było. Natty'ego by nie było. No i...

– Walcott! – przerwałam mu. – To tylko reakcja na stres. To nieprawda.

Pokręcił głową.

– Pamiętasz, jak policjanci cię wyprowadzili? To wtedy zrozumiałem. Próbowałem to w sobie zdusić, ale nie mogę. Co się stało, to się nie odstanie.

Pamiętałam. Odwozili Williama w ambulansie, a mną się zajął policjant, który wyglądał jak Samuel L. Jackson. Prowadził nas do swojego wozu, kiedy zauważyłam Walcotta, który rozmawiał w pobliżu z innym policjantem. Zmieniłam kierunek i ruszyłam prosto do niego. Jego twarz miała barwę kleju do tapet, a ulubiony T-shirt z zespołem Pixies był umazany zasychającą brązową krwią. Nadal miałam na dłoniach plamy krwi Williama. Pomyślałam sobie wtedy: Patrzcie, jak do siebie pasujemy.

Wtedy Natty zauważył Walcotta, ożywił się w moich ramionach i zaczął się drzeć:

– Walcott! Walcott!

Walcott się odwrócił i nas zobaczył. Na jego twarzy pojawił się szeroki dziwny uśmiech i coś nieodgadnionego. Znałam tę minę. Już wcześniej ją widywałam, ale nie potrafiłam jej nazwać. Przyśpieszyłam kroku, niemal pobiegłam do niego. Policjant próbował dostosować się do mojego tempa.

Zanim do niego dotarliśmy, zanim mogłam go objąć, Walcott odwrócił się, zgiął się w pół i wymiotował na trawę. Wymiotował i wymiotował, ogromne dłonie opierając o ugięte kolana.

Pomyślałam: O rany! Tylko ja utrzymałam w żołądku fantastyczny, zrodzony z gniewu obiad Mimmy.

Kiedy skończył wymiotować, odwrócił się, spojrzał na mnie i powiedział: „Cześć. O, cześć”, nadal z tym dziwnym wyrazem twarzy.

Policjant podał mi butelkę wody, a potem musiałam złożyć zeznanie, więc zapomniałam nazwać tę minę.

Teraz, stojąc w tej nazbyt eleganckiej kuchni, w końcu uświadomiłam sobie, kiedy wcześniej widziałam u niego taki wyraz twarzy. Taką minę miał, kiedy męczył go ciężki kac, tych bardzo niewiele razy, kiedy naprawdę przesadził z alkoholem. Taką minę miał, kiedy czuł się zatruty niemal na śmierć.

Piwo skwaśniało w moich ustach. A więc to prawda. Cholera, rzeczywiście mnie kochał.

Nadal mówił, z tak spokojną stanowczością, że ogarnęło mnie potworne przerażenie.

– Shandi, myślę, że i ty mnie kochałaś. Przedtem. Może nadal mnie kochasz, ale tego nie zauważyłaś, bo z uprzejmości nie stałem się zakładnikiem. – Milczałam, ale moje milczenie chyba było wystarczającą odpowiedzią. Walcott wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, szybko mrugając oczami. – Przegapiłem coś? Ostatnio za każdym razem, kiedy wysyłałem ci esemesa, byłaś w jego domu. Jesteście razem?

– Nie. To raczej... – Urwałam, bo w końcu coś do mnie dotarło i poczułam się jak idiotka. Walcott nigdy nie sprzeciwiał się mojemu poszukiwaniu golema. Nigdy nie był głupi, nie tracił przytomności umysłu. Był zazdrosny o Williama.

– Wszystko jedno – powiedział. – Nieważne. Pytam, czy jest szansa, żebyśmy spróbowali. – Machnął ręką w przód i w tył, rysując w powietrzu niewidzialną linię, która nas łączyła.

Kręciłam głową, ale nie przecząco, tylko dlatego, że wciąż nie mogłam się z tym oswoić.

– Walcott, daj spokój. Już próbowaliśmy.

– Czego?

– Dobrze wiesz. – Walcott spuścił głowę, zdezorientowany. Naprawdę nie wiedział. – Wiesz – powtórzyłam z naciskiem, ale nie potrafiłam tego nazwać. To, co zrobiliśmy razem, choć nie tak do końca przyjemne, było zbyt zabawne i przyjacielskie, by nazwać je tym brzydkim słowem na „p”. Uprawialiśmy seks? To brzmiało zbyt chłodno i klinicznie. Zrobiliśmy to? To z kolei brzmiało

dziecinnie i nieśmiało. Kochaliśmy się. Fuj. – Dwa lata temu? Przecież wiesz! – wrzasnęłam już całkiem sfrustrowana, i w końcu Walcott załapał.

– Chyba żartujesz?

– Nie – odparłam. – Byłeś przy tym. Zrobiliśmy, co zrobiliśmy, i żadne z nas nie widziało fajerwerków ani ziemia się pod nami nie zatrzęsała.

Roześmiał się, ale widziałam, że tak naprawdę jest zły.

– Właściwie to czuję się urażony. Ty to liczysz?

Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok.

– Wystarczyło, żebym wiedziała, że nie iskrzy między nami.

Przeczesał palcami włosy, miał rozdęte nozdrza.

– Nawet się nie pocałowaliśmy! A potem zaiskrzyło? Z tym starszym koleś, Dougiem, czy jak mu tam było na imię?

– Richard. – Byłam pewna, że zmienił moje określenie w eufemizm oznaczający coś o wiele bardziej nieprzyzwoitego. – To nieuczciwe pytanie. Wiesz, że nie.

Mój były chłopak, Doug, był jedynym powodem, dla którego Walcott i ja zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Doug nie był jakimś tam studenciakiem, tylko prawdziwym mężczyzną, rozwiedzionym, z dwójką dzieci. Pracował w ubezpieczeniach zdrowotnych. Zabierał mnie na kolacje do prawdziwych restauracji. Nie jeździł na desce, nie pił najtańszego piwa i nie próbował się ze mną obściskać w samochodzie. Chciał dorosłego, prawdziwego związku, takiego, w którym uprawialibyśmy seks.

Ja też tego chciałam, ale byłam zbyt przerażona, żeby dać Dougowi zielone światło.

Chodziło o to, że Doug wierzył, że mam doświadczenie seksualne. Nigdy nie poznał Natty'ego, ale wiedział o jego istnieniu. Zanim zdarzył mi się Natty, chodziłam w liceum tylko z jednym chłopakiem, Ajayem. Miał wilgotne, czarne oczy i cudowny uśmiech, ale kiedy teraz sięgnęłam myślą wstecz, zrozumiałam, że wybrałam go głównie dlatego, że nie był żydem ani chrześcijaninem. Był ślicznym chłopakiem, z którym mogłam się spotykać, nie opowiadając się po żadnej ze stron. W końcu się rozstaliśmy, bo mogłam się z nim widywać tylko co drugi weekend, ale wcześniej kilka razy się pieściliśmy. Pozwoliłam mu włożyć dłoń pod koszulkę i biustonosz, a on z pełnym niedowierzaniem zachwytem

ugniatał moją pierś. Było to szalenie ekscytujące – nie dlatego, że moja pierś była traktowana jak ciasto drożdżowe, ale dlatego, że oboje byliśmy niesłychanie przejęci tym, że pozwoliłam, żeby mnie tam dotknął.

Doug był dorosły i spotykał się z matką. Nie wystarczałyby mu takie niewinne igraszki w łóżku. Z paniką myślałam o najgorszym rezultacie. A jeżeli będzie mnie bolało i rozplacę się? A jeżeli będę krwawiła? Jak, do diabła, mu to wytłumaczę?

Zwróciłam się więc do jedynej osoby, która w każdej sekundzie mnie wspierała. Przyszłam do domu w Cabbagetown, który Walcott wynajmował z trzema innymi studentami filologii angielskiej. Jego sypialnia była wielkości wnęki na szafę, ale należała tylko do niego.

Kiedy weszłam i zamknęłam za sobą drzwi, siedział na tapczanie, gorączkowo pisząc na laptopie.

– Jestem czymś zajęty – powiedział. – Dasz mi pół godzinki?

– Jasne – odparłam – ale chciałabym, żebyś potem uprawiał ze mną seks.

Przerwał pisanie.

– Chciałabyś, żebym co?

– Żebyś uprawiał ze mną seks. Potrzebuję twojej pomocy.

Walcott pokiwał głową, nagle zamyślony.

– Super! Zabierajmy się do tego! To najlepszy sposób na to, żebyśmy się już nigdy do siebie nie odezwali. Czy teraz mogę dokończyć swój wiersz?

– Chciałabym pójść z Dougiem do jego domu, ale za każdym razem tchórzę.

Skrzywił się, kiedy wypowiedziałam to imię. Zawsze mówił, że Doug to imię dla czyjegoś starego ojca z siwymi włosami na torsie. Trafił w sedno. Doug był ojcem. Jeszcze nic nie wiedziałam o jego włosach na torsie. Miał lekko siwiejące włosy na głowie, co mi się podobało. Nie mogłam jednak pójść z nim do łóżka. Nie bez pomocy Walcotta. Błagałam go, a potem krzyczałam. Nic z tego. Jęczałam, że jestem potworną matką-dziewicą, z którą nikt nigdy nie będzie chciał uprawiać seksu i w której nikt się nie zakocha.

Nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Zmartwił się, dopiero kiedy się rozplakałam. Siedziałam z rękami na kolanach, łzy ciekły mi po twarzy. Powiedziałam zwyczajnie, tak szczerze jak zawsze:

– Zawsze mi pomagasz. Dlaczego teraz nie chcesz mi pomóc?

Z hukiem zamknął laptop i odstawił go na komodę.

– Przestań płakać. – Wytarłam oczy, a on dodał tym swoim łagodnym tonem:

– Będziemy uprawiać seks, jak to mówicie na tej swojej sielskiej wsi, w krainie psycholi, ale musimy trzymać się pewnych zasad. Żebyśmy wszystkiego nie spieprzyli.

– Zasada pierwsza – powiedziałam. – Nie całujemy się.

– O, tak, żadnych pocałunków w usta.

– I nigdzie indziej! Chcę to zrobić zwyczajnie, w pozycji misjonarskiej. Szybko i byle jak, tylko na tyle długo, żebym wiedziała, jak to jest.

– Dobra. Wchodzę, wychodzę, nikomu nie dzieje się żadna krzywda. Że się tak wyrażę. Poza tym muszę się bardzo upić.

– Ojoj!

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie żebyś była nieładna. Dobrze wiesz, że to nieprawda. To na później, na wypadek gdybyś już nigdy nie chciała na mnie spojrzeć. Chcę się powołać na niepoczytalność. Będę pamiętał wszystko jak przez mgłę i nawet nie będę pamiętał, jak wyglądają twoje sutki.

– A co ze mną?

W zamyśleniu opuścił kąciki ust i odparł:

– Hmm... Mnie nie zależy, czy będziesz pamiętała, jak wyglądają moje sutki.

– Mówię poważnie. – Pacnęłam go w rękę. – Mam się upić?

– Nie. Ty musisz być całkowicie trzeźwa. Musisz zapamiętać wszystko, bo drugi raz tego nie zrobimy. Zasada pięćdziesiąta szósta brzmi... – Kiedy zrobiłam zaskoczoną minę, uniósł brew i powiedział: – Straciłem rachubę. Dobra, zasada pięćdziesiąta szósta. Robimy to i koniec. Żadnego myślenia, przedtem ani potem.

Kiwnęłam głową, a on wstał i skierował się do kuchni. Rozłożyłam tapczan. Walcott wrócił z butelką tequili i małym kieliszkiem. Po jego szklistych oczach zorientowałam się, że już sobie golnął jednego. Wzięłam butelkę i nalałam mu następnego.

– Daj mi chwilkę. Nie chcę wszystkiego wyrzygać i upijać się od początku.

– Poza tym rzyganie nie jest seksowne.

Wytarł zaczerwienione oczy i powiedział mentorskim, pełnym dezaprobaty tonem:

– Shandi, tu nie chodzi o bycie seksownym. Możemy to ustalić?

Roześmiałam się, a on wypił drugi kieliszek. W ciągu niespełna pół godziny wypił pięć kieliszków. O kurczę, ale był pijany.

Potem to zrobiliśmy.

Później twierdził, że niewiele pamięta – tak jak to zakładał. Całe szczęście, bo ja? Ja pamiętałam.

Pamiętałam, jak wybełkotał:

– Jakie to dziwne bez całowania się. – I położył moją dłoń na rozporoku. Coś tam było, coś dziwnie miękkiego.

– Dasz w ogóle radę? Dlaczego jest taki miękki? – spytałam, ale w tej samej chwili coś się poruszyło, jakby przebudzone. Gwałtownie cofnęłam rękę.

Walcott się roześmiał i powiedział:

– Nie wygłupiaj się. Jeżeli będę się śmiał, to mi nie stanie. Zdejmij bluzkę. – Zawahałam się. – Nie zrobimy tego w ubraniu. Zdjął koszulę przez głowę, a potem ściągnął dzinsy ze swoich nieskończenie długich nóg. Usiadł nagi. Patrzyłam prosto na niego, ale to, co widziałam kątem oka, nie wyglądało tak, jakby było gotowe na seks.

Wyplątałam się z bluzki i stanika, rzuciłam je na podłogę i stwierdziłam, że powinnam znowu mu się przyjrzeć. Okazało się, że w ciągu tych paru sekund, kiedy oczy miałam zasłonięte bluzką, w Walcotcie zaszły pewne zmiany. Radykalne zmiany.

– To takie proste? – spytałam zafascynowana.

– Jestem dziewiętnastoletnim heteroseksualnym chłopakiem, Shandi. Ty masz cycki. Aaa. To takie proste.

Jeszcze nigdy z bliska nie widziałam penisa. Wyglądał dziwnie jak cholera, jak kosmita ukrywający się w majtkach mojego przyjaciela. Ale przyjacielski kosmita, o przyjemnym kolorze. O przyjemnym kształcie. Pochyliłam się, żeby obejrzeć go dokładniej, a wtedy stał się jeszcze bardziej gotowy, podnosił się jak żywe stworzenie posiadające własną wolę. Podnosił się z tego znajomego, podłużnego, chudego ciała, które tysiąc razy widziałam w kąpielówkach.

– Słuchaj, gdybyśmy robili to naprawdę, to teraz powinniśmy się pocałować –

powiedział, machając ręką jak pijany dyrygent. – I, wiesz, trochę byśmy się pokotłowali, popieścili i w ogóle. A potem! – Klasnął w dłonie i rozłączył je tak gwałtownie, że niemal strącił laptop z komody. – A potem uprawialibyśmy seks.

– Przejdźmy do rzeczy.

– Jesteś marzeniem każdego mężczyzny. Przejdźmy do rzeczy. Ha! – Znowu zaczął się śmiać, a jego penis nieco oklapł. Spojrzał na niego i zasłonił oczy jak potwornie wysokie dziecko bawiące się w „a ku-ku!”. – Uważaj. Patrzę na twoje cucky... trzy, dwa, jeden... Teraz!

Hop! Znowu był gotowy do akcji.

– Jak to w ogóle...? – zaczęłam.

– Tak to już jest.

Otworzył górną szufladę komody i podał mi tubkę wazeliny, a potem wyjął prezerwatywę i zaczął ją zakładać.

– Po co ci to? – spytałam, czytając tekst na tubce, jakbym myślała, że znajdę tam podstawowe informacje o seksie. – Rozstaliście się z Jenną miesiąc temu.

– Nade wszystko nie brakuje mi nadziei – odparł i położył się na plecach. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak pijanego. – Oddaję sprawy w twoje ręce. Ja zamykam oczy i będę myślał o Anglii. – Zarzucił jedno przedramię na oczy. – Klify! Och, klify Dover!

Kucnęłam więc nad nim, ostrożnie i metodycznie, jakbym uczyła się używać tamponu. Wazelina pomogła. Poczułam dziwne rozpieranie i ucisk, i już. Oficjalnie robiłam to i nic takiego się nie działo. Siedziałam na Walcocie z minutę, aż dyskomfort przemienił się w dziwną pełność. Nic. Nie rozdzwoniły się dzwony. Nawet mnie nie załaskotało. Ale nie było to ani bolesne, ani straszne.

Byłam tak zajęta techniką, że nieomal zapomniałam, że mam pod sobą Walcotta. Nagle usłyszałam, że jakoś dziwnie oddycha.

– Wszystko w porządku? – spytałam, ruszając się lekko, w ramach eksperymentu.

– Tak. Możemy już skończyć? – poprosił lekko zduszonym głosem.

– Nie wiem. – Znowu się poruszyłam, a wyraz jego twarzy się zmienił.

– Skończmy – powtórzył.

To właśnie tej części wolałabym nie pamiętać. W tamtej chwili przez ułamek

sekundy poczułam przemożny impuls, żeby jeszcze nie kończyć. Nie dlatego, że było mi dobrze albo chociaż trochę przyjemnie, ale dlatego, że jego skóra na torsie się zaczerwieniła i oddychał w taki sposób, że domyśliłam się, że to do czegoś prowadzi. W tym ułamku sekundy rozumiałam, że mogłabym doprowadzić do czegoś więcej. Jego ciało, pijane i bezradne, uległoby, a ja tego chciałam. W taki sposób panować nad mężczyzną. Posiadać go. Było to złe, podle pragnienie, które nie miało nic wspólnego z seksem.

Ale to był Walcott. Nigdy nie zrobiłabym mu nic podłego.

Nie chciałam też uprawiać z nikim złego seksu. Nigdy.

– Dobrze, skończmy – powiedziałam więc.

Zostawiłam go i poszłam się umyć. Krwawiłam, ale tylko troszeczkę. Dziwnie się poczułam na widok tych udowadniających moją słuszność kropli czerwieni na białej chusteczce, jakbym mówiła „a nie mówiłam?” Mimmy, terapeutce duchownemu, tacie i psychologowi. Ale nie zastanawiałam się nad tym długo. Nauczyłam się nad niczym długo się nie zastanawiać. Włożyłam szlafrok, a kiedy wróciłam, Walcott po pijaku też jakoś się ubrał. Wsunął nawet na nogi klapki. Usiadłam obok niego.

– Wiem, że nie mieliśmy się całować, ale dziękuję. – Pochyliłam się, jakbym chciała pocałować go w policzek, ale zamiast tego polizałam go jak pies.

– Blee! – krzyknął, oboje się roześmialiśmy i wszystko było w porządku.

Wzięłam butelkę tequili i wypiliśmy na pusty żołądek trzy kieliszki, tak szybko, jak tylko mogłam, otaczając nowo nabytą wiedzę tequilowym ogrodzeniem. Walcott wypił trzydzieści gramów. Wyszliśmy z domu i chwiejnym krokiem skierowaliśmy się do baru, który nazywaliśmy „Sąsiadem Hindusem”. Tam zaczęliśmy gadać o filmach fantastycznych i zjedliśmy chyba z pięćset kilogramów shawarmy. Jak zwykle przespałam się u niego, a rano zachowywaliśmy się jak gdyby nigdy nic.

Później powiedział mi na ten temat tylko tyle:

– Pamiętam, że było beznadziejnie. Nie przejmuj się, z Dougiem będzie lepiej.

Nie było. Było mniej więcej tak samo, tylko z większą ilością potu i obmacywaniem się najpierw. Doug stękał i był dość obrzydliwy. Zupełnie się zatracił, a ja unosiłam się, nietknięta nawet wtedy, kiedy mnie dotykał. Nie

mogłam go wtedy polubić, nie tak, jak go lubiłam podczas kolacji. Czułam się okropnie, mała, uszkodzona i zła. Jeden raz wystarczył. Zerwałam z Dougiem, ale z Richardem nie było inaczej.

Kiedy teraz słuchałam zgubnych słów Walcotta o miłości do mnie, uświadomiłam sobie, że ma rację. Zaliczenie tamtej nocy na jego niekorzyść było absolutnie niesprawiedliwe. Tym bardziej że ten absurdalny seks z Walcottem był najmiłszym, jaki do tej pory uprawiałam.

– Walcott, nie możesz mnie kochać – powiedziałam niemalże surowo. – Po prostu nie możesz.

– Już za późno – odparł.

Poczułam się zupełnie bezradna.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Mówisz, że mnie kochasz, ale co ja mam z tym zrobić?

Rozłożył ręce i lekko się uśmiechnął.

– I ty mnie pokochaj.

Nie zabrzmiało to błagalnie ani żałośnie. Powiedział to tak, jakbym spytała, co zrobić z głodnym dzieckiem albo płonącym domem, a jego odpowiedź była zdroworozsądkowa.

Ja jednak nie mogłam tego zrobić. Jak w ogóle mogłabym się nad tym zastanawiać, kiedy całe moje ciało przeszywał prąd, kiedy William wchodził do pokoju albo się uśmiechał, albo kiedy wspominałam, jak położyłam dłoń na jego gładkim torsie, wypolerowanym niczym drewno dębowe?

Stałam tak, nie potrafiłam odwzajemnić miłości Walcotta, a idiotycznie ogromna liczba łez bezradnie płynęła mi po policzkach.

Jakieś pół minuty później uśmiechnął się niewesoło i kiwnął głową.

– No to chyba wszystko – powiedział. – Shandi, jeśli mam się z tym pogodzić, to musisz mi dać trochę przestrzeni.

A potem wyszedł.

William jest w piwnicy. Łokcie wsparte na ławce, czterdzieści kilogramów na sztandze. Poci się tak bardzo, że słuchawka telefonu może mu się wyslizgnąć z ucha. Zaczął od dwudziestu pięciu kilogramów i przez cały ranek robił powtórzenia. Teraz pracuje nad tricepsami. Czterdzieści kilogramów to nie za dużo dla jego rąk, ale czuje bicie serca w boku, bolesne pulsowanie.

Czekając na telefon od Bialysa z wiadomością, że Stevie został pozbawiony życia, rozciągał swoje ciało do granic tego, na co mu pozwalał zdrowiejący bok. Może trochę wykraczał poza te granice. Bok go pali i pulsuje w rytmie podniesień i uderzeń serca.

Dzisiaj Steven Parch zostanie odłączony od respiratora. Przystanie oddychać, a krótko potem ustaną inne funkcje życiowe. Twarz mu zasłonią prześcieradłem i przewiozą go do kostnicy. Jeżeli wuj nie upomni się o ciało i nie pokryje kosztów pochówku, państwo zapłaci za kremację Stewiego. Parch zostanie zredukowany do szarego prochu i nawet ten proch nie będzie zachowany.

To nie do końca wina Williama. Widzi wiele przyczyn, wśród których wyróżniają się złe decyzje Parcha. Ale nie jest też bez winy. Nie da się zanegować luźnego związku Williama z tą konkretną przemianą złożonej ludzkiej egzystencji w proch.

Odzywa się telefon. William odkłada sztangę, brzuch boli go tak, jakby ciężar był dwukrotnie większy. Podchodzi do telefonu i dla pewności patrzy na ekran. To Bialys. Stuka w słuchawkę telefonu w ucho i opiera się o kredens.

– Po wszystkim? – pyta, zamiast się przywitać. Zapomniał o dobrych manierach i swoim telefonicznym głose. Mówi ochryple, zbyt głośno.

Bialys chrząka.

– Nie. Przykro mi.

Czerwone pulsowanie w jego boku staje się mniej interesujące.

– Wuj zmienił zdanie?

– Nie, odłączyli go o dziewiątej. Parch zaczął samodzielnie oddychać. Czekałem, ale nadal oddycha.

William przetwarza w umyśle tę informację. Ból w brzuchu zmniejsza się do niewielkich skurczów.

– Jakie są prognozy?

– Lekarze gadają po swojemu, kto ich tam może wiedzieć. Wuj podpisał zakaz resuscytacji, ale nie chce, żeby przestali go karmić i nawadniać. Mówi, że nie zrobiłby tego nawet psu. A teraz? Na razie stan Parcha jest stabilny.

– Dziękuję. Będziemy w kontakcie?

– Oczywiście – odpowiada Bialys i rozłącza się.

Williamowi podoba się, że Bialys od razu przechodzi do rzeczy i kończy rozmowę dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Wiele osób powinno nauczyć się pomijać nieistotne uprzejmości. Chce zadzwonić do Pauli, bez wstępu przekazać jej tę wiadomość i odłożyć słuchawkę. Może w ogóle zacznie się tak zachowywać? Ten pomysł podoba mu się tak bardzo, że aż robi mu się wesoło.

Dlaczego się uśmiecha? To głupie. Stevie wciąż jeszcze może umrzeć. W istocie jego śmierć jest bardzo prawdopodobna. Jeśli się wybudzi ze śpiączki, William nie miałby nic przeciwko temu, gdyby pięć minut później spłonął w wyniku samozapłonu. Ale w tej chwili liczy się tylko to, że William go nie zabił. Nie chce się przyczynić do czyjejś straty, chociaż dziecko Stewiego to prawdopodobnie wymysł, a jeśli nie, to lepiej byłoby, gdyby wychowały je wilki.

William rusza po schodach i wychodzi z siłowni. Na kominku stoi Gwiazda Śmierci z klocków lego, którą pomagał układać Natty'emu. Figurki zastygły w środku ostatniej sceny filmu, którego nigdy nie widział. Ukryta kłapa jest otwarta i trzech ulubieńcy Natty'ego mogą lada chwila wpaść do zgniatarki śmieci. Natty będzie chciał jak najszybciej ich uratować.

Na ławie leży teczka Shandi z wynikami badań laboratoryjnych, a także dossier Clayтона Lilli, które załatwiła Paula. Paula chciała je zawieźć Shandi, ale William ją powstrzymał. Shandi przyjdzie, aby mu pomóc, i William chce, żeby wtedy je przejrzała. Shandi jednak jeszcze nie przyszła. Kiedy czekał na śmierć Stevena Parcha, cieszył się, że jest sam. Teraz czuje się dziwnie. Shandi nie pojawiła się od środy, odkąd Paula ją przegoniła. Tymczasem przetrzymywał

informacje dla niej, zaabsorbowany własnym czekaniem.

Zachowywał się jak, według określenia Pauli, „koszmarny dupek”. Czasami świadomie zachowywał się jak dupek w pracy. Dawało to rezultaty, kiedy powtarzanie i dobre manieri zawodziły. Ale w życiu osobistym zdarzało mu się to nieświadomie.

Powinien dostarczyć jej te informacje.

Bierze szybki prysznic i przebiera się, ale dopiero po wyjściu z domu przypomina sobie, że fotel kierowcy to zwęglona masa pianki wokół ramy. Cholera. Zapomniał powiedzieć Bialysowi o samochodzie. Jasna cholera.

Wraca do domu i bierze poduszki z fotela w gabinecie. Po chwili namysłu zabiera też taśmę klejącą, kłębek drutu i ręczniki. W pralni znajduje starą, różową puszkę płynu do czyszczenia.

Kiedy otwiera drzwi samochodu, uderza go zapach, ostry i chemiczny, przypominający zwęglony popcorn z mikrofalówki. Fotel kierowcy jest zniszczony, a sufit pokrywają czarne smugi, ale samochód działa bez zarzutu.

Takich zniszczeń mogła dokonać półlitrowa butelka alkoholu z szyjką zatkaną szmatką nasączoną rumem. William przez sen potrafiłby skonstruować skuteczniejszą bombę. Ta została wrzucona przez otwarte okno i wylądowała na podłodze albo, co bardziej prawdopodobne, zamachowiec podszedł i po prostu włożył ją do środka. Tak czy siak butelka się nie stłukła.

Paula nazywała to koktajlem Mołotowa dla ubogich.

Gdyby pałąca się szmatka nie oparła się o tapicerkę, butelka by wybuchła. William ugasił pożar, ale kiedy biegł po gaśnicę, Paula zadzwoniła po straż pożarną.

Światła i syreny przyciągnęły sąsiadów, którzy stłoczyli się na ulicy niczym przestraszone bydło. Rozpraszali się, a potem znowu łączyli w małe grupki, dopytując się nawzajem, co się stało. Zwierzęta stadne dla otuchy często się gromadzą w grupy, ale William wołał, żeby poszli do domów. Dwóch policjantów w mundurach spisało jego zeznania, dla porządku pytając, czy podejrzewa, kto mógł to zrobić.

William powiedział, że nie ma pojęcia.

Nie przyznał się, że kiedy wyjrzał przez okno i zobaczył płonący samochód, jego usta cicho wypowiedziały sylaby składające się na imię jego żony. Nie

powiedział im też, że poprzedniego dnia zaczął się po domem jej rodziców, ani że nie jest tam mile widziany. Trzymał usta na kłódkę, bo nikt z tej katolickiej rodziny należącej do klasy średniej nie złamałby w tak brutalny sposób prawa i norm społecznych. Nawet Maggie. Poza tym nigdy nie mieli butelki taniego rumu.

Bardziej podejrzany jest wuj Stevena Parcha. Obecnie przebywa w więzieniu, ale pewnie nie brakuje mu znajomych na wolności.

Starszy policjant powiedział coś o nastolatkach, a William kiwnął głową, jakby akceptował tę możliwość. Paula rzuciła mu ostre spojrzenie. Ona też pomyślała o wuju Steviego. Ale William nie mógł stać na krawężniku, otoczony przez sąsiadów, i tłumaczyć swój udział w zbliżającej się śmierci Steviego. Od policjantów potrzebował tylko raportu dla firmy ubezpieczeniowej.

Paula zrozumiała. Wsunęła swoją wizytówkę w dłoń wyższego policjanta, dotknęła włosów i powiedziała z uśmiechem:

– Ta dzisiejsza młodzież, co? Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zechce pan mnie dokładniej przesłuchać.

William postanowił powiedzieć Bialysowi, bo Bialys już znał kontekst. Nie może pozwolić, żeby osoba, która rzuciła tę bombę – choć tak bardzo prymitywną – chodziła po jego okolicy. Gdyby wybuchł zbiornik paliwa, odłamki płonącego samochodu zasypałyby domy pełne niemowląt i psów.

Bardzo jednak był zajęty czekaniem na śmierć Steviego. Zupełnie zapomniał o bombie. Zadzwoni do Bialysa, ale wszystko po kolei. Najpierw Shandi.

Przymocowując fotel, poduszki i ręczniki, hojnie korzystając z taśmy klejącej i drutu, William ocenia, w którym miejscu powinien usiąść, żeby znajdować się w rozsądnej odległości od kierownicy i pedałów. Spryskuje wnętrze płynem do czyszczenia, aż zapach odkażającego środka Letnia Bryza zaczyna tłumić odór chemicznej spalenizny. Oczy mu łzawią, kiedy umocowuje ostatni plażowy ręcznik w wesółych kolorach. Musi jechać z otwartymi oknami, ale wcześniej padało, a upały zelzały. Jak na lipiec jest całkiem przyjemnie.

Kiedy znajduje mieszkanie Shandi, jest już po drugiej, co oznacza, że Natty pewnie ma popołudniową drzemkę. To dobrze. Najlepiej przynieść informacje o Claytonie Lillim, kiedy jego ewentualne potomstwo śpi.

Wciska dzwonek. Słyszy płacz Natty'ego, a potem Shandi otwiera drzwi.

Trzyma synka na biodrze. Ona też płakała. Kiedy widzi go w progu, uśmiecha się szeroko, a potem łzy znowu tryskają jej z oczu.

– O, cześć, William – cieszy się i wciąga go do środka.

Natty, czerwony na buzi i z zasmakany nos, przeciera oczy. Kiedy płacze, wygląda na młodszego, bardziej na podrośniętego niemowlaka niż przedszkolaka.

– O, cześć, William – powtarza jak papuga Natty i przechodzi w ramiona Williama, który przenosi go na rękę po zdrowej stronie. W drugiej ręce trzyma teczkę z informacjami na temat Clayтона Lilliego, dziwny dysonans.

Natty papie, potykając się o własne słowa. William ledwie za nim nadąza. Zdaje się, że w pokoju Natty'ego jest jakiś potwór.

Shandi dalej wciąga Williama w chaos, który przerwał, a Natty chlipie i pociąga nosem. Wtula twarz w szyję Williama, mówi i mówi, ale teraz William już w ogóle go nie rozumie. Wchodzą do salonu.

– Nie rozglądaj się, straszny tu bałagan – usprawiedliwia się Shandi.

Mało powiedziane. Pokój wygląda jak chlew. Na brudnej podłodze leżą zabawki i książki, a każdy wolny blat zajmują talerze z resztkami jedzenia. Ogromne sterty rzeczy do prania walają się w różnych stadiach nieodgadnionej czystości lub brudu.

Dom Williama jest nieskazitelnie czysty. Kiedy Shandi monitorowała jego życie, jej własny dom popadł w ruinę. Od tego bałaganu aż go skóra swędzi, ale Natty zrasza łzami jego ramię. William kładzie na ławie teczkę, żeby delikatnie odsunąć od siebie twarz Natty'ego.

– Czy to był ninja? – pyta.

– Nie! – odpowiada Natty, wzdryga się i opuszcza kąciki ust. – Stevie psiedł do mojego pokoju z pistoletem i ścielił i mnie zaścielił. – William ledwie go rozumie. Spogląda na Shandi, która stoi z gniewnie skrzyżowanymi rękami i ściągniętą twarzą.

– Właśnie skończyłam rozmowę telefoniczną z tą głupią, tępą lekarką, która twierdzi, że to postępek. Super, nie? Teraz Natty budzi się nawet z popołudniowej drzemki, ale co tam! Przynajmniej nie sublimuje Stewiego w pająki i... – Zaczyna zawodzić. – Walcott nie odbiera moich telefonów. Czy to postępek?

Nie. Zmiana obrazów wydaje mu się nieistotna, chociaż musi przyznać, że

nie ma cierpliwości do psychologicznych analiz. Ale zwiększenie się częstości i intensywności koszmarnych snów to eskalacja.

Mówi do Natty'ego:

– Wszystko w porządku. Zajmę się tym. – Woła wesołym i jednocześnie autorytatywnym tonem: – Czy Stevie jeszcze tam jest?

Jest gotów pójść na górę i pobić nieistniejącego Stewiego na śmierć, chociaż prawdziwy Stevie z tego samego powodu walczy ze śmiercią. To obrzydliwe zestawienie, ale tak trzeba.

Natty kręci głową. Uspokoił się na tyle, że William może go zrozumieć.

– Wbiegł do safy i uciekł do dziury. Mamusia nie może jej znaleźć. Ale może włócić z tej dziury.

– Zamknę ją – odpowiada bardzo poważnie William. – Umiem zamykać dziury. Mam ze sobą taśmę klejącą. Pomożesz mi?

Natty kiwa głową i z powrotem kładzie głowę na ramieniu Williama. William trzyma go pewną ręką. Jego ciało pamięta, jak ukołysać maleńkiego, przestraszonego człowieczka. Co więcej, jest w tym dobre. Tęsknił za tym. To zakres ruchu, którego brakuje mu każdego dnia.

– Zostawiłaś otwarte drzwi – przypomina Shandi. Czuje powiew powietrza z klimatyzatora. Kiedy Shandi idzie do drzwi, William dodaje: – Nie śpiesz się. Odsapnij trochę. Ja się tym zajmę.

Shandi patrzy na syna, już spokojnego w objęciach Williama, i mówi bezgłośnie: „Dziękuję”.

William wyjmuje telefon i kciukiem przewija ekran, szukając numeru do firmy sprzątającej. Odwraca się do ściany, kołysze i głaszcze Natty'ego i jednocześnie mówi do słuchawki spokojnym, cichym głosem, obiecując półtorej stawki i hojny napiwek, jeśli ekipa sprzątaczek przyjedzie natychmiast. Przez cały ten czas czuje, jak Natty staje się coraz cięższy – tak jak to się dzieje z malutkimi dziećmi, kiedy się uspokajają. Rozluźniające się mięśnie tworzą iluzję zwiększonej masy.

William rozłącza się, ale nadal stoi twarzą do ściany, kołysze się do przodu i do tyłu, głaszcze Natty'ego, aż ten zaczyna przez sen ślinić się na jego ramię.

William jednak nie przestaje. Jego ciało dalej wykonuje swoje zadanie, którego nauczyło się tak dawno temu. Nie szkodzi, jeżeli troszkę kocha

Natty'ego. Dzieci są dodawane, nie zastępowane. I oczywiście odejmowane. William wie też, że prawdopodobnie dlatego dalej głaszcze Natty'ego, chociaż ten już śpi. Pozwala ciału wykonywać ten prosty, kojący ruch.

Kiedy w końcu się odwraca, w pokoju jest Shandi. Nie jest pewien, jak długo Shandi siedzi na jednym z kanciastych krzeseł. Na kolanach trzyma teczkę, którą przyniósł. Jest zamknięta. Shandi jedną ręką mocno przyciska ją do nóg.

– Wiem, co to – mówi. – Ale nie zajrzałam do środka. Nie chcę wyników badań. Chcę, żebyś mi powiedział, że on tam jest. Chcę, żebyś powiedział, że go znalazłeś.

William naśladuje Bialysa, podaje jej suche fakty, nie rozwodząc się zbyt.

– Bez DNA nie możemy mieć całkowitej pewności, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę stwierdzić, że to Clayton Lilli. W zeszłym roku skończył studia na Emory, ekonomię, i dostał się na staż w banku inwestycyjnym w centrum.

Shandi gwałtownie wciąga powietrze.

– Nadal tu mieszka?

– Tak. W apartamentowcu przy parku Piedmont.

– Czyli właściwie jest moim sąsiadem. To... zabawne. – Shandi kładzie jedną dłoń na ustach, jej oczy robią się bardzo okrągłe. Mówi przez palce: – Wiedziałam, że go znajdziesz. Walcott twierdził, że to niemożliwe, ale ja w to wierzyłam. – Zdejmuje dłoń z twarzy i uśmiecha się samymi ustami. – Gdyby Walcott ze mną rozmawiał, to mogłabym mu teraz zagrać na nosie. Jest tam jakieś zdjęcie?

– Kilka.

– Czy wygląda jak...? – Przenosi wzrok na śpiącego synka.

– Nie wiem. Małżowiny się zgadzają.

Tym razem Shandi kładzie dłonie na uszach, a po chwili je opuszcza. Nadal patrzy na Natty'ego.

– Mogę cię przeprosić? Nie otworzę teczki tutaj, przy nim.

– Oczywiście. Ale wezwałem ekipę sprzątającą. Niedługo przyjadą.

– Aha. Dziękuję. To miłe. – Shandi wstaje. – Nie zajmie mi to długo. – Idzie z teczką na górę.

William się rozgląda. Trudno czekać w takim śmietniku, śmierdzącym

zaschniętą jajecznicą. Czy wolno mu ją sprzątnąć? Może to niegrzeczne? Paula, która wychowała się w mieszkaniu, w porównaniu z którym to przypominało salę operacyjną, tak by stwierdziła. W jej lofcie panuje teraz nieskazitelny porządek i jeżeli William chociaż poprawi krzywo leżący magazyn, Paula dosłownie rzuca się na niego z zębami.

Ale Shandi sprzątała w jego domu. Teraz on się rewanżuje. Kładzie Natty'ego na kanapie ruchem tak szybkim i gładkim, że dziecko się nie budzi, po czym zabezpiecza go poduszką przed sturlaniem się na podłogę.

Zaczyna zbierać naczynia, znosi je do kuchni. Zlew też jest pełen, więc William zostaje w kuchni, opłukuje naczynia i wkłada je do zmywarki. Uświadamia sobie, że podoba mu się ta odwrotna sytuacja. Już od tak dawna nie był choć trochę przydatny dla osoby, z którą jest w związku międzyludzkim. Dopóki nie został ranny, żył pracą, biegał, podnosił ciężary i spał. Paula wszystkim się zajmowała, nawet płaciła przez internet jego rachunki.

Próbował jej podziękować, ale zbyła to, mówiąc:

– Teraz to ja ciebie ratuję, Bubba. Czy tego chcesz, czy nie.

Nawiązała w ten sposób do ich przeprowadzki do Indiany, ale William nie dostrzegał długu ani podobieństwa. Kiedy wyjeżdżając, zabrał ze sobą Paulę, zrobił to nie tylko dla niej. Jemu było to tak samo potrzebne.

I Bridget – myśli. Imię żony znowu pojawia się w jego umyśle, nieproszone. Teraz już prawie bez trudu. Przed Circle K przez siedem miesięcy nie wolno mu było formować tych sylab ani w umyśle, ani w mowie. Uważał, że jest to niezbędne do jego przetrwania.

Ale potem próbował wystawić się na kule. Paula ma rację. Może już czas zmienić zasady.

Nadal łatwiej myśli mu się o Bridget w jej wcześniejszych wcieleniach, kiedy była najprostszą sobą. Jeszcze nie kobietą ani żoną, ani matką. Tylko dziewczyną, jak Shandi. Widzi, jak Bridget z wysoko ściągniętym kucykiem i wyprostowanymi plecami wchodzi do brudnego mieszkania w piwnicy, gdzie Paula nadal mieszkała z matką, chociaż rok wcześniej skończyła liceum.

Kiedy przyszli, Paula oglądała telewizję. A może nie. Za każdym razem, kiedy William do niej przychodził, telewizor był włączony, nawet jeżeli nikogo nie było w pokoju.

– Planowaliśmy coś? – spytała Paula.

William czekał, aż Bridget zacznie, ale ona tylko zachęcająco kiwnęła do niego. Pokręcił głową. Przekonanie Pauli do wyjazdu do Indiany wymagało więcej niż nieustępliwości i logiki. Bridget mogła zrobić to taktownie. Ale ona zacisnęła usta i znowu kiwnęła głową, czekając, aż William zacznie.

Paula patrzyła na nich zmrużonymi oczami.

– Co to, jakaś interwencja? – Bridget zamrugła, zaskoczona, że Paula tak szybko się domyśliła, a Paula odstłoniła zęby i wyprostowała kręgosłup, wyciągając się od talii w górę. – Nie będziecie mi tu urządzać żadnej interwencji. Wybijcie to sobie z głowy.

William znał tę postawę. W sytuacji zagrożenia zwierzęta obnażają zęby i rozciągają się, żeby wyglądać na groźniejsze. Zanim zdążyła zaatakować, powiedział wprost:

– Uważamy, że powinnaś pojechać z nami do Indiany.

Rozluźniła się i szeroko uśmiechnęła.

– Dzięki Bogu. Bałam się, że chcecie, żebym przestała pić.

Z powrotem przeniosła wzrok na ekran telewizora, gdzie jakaś wychudzona dziewczyna chodziła w kółko w peruce zrobionej z rogów jeleni.

Paula wskazała palcem na telewizor.

– To powtórka. Ta dziewczyna wygrała. Wyobrażacie sobie?

William spróbował inaczej sformułować swoją prośbę:

– Jest mi to potrzebne, żebyś wyjechała do Indiany.

Pauli pewnie też było to potrzebne, może w takim samym stopniu, ale nie ten aspekt powinien podkreślić.

Paula zignorowała go i zwróciła się do Bridget:

– Myślałam, że w tym sezonie dadzą szansę grubszym modelkom.

William podszedł do telewizora i ręcznie go wyłączył.

Paula wrzasnęła:

– Tatuś! Zabiłeś go! – Paula nazywała telewizor tatusiem.

Bridget usiadła na drugim końcu kanapy. William słyszał, jak podłoga chrzęści pod jej stopami. Matka Pauli nie miała odkurzacza.

– Ja też chcę, żebyś pojechała – powiedziała Bridget.

Paula przenosiła wzrok z Bridget na Williama i z powrotem. Oboje milczeli,

więc przewróciła oczami i z rezygnacją przyłączyła się do rozmowy.

– Po co? Żeby uprawiać kukurydzę?

– Żeby pójść na studia – odparł William.

– No proszę cię – parsknęła. – Myślisz, że przyjmą mnie do Notre Dame?

– Nie. – Paula rozdęła nozdrza i odwróciła wzrok. Zbyt późno sobie uświadomił, że było to pytanie retoryczne. – Masz fatalne oceny – powiedział przepraszającym tonem.

– Kto uważa, że William powinien już się zamknąć? – spytała Bridget i obie z Paulą podniosły ręce. – Pojeźdź do Indiany.

– I co miałabym tam robić? – spytała Paula takim tonem, jakby była już znudzona. Przesunęła stertę magazynów i brudną popielniczkę matki i położyła stopy na stole.

– Studiować w Ivy Tech. Przyniosłam ci broszurę. Możesz zrobić licencjat.

– Za co? Kai jest bez grosza, a William właśnie zabił mojego drugiego rodzica. – Wskazała na czarny ekran.

Teraz to Bridget przewróciła oczami.

– Znajdziesz sobie jakąś pracę! W Indianie jest Red Lobster. Poza tym Kai każe ci płacić czynsz, a William będzie się objął w trzypokojowym mieszkaniu, już opłaconym.

Paula parsknęła.

– Mam żyć jak pasożyt i chodzić do szkoły dla kretynów. Brzmi zachęcająco.

Bridget zignorowała jej słowa i dalej opisywała plan Williama, ale z właściwą sobie perswazją i dziarskością.

– To całkiem niezła szkoła. Będziesz dostawała same piątki, jeszcze raz podejdziesz do testu oceniającego, a ukończenie tej szkoły zweryfikuje twoje świadectwo z liceum. To może być bilet do każdej uczelni, jaką tylko sobie wymarzysz.

W jej głosie brzmiała pewność, że Paula da sobie z tym radę, że może to wszystko osiągnąć. Jej wiara była kusząca. W zeszłym roku wierzyła, że Paula potrafi nadrobić dwa lata matematyki, żeby w terminie skończyć liceum. Wierzyła, że William zapamięta imiona jednej trzeciej uczniów ze swojej klasy. W ostatniej klasie liceum szkolny album Williama był pełen notek i podpisów, które William potrafił powiązać z twarzami, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

I tym razem jej wiara działała na Paulę.

– Nie możesz mieszkać w tej norze, pracować jako kelnerka i chodzić z tym... z kim chodzisz. – To był błąd. William to zrozumiał, jeszcze zanim dotarło to do Pauli.

Jej dziwny wyraz twarzy zmienił się w znajomy, z dumą wyduła usta.

– Dzięki, Bridge, ale rodzice Williama wynajęli ten dom nie po to, żeby oddychał tym samym powietrzem z jakąś wywłoką.

– Potrzebuję, żebyś tam pojechała – powiedział William beznamiętnie, bo był to zwykły, prosty fakt. Uwielbiał kłaść się w planetarium w Fernbank, unosić się w wyimaginowanym kosmosie, zatapiać całą swoją świadomość w dziwacznie zaludnionym krajobrazie mikroskopii, ale nigdy nie mieszkał poza swoim domem w Morningside. Nie wyobrażał sobie Indiany jako realnego miejsca przeznaczenia, gdzie byłoby powietrze, którym mógłby oddychać, i sklepiki z kanapkami. Nigdy nie był na wschód od Birmingham ani na północ od Sugar Mountain.

– William, dorosnij wreszcie – burknęła Paula. – Nie jestem twoją niańką.

W Bridget zawrzała irlandzka krew.

– Nie wyzywaj się na nim. Jesteś wściekła na mnie, bo powiedziałam, jak okropnie żyjesz. Ale dobrze wiesz, że każdy z nas tego potrzebuje.

– Zwłaszcza ty, co? – odparowała Paula. – Nie? Jeśli pojedę, nie wylądujesz na plecach.

– Co to znaczy? – spytała Bridget ostro.

Paula wyczuła, że wygrywa. Wychyliła się do przodu.

– Dlaczego zawsze muszę siadać w kinie między tobą a Williamem?

Bridget drgnęła i spojrzała ponad ramieniem Pauli na Williama. Paula i Bridget uwielbiały długie, epickie filmy o wojnie albo nieszczęśliwej miłości, w których zawsze ktoś umiera na pustyni albo spada z huśtawki i kona na suchoty. Same te filmy nie interesowały Williama, ale podobała mu się cała otoczką. W zeszłym roku siedział w środku, z jednej strony słyszał miły odgłos, jaki Paula wydawała, ssąc żelki jak cukierki na kaszel, a z drugiej strony czuł ramię Bridget przyciśnięte do jego ramienia. Co chwila lekko odwracał głowę, żeby kątem oka widzieć Bridget, patrzeć, jak historia rozgrywająca się na ekranie zmieniała wyraz jej twarzy.

W tym roku Bridget tak kombinowała, żeby Paula siadała między nimi. Bridget nigdy nie unikała kontaktu fizycznego z innymi ludźmi, nawet spoza rodziny. Razem z Paulą często pielęgnowały się nawzajem. Kiedy ostatnio zaczęła trzymać go na dystans, nawet w kinie, odebrał to jako nasilenie jej uczuć. Przyznanie się, jak to, że jego katalizator zawsze znajdował się w pobliżu jej pulsu.

Bridget zarumieniła się jeszcze mocniej. Paula wychyliła się jeszcze bardziej, wykorzystując swoją przewagę.

– Wasza Zakonność, a więc chcesz, żebym pojechała do Indiany po to, żeby plany ci się nie schrzaniły. W grę wchodzi seks. Naprawdę wierzysz, że nie wiem, że się w nim zakochałaś? Czy może jesteś sterroryzowaną dziewczyną, gotową wstąpić do klasztoru, bo myśl o tym, że twój uroczy kolega William ma penis, jest zbyt przerażająca?

Bridget zrobiła się czerwona jak burak, ale kiedy się odezwała, jej głos był całkowicie spokojny.

– Oczywiście wiem, że go kocham. I nie boję się seksu. – Bridget spokojnie i stanowczo spojrzała Pauli prosto w oczy. – Ale wcześniej pokochałam Boga. – Paula poruszyła się i odwróciła wzrok, skrępowana w obecności nagiej, bezwstydnej wiary Bridget. Zdjęła nogi z ławy, wstała i przeszła przez pokój. Bridget ogromnymi, smutnymi oczami spojrzała na Williama. To, co powiedziała potem, było przeprosinami. – Wcześniej i bardziej. Boga kocham bardziej.

William zacisnął dłonie w pięści. Rozdął nozdrza. W tej chwili jego zdolności interpersonalne były niewystarczające. Inny mężczyzna wiedziałby, co powiedzieć. Coś o tym, że jedno da się pogodzić z drugim? Tak.

William nie wierzył w Boga, ale wierzył w miłość Bridget do Boga. Był to przejaw jej umiłowania dobroci, a w tę William potrafił wierzyć. Widział ją w Bridget. Kochał ją w niej. Gdyby to okazało się konieczne, chętnie przejąłby jej rytuały i w sposób, jaki sama by wybrała, pokochał dobroć, która istniała poza nią. Wolno jej było kochać dobroć, kochać ją wręcz bardziej niż jego, gdyby tylko zechciała z nim być.

„Bridget” – chciał jej wytłumaczyć – te stany nie wykluczają się nawzajem”, ale nie brzmiało to romantycznie.

Inny mężczyzna wiedziałby, jak to ująć. Gdyby wcześniej to zaplanowali, Paula mogłaby mu coś doradzić. Za parę lat wiedziałby sam, bez jej pomocy. Ale ta chwila przyszła nieoczekiwanie i William nie powiedział nic.

Paula sterczała, milcząc, pod ścianą, przy której znajdowała się kuchnia. Stał tam tylko wąski stół już i tak zavalony brudnymi naczyniami. Odwróciła się plecami. Dawała im chwilę samotności.

Co zupełnie nie było w jej stylu.

Wtedy sobie uświadomił, że Paula wywiodła go w pole. Tak samo jak Bridget. Skierowały rozmowę na inne tory. Paula najpierw napuściła ich na siebie, a potem uciekła do brudnej ścianokuchni.

William wybuchnął gromkim śmiechem, takim, jakiego czasami nie mógł powstrzymać, i jakim zwracał na siebie uwagę obcych osób. Paula odwróciła się do niego, a Bridget podniosła wzrok.

– Jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam – powiedział William do Pauli, kiedy już mógł mówić. Otarł oczy, a kiedy znowu na nią spojrzął, na jej twarzy pojawił się cwaniacki uśmieszek. No, dawaj. Przypomniał sobie tę minę z tamtej odległej nocy, kiedy uprawiali seks.

Bridget też ją rozpoznała.

– Wyrolowała nas! – William kiwnął głową, a Bridget dodała: – Paula, marnujesz się tutaj i właśnie to udowodniłaś. Przestań tu gnić.

– Wcale nie gniję.

– Tak, gnijesz – potwierdził William. – Przestań gnić. Przegraj tę bitwę.

– Nie lubię przegrywać – odparła Paula, nieco naburmuszona.

– Myślę, że tym razem zechcesz – stwierdziła Bridget. I miała rację. Dwa tygodnie później całą karawaną pojechali do Indiany: minifurgonetka Sullivanów, coupé jego rodziców i na końcu nowiutki SUV Williama z wojskowym workiem Pauli na tylnym siedzeniu wśród jego walizek.

Teraz, kończąc mycie naczyń w zapuszczonym mieszkaniu, William przypomina sobie, co mu wczoraj powiedziała Paula: „Przestań gnić”. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zacytowała Bridget, użyła przeciwko niemu słów jego żony. Nie chciała go popychać w ramiona Shandi. Wręcz przeciwnie. Ale teraz William myśli o wartości nowych początków.

Czy tego właśnie potrzebuje? Czegóż całkowicie nowego? Przed Circle K

sprawił, że Bridget przemieniła się w coś, co nigdy się nie zdarzyło, jakby króciutka egzystencja Twyli i to, że Bridget nigdy się nie urodziła, nie wykluczały się nawzajem.

Rozlega się dzwonek do drzwi, bardzo głośno, i William odwraca się gwałtownie, z mocno bijącym sercem, rozchlapując wodę po podłodze. Słyszy, jak Shandi otwiera drzwi i wpuszcza ekipę sprzątaczek. Co on, do cholery, tu robi? Co on, do cholery, robi?

Zaczyna w pamięci wymieniać liczby pierwsze, stara sztuczka, której go nauczył terapeuta z Indiany. Ten, który zwolnił go z chodzenia na imprezy. William nie stosował jej od lat, ale teraz wydaje się przydatna, bo przeszłość zmartwychwstaje wokół niego, nieprzerwanie. Słyszy, jak Shandi prowadzi ekipę na górę, gdzie zaczną sprzątać. Kiedy wraca, William dochodzi już do czterystu pięćdziesięciu siedem, a dzikie bicie serca się uspokoiło. Nie przestaje jednak odliczać liczb pierwszych. Wcisną start na zmywarce i idzie do salonu. Shandi bierze klucze i torebkę, szykując się do wyjścia. Teczka znowu leży na ławie.

– Mam zostawić czek dla sprzątaczek? – pyta.

– Zapłacę kartą. Myślę, że winien ci jestem czysty dom – odpowiada William.

– Dziękuję. – William podchodzi do ławy i wyciąga rękę po teczkę, ale Shandi mówi: – Zostaw. Nie potrzebuję jej.

– Sprzątaczkę mogą ją niechcący wyrzucić...

– Mam nadzieję, że tak zrobią – przerywa mu Shandi. – Zegnij ją i rzuć na podłogę.

Mówi stanowczo, jakby naprawdę chciała, żeby tak zrobił. To bez znaczenia. Jeśli Shandi będzie chciała, William może ponownie wydrukować wyniki. Zrzuca teczkę z ławy, a kiedy teczka spada, kartki wyfruwają z niej i układają się w wachlarz na rozrzuconych matchboxach Natty'ego. Clayton Lilli gapi się na nich z powiększonego zdjęcia.

– Myślałam, że go rozpoznam, ale nie rozpoznaję. Wcale. Nawet nie potrafię powiedzieć, czy jest podobny do Natty'ego. Czy Natty wygląda tak jak on. To za mało. Muszę go zobaczyć na własne oczy. – Shandi nieświadomie kołysze się. Musi być bardzo zdenerwowana. To samo robiło jego ciało pod domem Sullivanów. Shandi spogląda na swoje śpiące dziecko, zwinięte w kłębek na

kanapie. – Chcę, żebyś mnie zabrał. Chyba boję się pojechać tam sama. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście – odpowiada William. Nie istnieje taki zestaw okoliczności, w jakich pozwoliłby tej dziewczynie samej zobaczyć Claytona Lilli na własne oczy.

Shandi już się odwraca, bierze śpiące dziecko na ręce, jego bezwładne ciało przytula się do jej piersi, a głowa spoczywa na ramieniu. Natty wzdycha i obejmuje ją przez sen. Shandi niesie go do drzwi wejściowych. William idzie za nimi, po drodze wyławiając z kieszeni kluczyki.

– Ale nie dzisiaj. Nie z Nattym. Tamten nie może nawet zacząć podejrzewać, że istnieje jakiś Natty. Dziś chcę posiedzieć na słońcu i się najeść. – Shandi zatrzymuje się i staje twarzą zwrócona do Williama. – Nie jestem w tym dobra. Właściwie to jestem do niczego. William, pójdziemy razem na lunch? Mam ze sobą śpiące dziecko, ale nie szkodzi. Możemy wyjść razem? Na lunch? – Shandi mówi szybko, jej słowa potykają się o siebie. Na policzkach pojawiają się czerwone plamy. William nie odpowiada, więc Shandi mówi dalej, coraz szybciej. – Znam takie miejsce, bardzo blisko. Luzackie i artystowskie, ale jedzenie na pięć gwiazdek. W zeszłym roku tata zabrał mnie tam na urodziny. Poszliśmy tylko we dwójkę. Bethany nie pojawiłaby się tam, nawet gdyby wszystkie restauracje na całym świecie spłonęły, a jej kucharka umarła. Słowo daję, chybaby wolała sama coś ugotować.

William podejrzewa, że – chociaż Natty jest obecny – Shandi zaprasza go na randkę. Jest zapraszany na coś, co wydaje mu się tak obce jak kiedyś Indiana. Wtedy jednak spakował się i pojechał na północ. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że Indiana to bardzo rzeczywiste miejsce.

Chowa do kieszeni kluczyki od samochodu.

– Pewnie. Ale kiedy sprzątaczkę skończą, muszę tu wrócić. Muszę pomóc Natty'emu zakleić dziurę w szafie.

Shandi szeroko się uśmiecha.

– Świetnie. Ja poprowadzę. Nie musimy przenosić fotelika Natty'ego.

To dobrze. Nie będzie musiał się tłumaczyć ze spalonego fotela kierowcy w swoim samochodzie. Schodzi za Shandi po schodkach. Jego samochód stoi obok jej auta, na drugim z jej miejsc parkingowych. Kiedy Shandi, nie budząc

Natty'ego, sadza go w foteliku i przypina pasami, William wciska się do małego volkswagena.

Jest tak ciasno, że kiedy Shandi siada obok, ociera się o niego ramieniem. Jeśli zaprosiła go na randkę, to teraz William jest na randce. Uruchamiając silnik i ruszając, Shandi nadal mówi, bardzo szybko, wypełnia wnętrze samochodu paplaniną o burgerach z jagnięciny, o tym, że każdy talerz w tamtej restauracji jest z innego kompletu, że jest tam zacienione patio z boiskiem do bocce.

– Dzisiaj jest tak ładnie, może usiądziemy na zewnątrz? – pyta.

To pytanie bezpośrednio.

– Jasne.

– Super. – Shandi zaczyna prawą ręką przyklepywać sobie włosy, doprowadzając je do porządku. Ramię dalej ociera się o ramię Williama. William musi naprawić swój samochód. Ten jest za mały, za ciasny. Liczby pierwsze znowu pojawiają się w jego głowie, to pomaga. Shandi skręca w labirynt wąskich osiedlowych uliczek. Panuje tu bardzo mały ruch. – Wypijmy mnóstwo wina. Tyle, żebyśmy musieli wrócić do domu taksówką, dobrze? Pograjmy w bocce i zjedźmy tyle lodów, że aż nas zemdli. Pogadamy o samych miłych rzeczach. Albo posiedzimy i popatrzemy, jak ptaki kradną okruchy. Dobrze?

Skręca na parking. William jest przy liczbie cztery tysiące siedem, a Stevie żyje. Tak naprawdę wszystko, co proponuje Shandi, brzmi przyjemnie. William może to zrobić. Niech sprzątaczkę skończą pracę. Oni zjedzą mnóstwo protein. Niech wszystkie komplikacje znikną. Shandi proponuje, żeby zastosowali kompartmentalizację, co Williamowi odpowiada.

– Dobrze – zgadza się.

Shandi szeroko się uśmiecha.

– Zjedźmy mnóstwo chleba. Sami go tam pieką. Zjedźmy lunch poza domem, jakbyśmy byli po prostu ludźmi.

– Jesteśmy po prostu ludźmi.

Shandi zatrzymuje się na małym parkingu obok patio, o którym mówiła. Sama restauracja to wąski budynek z cegieł z długimi, nisko umieszczonymi oknami. William widzi boisko do bocce. Nikt nie gra.

Shandi miała rację. O tej porze dnia jest tu prawie pusto. Na patio siedzą tylko cztery osoby, dwie pary. Młoda para pije piwo i rozmawia. Dziewczyna położyła ładne nogi na kolanach chłopaka. Para, która siedzi bliżej, jest starsza. Mężczyzna dobrze po czterdziestce, a kobieta dziesięć, dwanaście lat młodsza, mniej więcej w wieku Williama. Siedzą obok siebie na wiklinowej dwuosobowej sofie, przed nimi stoi niska ława. Nie zwracają uwagi na patio ani na małe upierzone stworzenia, głównie strzyżyki i zięby. Mężczyzna dotyka twarzy kobiety. Pochyliła się i całuje ją, zanurzając dłoń w jej włosy. Na drzewach przy patio wiszą papierowe lampiony i karmniki, wszędzie jest mnóstwo ptaków. To miejsce zostało stworzone dla nóg opartych o czyjeś kolana i dla publicznych pocałunków.

A więc tak wygląda randka. William wygląda przez okno. Jego ciało jest sztywne i nieruchome. Jego ciało nie otwiera drzwi i nie idzie na patio. Ale też nie odsuwa się.

Shandi też nie otworzyła drzwi. Silnik nadal pracuje. Patrzy na całującą się parę. Może kiedy to zobaczyła i ją ogarnęła niepewność. Byłoby doskonałe.

Ale wtedy mówi:

– Hej, wiesz co? To mój tata. – Wskazuje na mężczyznę, który teraz położył dłoń na boku kobiety, wysoko, tak że kciukiem dotyka od dołu jej piersi. – Tam siedzi mój tata.

William unosi brwi. Wskazuje palcem na kobietę.

– Powiedziałaś, że tu by nie przyszła?

Oczywiście mogą odjechać. Ojciec Shandi jeszcze ich nie zauważył. Pewnie nikogo nie widzi. Ma zamknięte oczy. William czuje się nieswojo, patrząc, jak mężczyzna przy ludziach pakuje język do ust kobiety.

– Moja macocha? – parska Shandi. – Przenigdy. Ta kobieta? To nie Bethany. Ani trochę.

Mężczyzna, który jest ojcem Shandi, zupełnie jakby poczuł ich wzrok, bo przerywa pocałunek i spogląda prosto na nich. Rozpoznaje ich dopiero po paru sekundach i reaguje tak gwałtownie, że aż komicznie. Zrywa się na równe nogi, przesuwając kobietę na bok. Ona też na nich patrzy, a Shandi wydaje z siebie charkot, jakby ktoś ją dusił. Jej ojciec uderza nogami o stół, drinki się przewracają. Porusza szczęką.

Shandi już wrzuca wsteczny bieg i wycofuje samochód z parkingu, kiedy jej ojciec wyskakuje zza stolika i biegnie do nich. Kobieta wstaje powoli. Shandi z zaciśniętymi ustami odjeżdża zygzakiem po ulicy. Samochód z piskiem opon skręca i Natty, pociągając nosem, porusza się w foteliku. William wciska rękę w małą przestrzeń między przednimi fotelami, żeby go uspokoić. Samochód już skręcił i zakochana para i restauracja znikają im z oczu. William z powrotem się odwraca.

– Wjedź na swój pas – mówi i Shandi skręca kierownicę w prawo i prostuje samochód. Nadal jedzie zbyt szybko. Wjeżdża na muldę i wszyscy podskakują. Natty protestuje przez sen i to ją otrzeźwia.

– Ta kobieta, z którą był? Wygląda zupełnie jak moja matka. Przez sekundę myślałam, że to naprawdę ona. Ale nie, jest dużo młodsza i nie aż tak ładna – mówi Shandi, właściwie do siebie. – Boże, żałuję, że to widziałam. Co teraz?

William nie wie. Wie tylko, że powinni jechać dalej.

Ojciec Shandi nie rozumie. Kobiety nie są jak dzieci. Nie są skonstruowane do mechaniki dodawania. Żony powinno się wymieniać jedną na drugą. Ojciec Shandi, czy jest tego świadomy, czy nie, zastępuje swoją żonę długim, rozdzierającym ruchem, chociaż powinno to być chirurgiczne cięcie. Ciach. I zacząć na czysto.

Nie było mu miło na to patrzeć. Zdrada zawsze jest brzydka, nawet jeżeli dochodzi do niej na zacienionym patio pełnym małych ptaszków.

William stara się nie myśleć o tym, że być może jest na randce z dziewczyną młodszą od niego o dwanaście lat, ale i tak jest mu źle. Nie dlatego, że sytuacja jest dokładnie równoległa. Jego żona nie czeka w domu, szczęśliwa i niczego nieświadoma, planując młodzieżową misję na Haiti organizowaną przez Catholic Youth Alive.

Ale to nie usprawiedliwia tego, co robi tu z Shandi. Nie wolno też zapominać o Nattym.

Nie może pozwolić, żeby Shandi wciągnęła go do swojego świata, i nie może pozwolić, żeby Paula odsunęła go od Shandi. Musi zastanowić się, czego chce, i zacząć działać. Musi zwrócić się w jedną ze stron, siłą własnej woli.

– Jedź dalej – mówi, chociaż samochód zdaje mu się zbyt mały, by starczyło w nim powietrza dla nich wszystkich. Nie da się w nim oddychać.

– Dokąd? – pyta Shandi, ale tego William jeszcze nie wie.

To akurat Paula zaopiekowała się Nattym. Do kogo innego mogłam się zwrócić? Walcotta nie było. Poprosił mnie o przestrzeń, a ja mu byłam winna wszystko, już zawsze. Mimmy albo tata chcieliby wiedzieć, dokąd jadę, a ja musiałabym skłamać. Prawda by ich przeraziła. Bethany nic by nie obchodziło, co planuję, ale za żadne skarby świata nie wpadłabym teraz do niej, żeby sprawdzić, czy tego dnia jest u niej niańka. Nie z wiedzą, która rozsadzała mi mózg, ze świadomością, że Bethany potrafi dzielić się znacznie lepiej, niż przypuszczałam.

Natty lubił Paulę, a ja byłam pewna, że Paula nie napoi go wybielaczem ani nie upiecze, ale i tak jej nie poprosiłam. Gdybym się paliła, to wątpię, czyby choć na mnie nasikała, żeby ugasić ogień. William powiedział jednak, że Paula się zgodzi, i zadzwonił do niej. Miał rację. Okazało się, że jej kobieca solidarność była silniejsza od naszej rywalizacji i jej awersji do mnie.

Siedziałam z Williamem w jego SUV-ie, osłonięta przydymionymi szybami. Usadowiliśmy się z tyłu, a to miało mnóstwo podtekstów dla dziewczyny w moim wieku. Tym bardziej że na zewnątrz było jeszcze ciemno. I że mężczyzną, obok którego tkwiłam, był William. Ale fakt, że zaparkowaliśmy dokładnie naprzeciwko kompleksu apartamentowców, gdzie mieszkał Clayton Lilli, wykluczało romantyczną atmosferę. Siedziałam jak na szpilkach.

Czas mijał, nic się nie działo i cała ta misja zaczęła mi się wydawać nierealna. William nie robił nic nadzwyczajnego. Wzrok utkwiał w drzwiach, jego twarz była bez wyrazu. Był pogrążony we własnych myślach, a jedna stopa mu drgała jak u głęboko śpiącego psa. Zupełnie jakby miał w głowie tysiąc zabawek, a moja milcząca obecność nie powstrzymywała go przed tym, żeby się nimi zająć. Było to dziwne, jednak w pewnym sensie seksowne. Ale szczerze mówiąc, dla mnie seksowne było nawet to, jak William przemieniał tlen

w dwutlenek węgla.

Obserwowałam drzwi budynku i zegar na desce rozdzielczej. Była minuta po szóstej. Siedzieliśmy tu już prawie godzinę. Była sobota. Jeśli Clayton zaśpi, mogliśmy tu sterczeć nawet do południa. No cóż, w porządku. Nie zamierzałam pukać do drzwi jego mieszkania i pytać, czy kupi trochę cholernych ciasteczek upieczonych przez skautki. Chciałam zobaczyć Clayтона Lilli, ale na samą myśl o tym czułam, jakby cała skóra schodziła mi z ciała.

Odór stopionej pianki wypełniającej fotele, chociaż była zaklejona taśmą i zasłonięta ręcznikami, nie poprawiał mi nastroju. Kolejny akt przemocy. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że miał związek ze mną. Bombę w samochodzie Williama skonstruował taki podpalacz, jakim ja mogłabym być: niezdarny, nieskuteczny, ale pozostawiający po sobie długo utrzymujący się smród. W końcu to ja nazwałam Steviego i (może) Clayтона najbardziej głównianymi przestępcami na świecie.

– Ciągłe mi się wydaje, że z tego domu wyłoni się ciastowaty golem – powiedziałam.

William poderwał głowę, jakbym wyrwała go ze snu.

– Słucham?

– To tylko zwykły facet, prawda?

Kiwnął głową.

– Widziałaś zdjęcia. To zwykły facet.

Ale to nie mogła być prawda. Czy zwykły facet odurzyłby dziewczynę narkotykami, zniewolił ją, wyprowadził samą na dwór...?

– Z nim jest coś nie tak. Ale co? – Było to pytanie retoryczne, a może zadawałam je wszechświatowi, jednak William i tak odpowiedział:

– Nic poważnego. Prawdopodobnie wyłysieje, a jeżeli pali, ciężko mu będzie rzucić nałóg. Jest bardziej niż większość ludzi narażony na choroby serca. – Zamilkł, bo oderwałam wzrok od drzwi i zaczęłam gapić się na niego, zszokowana, ale jednocześnie zadowolona ze zmiany tematu.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Oczywiście, że mogę. Mam jego materiał genetyczny – odparł.

– Dowiedziałeś się tego wszystkiego dzięki kilku... – Nie potrafiłam wymówić tego słowa. – Komórkom?

– Wszystko jest w nich zapisane. Jesteśmy stworzeni z komórek.

Kiedy pobierałam wymaz z wewnętrznej części policzka, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że daję Williamowi aż tyle.

– O mnie też wiesz takie rzeczy?

– Nie. – Powiedział to takim tonem, jakbym spytała, czy podglądał mnie, kiedy brałam prysznic. – Z twoją próbką zrobiłem tylko to, co musiałem, ale... – wskazał na drzwi – prawo do prywatności tego faceta mnie nie obchodziło.

– A Natty?

Odwrocił dłonie spodem do góry, co mogłam odczytać jako przeprosiny.

– Wykonałem szybkie i pobieżne sekwencjonowanie. Na przykład szukałem zwiększonej podatności na nowotwory. Nie znalazłem nic, czym mogłabyś się martwić, inaczej bym ci powiedział. To dobre dziecko.

Nie chodziło mu o to, że Natty jest dobrze wychowany albo uroczy. Powiedział, że Natty jest dobrze skonstruowany.

Zaczął rytmicznie postukiwać knykiami o kolana, jakby gdzieś leciała piosenka, którą tylko on słyszał. Po kolejnej minucie wpatrywania się w drzwi i słuchania odgłosów tego stukania moje nerwy były w strzępach.

– Coś cię dręczy? – spytałam.

Spojrzał ponad moją głowę, jakby chciał sprawdzić drzwi, ale odparł:

– Przebadałem też próbki twojego syna pod kątem pewnych konkretnych duplikacji i delecji, które znalazłem u Clayтона Lilli. – Uniosłam brwi, a William dodał szybko: – Natty ich nie ma.

– Ale ten facet ma te, jak im tam?

– Duplikacje i delecje. Tak. – William przełknął ślinę. Byłam pewna, że informuje mnie o czymś bardzo znaczącym albo osobistym.

– William, pomóż mi. Nie znam tego naukowego języka.

William zaczął się kołysać, bardzo lekko, ale zauważalnie. Coraz mocniej stukał knykiami o kolano. Jakakolwiek piosenkę słyszał, na pewno mu się nie podobała.

– Obecność tych anomalii wskazuje na to, że Lilli ma ograniczoną empatię. Prawdopodobnie trudno mu odczytywać sygnały z otoczenia.

Zmrużyłam oczy.

– Twierdzisz, że dlatego to zrobił? Bo z dziewczyną łatwiej się rozmawia, jeśli

najpierw się porządnie naćpa?

– Nie usprawiedliwiam go – odparł spokojnie, ale zaczął jeszcze szybciej stukać.

– W pewnym sensie tak – powiedziałam. W moim głosie zaczął pojawiać się gniew.

William energicznie pokręcił głową.

– To go nie usprawiedliwia – powtórzył, ale ja mówiłam dalej:

– A Stevie? Czy to geny zmusiły go do tego, żeby wtargnąć z bronią do Circle K i zacząć kopać starszych ludzi? A mój tata? Gdybyśmy poszli na patio i zwędzili jego szklankę z piwem, czy mógłbyś pogmerać w jego DNA i dowiedzieć się, dlaczego pieprzy się z dziewczyną, która wygląda jak młodsza wersja mojej matki? – Machnęłam ręką w stronę domu Clayтона Lilli. – Biedaczysko. Ma te duplikacje i po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Zachowujesz się niedorzecznie – oświadczył chłodnym tonem William, stukając i stukając, czując się tak źle we własnym ciele, jakby tylny fotel, już i tak dla niego za mały, skurczył się jeszcze bardziej.

– Powiedziałeś, że tam jest wszystko. Powiedziałeś, że jesteśmy stworzeni...

– Wiesz, co powiedziałem! – odparował ostro i głośno, ale zreflektował się i kiedy odezwał się ponownie, mówił bardzo szybko, ale już bez gniewu. – Wiesz, co powiedziałem. I to prawda. Geny definiują nasze możliwości. Ustalają zakres, w którym musimy działać. To zakres, co oznacza, że nie może być prosty. Wszyscy jesteśmy ograniczeni i niedoskonali. Jesteśmy zepsuci w konkretny, wymierny sposób, ale naprawdę wierzę... naprawdę wierzę w... – Urwał raptownie i spojrzał na swoją dłoń, jakby dopiero teraz zauważył, że puka w kolano, jakby domagała się wejścia. Głęboko wciągnął nosem powietrze. Siłą woli powstrzymał rękę. Tymczasem mój mózg próbował dokończyć jego zdanie w taki sposób, bym mogła z nim żyć, w taki sposób, żeby golem pozostał biologicznym ojcem Natty'ego, nie skazując go na bycie strasznym człowiekiem. Co William chciał powiedzieć? Środowisko? Przeznaczenie? Wolna wola?

– Naprawdę wierzysz w co? – spytałam, kiedy powstrzymywanie się przed zadaniem tego pytania stało się już nie do zniesienia.

Ciało Williama już całkiem się uspokoiło, odwrócił się do mnie i dokończył zdanie:

– Naprawdę wierzę w możliwość bycia dobrym.

Ta odpowiedź całkowicie mnie zaskoczyła. Mówił, że Natty może być dobry, że to prawdopodobne i prawdziwe, niezależnie od tego, po kim otrzymał połowę genów. Lekko, samymi palcami dotknęłam jego dłoni.

– Ja też – powiedziałam. – Ja też chcę w to wierzyć.

Przez lata udawałam, że Natty to dar, coś pięknego, co dostałam za darmo, coś cudownego i powstałego bez przyczyny. Im uważniej przyglądałam się jego biologicznemu ojcu, tym większą miałam nadzieję, że Clayton Lilli był przynajmniej zdolny do bycia dobrym, czy to świadomie, czy nie. Że wszyscy jesteśmy do tego zdolni.

Z powrotem odwróciłam się do drzwi. Rozmowa o jego genach sprawiła, że stał się tak rzeczywisty. Składał się z komórek. Nie był potworem z baśni, lecz ludzką istotą ze skłonnością do chorób serca i chromosomem, który spowoduje u niego łysienie typu męskiego. Wcześniej udawałam, że jest niemożliwe, aby istniał. Nie mógł istnieć, ale William mi go pokazał, a moja wiara w Williama była absolutna. Może tak właśnie przejawia się wiara?

Zważywszy na moje wychowanie, nie miałam o tym pojęcia.

Ale zarówno Mimmy, jak i tata przyznaliby, że Mojżesz wierzył w Boga, kiedy kazał się rozstąpić wodom Morza Czerwonego. Czy jednak kiedy zobaczył, jak woda podnosi się i tworzy potężne, mokre ściany, z których gapiły się na niego zdumione ryby – czy wtedy ze strachu nie zrobił w gacie?

– Geny tego nie usprawiedliwiają – odezwał się William. – Nie tego faceta. Nie Steviego. Nie twojego tatę.

Zabrzmiało to tak bezkompromisowo. Może jednak był katolikiem.

– Nie chcę bronić swojego ojca, ale jest mężem Bethany. – Wciąż myślałam o Mojżeszu. – Poślubienie Bethany to współczesna wersja czterdziestu lat wędrówki po pustyni. Nocą na pustyni robi się zimno. Ale Mojżesz mógł liczyć na Ziemię Obiecaną.

– Twój ojciec nie wyglądał tak, jakby na coś liczył. – William powiedział to tak oschle, że pomimo okoliczności nie mogłam powstrzymać uśmiechu. – Co się stanie, kiedy jego żona się dowie?

– Och, doskonale o tym wie. – Nigdy nie uwierzyłam, że Bethany jest tak hojna i tak podekscytowana wysokim ilorazem inteligencji Natty'ego, że

pragnęła dla niego czegoś więcej niż wiejskie przedszkole prowadzone przez baptystów. Mój tata spotykał się z Mimmy juniorką w mieszkaniu, a Bethany pozwoliła mi wprowadzić się tam z tylko jednego powodu: żebym została przyzwoitką ojca. Na myśl o tym miałam ochotę wykąpać się w wybielaczu, a potem czystą ręką walnąć ją w twarz.

Nie spuszczałam oczu z drzwi, nawet kiedy tak miło sobie gawędziliśmy o zdradzie mojego ojca – tak jak dzieci w miły sobotni poranek mogłyby bawić się w polowanie na potwora. Chciałam wymazać z pamięci tamtą chwilę, kiedy mój ojciec wyjął język z ust tamtej kobiety, a ona odwróciła się i spojrzała na nas. Przez jedną przyprawiającą o zawrót głowy sekundę patrzyłam na własną matkę.

Sekundę później uświadomiłam sobie, że Miss Patio jest młodsza, jej włosy są jaśniejsze i nie może się pochwalić tak oszałamiającą urodą jak moja matka – bardzo niewiele kobiet mogło się z nią równać. Była jednak wystarczająco piękna, miała takie jak Mimmy wystające kości policzkowe i podobne usta. Zastanawiałam się, czy tata to dostrzegął. Oczywiście nie mogłam go o to spytać. Z pięćdziesiąt razy nagrał się na mojej poczcie głosowej, ale ja nie byłam gotowa na rozmowę z nim, a już tym bardziej na to, by spytać, czy wie, że jego kochanka to młody klon jego byłej żony.

Drzwi się otworzyły. Na chwilę zeszytniałam, ale było to tylko dwóch starszych panów w strojach do joggingu. Słabe szare światło przemieniało się w cieplejsze złoto na ceglany frontie budynku, muskając wszystkie niewielkie balkony. Powtórzyłam sobie w myślach, że Clayton Lilli może w ogóle nie być mężczyzną, którego szukaliśmy. Tylko sprawdzaliśmy. Przyjechaliśmy, żeby tylko go zobaczyć.

– To bardzo ładny dom i tak niedaleko parku. Widocznie karma sprzyja palantom. – Próbowałam mówić lekkim tonem, ale słyszałam napięcie we własnym głosie.

Potem wyszła jakaś kobieta, w imprezowym stroju z minionej nocy i smugami rozmazanego tuszu pod oczami. Uciekła szybko, chociaż miała na sobie satynowe buty na wysokich obcasach, i zniknęła za rogiem.

William wciąż wpatrywał się w budynek, ale kiedy kobieta nas minęła, a ja już więcej się nie odezwałam, jego wzrok zaczął wędrować na bok. Znowu

zniknął we własnej głowie.

Obserwowałam drzwi, ciesząc się, że obejrzałam zdjęcia Clayтона Lilli, bo gdyby wyszedł, rozpoznałabym go. Dłużej zatrzymałam się przy zdjęciu jego drużyny: Lilly w legendarnej niebiesko-złotej bluzie. Może było to ostatnie zdjęcie, które mu zrobiono, zanim nasze ścieżki się skrzyżowały. Łatwiej było patrzeć na jego młodszą wersję, kiedy starałam się wierzyć, że jest niewinny.

– Nie wiem, co zrobić – powiedziałam.

Ramiona Williama zdrząły, kiedy z powrotem wylądował w swoim ciele.

– Słucham?

– Kiedy wyjdzie. Jeżeli wyjdzie. Co powinnam wtedy zrobić?

– Nie wiem – odparł William. – Nie znam się na tej części.

Powiedział to tak, jakby ta misja składała się z części, jakby gdzieś istniał podręcznik ze wszystkimi etapami nachodzenia czyjegoś... Jak go w ogóle nazwać? Nie miałam odpowiedniego określenia dla Clayтона Lilli. Ojciec Natty'ego? Nie zasługiwał na to miano. Mój odurzacz? Mój napastnik? Nawet gdybym znalazła właściwy rzeczownik, nie mogłabym używać tego zaimka w taki sam sposób, jak mówiłam „moja łyżka” czy „moja para butów”. Nie chciałam, żeby do mnie należał.

W głównych drzwiach pojawiła się młoda para z małym psem na smyczy. Dziewczyna szła przodem. Była niezbyt ładna, w studenckim wieku, w białych tenisówkach i stroju kelnerki w stylu lat pięćdziesiątych, z włosami ściągniętymi w kucyk. Pomyślałam: Pewnie ma poranną zmianę, i w tej chwili zeszła ze schodów i zobaczyłam za nią mężczyznę. To był on.

Przeniosłam wzrok z drzwi na Williama. Potwierdzająco kiwnął głową. Wstrzymałam oddech i odwróciłam się z powrotem. To był on. Ziemia też się zatrzymała, przestała się obracać, ale ja wirowałam dalej, wypadałam z orbity, zmierzałam ku słońcu.

To naprawdę był on, w rozepchanych bojówkach, z sypkimi włosami opadającymi na oczy. Zaczął istnieć dwadzieścia dwie minuty po szóstej w sobotni poranek. Zdjęcia były zbędne. Widziałam, jak trzymał smycz. Widziałam, jak przechylał głowę, słuchając myszowatej dziewczyny. Widziałam, pod jakim kątem wygina się jego szyja, kiedy pił wodę z butelki. Jeszcze zanim minęło dziesięć sekund jego istnienia w moim świecie, wiedziałam, że to golem.

Wiedziałam to, bo zobaczyłam swojego syna.

Kiedy Natty się urodził, bez końca wpatrywałam się w jego nowiutką buzię, taką ładną, gładziutką dzięki cesarskiemu cięciu. Natychmiast rozpoznałam swoje zaokrąglone policzki i podbródek. Po Mimmy miał małe uszka płasko przylegające do głowy, a po tacie długie, eleganckie stopy, jakie odziedziczyli po nim również i jego synowie. Pozostałe cechy należały po prostu do Natty'ego.

Ale ten mężczyzna? Tak samo jak Natty głośno tupał, kiedy z wyprostowanymi plecami szedł za swoją dziewczyną do sportowego fiata zaparkowanego na ulicy. Tak samo jak mój syn miał długi stan, a brązowe włosy tak samo sterczały mu z tyłu głowy. Jak on śmiał? Jak śmiał być prawdziwy i mieć cechy mojego syna?

– Shandi? – odezwał się William.

Zaniemówiłam. Nie mogłam się oswoić z tą świadomością, chociaż wiedziałam, że potężny bóg Thor go odnajdzie. Kręciło mi się w głowie. Oniemiała i oszołomiona, gapiałam się na tego chudego mężczyznę o chłopcym wyglądzie, który pod takim samym kątem jak Natty przechylił głowę, kiedy schylił się, żeby cmoknąć na pożegnanie swoją dziewczynę, pospolitą jak papierowa torba na zakupy.

Clayton Lilli zszedł z psem z krawężnika. Pies miał jedwabistą sierść, pysk długi jak u lisa i ogon jak pióropusz. Mężczyzna był całkowicie nieświadomy tego, że przebadałam substancje chemiczne, z których się składał, i go odnalazłam. Dziewczyna odjechała, a on skręcił i poszedł w stronę parku. Widziałam, że w kieszeni niesie torebki na psie odchody.

Moje ciało wysiadło z samochodu Williama i ruszyło za nim. Chyba zostawiłam otwarte drzwi. Całe ciało paliło mnie i swędziało, i nieustępliwie parło do przodu. Lilli już wchodził do parku, kiedy uświadomiłam sobie, że William mnie dogonił. Wyciągnęłam do niego rękę. Złapał ją i ścisnął tak mocno, że poczułam, jak jego kości się zaciskają na moich. Powoli, spokojnie wypuścił powietrze przez nos i nie cofnął dłoni.

Poszliśmy ulicą za Claytonem Lillim. Było jeszcze bardzo wcześnie, ulica świeciła pustkami. Lilli zatrzymał się przy śmietniku, żeby jego pies się załatwił, i my też przystanęliśmy za nim, na skraju parku. Stałam jak skamieniała, kiedy sprzątał po psie, i zastanawiałam się, czy teraz zawróci do domu i ruszy prosto

na mnie. On jednak spuścił psa ze smyczy. Było to zabronione, ale jakie znaczenie miał zakaz spuszczenia psa ze smyczy dla takiego człowieka jak on? Postawił butelkę na trawie i wyjął z kieszeni małe składane frisbee. Pies oszalał z radości. Opadłam na wilgotną trawę, ciągnąc za sobą Williama. Patrzyliśmy, jak Clayton Lilli oddaje się wczesnoporannej zabawie ze swoim głupim psem o lśniącej sierści.

Dla Clayтона niczym nie różniliśmy się od starszej pary, która przyszła do parku, żeby obejrzeć wschód słońca, od zmęczonej matki z nadaktywnym maluchem czy dwu nastolatek, które pewnie imprezowały całą noc. Dziewczyny bez celu snuły się po parku, jedna okrążała drugą, każda pochłonięta rozmową przez smartfon.

Clayton Lilli nie wiedział, że w tej grupce na dużym zielonym terenie znajdowała się osoba, która chciała go zabić, i że tą osobą byłam ja. Uczucie to było zatrważające i nierealne. Siedzę na trawie. Tu jest William, a tam jest pies o złocistej sierści. Clayton Lilli pije wodę z butelki i całą krew ma w sobie. Chcę ją z niego spuścić aż do ostatniej kropli.

Przysunęłam się do Williama, przywarłam do niego ciałem jak w Circle K, ale, dzięki Bogu, teraz między nami nie było Natty'ego. Starłam się wymyślić, jak patrzeć na Clayтона Lilliego i nie pobiec do niego przez trawnik, nie wydlubać mu oczu kluczykami do samochodu, co zrobić, żeby serce nie pękało mi na drobne kawałeczki, bo teraz, kiedy znaleźliśmy się bliżej, widziałam na jego podłej twarzy tak wiele, tak wiele cech, które należały do mojego pięknego syna.

– Chcę tę butelkę wody – powiedział William, a kiedy uniosłam brwi, dodał: – Ślina.

Przecząco pokręciłam głową.

– Nie jest ci potrzebna. To on.

– Chcę mieć pewność.

– Ja ją mam – powiedziałam z taką stanowczością, że tylko kiwnął głową. Oczy mnie piekły i swędziały, kiedy wpatrywałam się w Clayтона Lilliego. Przeniosłam wzrok na psa, żeby dać im odpocząć. – Nie zasługuje na tak ładnego psa.

– Nie. – William zgodził się ze mną. – Zasługuje na paskudnego psa, który

sra mu do butów.

Kiwnęłam głową.

– Czarodziejskiego płonącego psa, który wierci się na jego kolanach, aż podpala Lilliego i z obu zostaje kupka popiołu.

– Taki pies już dorwał mój samochód.

William mi pomagał. Był zabawny, to dobrze. Był dwa razy większy od Clayтона. To jeszcze lepiej.

Clayton Lilli miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale był jeszcze chudszy od Walcotta, jeżeli to możliwe. Jego nogi w szerokich szortach wyglądały jak kawałki sznurka z węzłami zamiast kolan. Gdyby choć spojrział w moją stronę, William mógł wziąć kamień i roztrzaskać mu głowę. Już to raz widziałam, potrafiłam więc dokładnie sobie wyobrazić, jak by to wyglądało. Wyobrażanie sobie tego sprawiało mi przyjemność.

Ale tak naprawdę to chciałam zabrać mu tego psa, który wyraźnie nieziemsko go kochał. Chciałam mu powiedzieć, jakiego padalca wylosował w psim lotto. Chciałam mu wyłożyć całą sprawę, chciałam, żeby potem pies mądrze pokiwał głową, rzucił się na Clayтона i go ugryzł.

Serce mi pękało, kiedy widziałam, jak pies przynosi mu frisbee. Jak się śmieje do niego jak szalony, machając tym głupim, puchatym ogonem. Jak Lilli kłęka obok i przemawia słodkim głosem: „Kto jest grzecznym pieskiem? Kto jest grzecznym pieskiem? No kto?”.

Poderwałam się z trawnika i ruszyłam prosto na niego. Bardziej wyczułam, niż zauważyłam, że William podnosi się i idzie za mną.

Kiedy Clayton Lilli zobaczył, że do niego podchodzę, wyprostował się i odwrócił z uśmiechem, uprzejmie unosząc brwi, jakby spodziewał się, że spytam go o godzinę albo czy mógłby mnie poczęstować miętówką.

– Cześć! – Zabrzmiało to tak wesolutko. Tak pogodnie.

– Cześć? – odpowiedział niepewnie.

– Pamiętasz mnie?

Ściągnął brwi proste jak kreska, takie same jak u Natty'ego, a kiedy przyglądał się mojej twarzy, już wiedziałam, że mnie nie pamięta. Nie rozpoznawał mnie.

Moja pięść wystrzeliła w niego z taką siłą, na jaką było mnie stać,

i wylądowała w samym środku jego głupiej gęby. Walnęłam go prosto w nos. Poczułam, jak się ugina, a potem ból przeszył moją dłoń. Clayton Lilli lekko zatoczył się do tyłu i podniósł ręce do twarzy. Jego pies zaczął szczekać jak głupi. Ujadał na mnie.

– Co jest... – zaczął Lilli i zrobił krok w moją stronę.

Ogarnęło mnie potworne przerażenie, ale wtedy poczułam obecność Williama, który stanął tuż za mną.

– Nie radzę – powiedział głosem głębokim i wyluzowanym. Lilli przeniósł wzrok ze mnie na niego. Kiedy zobaczyłam strach na jego twarzy, całe moje przerażenie zniknęło.

Ludzie w parku zaczęli się na nas gapić. Matka wzięła na ręce swoje dziecko. Dzieciak patrzył na nas, z palcem w buzi. Starsza para wstała, brudząc koc butami. Nastolatki znajdowały się najbliżej. Patrzyły na nas beznamiętnie, jakby oglądały telewizję. Jedna z nich podniosła komórkę, chcąc nas sfilmować.

William spojrzał na nią i mruknął:

– Nie.

Opuściła telefon.

William zwrócił się do mnie:

– Mam nadzieję, że jesteś pewna. – Zacisnął szczęki. Wcale mu się to nie podobało.

– Jestem pewna.

Kiwnął głową.

– Nie chowaj kciuka do wewnątrz. Możesz go złamać.

Wysunęłam kciuk z zaciśniętej pięści i od razu poczułam się lepiej. Już teraz wiedziałam, że kolejne uderzenie będzie skuteczniejsze.

Odwróciłam się do Clayтона Lilli i uderzyłam ponownie. W to samo miejsce. Walnęłam go tak mocno, jak tylko potrafiłam, chociaż moja dłoń dosłownie płakała z bólu. Clayton Lilli był tak zaskoczony, że usiadł na trawie. Pies biegał za nim, zataczając półkola, wyglądając zza jego pleców to z jednej, to z drugiej strony, i szczekając. Potem stanął na sztywnych nogach i zaczął wierzgać tylnymi łapami.

– Co jest? – powtórzył Clayton Lilli. Z jego lewego nozdrza na usta powoli popłynęła strużka wiśniowoczerwonej krwi.

– Wstawaj, kolego – powiedział lekkim tonem William. – Nie wiem, czy już z tobą skończyła.

Clayton Lilli zaczął się podnosić, a ja go raz jeszcze spytałam:

– Pamiętasz mnie? Mogę pytać w nieskończoność.

Jego pies warczał i skakał na boki, wciąż na sztywnych nogach.

Lilli podniósł ręce, osłaniając twarz i spytał:

– O co chodzi?

– Opuść ręce – nakazał mu William.

– Znowu mnie uderzy – powiedział Lilli, z gniewu robiąc się czerwony.

– Ja cię uderzę, jeśli tego nie zrobisz. – William przeprasząco rozłożył dłonie.

Clayton Lilli opuścił ręce.

Chciałam czegoś lepszego. Bardziej w stylu Johna Irvinga, bardziej w stylu *Hotelu New Hampshire*. Dlaczego wzięłam ze sobą niedźwiedzia? Miałam tylko pięść.

Zrobiłam krok w jego stronę, żeby znowu go uderzyć, ale wtedy pies wskoczył między nas, warcząc piskliwie. Aż mnie serce zabolalo na widok tego maleńkiego, paskudnego, walecznego psa, który stanął po niewłaściwej stronie.

W naszym kierunku ruszył starszy mężczyzna. Wołał:

– Przestańcie! Przestańcie!

Jego głos był bardzo głośny i nosowy. Wyczułam strach pod tą udawaną władczością. Nawet na niego nie spojrzałam.

– Kochanie! – zawołała jego żona, nie ruszając się z kocyka, zaniepokojona tym, że jej mąż podchodzi tak blisko do Williama.

– Jak to możliwe, że mnie nie pamiętasz? – spytałam Clayтона Lilliego. Obie dłonie nadal miałam zaciśnięte w pięści.

Przestał osłaniać sobie nos i tym razem naprawdę uważnie mi się przyjrzał. Na początku na jego twarzy malowała się uwaga, potem zaintrygowanie, aż wreszcie pojawiło się lekkie zaskoczenie. Na policzkach wykwitł jaskrawy rumieniec, jakby popłynęła do nich cała krew, która nie wyciekła mu z nosa.

– Mandy? – spytał. – Mandy Pierce?

– No i proszę – powiedział William.

Myślałam, że znowu go walnę za to, że wziął mnie za kogo innego, ale kiedy

zobaczyłam, że mnie rozpoznaje i czerwieni się ze wstydu, pragnienie zetknięcia mojej skóry z jego skórą całkowicie zniknęło. Wyglądał żałośnie na patykowatych jak u owada nogach i z pieskiem jak pluszowa zabawka, który próbował go bronić. Nie mogłabym znowu go uderzyć. Ale wreszcie znalazłam dla niego nazwę. Wiedziałam, kim dla mnie był.

– Ten mężczyzna mnie zgwałcił – powiedziałam porywczemu starszemu panu z kocyka. Potem powtórzyłam to głośniej, wykrzyczałam to jego żonie, matce przytulającej do siebie dziecko, biernym nastolatkom. Co prawda Lilli nie zgwałcił mnie w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale nie byłam w nastroju na dzielenie włosa na czworo. Wyrządził mi wystarczająco dużo zła i już wiedziałam, kim jest. Wskazałam na niego i powtórzyłam: – Ten mężczyzna mnie zgwałcił.

Wszyscy w parku znieruchomieli, próbując sobie przyswoić tę informację. Nastolatki mi uwierzyły. Zobaczyłam to w ich ciałach, wydętych górnych wargach, kiedy stanęły bliżej siebie. Matka uważnie spojrzała na Lilliego, próbując ocenić, czy mówię prawdę, i na wszelki wypadek mocno tuląc do siebie dziecko. Starsza para wyglądała na nieprzekonaną.

– Co zrobiłem? – spytał Clayton Lilli. – To nieprawda. – Potem powtórzył głośniej, zwracając się do wszystkich: – Nie zrobiłem tego.

Ale ja powiedziałam jeszcze głośniej i wyraźniej:

– Na imprezie dał mi narkotyki, a potem zaciągnął na pufę za siedzibą bractwa studenckiego.

– To nieprawda – powtórzył Lilli, zwracając się do starszego mężczyzny, nie do mnie. Poczułam, jak szczęki mi się zaciskają.

– A potem mnie zgwałcił – dodałam. Bardzo głośno, bardzo wyraźnie. Bez drżenia w głosie.

Jakże długą drogę pokonałam tamtego dnia w Circle K. Dziewczyna, która nigdy nie wypowiedziała tego słowa, teraz wykrzykiwała je w parku, wyjawiała prawdę przed jedynym składem sędziowskim, przed jakim Clayton Lilli kiedykolwiek stanie.

Lilli przełknął ślinę, a ja poczułam, że moje dłonie znowu zaciskają się w pięści. Jego pies wyczuł, że zaraz dojdzie do przemocy, bo znowu zaczął idiotycznie gardłowo warczeć.

– Przestań! – krzyknął mężczyzna z koca, a ja tylko się uśmiechnęłam.

William stał za mną, bardziej rozluźniony po tym, jak usłyszał potwierdzenie. Pozwalał, żebym robiła, co uważam za słuszne. Popierał mnie. Byłam z tego zadowolona, ale wołałabym, żeby na jego miejscu stał Walcott. Tak bardzo pragnęłam jego obecności, że dosłownie mnie zemdliło. Wiedziałam, że gdybym do niego zadzwoniła, to – pieprzyć potrzebę przestrzeni – na pewno by przyjechał. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. To on mnie znalazł, wołając: „Hop-hop! Hop-hop!”. To on mówił za mnie, kiedy ja nie mogłam mówić. Postanowił pokochać Natty’ego, chociaż zmieniło to całe jego życie, które stało się poważniejsze niż życie większości studentów. Zaslugiwał na to, żeby też kilka razy walnąć tego dupka.

– Proszę pana – sceptyczny mężczyzna z koca zwrócił się do Claytona Lilliego. – Mam wezwać policję? – Sam sobie przyznał rolę przywódcy.

– Nie – odparł Lilli. Gapił się na mnie z przerażeniem. – Proszę tego nie robić.

Te słowa sprawiły, że dwoje ostatnich sceptyków ze składu sędziowskiego przeszło na moją stronę. Dosłownie poczułam, jak zaczęli mi wierzyć, widziałam, że patrzą na Lilliego innym wzrokiem. Publicznie w parku rozkwaślałam mu nos. Wspierał mnie ogromny ochroniarz, który mu groził. Niewinny człowiek oczekiwałby pomocy policji. Zobaczyłam, że wszyscy, nawet ten interweniujący mężczyzna z koca, uświadamiają sobie, kim jest Clayton Lilli. On chyba też to poczuł. Rozejrzał się wokół i powiedział:

– Nie zrobiłem tego. Tego, co ona twierdzi. Oboje byliśmy pijani.

– Ja wypiałam tylko coś z odrobiną rohypnolu – rzuciłam dziarsko, na co on – słowo daję – zbladł.

– To nie tak. – Jego głos zabrzmiał prawie płaczliwie, jak u przestraszonego dziecka.

Znowu się rozejrzał. Matka tak mocno przycisnęła do siebie dziecko, że aż dziw, że jeszcze oddychało. Chłopczyk próbował wywinąć się z jej uścisku. Dziewczyny patrzyły na Claytona Lilliego jak na jakiegoś obrzydliwego robala.

Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

– Przysięgam ci...

Nie znalazł ani cienia litości na mojej twarzy, bo jej tam nie było. Wtedy

zrozumiałam, jak naprawdę mogę mu się odplacić. Niepewnością. Mogłam obdarzyć go niepewnością, z którą ja sama żyłam przez lata.

Powiedziałam niskim, bardzo poważnym głosem, patrząc mu prosto w oczy:

– Wiesz, po jakim czasie gwałt ulega przedawnieniu w tym stanie? – Sama tego nie wiedziałam, ale byłam pewna, że po wielu latach. Po dziesięciu albo piętnastu. – W każdej chwili mogę pójść na policję.

Zobaczyłam strach w jego oczach, ale odpowiedział:

– Przynajmniej wysłuchają mojej wersji.

To prawie mnie powstrzymało. Z powodu Natty'ego mogłam tylko blefować, że pójdę na policję. Nie wycofałam się.

– To nie będzie moje słowo przeciwko twojemu. Mam świadka. Po wszystkim znalazł mnie mój przyjaciel Walcott. Zobaczył, w jakim stanie mnie zostawiłeś, nieprzytomną na dworze. Widział, że ktoś mi dał narkotyki. – Lilli pokręcił głową, a wtedy zaczęłam kłamać na całego, dodając odrobinę prawdy, żeby moje słowa zabrzmiały przekonująco. – Zbadano mnie, żeby potwierdzić gwałt. Mam twoje DNA. Mam wyniki badania krwi, które udowadniają, że dałeś mi narkotyk. – Przełknął ślinę, jego jabłko Adama podskoczyło. Strzelał oczami na boki. Sędziowie w parku słyszeli wszystko, a on widział, że teraz są po mojej stronie.

Schylił się, wziął na ręce swojego oszalałego psa i mocno go przytulił. Kiedy się wyprostował, zobaczyłam, że jego oczy są mokre i zaczerwienione.

– Nie zrobiłem tego – wymamrotał niewyraźnie. – Byliśmy pijani. Ale pamiętam, że powiedziałaś...

– Ja tego nie pamiętam. Tak działa pigułka gwałtu – tłumaczyłam takim tonem, jakbym wyjaśniała podstawy matematyki najgłupszemu dziecku na świecie. – Mogłam nawet powiedzieć, że cię kocham, ale nie byłaby to prawda ani przyzwolenie.

– Właśnie to powiedziałaś. – Skrzywił zakrwawioną twarz i teraz już otwarcie się rozplakał.

Poczułam okropny instynkt macierzyński. Miałam niewypowiedzianą potrzebę, żeby go poklepać po plecach, co było niesprawiedliwe i czysto biologiczne. Tylko dlatego, że drżąca warga – tak podobna do warg Natty'ego – była umazana krwią i śluzem z nosa. To takie niesprawiedliwe, że potrafił wywołać we mnie współczucie, bo jego łzy ciekły po kościach policzkowych tak

samo zarysowanych jak u Natty'ego.

– Przepraszam – powiedział. – O Boże, tak bardzo cię przepraszam. Ale przysięgam, że cię nie zgwałciłem, Mandy.

Tego było już za wiele.

– Mam na imię Shandi, ty gówniarzu. A teraz idź do domu i sprawdź, kiedy gwałt ulega przedawnieniu. Zobacz, ile lat mi zostało na podjęcie decyzji, czy oddać cię w ręce policji.

Błagalnym wzrokiem spoglądał na osoby w parku, ale skład sędziowski twardo stał po mojej stronie. W końcu odwrócił się ze swoim najeżonym psem na rękach i odszedł. Po paru krokach zaczął biec. Potykał się o własne nogi, wyglądał tak żałośnie. Przygarbiony, biegł przez park do domu, a my patrzyliśmy za nim, wydając na niego wyrok.

– Panienko? – Mężczyzna z koca zwrócił się do mnie, tym razem pojednawczym tonem. – Mam wezwać policję?

Jego łagodny głos sprawił, że poczułam się szczęśliwa, oczyszczona z zarzutów.

– Nie, dziękujemy – odparł William uprzejmie. – Zawiozę ją do domu.

Ciężko dyszałam i ledwie powstrzymałam się, żeby nie zacząć tańczyć. Clayton Lilli był przekonany, że w każdej chwili mogę pójść na policję. Niech się boi do końca życia. Niech go zżera świadomość, że mogę wkroczyć i na zawsze zmienić jego życie, a on nie będzie miał nic do powiedzenia.

William wziął mnie za rękę i pociągnął przez park w przeciwnym kierunku niż ten, który wybrał Clayton Lilli. Zeszliśmy z oczu ludziom z parku i oddaliliśmy się od jego samochodu.

Ścisnęłam jego dłoń i poszłam z nim. Poruszaliśmy się tak szybko, że lekki wietrzyk odczuwałam niemal jak wichurę, jakbyśmy frunęli.

Wyszliśmy na ulicę, na której znajdowało się pełno sklepików i dwie jeszcze zamknięte restauracje. William z irytacją spoglądał to na jedną, to na drugą.

– Nigdzie tu nie można zjeść śniadania? Przydałaby ci się szklaneczka burbona – zauważył, jakby burbon powinien znajdować się w każdym menu śniadaniowym, razem z jajkami i tostami.

– To Midtown. Tu podają tylko brunchy – wyjaśniłam. – Zresztą nie potrzebuję burbona.

– Potrzebujesz. Masz zbyt szybki puls. – Uświadomiłam sobie, że wcale nie trzymaliśmy się za ręce. William ujął moją tylko po to, żeby zacisnąć dwa palce na nadgarstku.

– Doktorze Ashe, proszę przestać mierzyć mi puls. Nic mi nie jest. Jestem tylko trochę nakręcona – powiedziałam. – Widziałeś, co tam zrobiłam? Zniszczyłam go.

William pociągnął mnie z powrotem do parku, do najbliższej ławki. Posłusznie poszłam za nim. Majstrował przy moich palcach, jakby teraz, kiedy już przestał mierzyć mi puls, zapomniał, że trzyma moją dłoń.

– Nie przypuszczałam, że Clayton Lilli okaże się taki żaloszny – zauważyłam. Mój potwór stworzony z ziemi był bezkształtny i niezdarny, pozbawiony twarzy i przerażający, a jego ogromne, brudne dłonie ociekały czerwoną gliną, kiedy się nade mną pochylał. – Od tamtego dnia w Circle K próbowałam go sobie wyobrazić. Zupełnie nie przypominał tego, co dziś zobaczyłam.

William posadził mnie na ławce i znowu ujął mój nadgarstek.

– Od tamtego dnia w Circle K? Nie wcześniej? Weź trzy głębokie oddechy. – Patrzył na zegarek.

Pokręciłam głową, próbując wciągnąć jak najwięcej powietrza. Teraz, kiedy siedzieliśmy, czułam, jak serce wali mi w całym ciele, ale nie było to nieprzyjemne. Przypominało zwycięskie werble. Jeszcze przez wiele lat myśl o mnie będzie prześladowała Clayтона Lilliego. Niech żyje z tym samym, czego mnie nauczył, ze świadomością, że w jednej chwili może stracić wszystko za sprawą mojego kaprysu.

– Przed Circle K udawałam, że nie istnieje. Pamiętasz, że urodziłam Natty'ego jako dziewczica?

– To interesujące – powiedział William. – To interesujące, że ludzie robią takie rzeczy.

– Jakie rzeczy? – Oddychałam głęboko i powoli się uspokajałam.

– Chowają ludzi i rzeczy w swoich umysłach i udają, że nigdy nie istnieli. Dlaczego coś tak banalnego i przypadkowego jak kula mogłaby to zmienić?

– Wiem tylko, że po Circle K zaczęłam o nim myśleć. Nie o tym, jaki jest naprawdę. Okazał się o wiele bardziej ofermowaty i słabszy, niż to sobie wyobrażałam.

– To też jest interesujące. Możesz rozwinąć temat? – Puścił mój nadgarstek i odwrócił się do mnie twarzą. Patrzył na park, ale uważnie mnie słuchał.

Nie do końca wiedziałam, czego oczekiwał, ale zaczęłam mówić:

– Kiedy wybiłam sobie z głowy to, że był prawdziwym potworem... sama nie wiem. Myślałam, że okaże się, że to jakiś przemądrzały, bogaty studencik z mnóstwem przywilejów. Z takich, którzy w filmach odurzają dziewczyny narkotykami. Albo naprawdę przerażający socjopata z martwym wzrokiem i zepsutymi zębami. A ten golem był tak blady, że widziałam żyły pod jego skórą. Niebieskie i smutne. – Wzruszyłam ramionami, chociaż William tak intensywnie wpatrywał się w horyzont, że na pewno mnie nie widział. – Prawdziwy Golem jest... Jest... – Urwałam. – Nie wiedziałam, jak to określić.

– Jest człowiekiem – dokończył William.

Prychnęłam. Nie zasłużył na to miano.

– Jest zwierzęciem.

– Tak – potwierdził William, bardzo podekscytowany. – Jest tylko zwierzęciem, jak ty i ja.

– Nie jak my – zaproponowałam natychmiast. – Zamówimy taksówkę? Później będziesz musiał wrócić po samochód.

Chciałam stąd sobie pójść. Już nigdy nie wrócę do Midtown. Ani do Buckhead, gdzie pracował Clayton Lilli. Natty i ja musieliśmy zostać na wschodzie, w Morningside, Poncey-Highlands i Decatur. W czteromilionowym mieście nasze ścieżki na pewno się nie skrzyżują. Teraz Midtown wydawało mi się terytorium wroga, a moja moc skrzywdzenia Lilliego polegała na jego niepewności. Już nigdy w życiu nie chciałam go widzieć.

William mnie nie słuchał. Znowu zniknął w swojej głowie. Siedział na ławce, nie zwracając uwagi na otaczające go miasto, budzące się po nocy. Poranne niebo jaśniało, a światła lamp zrobiły się złociste. Zanosilo się na upalny dzień. Na najbliższe ulice już zaczęły wyjeżdżać samochody.

– William! – zawołałam.

Drgnął, spojrzał na mnie i zrozumiałam, że nie słyszał, kiedy go pytałam o taksówkę.

Uśmiechnął się, a ja miałam wrażenie, że wciągnął w siebie całe poranne światło. Był złocisty i piękny.

Wychylił się w moją stronę, a ja pomyślałam: Naprawdę? Tutaj? Właśnie teraz?

Ale byłam gotowa. Bardziej niż gotowa. Kiedy ostatnio byliśmy tak blisko pocałowania się, celowano do nas z pistoletu, więc obecne okoliczności na pewno nie były mniej odpowiednie. Poczułam, jak mój kręgosłup się prostuje, ciało wyciągnęło się w jego stronę, a oczy zaczęły się zamykać.

On jednak miał otwarte oczy, patrzył przeze mnie na jakiś wymyślony krajobraz.

Powiedział, za bardzo zbliżając twarz do mojej:

– Wiem, jak naprawić Natty'ego.

– Co? – Na dźwięk imienia mojego syna natychmiast podniosłam na wpół opuszczone powieki. William wstał raptownie, cały aż drżał z podniecenia.

– Stevie to tylko człowiek – powiedział.

– Stevie? – spytałam, zupełnie skołowana, i dopiero po sekundzie uświadomiłam sobie, o kim mówi. – Ten Stevie, który cię postrzelił?

– Technicznie rzecz biorąc, postrzeliła mnie stopa pani Grant. Ale tak. Ten Stevie. Steven Parch. – Na twarzy Williama znowu pojawił się ten piękny, pełen światła uśmiech, ale nie był przeznaczony dla mnie. William uśmiechał się do swojego pomysłu. Po chwili wypowiedział najbardziej szalone słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam: – Musimy zabrać Natty'ego do szpitala. Powinien uważnie przyjrzeć się Steviemu. Stevie nie ma kłów ani ogromnych pistoletów zamiast rąk. Natty musi zobaczyć, że Stevie to tylko człowiek. Cichy, śpiący człowiek.

Wysłuchałam go i stwierdziłam, że to szaleństwo. Szaleństwo, ale jednocześnie...? Pomyślałam, że może się udać.

Natty przycupnął na szarym, granitowym blacie w kuchni i kopie jedną nogą drzwiczki szafki. Robi sobie sok z mieszanych owoców w kubku niekapku. William go nadzoruje. Podtrzymuje kartony, z których Natty nalewa sok – najpierw pomarańczowy, potem ananasowy.

– Będzie mnie widział? – pyta Natty.

– Nie, nie zobaczy cię – odpowiada William. Steven Parch nie może zobaczyć nikogo. Ale Natty dalej kopie szafkę i marszczy poważne, proste brwi. – Nie zobaczyłby cię, nawet gdybyś stanął tuż obok. Ale będziesz na innym piętrze, z mamą. Mogę odstawić karton?

W chwili kiedy Natty potakuje, rozlega się dzwonek do drzwi. Obcasy butów Shandi stukają i klekoczą po podłodze, kiedy idzie otworzyć. Gdy dźwięk ten cichnie, William dostrzega, że całe pomieszczenie pełne jest ostrych kątów. Dźwięki odbijają się od bezlitosnych powierzchni, spotęgowane i wyostrzone.

– Już tam byłeś, pamiętasz? To ten sam szpital, w którym mnie odwiedziłeś. Nie będziesz bliżej niego niż wtedy, kiedy wszedłeś do mojej sali.

Natty nie odpowiada. Bierze pełen kubek i wciąga dolną wargę, usiłując go zakręcić. William nie próbuje mu pomóc. Lekko się odchyła, kiedy kropelki soku tryskają na szorty Natty'ego. Podziwia niezależność, właściwą trzylatkom, a może tylko Natty'emu. Ma za małą wiedzę, żeby zdecydowanie stwierdzić, jakie jest trzyletnie dziecko.

Trzyletni Natty chce pomagać. Chce pomagać przy wszystkim. Jego ulubione zdanie to „Sam to zrobię” – czy rzeczywiście potrafi to zrobić czy nie. Próbowalby poprowadzić samochód, gdyby Shandi dała mu kluczyki do volkswagena. Może powinna. Jej auto rozmiarem pasuje do Natty'ego.

Shandi wpuszcza kogoś do domu. Z salonu dobiega głos jakiegoś mężczyzny.

– Nie zawsze można się zakochać w sezonie na jeżyny – mówi mężczyzna.

William wyraźnie słyszy każde słowo. Akustyka w tym wysokim mieszkaniu pełnym ostrych kątów jest doskonała, a mężczyzna mówi powoli. Jego ton jest oficjalny, jakby mężczyzna wygłaszał przemówienie.

– Możesz wstąpić do wielu mrocznych komnat bez tego...

– Walcott! – woła Natty, a jego twarz się rozjaśnia.

Próbuje zeskoczyć z blatu i połamać sobie kości na zimnej podłodze wyłożonej terakotą.

William go łapie, podnosi do góry i mówi:

– Zaczekaj.

Walcott recytuje dalej:

– Albo zdjąć uschnięte liście z jego jesiennych włosów i zobaczyć, co jest pod spodem.

Te słowa są osobiste i brzmią bardzo intensywnie. William nie powinien ich słyszeć.

– Postaw mnie – domaga się Natty. – Walcott przyszedł!

Wije się i osuwa na dół, w czym pomaga mu grawitacja. William, nieprzygotowany, musi go postawić albo upuścić. Kiedy tylko tenisówki Natty'ego dotykają podłogi, chłopczyk biegnie do salonu. William idzie za nim z silnym przekonaniem, że jego pojawienie się w tym momencie to nie najlepszy pomysł.

Shandi stoi tyłem do nich, trzyma całe naręczce kwiatów. Ogromna, chaotyczna masa dzikich kwiatów, fioletowych i złotych, wysypuje się z papierowego opakowania. Walcott, chłopak, który był na niego tak zły w szpitalu, stoi w kłapkach przed Shandi i czyta z kawałka pogniecionego papieru do drukarki.

– Ale jeżeli dzieje się to w królestwie jeżyn, będziesz jedyną z jedynych...

Kiedy Walcott dostrzega Natty'ego, uśmiecha się. A potem, kiedy dostrzega Williama, uśmiech gwałtownie znika z jego twarzy. Wtedy Shandi się odwraca. Oczy ma szeroko otwarte i promienne. Na widok Williama rumieni się i rozchyła usta.

– O, cześć – mówi do niego. – My tylko... – Urywa i bardzo szybko odkłada kwiaty. Łądują w bezładnej masie na ławie.

Walcott składa kartkę.

– Nie wiedziałem, że masz towarzystwo – mówi, a potem porywa Natty'ego w ramiona, – Cześć, Natty Bumpo.

– Walcott! Sam sobie zmieszałem sok – chwali się Natty.

– Super – cieszy się Walcott, po czym zwraca się do Williama. – Kolego, możesz nam dać chwilkę?

Williamowi to się nie podoba, wcale a wcale. To on tak nazywa tych gówniarzy, którzy przychodzą do Pauli na brunch.

– William – mówi i nie rusza się.

– Wiem, jak się nazywasz – odpowiada chłopak, jakby William się przedstawiał, a nie go poprawiał.

Stoją tak, gapiąc się na siebie. William czuje się nieswojo.

Czuje, że ciężar jego ciała przenosi się do przodu, tak że niemal wspina się na palce. Walcott też wychyla się w jego stronę, prostuje plecy. Między nimi stoi Shandi. Czy William naprawdę chce zmierzyć się z tym chłopcem?

William i Shandi byli na jednej nietypowej randce, która skończyła się serią wstrząsających odkryć. William ledwie zaczął rozważać zamianę, wybór innego życia. Po co więc ta zwierzęca postawa? To absurdalne, ale nie da się zaprzeczyć, że jego ciało ją przyjmuje.

Czy chodzi o Natty'ego? Zależy mu na nim, ale w spokojny, zrelaksowany sposób: bez poczucia własności, bez prawdziwej odpowiedzialności, bez desperacji. Odkrycie trzylatka poprzez Natty'ego jest słodko-gorzkie. William nie potrafi wyobrazić sobie Twyli jako sześciolatki. Jako dziewięciolatki. Brakuje mu punktu odniesienia. Ale Natty daje mu wgląd w to, jak zachowuje się trzyletnie dziecko.

Trzylatek nie wyczuwa testosteronu i podtekstów. W ciszy, jaka zapadła, Natty oświadcza:

– Walcott, idziemy odwiedzić Steviego. Powinieneś pójść z nami.

– Steviego? Jakiego Steviego? – pyta Walcott, po czym szeroko otwiera oczy i pyta Shandi z niedowierzaniem: – Tego, który na was napadł?

– Natty'emu się wydaje, że nocą Stevie przychodzi do jego pokoju.

– Nie możemy całkiem zakleić jego dziury w szafie – dodaje Natty.

Walcott uśmiecha się, słuchając nienagannej dykcji Natty'ego.

– Nie całkiem, hmm? Dobrze. Ja ją zakleję.

Jakby miał nadludzką moc zaklejania dziur. To absurdalne. William rozdyma nozdrza.

– Terapeuta Natty'ego uważa, że pomogłoby mu, gdyby zobaczył prawdziwego Steviego z bezpiecznej odległości. – Shandi podchodzi do Williama i lekko kładzie dłoń na jego ramieniu. – To był pomysł Williama.

Kiedy jej ciało zmienia położenie i przysuwa się do Williama, napięcie opada. W każdym razie napięcie Williama. Nie Walcotta. Walcott robi kilka kroków w ich stronę, próbując odtworzyć geometrię trzech dorosłych ciał, stojących w takiej samej odległości od siebie, ale William już wygrał, chociaż nawet nie wie, czy tego chciał.

– Shandi, mogę chwilę z tobą porozmawiać? – prosi Walcott. – Na osobności.

– Będę na górze – odzywa się William i usuwa samego siebie z resztek rywalizacji. Przechodzi przez pokój i idzie na schody, zadowolony, że włożył buty do biegania z miękkimi podeszwami, które nie stukają i nie robią innego hałasu. Kiedy tylko znika im z oczu, Shandi zaczyna mówić:

– Tak się cieszę, że przyszedłeś! Próbowałam dać ci więcej przestrzeni, ale przestrzeń jest do dupy.

Akustyka jeszcze nie zapewniła im prywatności. William równie dobrze mógłby stać w pokoju.

– Tak, to całe honorowe zejście z pola walki – ja tak nie potrafię. Nie potrafię rzucić ręcznika na ring i odejść ze spuszczoną głową jak ofiara losu, kiedy choćby zmarszczysz brwi. – William coraz wyżej wspina się na schody i głosy Shandi i Walcotta stają się coraz cichsze. – Już nie wspominając o tym, że jesteś moją przyjaciółką i masz za sobą fatalny miesiąc. Musiałbym być skończonym idiotą, żeby teraz zniknąć.

– Walcott, nie znikaj – prosi Natty.

– Nigdy. Przepraszam, ja...

William już ich nie słyszy. Dobrze. Niech ten chłopak spróbuje. Chociaż jeżeli chce mu ułatwić zaloty, to powinien wziąć ze sobą Natty'ego.

Wchodzi na trzecie piętro, gdzie znajduje się otwarta przestrzeń z biurkiem komputerowym i sypialnie po obu jego stronach. Kiedy przyszedł, żeby zakleić dziurę w szafie, sypialnia Shandi była zamknięta. Teraz jest otwarta.

Stoi tam dwuosobowe łóżko z ostrą, metalową ramą i pospolitą pościelą, często spotykaną w hotelach. Łóżko jest niezasłane, biała pościel skotłowana. William wie, że to pokój Shandi, tylko dlatego, że na krześle wisi jaskrawożółta letnia sukienka, a na podłodze leżą czerwone sandały w kwiatki.

Teraz już wcale nie słyszy głosów Shandi i Natty'ego. Co jakiś czas dobiega go odgłos niezrozumiałych słów Walcotta, który wypowiada żarliwe słowa i nie panuje nad poziomem głośności.

William kręci głową. Cieszy się, że znajduje się całe dwa piętra nad nimi. Chłopak w kłapkach przegrywa w równaniu albo-albo. Kiedyś William też przegrywał w podobnym, lecz o wiele trudniejszym równaniu, kiedy co tydzień jeździł do klasztoru, w którym zamknęła się Bridget. Przez dziewięć miesięcy chodził wokół murów, nieustępliwie, nie mogąc zobaczyć nawet jej włosów.

Walcott ze swoją poezją i kwiatami popełnia taktyczny błąd. Powinien się usunąć w cień. William przestał krążyć wokół klasztoru na trzy miesiące, zanim Bridget złożyła śluby, chociaż nie była to świadoma taktyka. Przestał, bo przegrał. Wiedział, że w albo-albo Bóg kontra William, Bóg wygrał. Wygrywał za każdym razem.

Tygodnie, które nastąpiły po tym, jak się pogodził z tym faktem, nie były dobre.

Wtedy nie rozumiał mechaniki tych wydarzeń. Nie przyszło mu do głowy, że kiedy przestał przychodzić, usunął siebie z równania. Bridget już nie miała mocy dokonywania wyboru i to wtedy ona przyszła do niego.

Pojawiła się w progu jego domu w zimne, szare sobotnie popołudnie w marcu. Przez cały ranek zanosilo się na wiosenną burzę. Na przemian mżyło i lało jak z cebra. Słońce od godzin nie wychodziło zza chmur. Bridget pięścią załomotała w drzwi, na tyle głośno, że usłyszał to poprzez dudnienie deszczu o dach. Kiedy otworzył drzwi, stała na małym, kwadratowym ganku, załamując ręce.

Deszcz siekł ją z ukosa. Włosy w mokrych, rudych strąkach oblepiały jej twarz i szyję. Miała wyprostowane plecy.

Pytającym tonem wypowiedział jej imię, całe jego ciało wibrowało.

Bezradnie wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Nie słyszę Boga.

To wydało mu się zdrowe, ale dla Bridget ta sytuacja była wyjątkowo trudna. Szerzej otworzył drzwi i powiedział:

– Wejdz. Strasznie leje.

– Chyba nie powinnam? – To zdecydowanie było pytanie, a on zaczynał rozumieć, dlaczego przyszła. – Wiesz, z kim rozmawiałam przez cały miesiąc? Nie z Bogiem. Rozmawiałam z tobą. To straszliwe bluźnierstwo. Nocami leżałam i rozmawiałam z tobą. Kiedy odmawiamy godzinki, ja w myślach piszę do ciebie długie listy. Bóg ode mnie odszedł. Zniknął. Co mam z tym zrobić?

– Nie wiem, nie jestem wierzący – oświadczył William bardzo oschle, a Bridget niemalże parsknęła śmiechem, tak wielkie było to niedopowiedzenie. Potem pokręciła głową.

– Czuję powołanie od szóstego roku życia, a teraz, kiedy jestem tak blisko, On przestaje do mnie mówić? Powinnam słyszeć Jego głos nawet podczas największej burzy. – Nasadą dłoni otarła łzy, a może krople deszczu, po czym zacisnęła usta i spojrzała Williamowi prosto w oczy. – Może to dobrze? Może tak być powinno? Może to wiadomość, wezwanie mnie tutaj? Jeżeli jeszcze mnie chcesz.

Oczywiście, że ją chciał. Zawsze ją chciał. Jakie to głupie, jakie urocze, że mogła w to wątpić.

Jego ciało patrzyło na Bridget z zarumienionymi policzkami, przemokniętą do suchej nitki, nerwowo wykręcającą dłonie. Oddychała spazmatycznie, jej źrenice rozszerzyły się, tworząc wielkie czarne koła. To wszystko było co najmniej przyzwoleniem. Wysyłała czytelny, zwierzęcy zew, na który jego ciało zareagowało.

Chciał wnieść ją do środka i zamknąć drzwi. Wiedział, że lepiej nie zabierać jej do sypialni. Przejście długim korytarzem wiele mówiło o jego intencjach. Nie, lepiej niech się położy na grubym dywanie przed kominkiem. Ta wiedza sprawiła, że poczuł pełną wdzięczności miłość do Pauli i kobiet, które pojawiły się po niej. Dzięki nim dokładnie wiedział, jak zdejmować mokre ubranie z kobiety. Żadnego szarpania się z haczykami i paseczkami. Znał tysiąc rzeczy, które mógłby wypróbować na jej bladym ciele nowicjuszki. Mógłby je robić, wszystkie, aż by zapomniała o nieśmiałości, aż odgięłaby głowę do tyłu, ustępliwie rozluźniłaby ciało i otworzyła się dla niego.

Chciała, żeby to zrobił. Po to przyszła.

Ale William nie był tym samym chłopcem co wtedy, gdy Bridget po raz pierwszy wyznała mu miłość, w brudnym mieszkaniu Pauli. Dorósł do swojego ciała ze wszystkimi jego ognistymi żądzami i niewytłumaczalnymi uczuciami. Już nie miało go w posiadaniu. To on panował nad nim.

Bridget nie przyszła do niego nienaruszona, nietknięta w tej kompletności, którą dostrzegł, kiedy niszczyła rabatę w Śniętym Parku, żeby go odbudować. Zakonnica była oblubienicą Boga. Przeżywała tylko tremę przed zaślubinami. „Może to nie Bóg – mówiła. – Może to ty”. Ale gdyby pozwolił jej sformułować pytanie w postaci albo-albo, przegrałby.

Jak jednak mógł się powstrzymać, skoro była taka piękna? Wyszedł bosy na zacinający deszcz i w końcu ją objął. Jego ręce przyciągnęły ją do niego. Nie mógł tego powstrzymać. Nie teraz, kiedy Bridget pragnęła należeć do niego. Rozumiał, że tylko na chwilę.

Podniósł ją i przytulił całą do siebie. Buty jej spadły z nóg, kiedy przycisnął usta do jej ust. Rozluźniła się w jego ramionach i mocno objęła go za szyję.

Nie mógł stawiać murów między nimi a światem. Jeżeli wniesie ją do domu, nie pogawędzą przy herbacie. Będzie jej asystował w popełnianiu pełnym zgrozy grzechu. Stanie się. Będzie jej nowym doświadczeniem, błędem potwierdzającym słuszność jej wyboru. Stanie się jej miłym wspomnieniem, a może tylko jej żalem.

Jeżeli będzie chciał ją zatrzymać, do seksu może dojść dopiero po sakramencie.

Zostawił drzwi otwarte za nimi i zniósł ją po schodkach, na deszcz, na zimną, wiosenną burzę. Ogromne krople uderzały o ich ciała, tylko ich chłód powstrzymywał go przed tym, żeby położyć ją i wziąć na trawie. Krople deszczu moczyły ich, zamykały im oczy, kazały mocniej się przytulać. Nie mogły wnikać w żar między nimi.

Ucałował jej usta, szyję, mokre, opuszczone powieki.

– Nie możesz zostać zakonnica – powiedział głosem tak zachrypłym, że zabrzmiał jak obcy. – Kochasz mnie. Ale możesz zostać moją żoną i nadal należeć do Boga. Nadal być katoliczką. Te dwa stany nie wykluczają się nawzajem. – Raz za razem wypowiadał te same słowa. – Te dwa stany nie

wykluczają się nawzajem. – Wypowiadał je tuż przy jej skórze, a zimny deszcz wpadał mu do ust. Wypowiadał je, jakby jednak były romantyczne.

Bridget kurczowo się go czepiała, a on wypowiadał te słowa w jej włosy, w policzki, w szczękę. Odchyliła głowę i pozwoliła, żeby deszcz padał jej na twarz. Wypowiadał je z ustami przyciśniętymi do pulsującej tętnicy na szyi, czując pomarańczowo-ziołową woń katalizatora, który sam wyprodukował, zmieszany z jej zapachem.

Objęła dłońmi jego twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Na jej twarzy pojawił się wyraz, którego William nie znał.

– Tak bardzo za wami tęskniłam. A byliście obaj tu, na tym podwórku. Obaj jesteście w deszczu i ziemi.

Powiedziała to ze śmiechem. Należała do niego. Nie wygrał albo-albo. Nigdy tego nie wygrał, ale i tak należała do niego.

Taki był ostatni akt zalotów. William odprowadził ją w deszczu do domu jej rodziców i wszedł razem z nią, przynosząc im rozczarowanie. Nawrócił się. Ożenił się z nią. W noc poślubną doszli razem, jakby byli nieśmiertelni.

– William? – woła Shandi.

Wzdryga się i odwraca, zadowolony z tego, że mu przeszkodzono. Nie może tu stać i patrzeć na łóżko jednej kobiety, tęskniąc za inną. Ten dysonans sprawia mu fizyczny dyskomfort.

Dramat na dole już się zakończył, ale William nadal stoi tu, wspominając deszcz na twarzy i bezsensownie kibicując Walcottowi. Są tacy młodzi. Walcott nie wie, co ryzykuje.

– William, musimy już iść! – woła Shandi. Nie musi robić tego teraz. Nie dzisiaj. Dzisiaj musi tylko pójść i spojrzeć na mężczyznę, którego nie całkiem zabił.

*

Stevie, który nawiedza pokój Natty'ego, jest ogromny i zębaty, z pistoletami zamiast rąk. Prawdziwy Stevie był marnym, małym człowieczkiem. Prawdziwy Stevie miał śluz na górnej wardze i stary, rdzewiejący rewolwer. Bezlitośnie

sprawował władzę. William chce, żeby Natty takiego go zobaczył.

Psycholog Natty'ego przekonała Shandi, że bezpośrednia interakcja może być zbyt stresująca. Zmodyfikowała plan Williama. William ustawił swojego MacBooka w bufecie, a Shandi poprowadziła Natty'ego przez ciche skrzydło szpitala. Pokazała mu łóżka z odpoczywającymi ludźmi, wyjaśniła, że ranni muszą leżeć i że lekarze i pielęgniarki co chwila sprawdzają ich stan zdrowia. Psycholog podpowiedziała jej, jak wytłumaczyć śpiączkę trzylatkowi, i Shandi postąpiła zgodnie z jej wskazówkami. Ta część poszła dobrze. Teraz czekała ich część druga.

Shandi i Natty siedzą przed MacBookiem przy włączonym programie do prowadzenia wideorozmów. William idzie z iPadem na górę, do sali Steviego. Dzięki kamerze w iPadzie William może z bezpiecznej odległości pokazać Natty'emu uspokajające rzeczy: policjanta pod drzwiami, spokojny pokój, nieruchomego i cichego Steviego. William może wysyłać wybrane zdjęcia albo relację wideo na żywo, w zależności od tego, jak strasznie wyglądają rurki, do których podłączony jest Stevie.

Mija dyżurkę pielęgniarek. Technicznie rzecz biorąc, to nielegalne, by William, ofiara napadu, odwiedzał Steviego, ale kiedy Stevie został odłączony od respiratora, przeniesiono go z intensywnej terapii. Potrzebowali łóżka, więc przysparzał teraz zmartwień pielęgniarkom, dopóki nie zostanie umieszczony w domu opieki społecznej. William macha do młodej pielęgniarki, która opiekuje się Steviem, a ona z uśmiechem odwzajemnia jego powitanie. Jediną prawdziwą przeszkodą jest policjant stojący pod salą, ale detektyw Bialys już z nim to załatwił.

William skręca w prawo, mijając sale, których numery rosną. Od pokoju Steviego dzieli go już niewiele pokoi, kiedy trafia na krótki korytarzyk skręcający w lewo. Niewiele większy niż nisza w ścianie. Stoi tam kilka krzeseł, wieszak z gazetami i automat z colą.

Na jednym z krzeseł siedzi dziewczyna. Wygląda tak znajomo, że William przystaje. Nie od razu ją rozpoznaje, ale zna ten profil, proste włosy w odcieniach brązu i burgunda, z rozdwojonymi końcówkami. Robi dwa kroki w jej stronę. Dziewczyna wyczuwa to i odwraca się do niego. Gwałtownie wciąga powietrze i zrywa się na równe nogi. Ona też go zna. Jest bardzo pulchna, ma

na sobie obcisłą spódniczkę, a jej duże piersi wylewają się z głębokiego dekoltu T-shirtu.

Na jednej piersi widać wytatuowanego czarno-żółtego ptaka. William zna tego ptaka, to upierzone stworzenie, i rozpoznaje dziewczynę, jeszcze zanim ta zaskoczona otwiera usta, odsłaniając połamane przednie zęby.

To ta szlochająca kasjerka z Circle K, wyjęta z kontekstu i wrzucona do poczekalni przy szpitalnym pokoju Steviego.

Dziewczyna próbuje szybko go wyminąć, skręca w lewo, ale William wykonuje taki sam ruch i blokuje jej drogę.

– Będziemy się gonić? – pyta z niedowierzaniem.

Dziewczyna przetyka ślinę, strzela oczami na boki i wycofuje się w kierunku automatu z colą. William wchodzi z nią do korytarzyka, na co ona reaguje paniką. Znowu biegnie na niego, udaje, że chce skręcić w lewo, po czym rzuca się w prawo, sygnalizując każdy ruch. William cofa się i robi krok w jej stronę, zagradzając jej drogę, ale bez kontaktu fizycznego.

Zdażył już dodać dwa do dwóch. To dziewczyna Steviego.

To od niej Stevie dowiedział się, kiedy Grantowie opróżniają sejf, żeby zawieźć gotówkę do banku. Nie może powstrzymać podziwu dla tego, jak dobrze udawała – jak oboje dobrze udawali – że nie działają wspólnie. Stevie kazał jej razem z innymi położyć się na podłodze. Nawet kiedy napad nie poszedł po jego myśli, Stevie kazał jej siedzieć pod ścianą z innymi zakładnikami, chroniąc ją. Przez cały ten czas była jego współnikiem, a nieudawany strach sprawił, że łatwiej jej było przykucnąć i zachowywać się jak ofiara.

Dziewczyna nieruchomieje i strzela oczami na boki, szukając drogi ucieczki. William szeroko rozkłada ręce, żeby mogła ocenić jego rozmiary.

– To na nic – mówi. – I tak cię złapię.

Pieńki jej połamanych zębów wbijają się w dolną wargę, a William powstrzymuje się od tego, żeby nie skrzywić się na ten widok. Przesuwa językiem po powierzchni własnych zębów, sprawdza je i ruch ten wywołuje w nim uczucie *déjà vu*.

Kasjerka wycofuje się do najbliższego krzesła. Opada na nie bezradnie.

Kolejny fragment układanki trafia na swoje miejsce i William pyta:

– Czy to ty podpaliłaś mój samochód?

Dziewczyna garbi się, kuli się jeszcze bardziej.

– Nie? – odpowiada, pytając, czy William przyjmie jej kłamstwo.

Ale czas by się zgadzał. Wcześniej tego samego dnia wuj Steviego zgodził się na odłączenie go od respiratora.

– Podpaliłaś mój samochód – tym razem stwierdza William. – Wstań.

Policjant stojący pod pokojem Steviego może ją do czegoś przykuć kajdankami, a William zadzwoni po Bialysa, żeby po nią przyszedł. Dziewczyna podnosi się, wciąż zgarbiona, z rękoma zgiętymi w łokciach i dłońmi splecionymi na brzuchu. William patrzy, jak dziewczyna wciska ręce w brzuch. Kasjerka w Circle K przypominała wyższą, pełniejszą wersję Shandi. Shandi ma figurę typu klepsydra, jest niezwykle wąska w talii, ale ta dziewczyna utyłła. Ręce wciska w brzuch, osłaniając go.

Jest w ciąży. Jeszcze nie zaawansowanej. Ale widocznej teraz, kiedy uważnie jej się przyjrzał.

„Ja też jestem tatusiem” – powiedział Steven Parch. William odebrał to jako przechwałkę, ale może był to przekaz dla matki jego dziecka, siedzącej pod ścianą z innymi zakładnikami.

Dziecko Stevena Parcha istnieje.

Odzywa się słuchawka telefonu w jego uchu. William sprawdza telefon. To Shandi. Pyta, dlaczego jeszcze nie uruchomił programu.

William stuka w Bluetooth i mówi:

– Biurokracja. Dasz mi chwilkę? Muszę to załatwić z policjantem.

– Dobrze – odpowiada Shandi.

William rozłącza się bez słowa, jak Bialys, chociaż Shandi już brała oddech, żeby dodać coś jeszcze. William ma nadzieję, że tylko jakieś uprzejmości. Całą uwagę skupił na dziewczynie przed sobą.

Łzy płyną po jej policzkach, tworząc czarne smugi z tuszu do rzęs. Teraz bardziej przypomina tę kasjerkę, którą zapamiętał.

– Jak się nazywasz? – pyta William. Nie pamięta jej imienia.

– Carrie. Carrie Miller. Co zrobisz?

Co powinien zrobić z dziewczyną w ciąży, na tyle głupią, by dosłownie wrócić na miejsce zbrodni? Pewnie przychodzi tu prawie codziennie, próbując podsłuchać jakieś informacje o stanie zdrowia Steviego. Kiedy je usłyszała,

nieudolnie usiłowała wysadzić w powietrze czyjś samochód.

– Nie wiem.

– Jeżeli każesz mi stąd wyjść, myślę, że umrze. Siedzę tu i modlę się o jego życie. Nie każ mi wychodzić – mówi grubym głosem przez zapchany nos. Szyja i plecy Williama są sztywne z napięcia.

Dlaczego ten dzień jest tak pełen strasznej, beznadziejnej miłości? Najpierw młody mężczyzna recytujący wiersze, a teraz ta zasmarkana, plotąca bzdury dziewczyna. William jest nie lepszy, wspominał, jak zdobył swoją żonę, i jednocześnie gapił się na łóżko innej kobiety. Wszystkie te wyolbrzymione, nieposkromione ludzkie uczucia. Co po nich, skoro nikt nie wyjdzie z tego żywy?

Carrie kuli się, chroniąc swoją ciążę. Ukrywała się w szpitalu, chociaż jej obecność jest równoznaczna z przyznaniem się do winy. William tylko rzucił na nią okiem i w kilka sekund złożył do kupy całą historię. Białys nie potrzebowałyby nawet połowy tego czasu.

Carrie powinna zostać aresztowana za tamtą głównianą bombę i za współudział w napadzie. Stoi, szlochając i drżąc, rękoma obejmuje poszerzającą się talię. Co za bezwartościowi rodzice trafili się temu biednemu zlepkowi mnożących się komórek.

– Kurwa, kurwa – klnie William. Może później oddać ją w ręce policji. – Chodź. Zabiorę cię do niego.

Teraz dziewczyna gapi się na niego z tak dziką nadzieją, że William nie może tego znieść. Odwraca się, ujmuje ją pod łokieć, razem wychodzą z niszy i idą do pokoju Stewiego.

Policjant pod drzwiami to starszy gość, czyta jakąś powieść. Kiedy się zbliżają, wstaje.

– Jestem William – mówi William i podają sobie ręce. Nie tłumaczy obecności Carrie, a policjant nie pyta.

– Możecie wejść. – Otwiera przed nimi drzwi jak kamerdyner, a potem je zamyka.

Na widok Stewiego Carrie gwałtownie wciąga powietrze. Stevie leży na boku, zwinięty w kłębek, twarzą do wnętrza pokoju. Ma zamknięte oczy, to dobrze, przynajmniej ze względu na Natty'ego. Im bardziej wygląda na śpiącego, tym lepiej. Włosy na głowie mu odrastają, w miejscu, gdzie William go uderzył,

pojawił się brązowy meszek.

Carrie rusza w jego stronę, ale William nadal trzyma ją za łokieć. Kontroluje jej każdy ruch.

– Usiądź – mówi, wskazując na krzesło pod oknem.

– Muszę...

– Nie. Na dole jest więcej ludzi. Jeżeli będą dłużej czekali, mogą tu przyjść. Siadaj. Muszę im wysłać wideo. Nie wchodź przed kamerę i bądź cicho. Później możesz do niego podejść. – Nie dodaje: „A ja zdecyduję, co z tobą zrobić”.

Carrie posłusznie siada na krześle, ale nie odrywa wzroku od Stewiego. Przełyka ślinę i załamuje ręce, wychyla się w jego stronę. William nie potrafi powiązać tego urzeczenia z wychudzonym chłopakiem leżącym na boku. Stevie, którego ona widzi, prawdopodobnie nie jest bardziej realistyczny niż ogromna, zębata wersja Natty'ego.

William podłącza swój iPad do laptopa, na którym uruchamia program do prowadzenia wideorozmów. Bardzo się stara trzymać iPad pod takim kątem, żeby pokazać tylko swoją twarz i ścianę za sobą. Jeszcze nie pokazuje Stewiego, a już na pewno nie Carrie. Na ekranie widzi Shandi i Natty'ego, który siedzi na jej kolanach. Natty ssie palec. Shandi wygląda zza niego, wydaje się spięta.

William rozluźnia twarz, uśmiecha się i woła:

– Cześć, Natty.

– On tam jest? – pyta Natty bardzo cicho.

– Tak. Stoję w jego pokoju i sam widzisz, że nic złego mi się nie dzieje. Jest tu bardzo cicho, bo Stevie jest w śpiączce. Cały czas śpi. Dzień i noc. Nie budzi się ani na chwilę. – To słowa podyktowane przez lekarza. William przeczytał je razem z Shandi. Musi opisać śpiączkę jako specjalny rodzaj nieprzerwanego snu. – Chcesz go zobaczyć? – pyta. Nie potrzeba wysłać zdjęć. Stevie leży nieruchomo, prawie nie widać rurek, tylko przezroczystą sondę włożoną do nosa, a obok stoi stojak na kroplówkę.

– Boję się – odpowiada Natty. On i Shandi mają taki sam wyraz twarzy: ściągnięte brwi, opuszczone kąciki ust. Rzeka się martwi.

– Ja się nie boję – mówi William.

– Ty niczego się nie boisz. – Och, William chciałby, żeby to była prawda.

Siedząca w kącie Carrie próbuje cicho płakać. William ma nadzieję, że szum

i pikanie maszyn w pokoju zagłuszają jej wilgotne pociąganie nosem.

– Mogę zobaczyć tylko kawałeczek? – pyta Natty.

William odwraca kamerę, uważając, żeby nie uchwycić Carrie. Szybko pokazuje Natty'emu Steviego.

– Widzisz, że ma zamknięte oczy?

– Dlaczego on tak pika? – pyta Natty.

– William? – odzywa się Shandi, a William z powrotem kieruje kamerę na swoją twarz.

– To pikanie maszyny, która sprawdza bicie jego serca – tłumaczy. – Jest włączona, bo Stevie w ogóle się nie odzywa, więc muszą sprawdzać, czy wszystko u niego w porządku. Przez tę tubkę go karmią. Tak bardzo chce mu się spać, że nie może się obudzić, żeby coś zjeść.

Pokazuje kardiomonitor, ale tak przechyla iPad, żeby Natty mógł zobaczyć też fragment Steviego.

– Myślę, że ten śpiący mężczyzna to nie Stevie – mówi Natty. Jego głos brzmi już lepiej. Mniej w nim strachu.

– To on – zapewnia go William. Zbliża się do łóżka i celuje obiektyw w twarz Steviego. W umyśle Natty'ego Stevie ma dwa metry wzrostu i pistolety zamiast rąk, więc oczywiście nie rozpoznaje tej wersji. – Widzisz? – Jego twarz się nie zmieniła. Nadal ma krótki, opuchnięty nos.

Po chwili milczenia Natty wciąga powietrze i stwierdza:

– To rzeczywiście Stevie.

– Tak – przytakuje William. – Już nie może przyjść do twojego pokoju. Nigdzie nie może pójść. Nigdy. Jest bardzo chory. Nigdy nie wstanie z tego łóżka.

– William? – pyta Natty. – Dlaczego jesteś smutny?

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało smutno. – Często wskazane jest okłamywać dzieci, ale William nie może tego zrobić. Nie teraz. Odwraca obiektyw kamery na swoją twarz. Teraz Natty powinien widzieć tylko twarz Williama i ścianę za nim. William patrzy i patrzy na Natty'ego. Nie na Shandi, siedzącą, ze zmartwioną miną, za nim. I nie na płaczącą dziewczynę, kołyszącą się i mocno obejmującą brzuch. – Jestem smutny, bo to ja go skrzywdziłem. Musiałem to zrobić. Miał pistolet i popełniał przestępstwo. Nie mogłem

pozwoić, żeby skrzywdził ciebie, twoją mamę albo państwa Grantów. – Nie wspomina o Carrie. Jej nie groziło niebezpieczeństwo. Ale mówi to zarówno Natty'emu, jak i dziewczynie, która tak bardzo kocha tę marną namiastkę człowieka, że podpaliła samochód Williama. – Przepraszam, że tak wyszło. Chciałbym, żeby się obudził. Próbowałem tylko go powstrzymać przed skrzywdzeniem innych.

Natty wychyla się do przodu i jego mała buzia wypełnia cały ekran iPada. Zagląda przez urządzenie w twarz Williama.

– Chcesz go obudzić?

– Tak – potwierdza William. – Bardzo. Wtedy poszedłby do więzienia i już nigdy nie musiałbyś się bać. Tak, chciałbym, żeby się obudził i poszedł do więzienia.

Natty przez chwilę się zastanawia, po czym mówi:

– No to ja też bym chciał. Chcę, żeby się obudził i poszedł do więzienia. Mogę go zawołać, żeby się obudził.

– Myślę, że cię nie usłyszy – odpowiada William.

Williama słyszy, jak Natty bardzo głośno woła z iPada:

– Stevie! – Nie widzi Steviego, tylko Williama, ale dalej woła: – Stevie! Już możesz się obudzić!

Oczy Stevena Parcha otwierają się.

William czuje, jak jego ciało oblewa fala gorąca, chociaż wie, że otwarte oczy Stevena Parcha jeszcze nic nie oznaczają. Pacjenci w śpiączce często otwierają oczy, a nawet poruszają kończynami, nieświadomie stosując się do rozkładu dnia. Tylko ten zbieg okoliczności jest niepokojący.

– Natty, on się nie obudzi – zapewnia William. Stara się zachować neutralny wyraz twarzy. Stevie patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Za parę minut zejdem do ciebie, dobrze?

– Dobrze.

William przerywa połączenie i zamyka okładkę iPada. Odkłada go na stolik na kółkach przy szpitalnym łóżku. W chwili kiedy okładka iPada się zamyka, Carrie przechodzi przez pokój i pochyła się nad Steviem.

– Kochanie? – Całuje go w policzek, wkłada nos pod rurkę i całuje go w zwiotczone usta.

– To nic nie znaczy – mówi William.

Mimo to Carrie nadal się nad nim pochyła i staje się jasne jak słońce, że Stevie spogląda prosto na nią.

– Kochanie? – powtarza Carrie i Stevie mruga oczami. Porusza ustami.

– So sistało? – Parch bełkocze głosem zachrypniętym, od dawna nieużywanym.

William zatacza się do tyłu, jakby ktoś go uderzył. Oczy Stewiego śledzą ten ruch. Spogląda na Williama ponad ramieniem Carrie, mrugając jeszcze szybciej, zdezorientowany.

– Czy ty... mnie uderzyłeś? – pyta, a wtedy Carrie pochyła się jeszcze niżej, tak że obaj już się nie widzą.

– Kochanie, och, kochanie! – Płacze.

William znowu się cofa, serce mu dudni i pulsuje w uszach.

Słyszy zardzewiały głos Stewiego:

– Cześć, mała.

– Och, kochanie, och, kochanie – powtarza Carrie. Obsypuje jego twarz lekkimi pocałunkami.

William chce ją odciągnąć, ale nie może się zmusić do tego, żeby jej dotknąć. To, co się dzieje, nie jest prawdopodobne pod względem medycznym.

Serce w nim się tłucze, a racjonalny umysł rozpoczyna wykład, bardzo spokojnie tłumacząc, że istniała bardzo niewielka szansa na to, że Stevie się obudzi. Może sprawił to głos Carrie. Istnieje mnóstwo badań naukowych, które sugerują, że pacjent w śpiączce może słyszeć głos ukochanej osoby. To zbieg okoliczności. Albo obecność Carrie. Nie ma związku między rozkazem Natty'ego a obudzeniem się Stewiego.

– Musimy wezwać lekarza. – Z bardzo daleka słyszy, jak mówi do Carrie: – Musimy stąd wyjść.

– Nie zostawię go!

– W takim razie pójdziesz do więzienia.

Dziewczyna przestaje protestować. Jej ręka wędruje do brzucha. William w końcu bierze ją za rękę i ciągnie do drzwi. On sam też chce stąd wyjść. To, co się stało, jest tak nieprawdopodobne pod względem medycznym, że zahacza o nieskończoność. William nie chce przebywać z tym w jednym pomieszczeniu.

W tym samym szpitalu, kiedy piętro niżej leżał jako pacjent, Shandi spytała go: „Wierzysz w cuda?”. Morze Czerwone. Niepokalane poczęcie. William sobie przypomina, że w jednej z Ewangelii owoc niepokalanego poczęcia staje przed grobem i woła: „Łazarzu, mówię ci, wstań!”.

Stevie mruga oczami i, zdezorientowany, rozgląda się.

William tak mocno ściska ramię Carrie, że czuje jej kości. Ciągnie ją do drzwi.

– Nic nie mów – nakazuje jej. – Nie możesz zostać w tym pokoju.

Otwiera drzwi i zwraca się do policjanta:

– Obudził się. Jest przytomny. Proszę przyprowadzić pielęgniarkę. – Nie zatrzymuje się ani na chwilę, ciągnie Carrie przez korytarz.

– Co? – pyta stary policjant. – Co?

William idzie dalej, wołając przez ramię:

– Wie pan, że nie powinno nas tu być. Nie chcę, żeby miał pan przez nas kłopoty. Proszę przyprowadzić pielęgniarkę.

– To boli – skamle Carrie, kiedy William wlecze ją ze sobą. William próbuje poluzować uścisk. Wtedy, w pokoju, bez wątpienia zadziałał jej głos. Jest pewien, że Stevie odzyskał przytomność, kiedy Carrie powiedziała: „Kochanie”. Tak to musiało być. Są badania naukowe. Nie zamierza myśleć o fakcie, że Natty’ego urodziła, technicznie rzecz biorąc, dziewica.

Ale czy Bridget nie byłaby tym zachwycona? Na pewno. Gdyby była tutaj, pewnie piałaby z zachwyty i wołała: „A nie mówiłam, Will? A nie mówiłam?”.

Williamowi wydaje się, że zaraz się przewróci. Robi mu się słabo. Jego płuca się zaciskają. Wciąga Carrie w korytarzyk.

– Muszę być ze Stevieeeeeem – zawodzi Carrie szeptem.

William ją puszcza.

– Wracaj tam, jeśli chcesz. Pójdiesz siedzieć.

Carrie zostaje, patrzy na niego dzikim wzrokiem. Dyszy ciężko. Znowu obiema dłońmi osłania puchnący brzuch.

– I tak mnie oddasz glinom – mówi, ale na jej twarzy maluje się mieszanka przebiegłości i nadziei.

William pochyla głowę i wypuszcza powietrze przez usta. Nic nie może zrobić dla tej głupiej ciężarnej dziewczyny i jej głupiego kochanka. Podjęli

fatalne decyzje dotyczące rozmnażania się i napadu. Jej życie zmierza ku kiepskiemu końcowi, niezależnie, czy wróci teraz do Steviego czy nie, czy William odda ją w ręce policji czy nie. Nawet jeśli nie piśnie słowa, Bialys i tak może wszystkiego się domyślić albo Stevie sprzeda ją za zmniejszenie wyroku.

– Co zrobisz? – pyta znowu Carrie Miller.

William wie, że oboje są na tyle cwani, żeby skłamać pod presją. Może Steven Parch przyzna się do winy i odsiedzi cały wyrok, żeby ochronić Carrie i ich dziecko. Niewątpliwie chronił ją w Circle K, co wskazywało na pewien poziom umiejętności przewidywania. Pewien poziom miłości.

William nie może się w to angażować, ale wyjmując telefon i zaczyna przeglądać listę kontaktów. Teraz, kiedy okazało się, że nie zabił Steviego, może spokojnie stąd odejść. Ale to niezupełnie tak. Jej twarz zalana łzami. Jej duży brzuch, gdzie powstaje coś bezradnego. Jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne, istnieje tu jakaś miłość. Czy Carrie pójdzie do więzienia czy nie, to dziecko, które go martwiło i sprawiało, że niepokoił się losem Steviego, nie będzie miało dobrego życia. Będzie nieszczęśliwe. Zostanie przestępcą. Prawdopodobnie.

Ale przecież istnieją anomalie, takie jak Paula. Wziąwszy wszystko pod uwagę, Carrie jest nie gorsza od Kai. Kto wie, jakie sekretne kombinacje, jaka recesywna magia może się dziać w tych namnażających się komórkach?

William odnajduje numer, którego szukał, wyjmując długopis i bierze stary numer „Reader’s Digest” z wieszaka na gazety. Zapisuje numer na okładce.

Robi to, bo Stevie otworzył oczy, zanim Carrie się odezwała. Wie to. Był tego świadkiem. Stevie otworzył oczy, kiedy Natty mu to nakazał.

Podaje Carrie magazyn.

– To mój dentysta – wyjaśnia. – Jeśli zadzwonisz do niego w przyszłym tygodniu, naprawi ci zęby. Ja zapłacę.

Carrie gapi się na niego, mrugając, nic nie rozumiejąc, jakby William podarował jej cud. Może rzeczywiście tak zrobił. Powietrze jest aż gęste od niemożliwych rzeczy. Świat zdecyduje, co Carrie teraz zrobi, co się stanie z dzieckiem, które próbuje ochronić. William jest z tego rozgrzeszony.

W tej chwili rozgrzeszenia podjął decyzję. Zna ryzyko. Zna bezpośredni rezultat swojego działania. Ale jeżeli zamierza żyć na tej ziemi – a zamierza –

nie może żyć tak jak dotąd. Nie będzie tak żył.

– Dziękuję – mówi w końcu Carrie.

William nie jest pewien, dlaczego mu dziękuje. Może tylko za dentystę. Może dostrzegła większy dar, który jej teraz wręczył.

William odchodzi.

Część trzecia
Zmartwychwstanie

w kole zbawionych dusz
inne otwarło się niebo
rajem nienasytych ocz

EMILY DICKINSON

13

Kiedy otworzyłam drzwi, na schodkach zobaczyłam Claytona Lilliego. Nie włożyłam butów, a on był wysoki. Oczy miałam na wysokości jego obojczyków. Musiałam powędrować wzrokiem po jego długiej szyi, żeby spojrzeć na jego twarz.

W moim ciele zaczął narastać głośny, pełen zaskoczenia krzyk wirujący jak uwięzione tornado, skręcający w węzeł moje wnętrzności. Gardło było jednak zaciśnięte. Nie wypuściłam krzyku. W salonie z tego przeklętego szkła i chromu Natty i Walcott bawili się matchboxami. Gdybym zaczęła krzyczeć, na pewno by przybiegli.

Clayton Lilli istniał na schodkach i tylko ściana dzieliła go od Natty'ego, tajemnego, idealnego i tylko mojego. Wyszłam na zewnątrz i zamknęłam za sobą drzwi, oddzielając go od Lilliego.

Clayton Lilli cofnął się w dół, aż na chodnik, stając się niższym od mnie. Przystanął na krawężniku. Spojrzałam, że przyszedł ze swoją myszowatą dziewczyną. Jego twarz była bez wyrazu, jakby to Szara Myszka przydźwigała ze sobą cały ciężar emocji. Malowały się na jej twarzy. Stała za nim, zdesperowana i zdeterminowana i pełna jeszcze tysiąca innych poplątanych uczuć. Szczerze mówiąc, łatwiej mi było patrzeć na nią.

– Wynoście się stąd, bo zadzwonię na policję.

Wysyczałam te słowa, twardo, ale nie głośno. Nie chciałam, żeby Walcott i Natty, błagam, tylko nie Natty, przyszli zobaczyć, czy odprawiam świadka Jehowy albo skautkę sprzedającą ciasteczka. Za Lillim i jego dziewczyną na moim podwójnym miejscu parkingowym stał mój samochód i subaru Walcotta. Tamci pewnie zaparkowali przy ulicy, za wysokim murem z cegieł. Musiałam sprawić, żeby tam poszli. Za mur, żeby zniknęli mi z oczu. Miałam tylko parę minut, najwyżej cztery albo pięć, zanim Walcott i mój syn przyjdą, żeby

sprawdzić, co mnie zatrzymało. Chciałam krzyknąć do Walcotta, żeby nie wychodził z domu, ale wtedy pewnie jeszcze szybciej by przybiegł.

– Przepraszam, że cię zaskoczyłem – zaczął Clayton Lilli – ale nie mogę z tym żyć. Musisz wysłuchać mojej wersji.

Zaczął czegoś szukać w kieszeni. W końcu wyciągnął kartkę i z powodu jego wysokiej, chudej sylwetki nasunęło mi się okropne skojarzenie. Wyglądał jak zalecający się do mnie Walcott, kiedy wyjął zmiętą kartkę z wierszem. Mój pokaz siły w parku obrócił się przeciwko mnie. Clayton Lilli też mi przyniósł wyznanie, choć było przeznaczone dla Szarej Myszki, nie dla mnie. Dlaczego, do cholery, o wszystkim jej powiedział?

– Nie istnieje twoja wersja. Wynoś się albo zostaniesz aresztowany.

Dlaczego nie pozwoliłam, żeby sprawy potoczyły się własnym torem? Nie mogłam żyć z niepewnością, dlatego więc myślałam, że on by to potrafił? Przyszedł jednak o wiele szybciej, niż myślałam.

– Zadzwoń na policję – wtrąciła się Szara Myszka. Stała tak blisko niego, że wciskała się w niego ramieniem. Jej cienkie usta drżały. – Przeczyta im to samo.

– Proszę. To zajmie tylko chwilę – powiedział bezbarwnym głosem Clayton Lilli. Wyglądał na spokojnego, ale widziałam, jak mocno ściska kartkę, czekając na moje pozwolenie. Aż mu kostki pobieleły. – To ważne, żebyś poznała prawdę.

Ruszyłam do niego po schodkach. Cofnęli się. Cofnęli się przede mną, oboje, to dobrze. Ku furtce, bardzo dobrze.

– Nie znasz tego mężczyzny – powiedziała Szara Myszka. – To, co twoim zdaniem się wydarzyło, jest niemożliwe. On nie jest taki.

Clayton Lilli zaczął czytać.

– W tę noc, kiedy się spotkaliśmy, nie myślałem jasno. Brałem udział w zawodach polegających na tym, że musiałem wypić ogromną ilość piwa w stosunkowo krótkim czasie.

Nie podobał mi się styl jego wypowiedzi, gramatyka konwencjonalna jak u Natty'ego. Czy nawet to może być dziedziczne? William powiedział, że wszystko jest dziedziczne. To było nie do zniesienia słuchać, jak mówi w ten sposób, a czas mijał, mijały cenne sekundy. Przerwałam mu, zanim zaczął kolejne zdanie, rzuciłam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy, próbując przejąć kontrolę nad rozmowę.

– Mam broń.

Clayton Lilli podniósł wzrok znad kartki i razem z Szarą Myszka, mrugając oczami, spojrzeli na moje puste dłonie. Moja letnia sukienka nawet nie miała kieszeni.

– W domu – dodałam, jakby to mogło naprawić mój błąd taktyczny.

Jedyną bronią w domu był plastikowy miotacz z *Gwiezdnych wojen*, który wydawał z siebie piszczący dźwięk, a na jednym jego boku świeciły diody. Przydałby mi się pistolet na nogach ze snu Natty'ego, który by przybiegł i ich powystrzelał, gdybym go zawołała.

W Circle K pistolet dał Steviemu ogromną władzę, choć Stevie był tak nieduży i samotny. Chciałam móc machnąć pistoletem w ich stronę i patrzeć, jak z podkulonymi ogonami uciekają przez wzgórza. Potem pojechałabym do Sandy Springs i strzeliłabym Bethany w stopę za to, że założyła dla mnie osobną linię telefoniczną. Postrzeliłabym w stopę również samą siebie za to, że skorygowałam Clayтона Lilli, kiedy nazwał mnie w parku „Mandy”. Mógłby teraz przeglądać w internecie nieskończoną listę Amand i A. i M. Pierce i nigdy by mnie nie znalazł.

– W domu jest też mój przyjaciel. William. Ten duży facet. Jeśli krzyknę, przybiegnie tu i połamie ci wszystkie kości.

To zabrzmiało lepiej. Lilli z pewnością pamiętał Williama. Zobaczyłam to we wzroku, który umknął w bok, w lekkim cofnięciu się.

Szara Myszka wtrąciła:

– Nie przyszedł tu, żeby ci grozić albo cię straszyć. Chce wytłumaczyć, dlaczego... wyszedł z tobą z tego domu studenckiego. – Była lepszym adwokatem niż on, z tą swoją sztywną kartką i jeszcze sztywniejszą twarzą, niezdolny do tego, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Przypomniały mi się słowa Williama: „Duplikacje i delecje”, i słowa Pauli o tym, że jej autystyczny doktor Ashe to dorosły, który umie się przystosować.

Clayton Lilli jeszcze się tego nie nauczył, ale Szara Myszka z całą pewnością i tak go kochała. Jak dziewczyna z kliwej piosenki country trwała przy swoim mężczyźnie, chociaż był skończonym dupkiem i gwałcicielem. Co, do diabła, dzieje się z kobietami? Wyciągnęła do mnie rękę, jakby przyjęła pracę jego rzeczownika.

– Gdyby był trzeźwy, może by zrozumiał, że dzieje się z tobą coś złego. Nie miał pojęcia. To nie on dosypał ci narkotyku do coli.

Wciągnęła mnie w to wbrew czasowi i moim wszelkim instynktom. Och, to była inteligentna historyjka. Najlepsze kłamstwa zawierają mnóstwo prawdy, a Lilli nie próbował zrzucić winy na mnie. Wymyślił taką linię obrony, która współgrała z tym, co rzeczywiście pamiętałam, i ze wszystkim, co mu wykrzyczałam w parku Piedmont. W swojej inteligentnej historyjce był przypadkowym pijanym chłopakiem wypchniętym na zewnątrz z dziewczyną, która w jego rozumieniu była puszczalska i tak samo pijana jak on. Straszne było to, że prawda mogła tak wyglądać. Nie sądziłam, by to było prawdopodobne, ale mogło być. Odebrano mi wszystkie możliwości pamiętania prawdy.

– W takim razie na pewno wiesz, kto mi podał narkotyk – powiedziałam.

Zwróciłam się do niego, nie do niej. Jeżeli to inny chłopak wsypał mi narkotyk do coli, czy to dla siebie, czy po to, żeby Clayton mógł odejść z drużyny futbolowej Emory, musiał znajdować się w pobliżu.

Clayton spojrzał ponad moim ramieniem i opuścił kąćki ust.

– Nie jestem tego pewien.

– Jakie to wygodne. Dla ciebie i twoich kumpli z bractwa – warknęłam.

Zawahał się, spuścił wzrok na stopy i wtedy Myszka znowu przejęła pałeczkę.

– To nie są jego kumple. Tamtej nocy odpadł w środku rytuału właśnie z powodu takich gównianych praktyk.

Coś takiego. Jej ton był tak zasadniczy i pełen dezaprobaty, jakby napaść na mnie była niegrzecznym studenckim wybrykiem, takim samym jak ściągnięcie spodni jakiemuś nudnemu wykładowcy.

– Czy mógłbym przeczytać swój tekst? – Clayton Lilli spytał z wyuczoną uprzejmością. – Tu wszystko jest wyjaśnione.

Czułam, jak zegar tyka. Lilli nie przestanie nigdy, dopóki nie zgodzę się go wysłuchać.

– Dobrze. Ale nie teraz. Nie tutaj. W jakimś miejscu publicznym. Wysłucham cię, ale nie w swoim domu. Gdybyś był porządnym człowiekiem, nie nachodziłbyś mnie tutaj, nie próbowałbyś mnie omamić i do niczego byś mnie nie zmuszał. – Zwróciłam się do Szarej Myszkę, tak rozpaczliwie pragnąc, żeby oddalili się od Natty'ego, że obiecałabym wszystko i pogroziła wszystkim. – Czy

jest takim człowiekiem, który by mnie próbował do czegoś zmusić?

Pośpiesznie pokręciła głową i odparła niemal radośnie:

– Nie, nie, w porządku. Spotkamy się w miejscu, które nam wyznaczysz. Kiedy tylko chcesz.

Wyciągnęła rękę, żeby ująć Lilliego pod łokieć, ale on zaczął szukać długopisu w kieszeni na piersi. Włosy wyszczotkował i potraktował jakimś specyfikiem, który miał okiełznać sterczące kosmyki. Nie zadziałał. Na pewno to ta dziewczyna wybrała mu ubranie: koszulę na guziki i spodnie khaki zaprasowane w kant. Klasyczny Miły Facet z odrobinką Nieszkodliwego Kujona. Jedną ręką poprawił okulary z grubymi szklami, a drugą szukał długopisu.

– Zapiszę ci swój e-mail.

– Idź już. Znajdę cię. Dokładnie po to Bóg stworzył Google – po to, żebyś poszedł sobie w cholerę. W tej chwili.

W moim głosie zabrzmiała histeria. Szara Myszka pociągnęła go za rękę.

– Ma konto na Facebooku – powiedziała. – Clayton Dean Lilli.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Spodziewała się, że dodam go do znajomych, czy co? Może napisze coś na mojej ścianie i we trójkę zagramy w Farm Town.

Wreszcie się odwrócili i ruszyli w stronę ogrodzenia. Na szczęścia Myszka szła szybko. Zaczęłam sobie przypominać, jak się oddycha. Dotarli do otwartej furtki. Przy wejściu znajdował się pas trawnika i rabatka z kwiatami, które okrążyli, bardzo uważając, żeby nie podeptać cynii, jak przystało na dobrych, myślących ludzi, którzy nie byli gwałcicielami. Ocalenie głupich kwiatków kosztowało mnie pięć sekund i w tym czasie usłyszałam, jak frontowe drzwi za mną otwierają się. Na plecach poczułam zimny powiew powietrza z klimatyzatora. W tej samej chwili Szara Myszka zatrzymała się. Odwróciła się przez ramię w moją stronę. Może usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a może chciała dodać coś jeszcze. Nie wiem.

Usłyszałam głos Walcotta za plecami:

– Shandi?

Szara Myszka dalej patrzyła za siebie, a ja spostrzegłam, że całe jej ciało tężeje. Cały ruch został wstrzymany. Jej twarz zrobiła się biała jak ściana i wtedy nabrałam pewności, że z domu wyszedł również Natty. Zobaczyła Natty'ego, który szedł do mnie, wyciągając rękę.

Niedawno niemal natychmiast domyśliłam się, że Clayton Lilli jest jego ojcem, chociaż znajdowałam się o wiele dalej niż jego dziewczyna w tej chwili. Widać to było w ciele, w ruchach, w kosmykach włosów, które sterczały z tyłu głowy u nich obu.

Sparaliżowało ją tak kompletnie, że Clayton Lilli też się zatrzymał, odwrócił i spojrzał. Stali przy furtce. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, Szara Myszka omiatała wzrokiem twarz Natty'ego, dodając dwa do dwóch. Coraz szerzej otwierała oczy i usta.

– Zabierz Natty'ego do domu – syknęłam do Walcotta, ale on zobaczył Clayтона Lilliego i stanął po mojej drugiej stronie.

– To ten facet? – spytał. – To ten facet? To ten facet?

W każdym powtórzeniu w jego głosie pojawiał się coraz większy gniew i coraz większa nienawiść. On też dostrzegł wspólne cechy Natty'ego i tego mężczyzny, wyryte w każdej ich komórce. Poczułam, jak podłużne mięśnie w jego ręce twardnieją i jak pojawiają się w nich węzły. Całe jego ciało się prężyło.

Wyobraziłam sobie, jak się biją. Dwaj wysocy, chudzi faceci szarpiący się pajęczymi rękoma. Poeta kontra księgowy. Walcott by go zniszczył.

– Jaki facet? – spytał Natty i na dźwięk jego głosu Walcott przestał wbijać wzrok w Lilliego.

– Zabierz go do środka. Proszę – powiedziałam cichutkim głosem, bez tchu.

Walcott wciągnął powietrze przez zęby. Wziął Natty'ego za rękę i pociągnął go do domu.

– Wszyscy musimy wejść do środka – dorzuciłam, jakby to mogło w czymś pomóc.

– Ta pani wymiotuje na nasze cynie – zauważył Natty.

Zagoniłam ich do domu, zatrzasnęłam za sobą drzwi i trzęsącymi się palcami zaczęłam gmerać przy zasuwce. Jakby drzwi, które się między nami otworzyły, dało się z powrotem zamknąć.

– Co teraz? – spytał Walcott.

Ciężko dysząc, oparłam się o drzwi. Nie miałam pojęcia. Z desperacją spojrzałam na Walcotta, ale i on nie wiedział. Natty stał obok niego ze

ściągniętymi brwiami. Nie rozumiał, co się stało, ale wyraźnie wiedział, że było to coś złego.

– Mamusiu, tobie też jest niedobrze? – spytał.

– Nie, czuję się doskonale – odparłam odruchowo. Byłam mamą, a mama zawsze musi czuć się doskonale i znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet jeżeli to ona wezwała potwora pod drzwi. Właściwie zwłaszcza wtedy. Nie znałam odpowiedzi na żadne pytanie, więc musiałam czuć się doskonale i odpowiedzieć chociaż na jedno z nich.

Nagle znalazłam odpowiedź. Tylko jedną, ale to już jakiś początek. Mogłam, dokładnie w tej chwili, rozdzielić mojego syna i Clayтона Lilli setkami kilometrów Georgii. Ta myśl wydała mi się lepsza od panikowania.

– Natty, chciałbyś wrócić do domu? Do Mimmy i wrzeszczących żab?

– Naprawdę? Kiedy?

– Naprawdę. Teraz. – Na dłuższą metę nie był to idealny plan, ale wywiezienie Natty'ego pod adres, którego Clayton Lilli nie znał, było jedynym krokiem oddalającym mnie od szaleństwa.

– Chodźmy się spakować! – powiedział donośnym, pogodnym głosem Walcott, natychmiast podchwytyjąc moją myśl. On też czuł się doskonale.

Natty zareagował tak, jakbym w pierwszy dzień lata podarowała mu sto szczeniaczków. Zaczął chodzić w kółko, głośno tupiąc i z tą swoją dziwną, doskonałą dykcją wołając: „Hurra! Hurra! To chwila naszego wielkiego powrotu!”.

Zawsze się uśmiechałam, kiedy wysławiał się w tak oficjalny sposób, i nawet teraz przynosiło mi to radość. To byłoby okropne, gdyby Clayton Lilli też tak mówił, ale nie mógłby skazać tej cechy. W moim świecie to Natty pierwszy zaczął się tak wypowiadać.

Zaprowadziłam go do dużej sypialni i powiedziałam, że może sobie do woli pooglądać kreskówki. Kiedy tylko wciągnął go *Bąbelkowy świat gupików*, zaszyłam się w swoim pokoju z bezprzewodowym telefonem. Walcott wszedł za mną i zaczął nakładać czarne worki na śmieci na ubrania na wieszakach i wiązać wiszące końce, a ja w tym czasie zadzwoniłam do Mimmy.

Odebrała komórkę. Jechała do swojej cukierni. Mówiąc urywanym szeptem, zmusiłam ją do zwiększenia prędkości. Dziwnie się czułam, odwołując się do

prawd, które obie znałyśmy, ale o których nigdy nie rozmawiałyśmy. Walcott i jego mamy mówili za mnie, a potem zaczęłam udawać, że nic się nie stało. Teraz, zważywszy na to, jakie piekło przywołałam pod drzwi swojego domu, rozmawianie z Mimmy o tych prawdach było jak bułka z masłem.

Przedstawiłam jej okrojoną wersję polowania na Clayтона Lilli, tego, jak go odnalazłam i jak on odnalazł mnie. Walcott przerwał pakowanie, usiadł na łóżku i zaczął się przysłuchiwać. Przekazałam jej wszystko, nawet tę straszną, burzącą wszystko linię obrony, w której brzmiało dość dużo prawdy, by wydała mi się choć odrobinę wiarygodna. Powiedziałam, że teraz Lilli już wie o istnieniu Natty'ego.

– Czy moglibyśmy wrócić do domu? – poprosiłam.

– Kochanie, ależ oczywiście – odparła. – Przyjadę i pomogę ci przy pakowaniu.

– Walcott jest u mnie. Nie musisz przyjeżdżać.

A jednak chciałam. Czułam się taka malutka i przestraszona. Nie chciałam sama być mamusią. Chciałam, żeby przyjechała i mi pomogła.

– Nie mów bzdur – obruszyła się. – Od dwudziestu minut jadę w twoim kierunku.

To oznaczało, że do jej przyjazdu zostało niecałe dwie godziny. Zaczęliśmy wpychać wszystkie rzeczy do koszy na pranie, mojej torby i czarnych plastikowych worków na śmieci. Pracowaliśmy szybko i byle jak. Takie toboły na pewno nie zmieściłyby się do garbusa. Nie szkodzi. Był jeszcze samochód Walcotta, a jeśli i w nim zabraknie miejsca, resztę upchniemy do buicka Mimmy.

Najpierw załadowaliśmy subaru Walcotta. Na ulicy i parkingu nie widziałam ani śladu Szarej Myszki i Clayтона Lilliego. Pewnie wycofali się, żeby się przegrupować, przemyśleć całą sprawę, a może po prostu się rozstać. Istnienie Natty'ego musiało porządnie zachwiać jej wiarą w historię, którą starannie wystukał na komputerze. Nie miałam pojęcia, jaki będzie ich następny ruch. Wiedziałam tylko, że kiedy go wykonają, Natty'ego już tu nie będzie.

Dobrze chociaż, że po rozwodzie Mimmy wróciła do swojego nazwiska panińskiego. Nazywała się Charlotte Madison, jeśli więc Clayton wyruszy na poszukiwanie, będzie polował na Pierce'ów. Z łatwością znajdzie tatę, co

oznaczało, że będę musiała odebrać chociaż jeden z tysiąca telefonów od taty. Unikałam go, ale właśnie stał się moim alarmem przeciwwłamaniowym. Musiałam mu powiedzieć wszystko i poprosić, żeby miał się na baczności. Później zastanowię się, co powinnam czuć w związku z jego flirtem z klonem Mimmy. W tej chwili mnie to nie interesowało. Potrzebowałam wsparcia taty, takiego, na jakie zawsze mogłam liczyć. Musiałam znać kolejny ruch Clayтона Lilliego w chwili, kiedy go wykonywał.

Słyszałam, jak piętro niżej Natty radośnie wykrzykuje hiszpańskie słówka razem z Dorą. Po raz ostatni przejrzelśmy z WalcotteM dwie sypialnie na górze, sprawdzając, czy czegoś nie zostawiliśmy. Ja zajrzałam do szafy, a Walcott rozgrzebał pościel Natty'ego. Wyjął z niej starego królika ze szmatek.

– Prawie zostawiliśmy Żółtego Przyjaciela.

– To byłaby niedopuszczalna strata – powiedziałam.

Miło było zobaczyć Żółtego Przyjaciela zamiast głowy Lorda Vadera. Plan Williama działał. Zeszłej nocy Natty obudził się tylko dwa razy i za każdym razem udało mi się ukołysać go do snu w jego własnym łóżku. Byłam skłonna wierzyć, że nawet te mniej przerażające koszmarnie sny znikną, kiedy tylko wrócimy do domu.

Pomyślałam, że kiedy ruszymy, powinnam posypać solą ziemię za nami. To było przeklęte miejsce. Dzięki stylowi Bethany było zimne i nieprzytulne, a do tego pewnie służyło mojemu tacie jako miejsce schadzek. A, co najważniejsze, w szafie została taśma klejąca zasłaniająca dziurę, przez którą mógł wejść Stevie. Nie wróciłabym tu po parę sandałów czy majtki.

Walcott usiadł na łóżku Natty'ego, trzymając Żółtego Przyjaciela. Już zabraliśmy zdjęcia Mimmy w bikini i obraz przedstawiający dłonie Jezusa złożone do modlitwy, owinęliśmy je w worki i załadowaliśmy do mojego garbusa. Wszystkie ubrania, książki i większość zabawek Natty'ego wylądowały w samochodzie Walcotta. Bethany nie przyłożyła się do urządzenia trzeciego piętra, więc pokój Natty'ego był bardzo zwyczajny, z dwoma jednakowymi łózkami i pospolitą komodą, na której stało całe stado zwierząt z papieru. Oprócz kosza na pranie z resztą zabawek były jedynym znakiem, że Natty tu mieszkał. Zaczęłam wkładać do kosza papierowe żurawie i zaby.

Bardzo uważałam na nie, nie wiedziałam bowiem, kiedy zostaną zastąpione

nowymi. Od wizyty w szpitalu nie kontaktowałam się z Williamem. Stevie wyglądał tak żałośnie, zwinięty w kłębek, z rurką w nosie. William wycelował w niego kamerę na minutę, może dwie, a potem znowu skierował obiektyw na własną twarz. Patrzyłam, jak przerażenie na twarzy Natty'ego ustępuje miejsca współczuciu dla biednego Steviego. Życzył mu, tak samo jak William, przebudzenia się. Pomyślałam, że ta empatia jest zbyt daleko posunięta, i być może William też tak pomyślał. Raptownie przerwał połączenie i po chwili zszedł do nas. Kiedy nas wiozł do domu, był milczący i zamyślony. Zostawił nas, nawet nie wstępując na kawę.

Nie byłam u niego od dwóch dni. Paula wykończyła mnie swoim opisem zakochanego Williama. Nie rozpoznałam u niego żadnych oznak. Jeżeli w ogóle żywił do mnie jakiegokolwiek uczucia, to były schowane tak dobrze, że nawet on sam jeszcze ich nie odnalazł.

Wkrótce miałam oddalić się od niego o wiele kilometrów, a on nawet o tym nie wiedział. To bolało, ale nie mogło zmienić mojego planu. Najpierw musiałam usunąć Natty'ego z linii ognia, a dopiero potem zająć się tą ruiną, jaką było moje potencjalne życie uczuciowe. Natty był na pierwszym miejscu, wszystko inne mogło poczekać. To nie podlegało dyskusji.

– To już chyba wszystko – powiedział Walcott, kiedy włożyłam do kosza ostatnie origami.

Kiwnęłam głową. Mimmy powinna przyjechać lada chwila. Zabawki i sterty worków na śmieci mogliśmy włożyć do jej dużego bagażnika. To niesamowite, jak rozrasta się liczba rzeczy osobistych ciasno upakowanych w garbusie, kiedy na chybił trafił poupycha się je do worków i koszy. Wzięłam głęboki wdech i usiadłam na łóżku obok Walcotta, ale nie za blisko. Utrzymywałam bezpieczną odległość między nami.

– Wiesz, co mnie przeraża? – spytałam. – Nie wiem, co Clayton Lilli teraz zrobi. Nie mam zielonego pojęcia. Nie wiem, jaki to człowiek. Nie potrafię odgadnąć, co sobie myśli, więc jak mogę się przygotować? Chyba powinnam przygotować się na najgorsze. Ale najgorsze jest takie złe. – Walcott wiedział, o co mi chodzi. Jeśli Clayton Lilli zapragnie pojawić się w życiu Natty'ego? Może nawet postarać się o odwiedziny i prawa rodzicielskie. – Powinnam poprosić tatę, żeby trzymał tę okropną Paulę na podorędziu. Tak na wszelki wypadek.

Mogłam jej nie lubić, ale była w tak dziwny sposób przerażająca. Powiedziała, że pracuje tylko dla kobiet, i wiedziała wszystko o prawach rodzicielskich. Samo sformułowanie „prawa rodzicielskie” w odniesieniu do Claytona Lilliego i mojego syna sprawiało, że mój kręgosłup przemieniał się w słup lodu. Nigdy nie powinno do tego dojść. Nie powinnam była do tego dopuścić. Po co tak się nad nim znęcałam w parku Piedmont?

– Nie zrozum mnie źle – zaczął Walcott, a ja poczułam, że cała się jeżę. Już rozumiałam go źle, bo wiedziałam, do czego zmierza. – A jeżeli on mówi prawdę? Kiedy zadzwoniłaś do mnie z imprezy, ja też myślałam, że jesteś pijana, a przecież znam cię całkiem nieźle. Mówiłaś głośno i bełkotliwie, ale mówiłaś. I to z sensem. Nie wiem, co się wydarzyło, ale nie byłaś nieprzytomna. W każdym razie nie w tamtej chwili.

Kiedy mówił, cała aż kuliłam się w sobie. Nie mylił się, ale to nie miało żadnego znaczenia.

– Nigdy się tego nie dowiem, więc nie mogę dopuścić, żeby zbliżył się do Natty’ego. Nie, jeżeli mam jakiegokolwiek wątpliwości. Nie mogę.

– Nie możesz – przyznał Walcott.

Zrobiło mi się bardzo zimno.

– To niebezpieczne, bo chcę, żeby to była prawda – wyznałam. – Nie chcę, żeby ojciec Natty’ego był gwałcicielem.

Kiedy wypowiedziałam te słowa na głos, zaczęłam trząść się tak bardzo, że zaszczękałam zębami.

– Możesz usiąść bliżej – zaproponował Walcott, patrząc na mnie z taką dobrocią. – Między nami naprawdę wszystko w porządku.

Skuliłam się jeszcze bardziej, nie do końca pewna, dlaczego nie potrafię przysunąć się bliżej. Walcott już naprawił większość szkód, które wyrządził swoim wyznaniem miłości, kiedy przyszedł z kwiatami i wierszem.

Tamtego dnia, kiedy William poszedł na górę, Walcott powiedział:

– To całe honorowe zejście z pola walki – ja tak nie potrafię. Nie potrafię rzucić ręcznika na ring i odejść ze spuszczoną głową jak ofiara losu, kiedy choćby zmarszczysz brwi. Już nie wspominając o tym, że jesteś moją przyjaciółką i masz za sobą fatalny miesiąc. Musiałbym być skończonym idiotą, żeby teraz zniknąć.

Natty poklepał go po policzku i powiedział:

– Walcott, nie znikaj.

– Nigdy nie zniknę. – Ta prosta odpowiedź zadowoliła Natty'ego. Chciał stanąć na podłodze, więc Walcott pocałował go w czubek głowy i go postawił. – Przepraszam, że się upłynniłem. Potrzebowałem trochę czasu, żeby pozbierać myśli.

Natty podszedł do ławy i zaczął jeździć po niej samochodzikami. Wiedziałam jednak, że wciąż słucha.

Spytałam Walcotta:

– I co teraz? Będiesz co noc śpiewał pod moim oknem?

Pokręcił głową. Patrzył w dół, na stopy, ale na jego twarzy pojawiał się znajomy cierpki uśmiech.

– Chciałabyś. To już wszystko. Jest, jak jest. – Zerknął na mnie przebiegle z wciąż opuszczoną głową i podał mi zmiętą kartkę. – Tak jest, oficjalnie zostałeś muzą poety. Bum! Teraz ci tego nie przeczytam. Nie kiedy Bruce Wayne siedzi na górze. Mam nadzieję, że przeczytasz to później. Napisałem to dla ciebie. Ja sam. Nie Auden ani ten gryzipiórek John Donne.

– Naprawdę? – Mimo woli też się uśmiechnęłam. Widziałam, jak wykorzystywał obu tych gości, a także Dickinson i Barret Browning, podrywając dziewczyny z wydziału matematyki. Widziałam, jak szeptał CeeCee do ucha najbardziej sprośne kuplety Szekspira, ale nigdy nie recytował własnego wiersza. – Przecież nie piszesz wierszy o miłości.

– Zwykle nie. Dla ciebie pierwszej. Ale na tym koniec, zgoda? Wiersz, kwiaty. Były też cukierki, ale zjadłem je po drodze.

– Wracamy do normy? – Miałam nadzieję, że nie obrazi się o to, że powiedziałam to z tak cholerną nadzieją. Pragnęłam być z Williamem, ale moje życie nie układało się dobrze bez Walcotta.

– Chyba tak. Nie jestem gotów skreślić piętnastu lat przyjaźni, bo za bardzo się wkurzyłaś, żeby zrozumieć, że ty też mnie kochasz. Jest, jak jest. Obiecuję, że nie będę wodził za tobą pełnym miłości wzrokiem i nie będę irytujący jak jakiś zalotnik rodem z Chaucera. Będzie jak dawniej, ale z jedną małą różnicą. Musisz wiedzieć, że cię pocałuję.

Zerknęłam na Natty'ego. Dalej bawił się samochodzikiem, który bezustannie,

bez przerwy robił kolejne rundy na ławie.

– Pocałujesz mnie? – spytałam. – Tak naprawdę, w usta?

– O, tak. Z języczkiem i w ogóle. Jesteś mi winna przynajmniej tyle za tę romantyczną scenę.

Miał rację. Byłam mu winna wszystko, czego potrzebował, już zawsze. Nawet kiedy na górze był William. Nawet kiedy metr od nas Natty klęczał przy ławie, naśladując odgłosy silnika. Kiwnęłam głową i odwróciłam się do Walcotta, próbując się przygotować na to, co zaraz miało nastąpić.

– Dobrze – powiedziałam. – Zróbmy to.

Zaśmiał mi się prosto w nos:

– Nie teraz, psycholko. Może nawet nie wkrótce. Ale zanim jedno z nas umrze, zamierzam cię pocałować. Zdarzy się to w chwili, którą sam wybiorę, a ty musisz obiecać, że oddasz mój pocałunek. Taka jest umowa, jeśli ma być tak, jak przedtem. Może pocałuję cię dopiero za kilka lat. Może nawet dopiero po śmierci twojego męża. Ale musisz się zgodzić, że pocałuję cię w chwili, którą sam wybiorę.

Samochodzik Natty'ego zderzył się z innym. Natty wydał z siebie odgłos naśladujący wybuch.

Nie wiedziałam, ile z naszej rozmowy rozumiały jego ogromny mózg i dziecięce emocje, ale cieszyłam się, że był jej świadkiem. Dzięki temu obietnica, jaką złożyłam Walcottowi, była słodka i szczerą, nie zaś dziwaczna i wymuszona.

Któregoś dnia, może za parę lat, Walcott mnie pocałuje. Kto wie, może za dziesięć lat, może za dwadzieścia, całkowicie się zmienimy. Może zamrugam oczami i ziewnę jak Śpiąca Królowna w średnim wieku i uświadomię sobie, że kochałam go przez cały ten czas.

– Ty wybierasz – potwierdziłam. – I obiecuję, że oddam ci pocałunek.

Uśmiechnął się i powiedział z udawaną zarozumiałością:

– Nie wiesz, na co się zgodziłaś. Sam bym się do tego nie przyznał, ale wszystkie moje przyjaciółki twierdzą, że całuję tak, jakbym wynalazł pocałunek.

– Co ty powiesz? – Z wdzięcznością podchwyciłam jego lekki ton.

– No. Dziewczyny mówiły mi, że czuły się, jakby całowały się z Francją.

Roześmiałam się. Potem Walcott pożegnał się z Nattym i wyszedł. Nie chciał

pójść z nami do Steviego, ale nie poczułam się urażona. Oddał mi świat, dokładnie w takiej postaci, w jakiej go lubiłam.

Teraz trzydzieści centymetrów, jakie nas dzieliło, stanowiło ostatnią niezręczność między nami. To tylko powietrze. Przysunęłam się do niego. Objął mnie i siedzieliśmy, czując się tak całkowicie normalnie, że zniknęła ostatnia przeszkoda niepozwalająca nam być sobą. Istnieliśmy tylko on i ja, jego ciało i zapach tak samo znajome jak moje własne. Wtuliłam się w niego i zostaliśmy tak, aż ktoś zadzwonił do drzwi.

– To na pewno twoja mama – powiedział, czując, jak moje ramiona sztywnieją. Wstał i wyrzwał przez okno. – Tak. Widzę jej samochód.

Ruszyliśmy na dół, a Natty dołączył do nas na drugim piętrze. On też usłyszał dzwonek. Wyprzedził nas w podskokach, wołając: „Mimmy! Mimmy!”, aż ją wpuściliśmy.

Porwała go w objęcia i obsypała pocałunkami, po czym przytuliła mnie i przywitała się z Walcotte.

Kiedy weszła, zaczęła strzelać oczami na boki, oglądając mały hol z białą marmurową podłogą i śnieżnobiałymi ścianami. Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy przyszła do mieszkania taty. Nigdy też nie widziała jego domu w Sandy Springs. Kiedy byłam mała, wymieniali się moją osobą wyłącznie w miejscach publicznych pomiędzy Lumpkin County i Atlantą. Stawali niezręcznie w Dairy Queen albo McDonalddie, przekazując sobie mnie i moje bagaże. Pokonanie metra, który ich dzielił, było dla mnie jak podróż przez całą tundrę. Jak najsamotniejszy spacer na świecie. Poczulałam ogromną ulgę, kiedy skończyłam szesnaście lat, zrobiłam prawo jazdy i tata podarował mi garbusa.

– Mimmy – zapytał Natty – mogę pojechać z tobą dużym samochodem?

– Bardzo bym się cieszyła! – odparła Mimmy w tej samej chwili, kiedy ja powiedziałam: „Oczywiście, że możesz”. Walcott już brał od Mimmy kluczyki, żeby zapakować do bagażnika ostatnie rzeczy. Podałam mu też moje. – Możesz przełożyć jego fotelik?

– Jasne. Pomoże mi pan, Mr. Bumppo?

Natty poszedł z nim, a Mimmy raz jeszcze mocno mnie uściskała, po czym spytała:

– Dobrze się czujesz?

– Niedługo dobrze się poczuje – odpowiedziałam.

Mimmy zrobiła krok w tył, szukając szczerości na mojej twarzy, po czym kiwnięciem głowy zaaprobowwała to, co zobaczyła. Już teraz czułam się lepiej. Wywożąc stąd Natty'ego, mogłam myśleć o wiele jaśniej. Chciałam od razu wyruszyć w drogę, ale Mimmy odwróciła się w stronę salonu, już unosząc jedną stópkę nad próg.

Chciała zobaczyć.

Zerknęłam przez uchylone drzwi wejściowe. Walcott jeszcze prznosił fotelik, więc miałyśmy kilka minut.

– Wejdz – powiedziałam.

Zrobiła kilka ostrożnych kroków, jak sarna, która chce zjeść bratki z twojego ogrodu, ale boi się, że zostanie schwytana. Przystanęła w progu. Z obojętnym wyrazem twarzy omiotła wzrokiem ultranowoczesne meble, wszystko zamknięte w chłodnych odcieniach czerni i szarości.

– To mieszkanie powinno zostać zabezpieczone, zanim się wprowadziłaś – zauważyła, wskazując na ostre krawędzie szklanej ławy. – Te rogi mogły się wbić w czaszkę Natty'ego jak harpun.

– Bethany. – To jedno słowo wyjaśniało wszystko.

Mimmy lekko otrzepała się dłonią, jakby poprzez sam akt stania w tym pokoju pokryła się warstewką jakiegoś obrzydliwego pyłu.

– Tak. Bethany. To z pewnością nie gust twojego ojca. On by wybrał kolory ziemi, czekoladowy brąz, krem i cynamon.

– Też tak myślę. Salon wyglądałby bardziej męsko i cieplej. O wiele bardziej pasowałby do taty.

Mimmy wyglądała na zadowoloną i być może dorzuciłaby coś jeszcze, gdyby nie to, że Walcott pewnie już zamontował w jej samochodzie fotelik Natty'ego. Chciałam go jak najszybciej stąd zabrać.

– Powinniśmy już jechać – powiedziałam.

Kątem oka zauważyłam, że się uśmiecha. Był to sekretny uśmiech, przeznaczony tylko dla niej samej. Stwierdziła tak cicho, że ledwie usłyszałam:

– Bethany w ogóle go nie zna.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, uśmiechała się szerzej, a w jej uniesionych kącikach ust zobaczyłam triumf. Tak, triumf, ale połączony z innymi uczuciami.

Płytkość tego uśmiechu mnie zmroziła. Był pełen goryczy, ukradkowy, zbyt ukradkowy jak na tak niewielkie zwycięstwo. Kiedy już wyszła, zrozumiałam jego znaczenie.

Moja matka nadal go kochała. Po tylu latach wciąż była bardzo zakochana w moim tacie.

Poszłam za nią, oszołomiona. Realizowałam dalej swój w połowie wykonany plan. Walcott przypinał Natty'ego do fotelika w samochodzie Mimmy. Nigdzie nie widziałam Clayтона Lilliego. Mój plan przebiegał gładko i bez przeszkód. Mimmy już była w połowie schodków. Przystanąłam, żeby zamknąć drzwi na klucz. Nadal kręciło mi się w głowie.

Zawsze uważałam, że wieczna gotowość Mimmy to marnowanie czasu: nieustanna dieta, ćwiczenia na kasetach wideo, kremy nawilżające. Przytulne wnętrze domu. Wspaniałe potrawy, jakie gotowała i podawała, ale których nigdy nie jadła. Myślałam, że dba o zgrabną sylwetkę, piękną twarz i dom zupełnie dla nikogo.

Myliłam się. Jej starania nie były bezcelowe. Robiła to wszystko dla niego. Czy zdawała sobie z tego sprawę, czy też nie.

Zanim zdążyłam poczuć współczucie dla niej, uświadomiłam sobie, że życie mojego taty było tak samo żalodne. Ożenił się z Bethany. Ojciec był czarującym i hojnym człowiekiem sukcesu z ogromnym poczuciem humoru. Kiedy zaczął szukać takiej oblubienicy, która spełniłaby oczekiwania jego rodziny, Bethany nie była jedyną Żydówką w Atlancie. Mógł wybierać spośród setek uroczych dziewcząt, które obdarzyłyby go o wiele większą miłością. Może wiedział, że nigdy nie potrafiłby odwzajemnić tej miłości? A może żeniąc się z Bethany, chciał zrobić swojej rodzinie na złość? Dał rodzinie posmak tego, czego od niego wymagała, owinięty wokół sześćdziesięciu kilogramów żółty z piekła rodem.

Z nią był równie samotny jak moja matka. Teraz pieprzył się z klonem Mimmy, a ja mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, czy dziewczyna z patio była pierwszą podróbką Mimmy, która przewinęła się przez jego łóżko.

Jakie to głupie. Moi rodzice stracili się nawzajem i po co? Po to, żeby lepiej pasować do rodziny podczas Bożego Narodzenia albo Paschy? Żeby ich bracia i siostry czuli się swobodniej? Rodziny, które tak się napracowały przy rozdzielaniu ich, z satysfakcją wróciły do swojego życia. Dziadków widywałam

nie częściej niż raz w roku. Od cioć i wujków dostawałam na urodziny kolorowe kartki z dwudziestodolarowymi banknotami w środku.

Tymczasem moi rodzice byli tak bardzo samotni. Tata błąkał się, szukając domu w podobnej do Mimmy twarzy kochanki. Mimmy czekała w pełnej gotowości na dzień, który nigdy nie nadejdzie.

Oboje pragnęli tylko tego, co żyło w tym drugim.

Kiedy schodziłam po schodkach, uświadomiłam sobie, że to sytuacja nie do naprawienia. Tata widywał mnie tylko co drugi weekend i bardzo za mną tęsknił. Niezależnie od ceny nie powtórzyłby tego samego błędu ze swoimi synami, a Mimmy nie poprosiłaby go o to. Ale, Boże drogi, widziałam, jak ogromna, jak przytłaczająca jest ta strata.

– Do zobaczenia w Lumpkin – zawołał Walcott. Wsiadł do subaru i wrzucił bieg wsteczny. Mimmy sprawdziła pasy na foteliku Natty'ego i zamknęła drzwi. Wsiadła i uruchomiła silnik, a ja poszłam do swojego samochodu. Patrzyłam, jak najpierw auto Walcotta, a potem wóz Mimmy włączają się do ruchu i wjeżdżają na ulicę. Po chwili ruch uliczny porwał ich ku autostradzie.

Mimmy i Walcott zabierali stąd Natty'ego. Nie podlegało to dyskusji i już się działo. Usiadłam w swoim samochodzie, choć wiedziałam, że ja jeszcze nie mogę stąd wyjechać.

Nie mogłam opuścić Atlanty bez spotkania się z Williamem. Mogłam później wysłać esemesa Mimmy i Walcottowi, kiedy minie już dość czasu, by znaleźli się w bezpiecznej odległości. Napiszę, że muszę coś załatwić i niedługo przyjadę do domu. Ale nie mogłam wyjechać, dopóki nie pójde do Williama jak dorosły człowiek i nie powiem mu, czego chcę.

Dorosły, dojrzały człowiek nie igra z własnym sercem i szczęściem. Pozwoliłam, żeby Paula i mój własny strach oddzieliły mnie od Williama. Nie chciałam żyć, szukając jego zamienników, albo czekając, aż los stanie mi się przychylny. Dorosły i dojrzały człowiek poszedłby do Williama i po prostu mu powiedział: „Kocham cię”. Dorosły i dojrzały człowiek by go spytał: „Czy możesz odwzajemnić moją miłość?”.

Uruchomiłam silnik i włączyłam się do ruchu, ale skierowałam się w przeciwną stronę. Pojechałam do Morningside.

Zatrzymałam się przy małym kwadratowym parku przy jego domu i wysłałam

esemesy do Mimmy i Walcotta. Potem pojechałam dalej. Kiedy wjeżdżałam pod wzgórze, zobaczyłam Williama na podwórku przed domem. Zaskoczona, wdepnęłam hamulec. Przeszedł przez podjazd i otworzył drzwi swojego SUV-a po stronie kierowcy. Niósł topór. Prawdziwy, długi i gruby, przypominający taki, jakich używają strażacy. To mnie powstrzymało. Nie tylko topór, ale i jego język ciała. Poruszał się, jakby był wściekły, szybko, ze zwierzęcą gracją. Widziałam ogromne napięcie w jego ramionach, kiedy wkładał topór do samochodu, a potem wsiadł. Wycofał się z podjazdu i popędził przed siebie.

Pojechałam za nim. Nie chciałam go wystraszyć. Nie tak od razu. Żółciutki jak słońce volkswagen to chyba najmniej złowrogi samochód na świecie. Ciągłe myślałam, że na pewno mnie zauważy i zjedzie na pobocze. Stanęłabym za nim i oboje opuścilibyśmy szyby w oknach.

Nie wiedziałam jeszcze, co bym powiedziała. Może od razu zaczęłabym od „Kocham cię”, a może złapałaby mnie trema i tylko bym pisnęła: „Cześć, William, masz trochę czasu, żeby pokochać się ze mną tu, na drodze, czy bardzo się gdzieś śpieszysz z tym toporem?”.

On jednak mnie nie zauważył. Przejechał ponad dwa i pół kilometra, aż do Decatur, z piskiem opon przejeżdżając na żółtym świetle, więc ja bezwstydnie przejeżdżałam na czerwonym, ledwie się zatrzymując przy znakach stopu. Teraz już po prostu go śledziłam, a on najwyraźniej nie zwracał uwagi na żółtą kulkę w lusterku wstecznym.

Skręcił w płataninę małych osiedlowych uliczek, nie zwalniając na szerokich muldach. Jego duży samochód miał lepsze amortyzatory niż mój, wyprzedził mnie więc o kilka przecznic.

Skręciłam w kolejną uliczkę i pomyślałam, że go zgubiłam. Na chybił trafił skręciłam w prawo i trafiłam na skrzyżowanie. Zobaczyłam jego SUV-a, który zatrzymał się pół ulicy dalej po mojej lewej, przed pomalowanym domem z cegieł z wesołymi fioletowymi drzwiami.

William już wysiadł z samochodu i szedł przez trawnik tak zdecydowanym krokiem, że ucieszyłam się, że nie wziął z samochodu topora. Po drodze wyjął z kieszeni coś kwadratowego i białego. Chyba złożoną kartkę. Podeszedł do drzwi i przykleił do nich kartkę. Musiał mieć ze sobą klej albo taśmę. Stałam za daleko, żeby wszystko dobrze widzieć.

Odwrócił się, nadal mnie nie zauważając, chociaż w pewnym momencie spojrzął prosto w moją stronę. Podszedł do wozu, wsiadł i odjechał, wysoko podskakując na pierwszej muldzie. Nie jechał w stronę swojego domu, a ja wiedziałam, że nie dam rady go dogonić. Zostałam na miejscu i zaczęłam się przyglądać domowi.

Nikt nie wyszedł po kartkę. Nie widziałam, żeby William zapukał albo wcisnął dzwonek. Podjechałam bliżej i zatrzymałam się pod domem w kolorze toffi. Był niski i uroczy. Przed nim znajdowało się mnóstwo kwiatnych rabatek i trawnik wielkości znaczka pocztowego. Po jednej stronie stała krata z kutego żelaza porośnięta wisterią, a przed nią śliczna ogrodowa ławeczka. Nie potrafiłam się domyślić, kto tam mógł mieszkać. Na pewno nie Paula. Miała loft w centrum. Kto inny mógł to być? Nie przychodził mi do głowy nikt na tyle ważny, by William zostawiał mu liściki, już nie wspominając o tym zdecydowanym kroku i toporze.

Zgasiłam silnik, wysiadłam i ruszyłam przez trawnik w stronę fioletowych drzwi. Nie wyglądały kiczowato. Miały soczysty, śliwkowy kolor, a przyklejona kartka – teraz widziałam, że to koperta – odcinała się od nich śnieżną bielą.

William wykaligrafował na niej swym starannym charakterem pisma tylko jedno słowo. Podeszłam jeszcze bliżej, żeby je przeczytać: „Bridget”.

William zostawił list dla nieżyjącej kobiety, przykleił go taśmą do fioletowych drzwi.

Dłoń na końcu mojego ramienia wyciągnęła się i wcisnęła dzwonek.

Czekałam, patrząc na to nieprawdopodobne słowo. W końcu usłyszałam czyjeś kroki. Fioletowe drzwi otworzyły się.

Miała kilka kilogramów więcej niż na zdjęciu, które pokazano w wiadomościach. Nie uśmiechała się radośnie jak wtedy, gdy siedziała z mężem i dzieckiem na wesołym piknikowym kocu. Powitała mnie zaledwie uprzejmym uśmiechem, pytając unosząc brwi.

Jej uwagę zwróciła koperta, tak biała na głębokiej barwie drzwi. Odwróciła się do niej i już wyciągnęła rękę, ale nagle znieruchomiła. Nieżyjąca żona Williama nieżyjącymi oczami spojrzała na własne imię wykaligrafowane jego charakterem pisma.

– Jesteś Bridget – powiedziałam.

– Tak. – Zdjęła kopertę z drzwi i przesunęła palcami po swoim imieniu. – Ty to przyniosłaś? William cię przysłał?

– Jesteś Bridget – powtórzyłam. – Umarłaś.

Przechyliła głowę.

– Och! Już rozumiem. Przepraszam. Tak, umarłam. Przysłaś, żeby mnie o to spytać? Dokąd poszłam po śmierci? – Znowu zerknęła na kopertę i schowała ją do kieszeni dzinsów. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie z wielkim ciepłem i dobrocią. – Zazwyczaj ojciec Lewis rozmawia ze mną, zanim kogoś do mnie przyśle, ale od wczoraj nie sprawdzałam wiadomości. – Na oślep zrobiłam krok w tył, a ona podeszła do mnie i wyciągnęła rękę, jakbym była przestraszonym bezdomnym kotkiem. – Nie, nie, wszystko w porządku. Mam trochę czasu.

Z wnętrza domu dobiegł męski głos:

– Kochanie?

– Tato, przyszedł do mnie ktoś z kościoła – odpowiedziała. – Za chwilę wracam. – Zamknęła za sobą drzwi. Ujęła moją dłoń w swoją ciepłą, żywą dłoń i pociągnęła mnie przez trawnik. Poszłam za nią jak przedmiot bez ciężaru, jak balonik na sznurku. – Straciłaś kogoś niedawno?

Kiwnęłam głową, bo to była prawda. Bardzo niedawno. Właśnie straciłam Williama.

– Jak długo nie żyłaś? – spytałam.

– Niecałe trzy minuty – odparła. Zaprowadziła mnie do ogrodowej ławki, usiadła i pociągnęła mnie za sobą. Ławka była mała, więc dotykałyśmy się kolanami. – Chociaż to subiektywna kwestia. Dla mnie trwało to o wiele dłużej. Kogo straciłaś?

Nie przychodziła mi do głowy dobra odpowiedź. Trudno mi było na nią patrzeć, moją żyjącą rywalkę, dziwną i obcą, i w tym samym czasie myśleć.

– Nie przyszłam w tej sprawie. Przyszłam, bo... – Nie potrafiłam dokończyć tego zdania. – Przyjechałam za Williamem.

– Och. – Jej dłoń powędrowała do kieszeni i na sekundę spoczęła na kopercie, kiedy Bridget przyswajała sobie moje słowa. Znowu spróbowała zmienić temat. – Skąd znasz Williama?

– Napadnięto na mnie. Napadnięto na nas oboje.

– Oooh. – Tym razem zabrzmiało to tak, jakby coś sobie uświadomiła. –

Jesteś Shandi.

Zamrugałam, ale zanim zdążyłam zadać jej pytanie, już znałam odpowiedź. Paula. Nic dziwnego, że była tak nastawiona przeciwko mnie. Spojrzałam na siebie takim wzrokiem, jakim Paula musiała na mnie patrzeć. Widziała mnie jako natrętną dziewczuszkę w sukience w stylu Marilyn, która próbowała poderwać samotnego mężczyznę będącego w separacji z żoną. Żoną, którą kiedyś kochał tak bardzo, że wtargnął za nią do klasztoru. W oczach Pauli próbowałam zająć miejsce żony w rozwiedzionym małżeństwie, które straciło dziecko. Moja twarz oblała się gorącym rumieńcem, kiedy przypomniałam sobie te okropne, bezduszne rzeczy, które mówiłam o pustym miejscu, Kolumbie i nowych początkach. Paula mogła oszczędzić wszystkim tyle problemów, gdyby po prostu powiedziała: „Hej, ty idiotko, Bridget żyje”. Pewnie nawet jej nie przyszło do głowy, że myślę, że Bridget zginęła w wypadku.

Po napadzie usłyszałam, jak w telewizji mówili coś o tragedii i pokazali zdjęcie jego żony i dziecka. Wybrałam taką tragedię, która najbardziej mi pasowała, i zignorowałam wszystkie inne możliwości. Byłam dobra w ignorowaniu prawdziwszych opcji, kiedy już znalazłam zadowalającą mnie narrację.

Stało się tak częściowo dzięki Bethany. Boże, ileż problemów jej zawdzięczałam! Krzyczała na mnie przez większą część tego fragmentu wiadomości. Ale była to też moja wina. Świadomie wybrałam tragedię, która oznaczała, że William mógł być mój. Bezpiecznie pochowałam Bridget, i w swoim umyśle usunęłam ją z drogi. Ale William nadal był żonaty.

– Jak on się czuje? – spytała Bridget. – Poszłam do szpitala po tym, jak go postrzelono. Nie chciał mnie wtedy widzieć.

Znowu dotknęła kieszeni z kopertą i w tej chwili obie pomyślałyśmy o tym samym. Byłam tego pewna. Zastanawiałyśmy się, czy teraz William chciałby się z nią zobaczyć.

– Zachowuje się, jakbyś nie żyła – odparłam. – Każdy, kto by zobaczył jego dom, w to by uwierzył. Nigdy nie słyszałam, żeby wypowiedział twoje imię.

Te słowa ją zabolowały. Ucieszyłam się z tego i jednocześnie to mnie przeraziło. Spojrzała na swoje bose, żywe stopy na trawie. Ja też na nie spojrzałam. Były to szerokie, kościste stopy kobiety pracującej, z paroma odciskami i bez pedikiuru.

– Kochasz go? – spytała, po czym skorygowała swoje słowa i spytała o to, co naprawdę ją obchodziło: – Kochacie się? – Miała na myśli nas oboje. Pytała, czy oboje jesteśmy w sobie zakochani.

– A co mówi Paula? – spytałam.

– Och, Paula. Mówi, że William nie jest zakochany, ale to moja najstarsza przyjaciółka. Co innego mogłaby powiedzieć? – Zabolało, chociaż nieco złagodziła swoją odpowiedź. Wciąż patrzyła na mnie z tak bezsensowną dobrocią.

– No cóż, ma rację.

Ucieszyłam się, że tym razem to ona mnie zraniła, chociaż oczywiście rachunki nie zostały wyrównane. Nigdy nie będą i pod tym względem Paula miała rację. Nigdy nie zastąpię Bridget. Nawet w połowie nie byłam taka jak ona. Pochyliła się w moją stronę, pełna wdzięku i łagodności, a ja siedziałam jak wściekłe dziecko z czerwoną buzią i ze złośliwą satysfakcją myślałam o tym, że moje stopy są o wiele ładniejsze.

– Wejdiesz? – spytała Bridget, dotykając dłonią mojej nogi. Dłoń ogrodniczki, również z paroma odciskami i krótkimi, schludnie przyciętymi paznokciami.

Uświadomiłam sobie, że płaczę.

– Jaka ty jesteś głupia. Jaka ty jesteś głupia – wydusiłam z siebie, jakbym z trudnością przepychała słowa przez zaciśnięte gardło. Zaczęło mi kapać z nosa. Zachowywałam się jak idiotka. Udawana żona, udawana namiętna kochanka. Najpierw go ścigałam, a potem przed nim uciekałam, jakbym na przemian była skunksem Pepe Le Swąd i tym głupim pasiastym kotem. Nawet teraz, kiedy go śledziłam, jak rozegzaltowana dziewczuszka, żeby wyznać mu miłość. Wszystko to były niedojrzałe sztuczki. Zabawy małej dziewczynki. Powinnam być mądrzejsza. Straciłam licencję małej dziewczynki, kiedy urodziłam Natty'ego.

Po raz kolejny bawiłam się w udawanie, ale na ławce na podwórku przed domem siedziała jego prawdziwa żona ze smutnymi, dobrymi, zmęczonymi oczami. Przykład Mimmy i mojego taty nie był przeznaczony dla mnie, tylko dla niej. Dla nich. Na tę myśl tak mnie zemdliło, że dosłownie wrzasnęłam na nią:

– Jaka ty jesteś głupia! Dlaczego po prostu nie pozostałaś martwa? Po co

w ogóle żyjesz? Żeby siedzieć na swoim podwórku i rozmawiać o życiu po śmierci z jakąś nieznaną wariatką w żałobie? Kochasz go. Myślisz, że nie wiem, jak to wygląda? Nic mnie nie obchodzi, że nie chciał cię widzieć w szpitalu. Był ranny. Nie mógł cię wygonić. Możesz być pewna, że zaraz do niego pojedę i będę błagała, żeby mnie pokochał i zapomniał o tobie. A ty tu siedź, idiotko.

Współczucie, które pojawiło się na jej twarzy, kiedy tak się ciskałam, sprawiło, że zapragnęłam ją zamordować. Zerwałam się z ławki i głośno tupiąc, pomaszerowałam z powrotem do samochodu. Zawołała mnie, ale ją zignorowałam, wsiadłam i trzasnęłam drzwiami. Zaczęłam jeździć w kółko, płacząc i płacząc.

Niech spada, jeśli go nie chce. Skierowałam się do domu Williama, żeby tam na niego poczekać, pojechałam w stronę Morningside, po drodze wypowiadając wszystkie przekleństwa, jakie znałam. Nie byłam jeszcze nawet w połowie drogi, kiedy zawróciłam. Zaczęłam się od niego oddalać i nawet wjechałam na autostradę 85, żeby ruszyć na północ, do Mimmy, bo w kim tak naprawdę byłam zakochana? W Williamie?

Był piękny i zamknięty tak szczelnie, że mogłam go przebrać w strój dowolnego superbohatera. Superman, który powstał i powalił na ziemię Steviego. Doktor Geniusz, który znalazł odpowiedzi na moje pytania w mikroskopijnej tajemnicy komórek.

Ale on naprawdę zrobił to wszystko. Naprawdę był odważny i dobry. Zjechałam z autostrady i znowu skierowałam się w stronę Morningside, ale jednocześnie cały czas się zastanawiałam. Czy wtedy, w Circle K, rzeczywiście zakochałam się w nim? Czy tylko w wyobrażeniu o nim, kimś tak dużym, silnym i mądrym, że mógł mnie osłonić przed wszelkim złem tego świata? W milczącym, silnym opiece, który pozwolił mi uderzyć pięścią złego człowieka, jednocześnie dając mi pewność, że ten człowiek mi nie odda. Był rycerzem w jasnej zbroi tak mądrym, że pokonał nawet koszarne sny mojego syna, zakleił dziury, przez które zakradały się bardzo, bardzo złe rzeczy.

Jakie przerażone dziecko by tego nie chciało? Może moje ciało czuło się przy nim bezpiecznie tylko dlatego, że ja sama czułam się przy nim bezpiecznie? Może miłość do niego była tylko potrzebą bezpieczeństwa? Jeśli tak, to miałam

przechłapane. Nikt nie mógł uczynić bezpiecznego miejsca ze świata. Nikt na tej błękitnej planecie nie był bezpieczny choćby przez sekundę. Dobrze o tym wiedziałam. Wiedziałam o tym lepiej niż większość dziewczyn w moim wieku.

Był taki piękny. Nie był mój. Powinnam teraz pobiec w góry i się schować. Powinnam pobiec prosto w jego ramiona i zażądać, żeby mnie zamknął w objęciu? Powinnam pobiec do domu, do matki, i wypłakać jej się w rękaw.

Zatrzymałam się raptownie na Ponce de Leon Avenue, nie skręciłam w stronę Morningside, stanęłam na niewłaściwym pasie, by wrócić na autostradę. Za mną czterech czy pięciu wściekłych kierowców zaczęło wciskać klaksony. Włączyłam migacze i siedziałam tak, a samochody mnie omijały, trąbiąc, żebyśmy się wreszcie ruszyły, ale ja nie mogłam się ruszyć, bo nie potrafiłam zdecydować, w którą stronę skręcić.

Nie chciałam wybierać. Obie opcje były do kitu, a ja byłam już zmęczona pościgami. W końcu nie pojechałam więc w żadne z tych miejsc.

W końcu pojechałam do parku Piedmont.

Kiedy tylko odjechał spod domu Sullivanów w Decatur, ruszył prosto do kancelarii Pauli. Nie mógł znieść myśli o powrocie do pustego domu. Paula zabrała go na bilard, więc przez kilka godzin myślał właściwie tylko o kątach i rotacjach bocznych. Około północy wrócili do jej loftu, gdzie przespał się na kanapie.

Zbliża się świt. Paula nadal rąbie siekierą ostatnią drewnianą ławkę. O tej porze tuż przed porankiem mają Świąty Park tylko dla siebie. William pościągał ławki na środek trawnika. Miał nadzieję, że odgłosy rąbania ich na drzazgi nikogo tu nie zwabią. Tylko tego by brakowało.

Chodnik jest pokryty odłamkami szkła. Paula, która dawno temu chciała rozbić kamieniami wszystkie latarnie, teraz mogła spełnić swoje marzenie. Całymi garściami wyrwali kwiaty i rzucali je na trawnik, z uszkodzonymi, odsłoniętymi korzeniami. Potem William siekierą porąbał większość domków dla ptaków i porozrzucił stare gniazda, pod koniec lipca już suche i puste. Ściął też wszystkie cztery klony japońskie, które kilka lat temu posadził w prezencie ślubnym.

– Bubba, musisz jeszcze tylko załatwić tę ławkę. Nie daję rady – odzywa się Paula. Ciężko dyszy, ale jej oczy błyszczą i uśmiecha się szeroko. William nie jest pewien, czy dlatego, że zaniósł list do Bridget, czy po prostu Paula lubi niszczyć rzeczy. Pewnie z obu tych powodów. – Siekiery są do niczego. Dlaczego wzięłeś topór?

Przesuwa się i William bierze zamach i opuszcza topór długim, szybkim ruchem, który sprawia mu przyjemność, uwalnia siłę nagromadzoną w mięśniach pleców i ramion, chociaż jego brzuch protestuje. Pęknięta ławka rozpada się, wszystkie deski zapadają się jednocześnie i ostrze wbija się głęboko w ziemię.

– Aha. Już wiem – mówi Paula, kiedy William wyszarpuje z ziemi ostrze topora.

Stoją z głowami przechylnymi pod takim samym kątem, nasłuchując odgłosów kroków albo wycia syren, spodziewając się, że odgłos roztrzaskiwanej ławki mógł zaalarmować jakiegoś pobliskiego mieszkańca cierpiącego na bezsenność.

Nic.

Paula zawadiacko zarzuca sobie topór na ramię i idzie do ostatniego domku dla ptaków. Jest ozdobiony ręcznie namalowanymi kwiatkami, które wyglądają, jakby ich autorem było dziecko albo niezbyt uzdolniony plastycznie dorosły. Domek wisi zbyt nisko na drzewie. Byle kot mógłby się do niego dostać. Każdy człowiek mierzący ponad metr osiemdziesiąt wzrostu może do niego zajrzeć.

– Ten nie – mówi William i Paula go zostawia.

Reszta małego parku to teraz płatanina powyrywanych, usychających roślin, odłamków szkła i drewnianych ławek porąbanych na drzazgi. Siadają na ziemi, obok siebie, bo zniszczyli wszystko, na czym można by usiąść. Paula swojskim ruchem opiera się o niego ramieniem.

– To jedyna rzecz, w jakiej naprawdę jestem dobra. Smutne, co? – Ale jej głos wcale nie brzmi smutno. – Jestem absolutnie doskonała w niszczeniu. Ciągle tylko coś rozwalam. Nawet moja praca na tym polega.

– Robisz też inne rzeczy – mówi William.

– Tak, ale nie buduję. Wydaje mi się, że ty i Bridget jako para byliście jedyną rzeczą, jaką zbudowałam w całym swoim życiu.

William kiwa głową. To szczerza prawda.

– Myślisz, że przyjdzie?

W liście, który przykleił do drzwi domu Sullivanów, napisał: „Spotkajmy się jutro, tuż przed świtem, przy Twojej starej grządce z tulipanami”. W przeciwieństwie do pierwszego ten list nie obiecywał niczego dobrego. William nie jest pewien, czy Bridget uzna, że to, co robi, jest dobre.

Zrozumieć, czego się chce, to jedno. Ale dojść do tego, jak to osiągnąć, to zupełnie co innego. William jeszcze nie wie, jak to osiągnąć, ale próbuje.

– Mam nadzieję, Bubba, bo włożyłeś w to od cholery wysiłku. – Paula wskazuje ręką na otaczający ich chaos.

Paula mogła wymyślić inny plan, może bardziej romantyczny, i bardzo szybko go dla niego przygotować. Próbowwała, kiedy grali w bilard, ale kazał jej skupić się na grze, zanim przegra z kretelem. Nie chciał słuchać jej pomysłów. Jeszcze zanim do niej pojechał, postanowił, że sam coś wymyśli. Żadnej chemii, żadnych sztuczek. Żadnych katalizatorów, żadnych zagadek. Napisał list zwykłym niebieskim atramentem. Potem się zaniepokoił, że Bridget go nie zrozumie, więc pod spodem dopisał: „To jest list miłosny”. Chciał jasno przedstawić sprawę. Chciał się odsłonić, żeby Bridget mogła postanowić, czy przyjść.

Jeśli przyjdzie, będzie miał jej co pokazać. Park przywrócony do swojej pierwotnej, głównianej postaci, to tylko jedna z tych rzeczy.

W domu, na kominku, stoi druga. Przyniósł ze strychu trzy zdjęcia Twyli. Żaden zbiór zdjęć nie oddałby tego, jaka Twyla była naprawdę, więc wybrał po jednym na rok. Nowo narodzona Twyla. Jednoroczna Twyla. Dwuroczna Twyla.

Bridget nie chowała jej zdjęć, bo dla niej jakaś niebiańska Twyla nadal istniała. Dla Williama Twyla przestała istnieć, kiedy istnieć przestało tylne siedzenie. Z tego powodu bardzo trudno mu było patrzeć na fizyczne przedmioty ściśle z nią związane. Wyniósł je na strych, niedługo po wypadku, pewnej soboty, kiedy Bridget pracowała w schronisku. Pomyślał, że tak będzie łatwiej, ale Bridget nie zareagowała na to dobrze.

Teraz William chce je znieść na dół. Stanowią świadectwo, że Twyla istniała i że jej krótka egzystencja miała znaczenie. Nie powinien był usuwać śladów po niej. Źle zrobił.

Kierował się czym innym niż Bridget, ale rezultat był taki sam. Zawsze tak było w przeszłości w ich małżeństwie. Często podążali innym torem rozumowania, ale zawsze dochodzili do takich samych wniosków. Bridget sama to stwierdziła, chociaż ona mówiła o tym w kategoriach ścieżek i przeznaczenia.

Ostatnią rzeczą jest zapisek w jego kalendarzu. Umówił się na spotkanie z ojcem Lewisem. Ojciec Lewis pewnie będzie chciał długo mówić, ale William wierzy, że znajdzie sposób na pokojowy przebieg rozmowy. Przed tamtym dniem w Circle K nie pozwoliłby, żeby ojciec Lewis czy ktokolwiek inny, nawet jego własna żona, twierdził, że jego dziecko trafiło do „lepszego miejsca” – zawsze wtedy odpowiadał, używając najokrutniejszych terminów.

– To jedno wielkie gówno i dobrze o tym wiesz – mówił do ojca Lewisa, a Bridget siedziała cicho na kanapie. Wyglądała przez okno, patrzyła na ptaszki, które podfruwały do karmników i wydziobywały ziarno. Sprawiała takie wrażenie, jakby w ogóle go nie słuchała. – Gdybyś naprawdę w to wierzył, rzuciłbyś się do wody i szybciej dostałbyś się do tego lepszego miejsca.

– Williamie, samobójstwo to grzech. Czy zamierzasz zrobić sobie jakąś krzywdę? – spytał go zaniepokojony ksiądz.

William nie odpowiedział na to bezpośrednie pytanie, co teraz uważa za odpowiedź. Powiedział tylko:

– Czczysz Boga, który trzyma cię na tej planecie ze względów formalnych.

Te rozmowy nie były produktywne.

Teraz postanowił zawrzeć trwały pokój z Kościołem Bridget. Jeżeli tego nie zrobi, pozostanie na swojej pozycji albo-albo, w której nie ma szansy na wygraną. Czy Bridget wybierze Boga, czy Williama, Bóg i tak ma ją tylko dla siebie.

Bóg miał ją od chwili, w której ratownicy medyczni wydostali ją z rozbitego samochodu i kiedy zobaczyła miejsce, w którym wcześniej znajdowało się tylne siedzenie. Doświadczyła zatrzymania akcji serca, które jest początkiem śmierci. Kiedy jej organizm powoli przestawał funkcjonować, Bridget zobaczyła, jak ich dziecko zmartwychwstaje, zdrowe i piękne, i poszła za nim. W ten sposób opowiadała o swojej krótkiej śmierci, jakby to był wybór. Mówiła, że zrzuciła z siebie ciało jak ciężki płaszcz i pofrunęła, by złapać Twylę.

Co się wydarzyło potem – zapraszające światło, pęd przez tunel z Twylą w objęciach, wszechogarniające uczucie spokoju, dźwięk dzwonów, ostrożne oddanie śmiejącego się dziecka w potężne, silne ramiona, które przyjęły je z taką dobrocią, poczucie bycia mile widzianą, pełna ciepła akceptacja – wszystko to było skutkiem niedotlenienia mózgu i wyrzutu endorfin, który następuje, kiedy przerażony mózg umiera. William mógłby przeżyć coś całkiem podobnego dzięki starannie dobranej dawce ketaminy i autosugestii.

Kiedy jednak patrzy na to z perspektywy czasu, wie, że nie powinien tego mówić Bridget.

Tak naprawdę to niewiele mógł jej powiedzieć o życiu po śmierci Twyli, więc Bridget coraz bardziej i bardziej słuchała Boga.

Codziennie rano chodziła na mszę. W domu modliła się godzinami, rozmawiając z Bogiem, który w jej wyobraźni trzymał na rękach ich dziecko. Zaczęła nawet sypiać na plecach, twarzą do góry, pragnąc większej otuchy niż ta, którą William mógł jej oferować. Może dlatego, że słowa Williama podważały prawdziwość tej otuchy.

Przestał mówić, kiedy zrozumiał, jak bardzo ją rani, ale wtedy nawet jego milczenie było przeciwieństwem jej nadziei. Sama jego obecność ją niszczyła. Brak wiary, nieustanny smutek, ogrom jego straty – wszystko to oznaczało atak na jedyny spokój, jaki potrafiła znaleźć. Coraz bardziej się od niego oddalała. Unikała go za dnia, przesiadując w kościele, modląc się i coraz bardziej angażując w pracę dla kościoła. Co noc powiększała się szerokość pustego prześcieradła między nimi. Bridget miała Boga, dla Williama zabrakło miejsca.

Mijały miesiące, Bridget kierowała swoje słowa i spojrzenia tylko do Boga, a Williama ogarniał gniew. Jego odwiecznego rywala już nie zadowalało pierwsze miejsce. Bóg zajął wszystkie miejsca. William zaczął się gniewać na wszystkie aspekty osobowości Bridget, jeden po drugim, aż jęły go gniewać nawet szczegóły halucynacji towarzyszących jej umieraniu.

Pomyślał, że gdyby jego serce przestało bić, gdyby przyśniło mu się życie po śmierci, kiedy impulsy elektryczne w jego mózgu zaczęłyby zanikać, gdyby znalazł się w niebie Bridget, nie oddałby Twyli. Walczyłby jak szalony. Roztrzaskałby puszyste ściany z chmur i kopniakami podziurawił złote ulice. Oddaliłby się w niebyt z dodającą otuchy świadomością, że do ostatniego impulsu swojego mózgu walczył o życie Twyli. Ten gniew był irracjonalny, ale istniał. Im bardziej Bridget się modliła, tym większy gniew ogarniał Williama.

Ostatniej nocy, kiedy dzieliło ich już prawie całe łóżko, księżyc wisiał na niebie bardzo wysoko, bardzo jasny. William zapomniał zamknąć okiennice. W tym jasnym świetle księżycyca Bridget spojrzała na niego. Dziwnie się czuł, z tak bliska patrząc na soczystą zieleń jej oczu, tak pełnych tęsknoty.

Kiedy tak na niego patrzyła, mógł powiedzieć: „Tęsknię za tobą”. Proste, ale szczerze słowa. Tęsknił za nią. Teraz czuł tylko to, oprócz rozpacz i gniewu na to, że nie mógł pomóc Twyli i Bóg musiał go w tym wyręczyć.

– Tęsknię za tobą – powtórzył.

– Wiem, Will, ja też za tobą tęsknię. Bardzo. Nie chcę, żebyśmy żyli w ten

sposób. Chcę, żebyśmy byli lepsi.

Wykonała pierwszy ruch. Lekko wychyliła się w jego stronę, a on zrobił to samo, nieśmiały ruch w świetle księżyca. Potem on przewrócił się na bok, a ona zrobiła to samo. Przysunęli się do siebie, jej usta znalazły jego usta, jego ręce przesunęły się po jej znajomych, ukochanych kształtach.

Mógł to być początek powrotu do punktu kompromisu. Bridget zawsze powtarzała, że w ich małżeństwie najlepsze jest to, że William nie próbuje zniszczyć jej wiary, a ona nie pozwala, by wiara ich poróżniła. Ale William, świadomy prostego matematycznego ryzyka, rozumiejąc, ile mogą stracić, na krótko odwrócił się od niej. Otworzył szufladę w nocnym stoliku i wyjął jedną z prezerwatyw, które zawsze tam trzymał. Kiedy odwrócił się z powrotem, Bridget już się od niego odsuwała, na czworakach, jak zwierzę. Była naga, policzki jej płonęły, a oczy zwęziły się w pełne furii szparki.

Uklękała i spoliczkowała go, raz, mocno. Upuścił opakowanie na łóżko. On teraz też wspierał się na rękach i kolanach.

– Nie! – krzyknęła.

– Nie mogę – odparł. Policzek go palił.

Patrzyli na siebie, ciężko dysząc, oboje wstrząśnięci i rozgniewani. Bridget wstała i wyszła z pokoju, po drodze wyciągając z szafy swój gruby szlafrok. Tej nocy nie wróciła do sypialni. Kiedy następnego dnia wychodził do pracy, spała na kanapie w salonie. Kiedy był w laboratorium, do Bridget przyszli Sullivanowie, zachowując się jak członkowie plemienia. Po powrocie do domu zobaczył, że zniknęły jej wszystkie rzeczy. Usunięto wszelkie dowody na istnienie Bridget, tak starannie, jak on starannie usunął ślady Twyli.

William nie znał się na niuansach, ale wiedział, że to pewne oświadczenie.

Odkrył, że poczuł ulgę, kiedy nie musiał już leżeć obok niej, przynosić jej rozczarowanie, codziennie coraz bardziej rozgniewany. Jakąż ulgą była możliwość przeżywania żałoby po dziecku, kiedy wolno mu było odczuwać jego stratę jako absolutną. Właściwie łatwiej mu było zaakceptować dowód, jakim była pustka w domu: Bridget nigdy nie istniała. Dziewięć dni po jej odejściu znalazł pod kanapą starą bransoletkę z zawieszkami. Schował ją na strychu. Tam przekonał się, że Bridget zabrała wiele rzeczy Twyli, co również przyniosło mu ulgę.

Wygnał z umysłu jej imię, jej postać, wszelkie myśli o niej, chociaż ten akt stał się powodem jedynej jego kłótni z Paulą. Paula nadal co wtorek spotykała się z Bridget, ale przestała mu opowiadać o tych spotkaniach, bo tego zażądał. Jej wtorkowe nieobecności mówiły same za siebie, ale – tak, jak obiecała – nie wymawiała zakazanego imienia.

Wtedy myślał, że jest mu to niezbędne do przeżycia, ale właśnie nadeszła rocznica. Zatrzymał go proszek do prania w Circle K. Próbując uciec przed żoną, wystawił się na kule. Wygnanie Bridget okazało się nietrwałe.

Teraz zdjęcia stoją na kominku, a park jest zniszczony. William jest nawet gotów porozmawiać z ojcem Lewisem. Dziwne, że spośród wszystkiego, co stracił w wypadku, największy wysiłek musi włożyć w to, co go najmniej interesuje: w sztukę współistnienia z teologią.

– Idzie – mówi Paula.

Wstaje, wtapia się w noc, znika. Tak, Bridget idzie w jego stronę. Widzi podskakujące światło latarki, która jej pomaga znaleźć drogę w otaczającej ich ruinie. Przechodzi przez zniszczony park, który kiedyś jak za sprawą cudu przemieniła w piękne miejsce. Światło przesuwają się po wszystkich uszkodzeniach, jakie uczynił, po wszystkim, co rozerwał gołymi rękami. I z pomocą topora. I Pauli.

Podchodzi prosto do niego, jak zwykle bezbłędnie go namierzając. Podnosi latarkę, by oboje widzieli się w jej przyćmionym świetle. Ma bardzo smutną twarz.

– Nie byłem pewien, czy przyjdiesz – mówi William.

– Will, nie wiem, czybym przyszła, gdybym wiedziała, co tu zobaczę. – Wskazuje na zniszczenia wokół nich, ale zdrobniawo wymawia jego imię. To dobry znak pomimo jej smutnej miny. Pewnie nie rozumie, dlaczego to zrobił.

William przetyka ślinę.

– Chcę, żebyś to naprawiła – wyjaśnia. Ale to nie tak. Zniszczył park, żeby dać Bridget i Bogu jakieś zajęcie. Takie, w którym i on mógł uczestniczyć. – Chcę, żebyś mi pomogła to naprawić.

Zaintrygowana, przechyliła głowę, a po chwili rozchyliła usta i szeroko otwiera oczy.

– Czy to... Czy ty właśnie użyłeś metafory? – W jej głosie brzmi takie

niedowierzenie, że William prawie się uśmiecha, głównie z ulgi. Kiwa głową. Użył metafory. Ten park to próba przemówienia językiem, którym nigdy się nie posługiwał. Bridget patrzy na park innymi oczami, jej spojrzenie łagodnieje. – Dlaczego oszczędziłeś jeden domek dla ptaków? Co to znaczy?

Wskazuje na ten ozdobiony kwiatkami, tak źle umieszczony, że ocalił go przed Paulą.

– Nic. – Wzrusza ramionami z irytacją. – Pełno w nim ptaków.

– Co takiego?

Ma prawo być zdziwiona. On też był zaskoczony, bo jest za późno na zakładanie gniazda. Musi to być jakiś gatunek, który rozmnaża się późną wiosną. Bridget jednak podchodzi do drzewa, a ponieważ jest zbyt niska, żeby zajrzeć do domku, tylko nasłuchuje. On też słucha. Ptaki poruszają się w środku, wyczuwając nadchodzący świt.

– Jak myślisz, może kot znalazł ich pierwsze gniazdo? – Bridget podsuwa mu być może bardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

– Może. – Jeżeli to drugie gniazdo tych ptaków, to nie wyciągnęły zbyt wielu wniosków z doświadczenia. Nie jest tam bezpiecznie. – Dla metafory nie zabiłbym piskląt.

Bridget uśmiecha się jak dawniej i mówi:

– Oczywiście. – Spogląda na niego tak, jakby dopiero teraz go zobaczyła. – Will, tak bardzo cię przepraszam. Zostawiłam cię kilka miesięcy przed tym, jak się spakowałam. To było złe i okropne. Potem zostałeś ranny i to mnie otrzeźwiło. Zrozumiałam, że mogłam cię znowu stracić. W szpitalu byłeś jednak taki zły. Wybiegłam, chociaż nie powinnam. Powinnam była zostać i z tobą porozmawiać. Wczoraj przysłała twoja przyjaciółka Shandi i powiedziała mi, jaka jestem głupia. Miała rację. Byłam głupia. Nadal jestem.

Shandi? To zaskakujące, ale to nie czas, żeby poprosić o rozwinięcie tematu. Bridget musi przestać go przepraszać. Oboje zrobili wiele złych rzeczy, którymi zranili siebie nawzajem. Bridget nie powinna przepraszać. William jest niemalże pewny, że to on pierwszy ją zranił.

– To nie ma znaczenia. Ja też jestem głupi. Gdybym zaczął wyliczać, ile razy cię zawiodłem, stalibyśmy tu aż do wschodu. I pewnie by nas aresztowali.

Z lewej strony dobiega ich odgłos kroków. Trzaśnięcie gałązki. Paula? To

może być każdy, ale William wolałby, żeby go nie złapano. Chociaż na to zasłużył. W końcu zniszczył park publiczny. Planuje jednak go naprawić, czy Bridget mu w tym pomoże czy nie.

– Cholera! – mówi Bridget. – William, to jakieś szaleństwo. Chodź.

Bierze go za rękę. Dotyk jej palców, uścisk jej dłoni są tak znajome. Bridget go ciągnie, a William posłusznie idzie za nią.

Zostawiają jego zaparkowanego SUV-a, ale William zawiera go swojemu skrzydłowemu. Paula pozbiera topór i inne narzędzia i odjedzie z miejsca zbrodni. Pewnie zewrze kable w samochodzie Bridget i też go przestawi. We wczesnej młodości poznała cały wachlarz przydatnych umiejętności niezgodnych z prawem.

– Jutro musimy go naprawić – oświadcza Bridget. – To bardzo złe. Bardzo złe, że to zrobiłeś.

W jej głosie nie słyhać jednak gniewu, a William jest spokojny i oddycha swobodnie, kiedy Bridget ciągnie go w stronę domu. Powiedziała: „Musimy go naprawić”. My. Liczba mnoga. Wciąż jest tą samą Bridget, skończoną w swojej doskonałości. Ostatnim razem cała okolica się zmobilizowała tylko dlatego, że była na tyle odważna, żeby powyrywać brzydkie, usychające floksy. Teraz też może naprawić park. Oboje mogą to zrobić.

Snop światła z jej latarki wytycza im drogę przez ciemność, prowadzi ich, razem, do domu. Kiedy docierają na podwórko, Bridget się zatrzymuje, ale on nie. Zachodzi jej drogę, a potem odwraca się i ją całuje. Bridget przez chwilę jest tak zaskoczona, że cała sztywnieje w jego ramionach. Potem wspina się na palce. Rozchyła dla niego usta. Obejmuje dłońmi jego twarz.

Nie całują się tak, jak kiedyś na tym podwórku, kiedy przerwał im zimny deszcz. Nie są już tak młodzi i tak rozpaczliwie siebie spragnieni. Zaczyna się jako coś zbliżonego do pocieszenia. Coś znajomego. To smutne i dobre całować ją w ten sposób, objąć ją w talii i podnieść, przycisnąć ją całą do siebie. Tym razem William wnosi ją do środka, zamiast wynosić.

Nie zabiera jej do sypialni. Historia i obecność prezerwatyw w komodzie mogłaby nakłonić ich do myślenia. Znowu zaczęliby rozmawiać, przeproszać się w nieskończoność. Niesie ją więc na dywan przed kominkiem. Tu nie ma nic, co mogłoby ich rozdzielić.

Bridget zna jego ciało. On zna jej ciało. Tak bardzo starają się sprawiać sobie nawzajem przyjemność. On robi wszystko, co ona lubi najbardziej. Ona robi to samo dla niego. Dotyka go dokładnie tam, gdzie trzeba, jej usta poruszają się dokładnie tak, jak William lubi. Znajdują jego bliznę i zatrzymują się, żeby ją poznać. Bridget i William dochodzą jednocześnie, skóra przy skórze. Poruszają się powoli i z otwartymi oczami. Akceptują różne rodzaje ryzyka, na jakie się narażają.

– Przepraszam – mówi Bridget. – Tak bardzo, bardzo cię przepraszam.

– Ja też cię przepraszam – mówi William i całuje ją, aż przestają przepraszać się nawzajem.

William jest niemalże tylko swoim ciałem. Jego umysł działa z dużej odległości. Jutro, które jest teraz blisko, tak bardzo blisko, zaczną naprawiać park. Podczas pracy opowie Bridget o zmartwychwstaniu Steviego. Powie jej o dziecku dziewicy, które zawołało przez iPad: „Stevie, mówię ci, wstań”. Dla Williama to zawsze będzie, zawsze może być, tylko nauka i zbieg okoliczności.

Bridget dopatrzy się w tym czegoś więcej. Bridget przemieni to w nadzieję, którą nazywa upierzonym stworzeniem, a on jej na to pozwoli. Ustąpi i pozwoli jej na wszystko. W uległości odnajdzie łaskę. Bridget znowu wpuszcza go do siebie i tylko o tym William potrafi pomyśleć, zanim stanie się jedynie swoim ciałem, a zarazem jej ciałem, dwa ciała tworzące jedność, połączone, ryzykujące wszystko. Ryzykujące nawet poczęcie.

Potem, kiedy leżą rozluźnieni w swoich objęciach, patrzą przez okno na wschodzące słońce. Horyzont jest skąpany w różu i złocie z niebieskim brzeżkiem.

Bridget przesuwa palcem po jego ustach.

– Bakłażan jest smutny – cytuje zdanie z jego starej książki o warzywach. William uśmiecha się, zastanawiając się, co takiego w jego twarzy nasunęło jej tę myśl.

Leżą razem w coraz jaśniejszym świetle. Bridget wtula twarz w jego ramię. William zna ten ruch, rozpoznaje lekką zmianę w jej oddechu. Jej ciało odpływa w sen.

William nie jest zmęczony. Patrzy na wschód słońca za ogrodzeniem z czarnej siatki, przez którą Baxter może wyglądać na zewnątrz. Ląduje na niej

ptak, jeden z wielu kardynałów, które wracają co roku, żeby zakładać gniazda. To samiec, jaskrawoczerwony. Bridget leży w ramionach Williama. Jego materiał genetyczny działa w jej organizmie. Na ogrodzeniu siedzi czerwony ptak.

– Rzodkiewka jest szczęśliwa – mówi William śpiącej żonie. Przycisnęła twarz do jego ciała, ale William czuje jej uśmiech, zęby na nagim ramieniu.

– Will – mówi Bridget z ustami przy jego skórze. – Te dwa stany nie wykluczają się nawzajem.

Przez parę godzin siedziałam pod drzewem w parku Piedmont, wpatrując się w blok, w którym mieszkał Clayton Lilli. Trzymałam się blisko pnia. Tylko dwa razy zesłam ze splechotka usychającej trawy: raz, żeby pójść do delikatesów przy parku po kanapkę, na którą nie miałam ochoty, i raz, żeby skorzystać z toalety w tych samych delikatesach. Ze swojego ocienionego miejsca dobrze widziałam wejście.

Około czwartej napisałam esemesa do Mimmy, żeby sprawdzić, czy Natty bezpiecznie dotarł do domu. Była na mnie niezłe wkurzona i niepokoiła się. Tak, byli już w domu, a Walcott właśnie rozpakowywał bagaże. W podzięcie zamierzała ugotować mu obiad. Potem zaczęła mi wysyłać pytanie za pytaniem – gdzie jestem, kiedy przyjadę do domu, czy wszystko u mnie w porządku – na które jeszcze nie znałam odpowiedzi. Liczyło się dla mnie tylko to, że Natty był już w domu, z dala od tego głupstwa, które robiłam.

Zignorowałam jej pytania i napisałam: „Kocham Cię, przepraszam, dziękuję. Wszystko w porządku. Niedługo wracam. Wtedy możesz mnie o wszystko spytać, a potem zabić”.

Z mojego telefonu natychmiast popłynęła melodyjka, którą przypisałam Mimmy, więc go wyłączyłam.

Nieco po wpół do szóstej Clayton Lilli wrócił do domu. Patrzyłam, jak parkuje hondę na ulicy i wchodzi do budynku. Ja jednak się nie ruszyłam. Zostałam na miejscu. Nie potrafiłam się zmusić do tego, żeby pójść za nim. Nie wiem, jak sobie wyobrażałam jego reakcję, ale byłam zbyt wykończona, żeby wejść do jego mieszkania bez Williama u boku, gotowego go zabić przyciskiem do papieru. Piętnaście minut później pojawiła się jego myszowata dziewczyna. Dziś była w dzinsach i niosła kilka książek wyglądających na podręczniki.

Znajdowała się za daleko, żebym mogła odczytać jej wyraz twarzy, ale jej

język ciała był niewesoły. Lekko zgarbiona, szurła nogami. Miała klucz. Zaczęłam się zastanawiać, czy tu mieszka.

Nie znalazłam żadnej wymówki, żeby nie pójść do mieszkania Lilliego. Co mógł mi zrobić? Ponownie mnie odurzyć i zgwałcić w obecności jedynej dziewczyny, której zdołał wmówić, że jest słodki jak mały kotek? Zresztą i tak już była o tym przekonana, skoro dzisiaj do niego przysłała.

Nie mogłam jednak zmusić się do wstania. Miałam wrażenie, jakbym na coś czekała, na znak albo na przyzwolenie. Na to, że przestanę się bać. Na to, że przestanę pragnąć rzeczy, których nie mogę mieć, i że spróbuję odkryć, co jest możliwe. Siedziałam tam smętnie przynajmniej dziesięć minut, próbując zmusić się do działania.

I wtedy zobaczyłam zakonnice.

Przechodziła przez park w zwykłych butach i niosła dużą torbę ze sztucznej skóry. Była w cywilu: w granatowej spódnicy do kolan i białej bluzce z okrągłym kołnierzykiem, ale wiedziałam, że to zakonnica, bo na jej głowie zobaczyłam prosty kapelusz z białym brzeżkiem na czole. Na jej ramiona służyła czarna tkanina.

Miała co najmniej sześćdziesiąt parę lat. Nie była podobna do ładnej Bridget Ashe, ale poczułam dziwne zawroty głowy i gniew, bo w chwili, kiedy ją zobaczyłam, ogarnęła mnie pewność, że to Bridget ją przysłała. Po co? Żeby mnie ostrzec? Albo dać coś w rodzaju zgody?

Ale skąd Bridget mogła wiedzieć, że tu jestem?

Zresztą zakonnica nie patrzyła na mnie ani mnie nie szukała. Przeszła obok zwawym krokiem, ze spuszczoną głową, ostrożnie stąpając po nierównym gruncie. Nawet nie zauważyła, że się na nią gapię. Może ludzie często się na nią gapili. Była zakonnica w kapeluszu.

Nie miała więc dla mnie żadnej wiadomości. Może sama była wiadomością. Mrugałam i mrużyłam oczy, już prawie podejrzewając, że tylko ją sobie wymyśliłam, ale ona wciąż istniała i szła przed siebie. Może nic jej nie łączyło z Bridget Ashe. Na świecie istniała cała masa zakonnice. W samej Atlancie musiały być ich tysiące. Szukały trędowatych, którym mogłyby pomóc, albo jadły lody. Robiły to, czymkolwiek zajmują się zakonnice. Nigdy wcześniej nie zwracałam na nie uwagi, bo nigdy ich nie wypatrywałam. Bo i po co?

Uparcie wmawiałam sobie, że to tylko zbieg okoliczności, ale nie mogłam w to uwierzyć. Czułam się, jakby stawało się to słowo, które William wypowiedział w Circle K, kiedy wystawił się na kule. Jakby to było przeznaczenie albo odpowiedź na modlitwę, której jeszcze nie odmówiłam.

Czy tak wygląda prawdziwy cud? Skąd mogłam wiedzieć? Byłam dziewczyną, której życie wywróciło się do góry nogami poprzez brzydkie, czysto ludzkie dzieworództwo. Dzisiaj byłam świadkiem równie paskudnego zmartwychwstania, kiedy Bridget otworzyła fioletowe drzwi i usiadła ze mną w ogrodzie.

Jeśli był to inny rodzaj cudu, to właśnie pozwalałam, by mnie mijają. Na tę myśl wstałam. Ruszyłam szybkim krokiem, żeby ją dogonić. Im bardziej się zbliżałam, tym bardziej stawało się to nieodwracalne, jakby zakonnica była zrobiona z magnezu. Kiedy znalazłam się tuż obok, zobaczyłam, że na górnej wardze ma meszek, a reszta jej skóry przypomina pergamin, składany i rozkładany tyle razy, aż stał się pognieciony i miękki. Wyprzedziłam ją i zastąpiłam jej drogę, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Zatrzymała się i odezwała:

– Tak?

Nie wiedziałam, jak się do niej zwrócić. Kiedy w filmach ludzie rozmawiali z zakonnica, mówili „siostró”, to jednak wydało mi się zbyt poufałe.

– Przepraszam panią – odezwałam się w końcu. – Może to zbyt osobiste, a może nawet niegrzeczne pytanie, ale moja przyjaciółka... – Urwałam. Bridget Ashe nie była moją przyjaciółką, a ja nie miałam pojęcia, jak wyjaśnić sprawę Williama. Nawet nie wiedziałam, co właściwie jej powiedzieć. Otworzyłam usta i popłynęło z nich niezaplanowane pytanie: – Czy można być kimś innym, oprócz tego, że jest się zakonnica? Czy można wtedy wyjść za mąż?

Zaskoczona przechyliła głowę, ale odpowiedziała:

– Zostałam powołana do tego życia, ale odpowiedź była moim wyborem. – Stałam przez kilka minut jak idiotka, kiwając głową. W końcu dodała, jakby próbowała mnie zachęcić: – Przepraszam. Już jestem spóźniona, chyba że... Czy potrzebuje pani czegoś jeszcze?

Nie wiedziałam, ale i tak przecząco pokręciłam głowę.

– Chciałaby pani porozmawiać z kimś innym? – Patrzyła na mnie z wielką

dobrocią. Czy to zadanie wszystkich zakonnic? Zapewnianie nieskończenie wiele męczących, pełnych dobroci spojrzeń?

Znowu pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję.

Wyminęła mnie, ale jeszcze zerknęła na mnie przez ramię, śpiesząc się na to, na co już była spóźniona. Zanim Bridget wstąpiła do klasztoru, uczyła angielskiego nielegalnych imigrantów i prostytutki. Może ta zakonnica wykonywała podobną pracę. Jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku. Przyglądając się jej z tyłu, zauważyłam, że jej ramiona zaczynają się zaokrąglać, tworząc niewielki garbek jak u babć.

Zawołałam za nią:

– Jakie to było uczucie? To powołanie?

Zatrzymała się i odwróciła. Spojrzała mi prosto w oczy z odległości siedmiu metrów, które teraz nas dzieliły. Znowu ogarnęło mnie wyraźne uczucie, że przekroczyłam jakąś granicę, ale ona ponownie odpowiedziała:

– Jak historia o miłości.

Szybko kiwnęłam głową, jakbym dostała tiku. Ta odpowiedź była po prostu okropna.

Miałam serdecznie dosyć cudzych historii i miłości, zwłaszcza dzisiaj. Dlaczego jakaś siła wyższa chciałaby mi zesłać tę zakonnice tylko po to, żeby mi to powiedziała? Była tym, kim Bridget mogła zostać, ale Bridget wybrała Williama. Bridget była jego historią o miłości, a on był jej. W historii Williama moja rola ograniczała się może do przypisu. William nie był zbyt dobry w prowadzeniu narracji, więc może Paula opowiedziałaby tę historię za niego, a ja byłabym niewłaściwą dygresją, którą by usunęła. Moja historia działa się tutaj i nie było w niej miejsca na miłość.

Patrząc na tę zakonnice, pomyślałam: Chyba że wliczyć w nią Natty'ego.

Uświadomiłam sobie, że tak właśnie zrobiłam. Byłam sama, ale tak, wliczyłam w swoją historię Natty'ego. Właściwie tylko on się liczył. Nieważne, jak brzydka była ta noc, kiedy został poczęty. Nie cofnęłabym czasu i nie zmieniałabym tej historii, nawet gdybym mogła. Każda modyfikacja mogłaby go zmienić albo sprawić, że w ogóle by nie powstał. William mi to uzmysłowił. To, co stanowiło Natty'ego, było zapisane w jego komórkach, a ja tak bardzo

kochałam każdy fragment jego DNA, że sprawiłam, iż był tylko sobą. Kochałam w nim wszystko: rzęsy, poważny głosik, nadmierne zainteresowanie biologią żuków. Był idealny sam w sobie i należał do mnie. A ja należałam do niego.

Zakonnica znowu do mnie zawołała. Jej głos był stary, tak stary jak ona sama, kruchy jak papier, ale w tym, co powiedziała, zabrzmiała wielka pewność.

– Nadal czuję się, jakby to była historia o miłości.

Nie odpowiedziałam, ale poczułam, że moje ramiona się prostują i unoszą. Jasne, bałam się pójść tam i stawić czoła Claytonowi Lilliemu i wszystkim kłamstwom lub prawdom, jakie chciał mi wmówić. Oczywiście, że tak, a jednak pomachałam zakonnicy na pożegnanie i ruszyłam w stronę jego domu.

Może została wysłana – nadal tak mi się wydawało – żebym zrozumiała, że istnieją różne rodzaje miłości. Ta należała do mnie i Natty'ego. Zamierzałam zrobić wszystko, żeby dobrze się skończyła.

Podeszłam prosto do drzwi i wcisnęłam guzik, pod którym widniało nazwisko „C. Lilli”. Szara Myszka może i miała klucz, ale jej nazwisko nie widniało na domofonie. A jednak to jej głos usłyszałam.

– Tak?

– Tu Shandi Pierce. Proszę mnie wpuścić. Muszę z nim porozmawiać.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Pewnie się naradzali. Po ciągnących się w nieskończoność trzydziestu sekundach usłyszałam bzyczenie i otworzyłam drzwi.

Na guziku widniał numer trzysta dwanaście, więc pojechałam windą na trzecie piętro. Znalazłam ich na końcu korytarza po lewej stronie. Drzwi jego mieszkania już były otwarte. Stali w nich razem, czekając na mnie. Kiedy podeszłam, cofnęli się i wpuścili mnie do środka. Poczułam się dziwnie, kiedy zamknęli za mną drzwi.

Stanęliśmy w dziwnym trójkącie, ja na jednym wierzchołku w przedpokoju, oni po obu stronach zamkniętych drzwi.

– Dzień dobry – powiedział Clayton Lilli.

– Witam – odpowiedziałam.

– Dzień dobry. – Szara Myszka powiedziała to wysokim, lekko chrapliwym głosem. Chwila milczenia przeciągała się, rozrzedzając powietrze między nami.

– Napijesz się czegoś? – spytał Clayton Lilli.

Obie spojrzaliśmy na niego: ja piorunującym wzrokiem, ona z zastanowieniem. Mimo to dopiero po paru sekundach zrozumiał, jak niewłaściwa to propozycja oferować drinka dziewczynie, która twierdzi, że ją odurzyłeś. Na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec.

– Usiądźmy – zaproponowała dziewczyna. – Tak przy okazji jestem Beth.

Uch. Jej zwyczajne, szare imię pasowało do zwyczajnej szarej Beth. Źle to wróżyło, że była brzydką imienniczką mojej macochy.

Usiadłam na środku kanapy. Po drugiej stronie ławy stały dwa fotele. Clayton Lilli zajął jeden, Beth drugi. Dokładnie odtworzyliśmy ten niezręczny trójkąt z przedpokoju.

– Mam przynieść list? – spytał Lilli. – Mógłbym ci go przeczytać.

Ucieszyłam się, że nie poruszył tematu Natty'ego. Zupełnie jakby tamta sytuacja, kiedy Natty stanął obok mnie na schodkach przed domem, nigdy nie zaistniała. Lilli cofnął się do wcześniejszej chwili, kiedy stawka jeszcze była niższa, kiedy chciał przeczytać swoje wypracowanie pod tytułem „Co zrobiłem po letnich wakacjach”.

Odmownie pokręciłam głową.

– Oboje możemy wyrzucić sobie krzywdę. Spróbujmy więc porozmawiać. Żadnych listów. Żadnych wcześniejszych prób. Mów, co masz mi do powiedzenia.

– Spróbuję. Nie jestem dobry w opowiadaniu historii, ale postaram się opowiedzieć ci, co się wydarzyło tamtej nocy. Chcę powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło, najlepiej, jak pamiętam. Żeby to jednak miało sens, muszę wrócić do czasów, zanim cię zobaczyłem, dobrze?

Kiwnęłam głową.

Zerknął na Beth, ona jednak wbiła wzrok w dłonie. Po raz pierwszy zauważyłam, że na odpowiednim w tym celu palcu ma pierścionek z błyszczącym małym diamentkiem. A więc stawka dla nas wszystkich była wysoka. Wiedziałam, że już słyszała tę historię i uwierzyła w nią na tyle, żeby stanąć na schodkach przed moim domem i z pasją bronić Lilliego. Dzisiaj była bardziej cicha, siedziała osobno, dzieliła ich pewna przestrzeń. Pierścionek, nie pierścionek, już nie wyglądała na aż tak przekonaną. Natty wstrząsnął światem każdego z naszej trójki.

– Mój tata zmarł, kiedy byłem niemowlęciem, a jako dwulatka zaadoptował mnie ojczym – zaczął Clayton. – Nigdy nie miał własnych dzieci z moją mamą. Nie mógł. Kochał mnie. Nadal mnie kocha, chociaż jestem zupełnie inny niż on. Pracuje jako sprzedawca, ma świetny kontakt z ludźmi. Należał do bractwa studenckiego Kappa Nu. Uważał, że jeżeli i ja wstąpię do bractwa, stanę się bardziej towarzyski. Ten grecki system tak opracowano, by w automatyczny sposób powstawały przydatne przyjaźnie.

Kiedy mówił, Beth lekko przechylała dłoń, a w zmieniającym się świetle pierścionek puszczał do niej oczko. Clayton Lilli wpatrywał się w punkt na ścianie za moją głową. Nie patrzył na mnie i z tego powodu sprawiał wrażenie nieszczerego. Przypomniałam sobie jednak, jak William powiedział „duplikacje i delecje”, a i on nie przepadał za kontaktem wzrokowym.

– Na imprezie była prosta maszyna zbudowana z węża i lejka, przez który włąli we mnie pewną ilość piwa. W krótkim czasie wypilem dużo piwa. Nie miałem wrażenia, że piję. Wlewali je we mnie, a ja nie mogłem nic zrobić.

W tej chwili odezwała się Beth:

– Napelnili go jak dzban na piwo.

– Byłaś tam? – spytałam ostro.

– Nie. – Z powrotem przeniosła wzrok na dłonie.

– Miałem siedemnaście lat – relacjonował Clayton Lilli. – Nigdy przedtem nie piłem alkoholu. No, może nie całkiem tak. W Nowy Rok mama pozwalała mi wypić łyk szampana. Próbowałem też jej wina. Ale nigdy nie piłem tak na poważnie.

Powiedział to tak szczerze. Z taką wiarą, że nawet Godot w końcu by do niego przyszedł. Oczywiście możliwe było, że ten szczerzy i zmieszany chłopak później odurzył Godota i próbował go przelecieć. Nie mogłam tego wiedzieć.

Słuchałam jednak z otwartym umysłem, kiedy ciągnął swoją opowieść.

– Nie byłem pijany, bo piwo wiano we mnie bardzo szybko. Jednak parę minut później, dosłownie w jednej chwili poczułem się bardzo pijany. To było straszne i przerażające. Zataczałem się. Miałem problemy z utrzymaniem równowagi.

– Podłoga kołysała się pod jego stopami, jakby dom przemienił się w statek podczas sztormu – wtrąciła Beth, nie mogąc się powstrzymać. Było to dziwne:

on, swoim oficjalnym tonem, podał proste, surowe fakty, które następnie ona przedstawiła w postaci porównania.

– Nie byłem takim synem, jakiego pragnął mój ojciec. Próbowałem nim się stać, wstępując do Kappa Nu – powiedział Clayton Lilli. – Kiepsko mi to wyszło. Nie polubili mnie i ja nie polubiłem ich. Kiedy nagle poczułem się taki pijany, pomyślałem, że powinienem się położyć. Ruszyłem w stronę schodów, ale było to trudne, bo stało tam tyle ludzi, a podłoga się kołysała, jak powiedziała Beth. Wtedy cię zobaczyłem. Stałaś przy schodach, oparta o ścianę. Rozmawiałaś z trzema chłopakami. Co najmniej trzema. Zobaczyłem trzech.

Próbowałam przetrwać tę informację. Wyobraziłam sobie, jak stoję, pijana i bezradna, otoczona przez trzech chłopaków. Zobaczyłam nas przy schodach prowadzących do sypialni na górze. Poczułam, jak moje ciało kuli się lekko na myśl o tym, że mogłam zostać zaprowadzona na górę przez trzech chłopaków, a nie na zewnątrz, na pufę, przez jednego, który nawet nie całkiem we mnie wszedł. Ci trzej przerażali mnie jak cholera. Jezu, która dziewczyna nie wolałaby wersji Lilliego? Jeśli to wymyślił, to była to bardzo dobra historia. Bardzo zrecznie skonstruowana.

– Kto to był? – spytałam. Poddawałam go próbie.

– Rog Bently, Daren Case i Michael Warren – odparł. – Spisałem dla ciebie ich nazwiska. W liście.

Chciałam sprawdzić, czy poda ich nazwiska, potem jednak sama nie wiedziałam, czy fakt, że tak od razu je wymienił, uczynił go bardziej czy mniej wiarygodnym. Mógł przecież wskazać na chłopaków, których nie lubił, żeby uratować własny tyłek. Ale możliwe też, że próbował zrobić to, co słuszne.

– Przed moim domem powiedziałaś, że nie wiesz, kto mi podał narkotyk – zauważyłam.

– Powiedziałem, że nie jestem tego pewny. – Wszystko traktował bardzo dosłownie, ale pomyślałam, że mógł mieć rację. Pamiętałam, że dokładnie tak się wyraził. – Nie wiem, który z nich dał ci narkotyk. Może wszyscy, a może ktoś inny, kogo nie zauważyłem.

– Ale pomoże ci się tego dowiedzieć – znowu się wtrąciła Beth. – Zrobi wszystko, co chcesz. Pójdzie z tobą na policję, porozmawia z innymi kandydatami ze swojego roku albo z tymi trzema chłopakami. Założy podsłuch.

Powiedziała to tak stanowczo, że aż zabrzmiało dramatycznie. Może mówiła to nie tylko mnie, ale i sobie. Bardzo chciała, żeby jego wersja okazała się prawdziwa, ale Natty musiał zachwiać jej wiarą w niego. Przed domem stali tak blisko siebie. Teraz oboje siedzieli osobno, na krzesłach.

– Mów dalej – zwróciłam się do Clayтона Lilliego.

– Szedłem na górę, żeby tam zemdleć albo zwymiotować. Jeszcze nie wiedziałem co. Pewnie w obu tych celach. Ale kiedy cię mijalem, złapałaś mnie za rękę i wciągnęłaś do grupy.

Bardzo się starałam, żeby coś we mnie zaskoczyło, jakieś wspomnienie, do którego nie miałam dostępu, jakiś fragment mózgu, który został uspijony przez narkotyk. Czekałam na wewnętrzny dźwięk prawdy, ale kiedy opisywał, jak zatrzymałam go przy schodach, w towarzystwie trzech chłopaków, którzy się nade mną pochylali, mogłam to sobie wyobrazić jedynie w trzeciej osobie. Widziałam to jako historię, którą wymyślałam, nie jako wspomnienie.

– Odepchnęłaś Roga i złapałaś mnie za rękę. I wtedy... Wtedy... Mnie... – Zaczerwienił się ze wstydu.

Ja też poczułam, że policzki mi płoną.

– Pocałowałam cię?

Beth ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała słuchać tej części.

– Tak – potwierdził. – Pocałowałaś mnie i zaczęłaś mówić do mnie różne rzeczy. Było ciemno, grała głośna muzyka, a ja byłem bardzo pijany, więc nie pamiętam wszystkiego dokładnie. Wrzeszczałaś mi do ucha. Cieszyłaś się, że mnie zobaczyłaś. Ciągłe powtarzałaś „Hurra”. To ty zaproponowałaś, żebyśmy wyszli na zewnątrz. Byłem pijany, ale ty byłaś – przepraszam – byłaś ładna i też wyglądałaś na pijaną. W liceum nie szło mi z dziewczynami. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby ładna dziewczyna złapała mnie za rękę, pocałowała i mówiła takie rzeczy. Byłaś tak pijana, że musiałaś oprzeć się o ścianę. Ja też nie mogłem ustać na nogach. Oparłem się o ciebie, więc przygwoździłem cię do ściany. Chyba tylko dzięki niej się nie przewróciliśmy. Powiedziałaś, że przyparłem cię do muru, więc teraz jesteś moja.

W tym momencie cała jego głowa, nawet szyja oblały się szkarłatnym rumieńcem. Beth odsłoniła twarz, żeby przedstawić słowa Clayтона w postaci porównania.

– Wydawało mu się, że to taka zabawa. Jakbyś grała w taką grę, w której dziewczyna musi zostać złapana, on wszedł w środku tej gry i jakimś cudem wygrał.

– Kiedy mnie pocałowałaś i mówiłaś te wszystkie rzeczy, chłopcy zaczęli klaskać i nam kibicować – ciągnął Clayton Lilli. – Byłem pewien, że wreszcie robię coś tak, jak trzeba. Tak, jak zachowałby się mój ojczym. Wyglądałaś na taką dziewczynę, jaką on mógłby mieć na studiach. Ładna, zwariowana, lubiąca się napić. Fajna. Towarzyska. Nie taka jak ja. Naprawdę myślałem, że taka jesteś. Chłopcy dalej wiwatowali i powtarzali: „Łaaaał, Clayton odpadnie z drużyny”. W Kappa jest taki zwyczaj...

– Wiem o drużynie futbolowej Emory – przerwałam mu.

Z nieszczęśliwą miną przełknął ślinę.

– Wszyscy klepali mnie po plecach. Nadal opierałem się o ciebie, a ty znowu powtórzyłaś, że cię złapałem czy przyparłem do muru i teraz muszę cię mieć. Chciałem się pozbyć tamtej trójki. Myślałem, że ty też. Bałem się, że jeżeli pójdziemy na górę, oni przyjdą za nami. Żeby popatrzeć. Zyskać dowód dla drużyny futbolowej. Przestraszyłem się tego, więc powiedziałem, że idziemy potańczyć, i zostawiliśmy ich. Byliśmy tak pijani, że musieliśmy podtrzymywać się nawzajem.

– Ale nie poszliśmy potańczyć – powiedziałam.

– Nie. Chciałaś wyjść na zewnątrz. Pamiętam, że byliśmy w kuchni. Było ciemno, ale nie tak tłoczono jak w tamtym pokoju. Zdjęłaś... – Zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Prawie jak pomidor. Wyglądał absurdalnie, jak z kreskówki. – Zdjęłaś... Byłaś w spódnicy i zdjęłaś majtki. Opadły ci do kostek, a kiedy zaplątały się wokół butów, zrzuciłaś buty. Pocałowaliśmy się. Byłaś w spódnicy, ale wiedziałem, że zdjęłaś majtki, a to wiele zmieniało. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Że ich na sobie nie masz. To wtedy powiedziałaś, że mnie kochasz.

– To do mnie niepodobne – wtrąciłam.

– Byłaś naprawdę bardzo pijana. Jakoś dotarliśmy do puffy za grillem, na podwórzu za domem. Trochę tam figlowaliśmy, a ja ciągle myślałem o tym, co zrobiłaś w kuchni. Myślałem o tym i dzięki temu byłem gotowy. Ale wydawało mi się, że tego nie zrobiliśmy, no wiesz. Nie do końca. Tak mi się wydawało.

Trudno było uwierzyć temu chłopcu, który nawet nie potrafił zrzucić winy na gwałciciela. Ale może właśnie taki człowiek podałby dziewczynie narkotyk? Nie wyglądał na faceta, który uciekłby się do przemocy. Był cały czerwony i załamany tym, co mówił. A może właśnie taki nieśmiały sztywniak odurzyłby dziewczynę, żeby ją zgwałcić?

– Nie wszedłeś do końca – wypowiedziałam za niego te słowa, a on zerknął na swoją dziewczynę.

– Tak właśnie mi powiedział. – Beth też była zarumieniona. – Opowiedział mi o tym dawno temu, kiedy zaczęliśmy się spotykać i rozmawialiśmy o swojej przeszłości. Jeśli to w czymś pomoże, to opowiedział mi o tamtej nocy tak samo, jak opowiada o niej teraz. Powiedział, że oboje nie doszłście aż do...

Urwała. Miała na myśli Natty'ego, ale żadne z nas jeszcze nie było gotowe włączyć go do rozmowy. Dzięki Bogu. Chciałam działać w dobrej wierze. Chciałam powiedzieć prawdę, na wypadek gdyby i on ją mówił.

– Nie doszliśmy – przytaknęłam. – Nie do końca. To znaczy on dokończył, ale nie zrobiliśmy tego do końca. – Ja też wpadłam w spiralę wstydu i eufemizmów, ale pospolitej Szarej Myszce chyba ulżyło, że ta część historii się potwierdziła. Wyglądała też na zaskoczoną. – To możliwe – dodałam. – Mało prawdopodobne, ale się zdarza.

Wszyscy wiedzieliśmy, że „to” oznacza zajście w ciążę. Wszyscy wiedzieliśmy, że „to” oznacza Natty'ego.

Clayton wrócił do swojej historii.

– Zaraz potem zrobiło mi się wstyd, ale od piwa było mi też niedobrze. Wstałem i odszedłem na bok, żeby zwymiotować, ale nie mogłem zrobić nawet kroku. Zacząłem się czołgać. Czołgałem się po trawie ze spuszczoneymi spodniami. Czołgałem się, aż zacząłem wymiotować. Prawdopodobnie miałem zatrucie alkoholowe. Ważyłem może z siedemdziesiąt pięć kilo? – I teraz nie wyglądał na cięższego, ale nie odezwałam się i pozwoliłam mu dokończyć. – Wypiłem naprawdę dużo piwa. Zwymiotowałem i odczołgałem się stamtąd. Czołgałem się, aż zemdlałem. Obudziłem się, częściowo schowany w krzakach na podwórku z boku domu, wciąż ze spuszczoneymi spodniami. Był wczesny ranek. Wróciłem do grilla, ale ciebie już nie było.

Wszyscy troje popatrzyliśmy po sobie. Nic z tego nie pamiętałam, ale miałam

nadzieję, że ta część opowieści była prawdziwa. Miałam nadzieję, że rzeczywiście obudził się z gołym tyłkiem wystawionym ku niebu, tak samo bezbronny jak ja, kiedy mnie zostawił.

– Chciałabym ci wierzyć – przerwałam ciszę. – Z wielu powodów chciałabym, żeby to była prawda. Ale ja bym się tak nie zachowała. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła zrobić którąkolwiek z tych rzeczy. Nigdy w życiu. Nigdy nie powiedziałam żadnemu mężczyźnie, że go kocham. Nie powiedziałabym tego obcemu, choćbym była nie wiem jak pijana. Poza tym i tak zachowałeś się jak gówniarz, idąc za dom z nawaloną dziewczyną, którą dopiero co poznałeś. Obrzydlistwo. Kto się tak zachowuje? Ale to nie nielegalne i w pewnym sensie potrafię cię zrozumieć. Bardzo chcę, żeby to była prawda, ale... nie mogę ryzykować. – Znowu wszyscy wiedzieliśmy, że chodzi o mojego syna. – Muszę mieć pewność. Nie możesz mi powiedzieć, pokazać czegoś, co by potwierdziło chociaż część twojej historii?

Wiedziałam, że nie ma na to szans. Jakbym prosiła o cud.

– Przykro mi. Mogę tylko opowiedzieć to, co pamiętam. – Powtórzył historię, odliczając na palcach najważniejsze punkty, tak bardzo przypominając w tym Williama, że poczułam się nieswojo. – Najpierw mnie pocałowałaś, a w kuchni powiedziałaś, że mnie kochasz. Mówiłaś, że jestem twoim kotkiem, więc musisz być moja. – Urwał, w skupieniu marszcząc czoło. – Pamiętam, jakie to mi się wydało dziwne, kiedy to usłyszałam. Że mnie kochasz, bo jestem twoim kotkiem. Bo jestem twoim kotkiem.

– To przecież nie ma sensu.

– Nie – potwierdził z nietęgą miną. – To nie ma sensu. Ujęłaś to jakoś tak dziwnie. Może „No, kiciu”? Nie, to nie tak. Ale pamiętam, że to było dziwne słowo.

– No, kocie? – podsunęłam mu, po czym uświadomiłam sobie, jak te słowa zabrzmiały, kiedy wymówiłam je na głos.

– Tak! Właśnie tak – potwierdził Clayton. – „No, kocie”. Prawie jak jedno słowo. Było bardzo głośno, nie słyszałam wyraźnie. Ale to było chyba „No, kocie”. Wymówiłaś to jak jedno słowo.

– A może „Walcocie”? Wymówiłam to jak jedno słowo? Powiedziałam „Walcocie”, a potem „Kocham cię”?

Clayton kiwnął głową, po czym zdezorientowany zmarszczył brwi, kiedy się zaczerwieniłam i zasłoniłam usta dłońmi. Wstałam, bo bałam się, że się przewrócę, chociaż siedziałam na kanapie.

Wcześniej tamtej nocy zadzwoniłam do Walcotta, kiedy narkotyk zaczął działać. Pewnie go szukałam. Oczywiście bardzo bym się ucieszyła na jego widok, gdyby otaczali mnie trzej chłopcy, a ja czułabym się chora i skołowana albo pijana i nieprzyzwoita, albo po prostu wyluzowana i szalona. Gdybym na hucznej imprezie, naćpana i zdezorientowana, zobaczyła kogoś tak wysokiego z pajęczymi rękoma, pewnie wzięłabym go za Walcotta.

– Powiedziałam, że cię kocham – wymamrotałam w dłoń. Pewnie mnie nie zrozumieli, ale to mnie nie obchodziło, bo mówiłam do siebie. Czyżby Walcott się nie mylił? Czy to zawsze istniało między nami, jak prezent, który otworzymy dopiero w dorosłości? Nie pamiętałam tego w ten sposób, ale przecież byłam tak bardzo uszkodzona.

Teraz i Beth miała tak zaskoczoną minę jak jej chłopak.

Odsłoniłam usta i powiedziałam:

– Być może znam rozwiązanie. Być może wiem, jak mogę wam uwierzyć. – Żadne nie wiedziało, jak na to zareagować. – Muszę już iść.

Ruszyłam do drzwi.

– Ale co potem? – spytała Beth. Chodziło jej o Natty'ego. O to, że nie możemy zamknąć tematu, dopóki nie znajdziemy jakiegoś sposobu na to, żeby porozmawiać o Nattym. Ja jednak nie byłam na to gotowa, ani trochę. To możliwe, całkiem prawdopodobne, że cztery lata temu w siedzibie bractwa studenckiego Kappa Nu Clayton Lilli nie zamierzał zrobić mi krzywdy, ale, och, teraz mógł mnie skrzywdzić na sto sposobów. A ja musiałam mieć pewność.

Przystanąłam przy drzwiach i zaproponowałam:

– Zróbmy sobie przerwę, dobrze? Na razie. Nie działajmy pochopnie. Nie znam cię i ci nie ufam. Ty też mnie nie znasz, ale obiecuję, że jeżeli zaczniesz naciskać, zrobi się niemiło. Nie wiesz, do czego jestem zdolna. Mówimy o... – Postanowiłam zagrać w otwarte karty. – Mówimy o moim dziecku. Muszę się zastanowić.

Sprawy bardzo szybko mogły przybrać zły obrót. Dobrze o tym wiedziałam, oni pewnie też. Jemu groziło więzienie, mnie utrata wyłącznej opieki nad

dzieckiem. Mogłam wrócić do swojej wersji, w której Clayton Lilli był gwałcicielem. Moje słowa zyskałyby poparcie w postaci zeznania Walcotta i DNA Claytona. Ale jego historia była dobra. Mógłby wygrać i wtedy połowa życia Natty'ego trafiłaby w jego niegodne zaufania ręce. Musiałam też wziąć pod uwagę finansową przyszłość Natty'ego. Mogłam pozwać Lilliego o alimenty.

Spojrzałam na ich twarze. Na jego twarzy malowała się szczerłość. Jej twarz była zaniepokojona, ale też pełna ulgi. Oboje wyglądali jak ja: młodzi i przestraszeni.

Clayton kiwnął głową.

– Możemy zwolnić. Tak będzie dobrze.

– Zwolnić albo nawet zamknąć sprawę – podrzuciłam. – W przyszłym tygodniu zaczynają się moje zajęcia, więc będę często w mieście. Możecie się zastanowić, czy w ogóle chcecie jeszcze do tego wracać. To po pierwsze. Możemy zakończyć temat. To jakieś rozwiązanie i wierzę wam na tyle, żeby wziąć je pod uwagę. Możemy zminimalizować straty i pójść każde w swoją stronę. Może tak będzie najlepiej. Ale jest możliwe, że otworzę się na inne rozwiązania, jeżeli pójdę do domu i zastanowię się spokojnie. Jeżeli będziemy działać bardzo powoli. Powoli i ostrożnie. Bo dla mnie jedyną osobą, która się w tym wszystkim liczy, jest Natty.

Clayton się wyprostował.

– Tak ma na imię?

Beth wstała, podeszła i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tak. Ma na imię Natty. Nathan.

– Powoli – powiedział Clayton. Spojrzał na swoją dziewczynę. Odzyskana wiara w niego zaróżowiła jej policzki. Wreszcie wyglądała mniej szaro i myszowato. Zastanawiałam się, czy historia opowiedziana przez Claytona rzeczywiście jest prawdziwa i czy naprawdę kocham Walcotta. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zaufam Claytonowi. Zastanawiałam się, czy zniosę dziewczynę o imieniu Beth.

– Zgoda – zdecydowała za niego Beth. Mówiąc to, jednak na niego spojrzała, a on kiwnął głową.

Pogrzebałam w torebce i zapisałam na kartce numer swojej komórki.

– Zadzwońcie w przyszłym tygodniu, jeśli postanowicie kontynuować

rozmawę. – Zwróciłam się do obojga, po czym wyszłam.

Może zrezygnują. Tak byłoby najprościej. Ale może zechcą stać się częścią życia Natty'ego, w jednej ze stu możliwych postaci. Gdybym uwierzyła Claytonowi, w końcu zrobilibyśmy krok w tym kierunku. Może nawet odnalazłabym tych trzech chłopców i dowiedziała się, który wsypał mi narkotyki do coli, odbierając mi wspomnienia i możliwość podejmowania decyzji. Powinien za to zapłacić. Niczego jednak nie musiałam teraz postanawiać.

Nie wiedziałam, jak ta historia się potoczy. Nie wiedziałam nawet, czego chcę. Mogłam tylko pójść do domu i obserwować rozwój wypadków. Moje serce było rozdarte. Żywiło wielką nadzieję, że Clayton już nigdy nie zadzwoni, ale troszeczkę liczyło też na to, że kiedyś stanie się pozytywną postacią w życiu mojego syna.

Z całego serca mogłam tylko mieć nadzieję, że wszyscy będziemy działać powoli i ostrożnie. Z taką więc nadzieją wróciłam do domu, do Mimmy i mojego dziecka.

Nie zadzwoniłam do Walcotta. Zbyt dużo się wydarzyło. Mój mózg nie mógł zdecydować, czy – naćpana i bezradna – potrzebowałam go tak bardzo, że zobaczyłam go w pierwszej wysokiej, chudej postaci, jaka do mnie podeszła, i że powiedziałam, że go kocham. Że wypowiedziałam te słowa prosto w usta obcego mężczyzny. Byłam zbyt skołowana, przestraszona, zmęczona i jednocześnie pełna nadziei, by wiedzieć, czy kochałam go przez całe życie, czy też nie. Skupiłam się tylko na tym, żeby nie zemdleć za kierownicą i nie wjechać do rowu.

Kiedy już dotarłam do domu na górze, najlepiej, jak potrafiłam, uspokoiliłam Mimmy. Nie poszłam do swojego pokoju. Położyłam się obok Natty'ego na jego wąskim łóżku. Niemal natychmiast zapadłam w głęboki sen, chłonąc zapach jego jabłkowego szamponu.

*

Kiedy się budzę, jest po dziewiątej.

Biorę prysznic, ubieram się i razem z Nattym zjadam puszyste naleśniki

z masłem zrobione przez Mimmy, która ograniczyła się do samych owoców, i dopiero wtedy dzwonię do Walcotta. Czekam, aż Natty pójdzie z Mimmy do cukierni, żeby popatrzeć – tak jak ja kiedyś – jak ładne dziewczyny w sukienkach przewiązanych w talii szarfą robią krówki i zanurzają ciasteczka Oreo w czekoladzie.

Walcott odbiera natychmiast. Zaniepokojonym głosem wymawia moje imię.

– Shandi? Gdzie byłaś?

– Jestem w domu Mimmy. To długa historia – odpowiadam. – Możemy się spotkać w połowie drogi?

Wie, o którym miejscu mówię.

– Teraz? – pyta.

– Tak, teraz.

Włosy mam rozpuszczone i jeszcze wilgotne. Nie umalowałam się. Moja twarz to tylko moja twarz.

Ruszam przez las w kierunku porośniętego trawą terenu, zbyt dużego na polanę, choć nie jest to też łąka. Znajduje się między moim domem a domem jego mam B i B. Pochyła, ale nie stroma ścieżka prowadzi mnie zakosami na górę, do niego. Po obu jej stronach rosną jeżyny. Teraz pod koniec lata zostało już niewiele owoców. Te, które przetrwały, są matowe, czarne, nabrzmiałe i prawie, prawie przejrzałe. Zrywam je i zjadam bez mycia. Plamią moje usta brudną słodyczą.

Kiedy wychodzę z lasu, widzę zbliżającego się do mnie Walcotta.

Idę do niego przez złotą trawę, czuję, że moje ciało jest żywe. Żywe i tylko moje, rozgrzane od słońca. Jestem nabrzmiała i dojrzała jak jedna z tych późnych jeżyn. Jestem soczysta, prawie pękam pod skórą. Idę do niego powoli. Nie ma potrzeby śpieszyć się w tym upale. Nie ma potrzeby śpieszyć się do wiedzy, skoro moje ciało już podjęło decyzję. Walcott się uśmiecha, a kiedy się zbliżam, dostrzega wyraz mojej twarzy i jego uśmiech i spojrzenie się zmieniają. On też zwalnia. Prostuje plecy, jest Walcottem, wysokim i chudym, idącym do mnie przez trawiasty teren zbyt mały, by go nazwać łąką.

Tak dobrze mnie zna. Nic nie muszę mówić. Ani słowa. Jeszcze nie. Później znajdzie się na to czas. Na razie to wystarczy. To wystarczy i jest takie proste. Tak łatwo jest zrobić ostatnie kilka kroków, które nas dzielą. Tak łatwo i pięknie

wtulić się w jego ramiona.

Całuje mnie. Całuje mnie.

Oddaję mu pocałunek.

Podziękowania

Gorąco dziękuję mojej spostrzegawczej i sprytniej redaktorce Carolyn Marino. Aż trudno uwierzyć, jak długo ze sobą współpracujemy. Poznałyśmy się, kiedy szukałam wydawcy dla mojej pierwszej książki. Co za bezbrzeżna przyjemność móc z nią pracować! Jestem głęboko wdzięczna wszystkim z wydawnictwa William Morrow za ciepłe przyjęcie mojej pracy, zwłaszcza Liate Stehlik, Lynn Grady, Tavii Kowalchuk, Benowi Brutonowi, Mary Ann Petyak i Amandzie Bergeron. Jak zwykle muszę też podziękować cudownemu agentowi, Jacques'owi de Spoelberchowi.

Kilka lat temu w Vermont College of Fine Arts usłyszałam, jak poetka Robin Behn czyta swój przepiękny i mocny wiersz *Nie zawsze można się zakochać w sezonie na jeżyny*. W czarowny sposób opisuje parę kochanków, adresując swoje słowa do kobiety.

Czytając go obsesyjnie, zaczęłam sobie wyobrażać mężczyznę, który w taki sposób mógłby mówić do kobiety. W ten sposób powstał Walcott, młody poeta, którego dzieje i osobowość pozwalały swobodnie, kwiecicie i w sposób ekspresywny opisywać seksualność swojej kochanki, a także własną.

Robin Behn uprzejmie wyraziła zgodę, żebym włożyła w usta Walcotta kilka wersów tego wiersza, którego to ona jest autorką i który po raz pierwszy ukazał się w pierwszym numerze „TAB: The Journal of Poetry & Poetics” wydawanym przez Chapman University. Wiersz ten w całości możecie przeczytać na mojej stronie: joshilynjackson.com/behn.

Walcott powinien napisać wiersz opiewający cierpliwość i uprzejmość doradcy genetycznego i naukowca Dawn Jacob Laney. Bez jej pomocy William prawdopodobnie by nie powstał.

Wiersz należy się nie tylko Dawn. W książce tej jest mnóstwo policjantów, przestępców, chemii, genetyki, kryminalistyki, judaizmu, zakonnic i innych

dziedzin i osób, których nie znam z własnego doświadczenia. I właśnie za to, że są nieocenionym źródłem informacji, następujące osoby zasługują na lepsze wiersze niż te, które ja mogłabym napisać. Za wszelkie głupie błędy tylko ja jestem odpowiedzialna.

Naukowiec Scott Winn. Dyplomowana pielęgniarka Julie Oestreich. Porucznik Jay Baker z wydziału policji hrabstwa Cherokee. Chemik Deawna Echols. Pamiętnikarz Jessica Handler. Siostra Joan Gannon. Biolog Kerry Kilburn. Zawodnik uniwersyteckiej drużyny futbolowej Bob Jackson. Powieściopisarka Susan Rebecca White. Terapeuta rodzinny dr Michael Brissett. Dr D. P. Lyle, autor *Forensics for Dummies* i serii o Dubie Walkerze. Wielbicielka technologii Alison Law. Tak cudowny, że chciałabyś płonąć, by mógł cię uratować, strażak i ratownik medyczny Daniel Jackson. Naprawdę by cię uratował.

Nie mogę funkcjonować jako człowiek, a już tym bardziej jako pisarz, bez tej paczki przyjaciół:

Moi czytelnicy: mówię o Tobie, Osobo, Która Kupiłaś Tę Książkę. Dzięki Tobie wykonuję pracę, którą kocham. Dziękuję. Czy jesteś jednym z tych pełnych pasji i cudownych sprzedawców w księgarni, czy gadatliwym, wspaniałym czytelnikiem, który poleca innym moje książki, mam tyle ciepłych uczuć, że pewnie bym Cię ucałowała, gdybyśmy się spotkali. Ta książka jest Twoja, na dobre i na złe. Nie wiem, jak Ci dziękować.

Pisarze: ci ludzie od lat nieustępliwie i z miłością mobilizowali mnie do tego, bym była lepsza i odważniejsza – jako pisarka i jako zwykły człowiek. Każdy z nich jest dla mnie jednakowo ważny, więc wymienię ich w kolejności alfabetycznej: Anna Schachner, Caryn Karmatz Rudy, Karen Abbott, Lydia Netzer, Reid Jensen i Sara Gruen.

Moja rodzina: Scott, Sam, Maisy Jane, Jane, Alison, Bob, Betty, Bobby, Julie, Daniel i Erin Virginia.

Jezus: Pierwszy Kościół Baptistów w Decatur, grupa biblijna i moi duchowi przewodnicy. Szalom.

Tytuł oryginału: *Someone Else's Love Story*

Copyright © 2013 by Joshilyn Jackson

All rights reserved.

Published by arrangement with William Morrow, an imprint of HarperCollins Publishers.

Copyright for the Polish Edition © 2015 by Burda Publishing Polska Sp. z o.o. Spółka Komandytowa
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41-42

faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:

Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta: Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Zdjęcie na okładce: Portra Images/Digital Vision/Getty Images

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Redaktor prowadząca: Agnieszka Koszałka

ISBN: 978-83-8053-031-7

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com